

Autorka bestsellerowej „Podróży nieślubnej”

CHRISTINA
LAUREN

MIŁOŚĆ
NA
ŚWIĘTA

„Czysta, zniewalająca magia
od początku do końca”

– Emily Henry, autorka powieści „Beach Read”



Poradnia K



CHRISTINA LAUREN

MIŁOŚĆ
NA
ŚWIĘTA

PRZEŁOŻYŁA ALEKSANDRA DZIERŻAWSKA

 **Poradnia K**

Spis treści

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Epilog

Podziękowania

O autorce

Tytuł oryginału: *In a Holiday*

Copyright © 2020 by Christina Hobbs and Lauren Billings

Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Dzierżawska

Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2021

Redaktor prowadząca i redakcja: MODESTIA KATARZYNA SARNA

Korekta: JOLANTA KUCHARSKA, RAFAŁ SARNA

Projekt okładki: ELLA LAYTHAM

Ilustracje na okładce: © Shutterstock: Ann Muse, Getty Images: Ekaterina Skorik, oriolusart

Projekt składu i łamanie, opracowanie polskiej wersji okładki: MARZENA PIŁKO

Wydanie I

ISBN 978-83-66555-86-0

Wydawnictwo Poradnia K Sp. z o.o.

Prezes: Joanna Bażyńska

00-544 Warszawa, ul. Wilcza 25 lok. 6

e-mail: poradniak@poradniak.pl



Poradnia K

Poznaj nasze inne książki.

Zapraszamy do księgarni:

www.poradniak.pl

facebook.com/poradniak

linkedin.com/company/poradniak

instagram.com/poradnia_k_wydawnictwo

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



Rozdział 1

26 grudnia

Można mnie nazwać rozwiązłą. Można powiedzieć, że jestem impulsywna, a na pewno skacowana.

Nigdy wcześniej nie zostałam w ten sposób opisana, ale tego ranka czuję, że właśnie na takie słowa zasługuję.

Poprzedni wieczór był totalną katastrofą.

Najciszej jak potrafię, wyślizguję się z dolnego poziomu piętrowego łóżka, a potem na paluszkach przemykam po lodowatej podłodze. Ostatnią rzeczą, której sobie w tym momencie życzę, jest obudzenie Theo, skutkujące koniecznością spojrzenia mu w oczy, jeszcze zanim mój mózg zdąży na dobre się ocknąć, a bałagan w głowie chociaż trochę uda mi się poukładać.

Drugi stopień od góry wciąż wydaje przerażające trzaski jak w nawiedzonym zamczysku. Od trzech dekad był tratowany przez kolejne pokolenia dziecięcych stóp, wbiegających z łomotem po schodach w drodze na posiłki i spieszących z powrotem do zabawy i snu. Koncentruję się i trafiam nogą na kolejny stopień, omijając feralne miejsce. Oddycham z ulgą – udało się, moich uszu nie dobiegło złowieszcze skrzypienie. Nie każdy

umie to zrobić tak zręcznie. Nie zliczę, ile razy Theo zdradził się właśnie niefortunnym postawieniem stopy, kiedy wracał do łóżka zdecydowanie za późno... albo za wcześnie – zależy, jak na to spojrzeć.

Gdy tylko docieram do kuchni, zaczynam mniej przejmować się kwestią hałasu i podkręcam tempo. Jest jeszcze ciemno, brak oznak ruchu, ale wiem, że wujek Ricky niebawem wstanie. Dom pełen jest rannych ptaszków, co oznacza, że moje szanse na poradzenie sobie z tą sytuacją dramatycznie zmniejszają się z każdą minutą.

Czuję, jak wspomnienia wczorajszej nocy nieproszone atakują moją wyobraźnię, są niczym kartkowana wbrew mej woli książka z obrazkami. Wielkimi susami dostaję się na drugie piętro, ignorując zwisającą z sufitu jemiołę. Wsparta dłonią o poręcz mknę niestrudzenie w pasiastych skarpetkach, aż docieram do wąziutkich stopni prowadzących na poddasze. Pokonawszy je, zdecydowanym ruchem otwieram drzwi sypialni Benny'ego.

– Benny! – szepczę gorączkowo w otaczającą mnie chłodną ciemność. – Benny, pobudka! Wstawaj, jest sprawa! – Od strony łóżka dobiega mnie ponure stęknienie, więc dodaję: – Uprzedzam, że jestem skłonna posunąć się do zapalenia światła!

– Niecee...

– Tak – odpowiadam, po czym naciskam włącznik.

Przyjeżdżające w gości dzieciaki (do których grona i ja się zaliczałam) rozlokowywano na piętrowych łóżkach w piwnicy, ale Benny miał więcej szczęścia – każdego grudnia ten stryszek stawał się jego królestwem. Uważałam to pomieszczenie za jedno z najlepszych w całym domu. Ma wysokie sklepienie i okno z barwionym szkłem, dzięki któremu rozproszone światło sączy się do pokoju w odcieniach błękitu, zieleni, pomarańcza i czerwieni. Nieduże podwójne łóżko stoi wciśnięte między stosy rozmaitych rodzinnych skarbów, takich jak pudła z dekoracjami na przyjęcia okolicznościowe, i szafy pełne dawno nieużywanych ubrań należących do babci i dziadka Hollisów. Te ostatnie pochodzą z czasów, gdy wizja zakupu chatki w Park City przez dyrektora liceum w Salt Lake nie budziła rozbawienia – jako kompletnie, z przyczyn finansowych, niewykonalna. Jako

że za czasów mojego dzieciństwa wśród dzieci w żadnej z pozostałych przyjeżdżających tu rodzin nie było innej dziewczynki, bawiłam się tutaj sama w przebieranki. Czasem za widownię służył mi Benny.

Teraz jednak nie potrzebuję go w roli widza. Szukam życzliwego słuchacza i mądrego doradcy, który pomoże mi pojąć powagę sytuacji. Jestem na granicy ataku paniki.

– Benny, obudź się!

Powoli unosi się na łokciu, drugą ręką przecierając zaspane oczy. Pytanie, zadane z charakterystycznym australijskim akcentem, brzmi trochę jak końskie rzenie:

– Która godzina?

Zerkam na telefon, który cały czas trzymam w zaciśniętej, lepkiej od potu dłoni.

– Piąta trzydzieści.

Benny spogląda na mnie z niedowierzaniem w zapuchniętych oczach.

– Czy ktoś umarł?

– Nie.

– Został uznany za zaginionego?

– Nie.

– Wykrwawia się i potrzebuje natychmiastowej pomocy?

– O, jesteś blisko. Mentalnie, owszem, wykrwawia się – potwierdzam. Wchodzę w głębszy zakamarek pokoju, owijam się starym afgańskim kocem i moszczę w wiklinowym fotelu stojącym naprzeciwko łóżka. – A pomocy potrzebuję zdecydowanie. Ratusz.

W wieku pięćdziesięciu pięciu lat Benny ma wciąż tę samą puszystą czuprynkę w kolorze piasku, z której zawsze sobie dworowałam. Aktualnie włosy sięgają mu nieco poniżej podbródka i jak zwykle są lekko pofalowane – ułożyły się tak przed laty i z jakichś względów postanowiły pozostać w takim kształcie do dziś. Kiedyś wyobrażałam sobie, że Benny towarzyszył podstarzałym gwiazdom rocka w trasach koncertowych albo był podróżnikiem i łowcą przygód, który wynurza się z dzikich zarośli, by poprowadzić bogatych turystów ku ich mrocznemu przeznaczeniu. Prawda

o jego życiu jest może nieco mniej emocjonująca (pracuje w Portland jako ślusarz), ale za sprawą zdobiących go wisiorów i pobłyskujących bransoletek łatwo mi o niej zapomnieć.

Patrzę na niego i obserwuję przedziwną fryzurę, która układa się niczym puchata aureola okalająca jego twarz.

Z pozostałymi dwunastoma osobami przebywającymi w tym domu łączą mnie ważne historie, ale z Bennym... mam naprawdę wyjątkową więź. Jest przyjacielem moich rodziców z czasów studiów. Właściwie wszyscy obecni w tym domu dorośli znają się z moimi rodzicami z czasów nauki na Uniwersytecie Utah. Jedynym wyjątkiem jest Kyle, który wzenił się w tę grupkę. Mimo że Benny jest sporo ode mnie starszy, nigdy nie traktowałam go jak kogoś z pokolenia rodziców, zawsze był dla mnie raczej przyjacielem. Pochodzi z Melbourne, jest zrównoważony i otwarty. Jest też zaprzysięgłym starym kawalerem, mądrym doradcą i jedyną osobą na świecie, która jest w stanie pokazać mi szerszą perspektywę, gdy przestaję panować nad gmatwaniną własnych myśli.

Kiedy byłam dzieckiem, miałam w zwyczaju omawiać z Bennym, który przyjeżdżał do domu latem z okazji Dnia Niepodległości albo zimą na święta Bożego Narodzenia, wszystkie najważniejsze sprawy i plotki. Obdarzał mnie uwagą, a ja zwierzałam mu się z absolutnie każdego szczegółu mojego życia. Miał niesamowitą umiejętność słuchania i wygłaszania życzliwych spostrzeżeń pozbawionych aspektu oceny czy pouczenia. Mam nadzieję, że będzie w stanie uratować mnie także teraz.

– Dobra – odpowiada, odchrząkując, by pozbyć się z gardła porannej chrypki, po czym dłonią odsuwa wpadające mu do oczu kosmyki włosów.
– Zamieniam się w słuch.

– Okej. A zatem... – Niezależnie od narastającej we mnie paniki i poczucia, że każda minuta jest obecnie na wagę złota, decyduję się wprowadzić Benny'ego w temat w możliwie jak najdelikatniejszy sposób. – Zeszłej nocy razem z Theo, Andrew i Milesem graliśmy w planszówki – zaczynam.

Odpowiada mi niski, wibrujący pomruk.

– Mhm... Typowy wieczór.

– No właśnie... – Gram na zwłokę, odrzucając przez ramię ciemne włosy.

– Aha – mówi spokojnie Benny, a ja po raz kolejny błogosławię jego anielską cierpliwość.

– Miles zasnął na podłodze – kontynuuję. Mój młodszy brat ma siedemnaście lat i podobnie jak większość nastolatków jest w stanie zapaść w kamienny sen w absolutnie dowolnych warunkach. – Andrew poszedł na przystań.

Kolejne „mhm” maskuje rozbawienie. Benny wciąż się trzęsie ze śmiechu na myśl o niezwykłych ustaleniach poczynionych przez Andrew Hollisa (starszego brata Theo) z ich ojcem. Umówili się (by uniknąć infantylnego noclegu na łóżkach piętrowych, pasującego do czasów dzieciństwa, nie zaś do aktualnego stanu rzeczy), że w trakcie świąt Andrew będzie się przenościł do domku na przystani. To nieduży, nieco rozklekotany budynek, położony kilkanaście metrów od głównego domu. Zastanawiający jest fakt, że „przystań” w istocie nie ma nic wspólnego z wodą – latem domek stanowi coś w rodzaju altanki w ogrodzie, zimą natomiast zdecydowanie nie nadaje się jako miejsce noclegu, jako że grudzień w Górach Skalistych nie rozpieszcza.

Mimo że aktualnie byłam wściekła na Andrew Hollisa – z powodu jego nocnej absencji w piwnicy – tak naprawdę nie mogłam go winić.

Właściwie żadna z osób osadzonych w piwnicy nie miała już statusu dziecka. Wszyscy wiedzieli, że Theo może spać dosłownie wszędzie, a mój brat Miles, który jest w niego wpatrzony jak w obrazek, powlecze się za nim w dowolne miejsce. Jeśli chodzi o mnie... to zgodzę na wszystko, bo inaczej moja mama gotowa byłaby zamordować mnie za niedocenianie niezwykłej gościnności rodziny Hollisów. Andrew (który właśnie dobiegał trzydziestki) natomiast nie miał potrzeby nadmiernej dbałości o uczucia swoich rodziców. Po prostu zabrał ze sobą łóżko polowe oraz śpiwór i tak wyposażony ulokował się w domku na przystani już pierwszej nocy, gdy tu przyjechaliśmy.

– Wszyscy trochę wypiliśmy... – mówię, po czym dodaję uspokajająco: – To znaczy wszyscy poza Milesem naturalnie. – Benny uniósł brew w wyra-

zie niedowierzania. – No dobra, raptem dwie porcje ajerkoniaku – prostuję, krzywiąc się.

Zachodzę w głowę, czy Benny domyśla się, dokąd zmierza moja opowieść. Jestem znana ze słabej głowy, a Theo z tego, że jest wiecznie napalony. Oboje zasłużyliśmy na taką opinię.

– Theo i ja wybraliśmy się na górę po wodę. – Zwilżam wargi językiem i próbuję przełknąć ślinę, nagle czując, jak bardzo zaschło mi w gardle. – No i wpadliśmy na pomysł, żeby po pijaku pójść na nocny spacer w padającym śniegu, ale zamiast tego... zaczęliśmy obściskować się w schowku. – Z trudem wyrzucam z siebie słowa.

Benny nieruchomieje, przypatrując mi się uważnie piwnymi oczami. Wydaje się, że cała senność go odeszła.

– Mówisz o Andrew, prawda? To, co powiedziałaś, dotyczyło ciebie i Andrew?

No i dotarliśmy do punktu kulminacyjnego. Tym pytaniem – zadany skądinąd w jak najdelikatniejszy sposób – Benny trafia w sedno problemu.

– Nie – mówię stanowczo. – Nie o Andrew. Mówię o Theo.

To właśnie ja: rozpustnica.

Teraz, na trzeźwo, następnego ranka po tych wydarzeniach wszystko zaczyna wydawać się osobliwym, nieco rozmazanym wspomnieniem. Czy to ja zainicjowałam tę akcję, czy prowodyrem był Theo? Jedyne, co wiem na pewno, to to, że ku mojemu zaskoczeniu wszystko było strasznie niezdarne i nieporadne, a nie uwodzicielskie. Zęby uderzały o zęby, obmacywankom towarzyszyły rozgorączkowane niepewne pocałunki, niezręczne westchnienia i pojękiwania. Sposób, w jaki jego dłoń poruszała się po mojej klatce piersiowej, przywodził na myśl badanie lekarskie, a nie szłał namiętnych uścisków. Wtedy właśnie odepchnęłam go od siebie i mamrocząc pod nosem przeprosiny, umknęłam do piwnicy.

Mam chęć schować twarz w poduszce Benny'ego. Oto, co się dzieje, gdy w końcu godzę się na degustację ajerkoniaku produkcji Ricky'ego Hollisa.

– Chwileczkę – mówi Benny, po czym pochyła się i sięga do leżącego nieopodal plecaka, z którego wyciąga szklane wydłużone bongo.

– Serio, Benedykcie? Wiesz, że słońce jeszcze nie wzeszło? – pytam na poły karcąco.

– Słuchaj, Mayhem, właśnie podzieliłaś się ze mną rewelacją na temat tego, że wczorajszy wieczór spędziłaś w objęciach Theo Hollisa. Nie masz prawa robić mi uwag. Potrzebuję nieco się znieczulić, zanim usłyszę resztę tej historii.

W sumie Benny ma trochę racji. Zamykam oczy, wzdycham i podnoszę głowę w kierunku sufitu, w myślach zaklinając niebiosy, by usunęły z historii mojego życia minioną feralną noc. Niestety, gdy otwieram oczy, wciąż jestem na stryszku, a Benny właśnie zaciąga się trawką, nie czekając na pierwsze promienie słońca. Czuję, jak gdzieś we mnie rośnie gęź żalu i pretensji do samej siebie.

Benny wypuszcza z ust obłoczek, po czym odkłada firkę na miejsce.

– Dobra – mówi, z powrotem przenosząc na mnie wzrok. – Ty i Theo.

Zdmuchuję wpadającą mi do oczu grzywkę.

– Proszę, nie wymawiaj naszych imion w ten sposób.

Kolejne uniesienie brwi.

– No cóż... Wiesz, że twoja mama i Lisa żartowały przez lata o tym, że...

– Tak, wiem.

– Lubisz spełniać oczekiwania innych ludzi – kontynuuje, obserwując mnie uważnie – ale to już chyba lekka przesada.

– Nie zrobiłam tego, by kogokolwiek uszczęśliwić! – protestuję, po czym milknę na chwilę. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

Ten żart ma naprawdę długą historię. Nasi rodzice od czasów, gdy byliśmy dziećmi, opowiadali, jak to cudownie by było, gdybyśmy skończyli jako para, bo wtedy w końcu oficjalnie stalibyśmy się rodziną. Faktycznie – w teorii ma to sens. Urodziliśmy się w zaledwie dwutygodniowym odstępie. Zostaliśmy ochrzczeni tego samego dnia. Spaliśmy razem na piętrowym łóżku od czasu, gdy Theo był na tyle duży, że nauczył się nie skakać z górnego piętra prosto na podłogę. Poza tym jako czterolatek ostrzygł mnie nożyczkami kuchennymi. A ja za każdym razem, gdy dorośli spuścili nas z oczu, zaklejałam mu buzię plasterkami aż do chwili, gdy rodzice

przechrztyli nas i zaczęli je przed nami chować. No i przez lata pomagaliśmy sobie podczas obiadu – by rodzice pozwolili nam odejść od stołu i pójść się bawić, ja zjadałam jego groszek, a on moją porcję gotowanej marchewki.

Tyle że to wszystko były historie z czasów dzieciństwa, a my już dawno nie byliśmy dziećmi. Theo jest świetnym gościem i oczywiście, że go kocham – jesteśmy niemalże rodziną i właściwie to nie mam innego wyjścia. Ale przez lata oboje bardzo się zmieniliśmy. Czasem odnosiłam wrażenie, że wszystko, co nas ze sobą połączyło, przestało być aktualne jakąś dekadę temu.

A poza tym nigdy nie patrzyłam na Theo w ten sposób głównie dlatego, że od zawsze byłam beznadziejnie, tragicznie, do utraty tchu zakochana w jego starszym bracie. Andrew jest dobry, ciepły, piękny i zabawny. Jest też kreatywny, figlarny, pełen pasji. Dodatkowo cechuje go szacunek dla prywatności i umiłowanie zasad, więc jestem prawie pewna, że wiedza, iż pod wpływem alkoholu zaliczyłam macankę z jego bratem kobieciarzem, byłaby dla niego odrażająca.

Benny jest jedyną osobą w tym domu, która wie o moich odwiecznych uczuciach względem Andrew. Teraz wpatruje się we mnie pytającym spojrzeniem i zagaja:

– No więc, co się wydarzyło?

– Byliśmy wstawieni – odpowiadam. – Tym sposobem skończyliśmy w składziku we troje: ja, Theo i jego język. – Przygryzam zębami czubek kciuka i dorzucam: – Powiedz mi, co myślisz.

– Próbuję zrozumieć, co, do licha, zaszło. To zupełnie nie w twoim stylu, Kluseczko.

Już czuję, jak rośnie we mnie chęć obrony i zapierania się rękami i nogami, że nie, to wcale nie tak. Tłumię ją jednak, zdając sobie sprawę, że to przecież Benny. Człowiek, który zawsze był dla mnie mistrzem Yodą, i w związku z tym wiem, że ma rację. Tak, to zupełnie nie w moim stylu.

– Może to motywujący kopniak ze strony mojej podświadomości? No wiesz, że powinnam w końcu dać sobie spokój z Andrew.

– Jesteś pewna, że o to chodzi? – dopytuje łagodnie Benny.

– Nie... Albo tak? – Mam dwadzieścia sześć lat, a Andrew dwadzieścia dziewięć. Nawet otumaniona porywami romantycznych uczuć muszę przyznać, że gdyby coś miało się między nami wydarzyć, to już by nastąpiło.

– Więc uznałaś, że dobrą alternatywą jest Theo? – drażny Benny, niemalże czytając w moich myślach.

– To nie była żadna chłodna kalkulacja, okej? To znaczy, no wiesz... trudno nazwać go szkaradnym.

– Ale czy on cię w ogóle pociąga? – nie odpuszcza Benny, skrobiąc się po nieogolonym podbródku. – Bo to w sumie wydaje się kluczowe.

– Yyy... No, wiele kobiet uważa go za atrakcyjnego...

Benny odpowiada śmiechem na to wymijające stwierdzenie.

– Wiesz, że nie o to pytałem, prawda?

– No, hm... Chyba wczorajszego wieczoru musiałam znaleźć się w tym gronie, skoro...

– I? – rzuca pytająco, robiąc taką minę, jakby nie był wcale pewien, czy chce poznać odpowiedź.

– I... – zaczynam, marszcząc nos w zabawnym grymasie.

– Z twojej twarzy wnioskuję, że było absolutnie fatalnie.

Głośno wypuszczam powietrze, czując specyficzną ulgę.

– O matko. Tak, było tragicznie. Słuchaj, on mi wylizał twarz... w sensie dosłownym. Całą twarz.

Rozbawiony grymas na twarzy Benny'ego przybiera coraz bardziej nieprawdopodobne formy, więc na wszelki wypadek dorzucam, celując w niego palcem wskazującym:

– Pamiętaj, przysięgłeś, że to zostanie między nami!

– A komu miałbym to powiedzieć? Jego rodzicom?

– Myślisz, że wszystko zniszczyłam?

Benny posyła mi w odpowiedzi wyrozumiały uśmiezek.

– Słuchaj. Nie jesteście pierwszymi w historii znajomymi, którzy po jakimś czasie zaczęli się obmacywać. Poza tym faktycznie ta sytuacja może być motorem zmian. Może wszechświat daje ci w ten sposób do zrozumienia, że pora ruszyć z miejsca, udać się w jedną albo w drugą stronę? Mam na myśli sytuację z Andrew.

Wybucham śmiechem, bo to naprawdę wydaje się niewykonalne. Jakim cudem mam pozbyć się uczuć do kogoś obdarzonego tak wielkim sercem i zgrabnym tyłeczkiem? Nie wspominając już o tym, że próbuję wyleczyć się z tej miłości od blisko, bagatela, trzynastu lat.

– Jakieżś pomysły, co konkretnie powinnam zrobić?

– Nie mam pojęcia, Kluseczko.

– Mam udawać, że nic się nie stało? Czy, przeciwnie, pogadać o tym z Theo?

– Na pewno nie to pierwsze – stwierdza Benny, a ja wiem, że ma rację, choć po cichu liczyłam, że dostanę od niego pozwolenie na chowanie głowy w piasek.

Unikanie trudnych tematów to zdecydowanie specjalność rodziny Jonesów. Podejrzewam, że mój ojciec na palcach jednej ręki mógłby policzyć sytuacje, w których zdobył się na szczerą i wprost porozmawiał z mamą o swoich uczuciach. Zapewne adwokat rozwodowy skwapliwie potwierdziłby, że tak się sprawy miały.

– Leć, obudź go i pogadajcie, zanim wszyscy zdążą wstać. Oczyszćcie atmosferę. – Po tych słowach Benny wygląda przez okno, patrząc na błękit nieba, który z każdą chwilą staje się coraz bardziej intensywny. Odwraca się z powrotem do mnie, a na mojej twarzy maluje się chyba przerażenie, bo uspokajająco kładzie dłoń na mojej ręce i dodaje: – Wiem, że w twojej naturze leży rozwiązywanie problemów poprzez unikanie konfrontacji. Ale pomyśl, to ostatni dzień pobytu tutaj. Chyba nie chcesz, żeby ta sytuacja leżała odłogiem między wami przez następny rok. Wyobraź sobie, jak niezręcznie byłoby wam spędzać razem kolejne święta.

– Boże. Myślę, że na świecie nie ma drugiego ślusarza o tak rozwiniętej intuicji i wyobraźni emocjonalnej.

Benny odpowiada śmiechem.

– Eeee, chyba troszkę przesadzasz.

Potakująco kiwam głową, po czym chowam dłonie między kolana i wlepiam wzrok w sfatygowaną drewnianą podłogę.

– Ostatnie pytanie.

– Mhm? – mruczy zachęcająco, a po melodii tego pomruku wnioskuje, że dokładnie wie, o co zamierzam go zapytać.

– Myślisz, że powinnam powiedzieć o tym Andrew?

Błyskawicznie odbija to pytanie, zadając inne:

– A niby dlaczego Andrew powinien się o tym dowiedzieć?

Przez chwilę mrugam szybko. Widzę, że mój rozmówca patrzy na mnie z łagodnym współczuciem.

No tak. Faktycznie. Po co Andrew ta wiedza? I tak by go to szczególnie nie obeszło.



Rozdział 2

Modląc się w duchu, by wszyscy jeszcze spali, wymykam się z pokoju Benny'ego. Przechodzę przez dom, który wydaje się pogrążony w ciszy i bezruchu. Mój plan jest następujący: obudzić Theo i poprosić go, by przyszedł rozmówić się ze mną w kuchni (o nie, kuchnia to średni pomysł, za blisko składziku...), zanim wszyscy zdążą się obudzić. W ten sposób uporamy się z „oczyszczeniem atmosfery”. Po prostu nawzajem się upewnimy, że to były tylko pijackie amory i nie ma z czego robić afery. Parę uścisków po ajerkoniaku każdemu może się zdarzyć! Nie ma więc konieczności nikomu się z tego spowiadać.

Czy wpadam w paranoję z powodu tych niewydarzonych pocałunków i łapania za biust? Owszem, wpadam. Ale Theo jest dla mnie jak rodzina, a wiem, że takie rzeczy naprawdę potrafią skomplikować relację... Wolalbym, żeby taki drobiazg nie stał się zarzewiem wieloletniego międzyklanowego konfliktu.

Właściwie jeśli dobrze się zastanowić, to jest to taki sam poranek jak dziesiątki innych spędzonych w tym miejscu. Zwykle o tej porze jestem już na nogach i tkwię właśnie tutaj, w kuchni, czekając, aż Ricky, ojciec Theo i Andrew, przyczłapie, by na wpół śpiąc, chrupać ciasteczka i popijać kawę. „Maelyn Jones, widzę, że gramy w tej samej drużynie. Oboje lubimy wstawać z kurami” – mawia, spotykalając mnie tu prawie każdego ranka.

Ale ten dzień jest szczególny – Ricky nie zdążył jeszcze wstać. Zamiast niego przy stole zauważam Theo. Siedzi pochylony nad gigantyczną mi-
chą płatków Lucky Charms.

Wciąż nie mogę się przyzwyczaić do tego, że ma krótkie włosy. Odkąd pamiętam, miał czarną czuprynę tworzącą coś na kształt surferskich fal, czasem tylko ujarzmianą za pomocą gumki, gdy wiązał włosy w koński ogon. Teraz tamten obraz jest tylko wspomnieniem – Theo ostrzygł się za-
ledwie parę dni przed przyjazdem do chatki. Stoję więc w korytarzu, oto-
czona świątecznymi girlandami rozwieszonymi wieczór wcześniej przez Andrew i bliźniaczki, i gapię się tępo w tył ostrzyżonej głowy Theo, my-
śląc, jak ten detal sprawił, że on cały przestał wyglądać znajomo.

Wiem, że jest świadom mojej obecności, mimo to z jakichś względów nie daje tego po sobie poznać. Wydaje się bez reszty zatopiony w lekturze informacji dotyczących składników odżywczych konsumowanych właśnie płatków. Wzrok ma utkwiony w stojącym przed nim kartonie, a po bro-
dzie spływa mu strużka mleka, którą od niechcienia wyciera wierzchem
dłoni.

Czuję w żołądku bryłę lodu.

– Hej – odzywam się w końcu, mnąc w dłoniach jakąś błakającą się na
blacie ścierkę kuchenną.

Odpowiada, wciąż nie podnosząc wzroku.

– Hej.

– Dobrze spałeś?

– Jasne.

Krzyżuję ramiona na piersi, przypominając sobie nagle, że pod górą od
piżamy nie mam stanika. Pod stopami czuję przenikliwie zimno linoleum.

– Wcześniej wstałeś.

W odpowiedzi wzrusza jednym ze swoich napakowanych ramion.

– Nom.

Mrugam parę razy, uzmysławiając sobie, co jest grane. Theo, z którym
właśnie mam do czynienia, to nie jest już Stary Dobry Theo, Przyjaciel
z Dzieciństwa. O nie. To jest Theo Dzień Po. To właśnie ta odsłona, z którą

musi radzić sobie większość kobiet. A ja błędnie założyłam, że się do tej większości nie zaliczam.

Przesuwam się w stronę dzbanka z kawą, umieszczam filtr na miejscu, wsypuję do niego kawę i włączam automat. Przez krótką chwilę upajający aromat kawy bez reszty zaprzęta moją uwagę, co uwalnia mnie od paniki, którą odczuwam.

Zerkam na leżący na kontuarze kalendarz adwentowy. Jest pusty bynajmniej nie dlatego, że wczoraj mieliśmy święta – po prostu Andrew, jako amator czekolady, nie mógł powstrzymać się od zjedzenia wszystkich słodkości już parę dni wcześniej. Co prawda Lisa, mama chłopaków, pierwszego dnia pobytu tutaj zrobiła furę eksperymentalnych ciasteczek, ale nikt nie był gotów zaryzykować degustacji po tym, jak mój tata złamał sobie na jednym z nich ząb.

Znam każdy zakamarek tej kuchni, każdy talerz, każdą ścierkę i widelec. To miejsce jest mi droższe niż rodzinny dom. Nie pozwolę, by to wszystko zostało zrujnowane przez głupie wybryki po alkoholu.

Biorę głęboki wdech i powtarzam sobie w duchu powody, dla których tu przyjeżdżamy: chcemy spędzać wspólnie czas z tymi, których wybraliśmy na naszych najbliższych. Z tymi, którzy są dla nas jak rodzina. Owszem, bywa, że doprowadzamy się nawzajem do szału, ale naprawdę kocham to miejsce i tych ludzi. Co roku z utęsknieniem czekam na te kilka wspólnie spędzonych dni.

Theo z brzękiem upuszcza łyżkę na stół, czym wyrywa mnie z zamyślenia i sprowadza z powrotem do tej pełnej napięcia niezręcznej sytuacji. Przechyla karton z płatkami, szykując sobie dokładkę.

Podejmuję kolejną próbę kontaktu.

– Głodny jesteś, co?

– Tia – odpowiada półgębkiem.

Może powinnam do ostatniej chwili domniemywać, że jest niewinny? Może to nie jest tak jak z innymi jego dziewczynami. Może po prostu nie wie, jak się zachować. Może to ja powinnam przeprosić pierwsza i upewnić się, że dla nas obojga to był nic nieznaczący epizod.

– Słuchaj, Theo, co do wczoraj... to...

Przerywa mi, wybuchając krótkim śmiechem. Patrzy w stronę miski z płatkami.

– Wczoraj naprawdę nic się nie wydarzyło, Mae. Boże, powinienem był się domyślić, że zrobisz z tego wielką sprawę.

Po raz kolejny zaczynam mrugać, tym razem z niedowierzaniem. „Wielką sprawę?”

Przez sekundę nawiedza mnie chęć chwycenia najbliższego znajdującego się obiektu i ciśnięcia nim z pasją prosto w jego głowę.

– Co to, do cholery, ma... – zaczynam, ale moją raczkującą jeremiadę przerywają czyjeś kroki.

Theo zostaje uratowany – zarówno od wysłuchania mojej przemowy, jak i od dostania po łbie – przez swego ojca, który pojawia się w kuchni i wita się z nami krótkim „dobry”.

Ricky chwyta za kubek, ja biorę swój. On nalewa sobie kawę, potem ja robię to samo. Następnie zbliżamy się do stołu – to nasza rutynowa, znana od lat procedura. Nagle Ricky przystaje, niepewny, co zrobić, w obliczu tego zaskakującego elementu, którym jest obecność Theo. Na chwilę zastyka, po czym przysuwa sobie dodatkowe krzesło i pochyla się nad kawą, wdychając jej upajający aromat.

Czekam, aż powie to samo co zawsze: „Maelyn Jones, widzę, że gramy w tej samej drużynie”. Ale nie padają żadne słowa – obecność jego syna spowodowała, że ta ciepła, bezpieczna, znajoma sytuacja zamieniła się w coś zupełnie innego. Czuję rozlewającą się po ciele lodowatą falę paniki. Przecież Ricky jest Królem Tradycji, a ja od zawsze jego następczynią. Ta kuchnia była jednym z niewielu miejsc, w których nigdy nie zastanawiałam się nad tym, kim jestem i czy to, co robię, robię tak jak trzeba. Jak wiadać, wystarczyła jedna noc, by to zniszczyć. Nagle wszystko staje się obce i dziwne.

Próbuję chwycić nad stołem spojrzenie Theo, ale nic z tego. Nie podnosi wzroku, cały czas niezdrowo zainteresowany płatkami. Typowy imprezowicz na kacu.

Co za kutas!

Obezwładnia mnie furia. Jak on może nie mieć jaj, żeby spojrzeć mi w oczy? Parę obślinionych całusów dla takiego podrywacza jak Theo Hollis powinno być niczym, błędem, który łatwo naprawić jednym zdaniem. Ale on z niewiadomych powodów zachowuje się tak, jakby usiłował sprawić, by ta sytuacja stała się jeszcze bardziej niezręczna.

Ricky powoli przenosi na mnie spojrzenie, czuję na sobie jego pytający wzrok. Ech, może Theo ma rację. Może rzeczywiście robię z igły widły. Z wysiłkiem odpycham się od stołu, by wstać.

– Chyba przeniosę się z kawą na zewnątrz, żeby nacieszyć się ostatnim porankiem tutaj.

Gdyby Theo miał chociaż kilka szarych komórek – co ewidentnie stoi pod znakiem zapytania – odczytałby ten gest jako zaproszenie do pójścia w moje ślady.

Wychodzę na dwór i siadam na huśtawce na ganku, otulona puchową kurtką, odziana w grubaśne skarpety, zimowe buty i koc. Mimo to czuję, jak przeszywa mnie chłód, który źródło ma gdzieś wewnątrz mnie. Naprawdę nie chcę naruszyć fundamentów tego wyjątkowego miejsca. Właśnie dlatego nigdy nie odpowiadałam na flirciarskie zaczepki Theo, z tego też powodu nie przyznałam się przed nikim poza Bennym do swoich uczuć do Andrew. Bo zawsze wiedziałam, że odwieczna przyjaźń naszych rodzin jest ważniejsza niż jakieś afery nas, dzieciaków.

Mama i Lisa dzieliły pokój w akademiku. Tata, Aaron, Ricky i Benny wynajmowali wspólnie jakąś norę na terenie kampusu. Nadali temu mieszkaniu niezwykle kreatywne miano Międzynarodowego Domu Piwa, a na zdjęciach z tamtych lat wewnątrz tej legendarnej meliny prezentuje się jak kadr z filmu *Menażeria*. Po skończeniu studiów Aaron przeniósł się na Manhattan, gdzie poznał, a potem poślubił Kyle'a Lianga, z którym następnie adoptowali bliźnięta. Ricky i Lisa zostali w Utah, a Benny przemierzył Wschodnie Wybrzeże, by w końcu osiedlić się w Portland. Moi rodzice zapuścili korzenie w Kalifornii, gdzie na świat przyszedłam ja, a potem nieoczekiwanie, po dziewięciu latach od moich narodzin, doczekali się

jeszcze Milesa. Rozwiedli się trzy lata temu. Mama zdążyła już wejść w nowy szczęśliwy związek (jest już po ślubie), natomiast tata... no cóż.

Aaron powtarza, że ta ekipa uratowała mu życie, gdy w trakcie pierwszego roku studiów jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. To wtedy przyjaciele namówili go, by spędził święta razem z nimi. I mimo tego, co zdarzało się po drodze, jedno od lat pozostawało niezmiennie: dwudziestego grudnia pojawialiśmy się tutaj i oddawaliśmy się w ręce Ricky'ego, który zawsze miał na te świąteczne dni szczegółowo zaplanowany kalendarz atrakcji. Odkąd pamiętam, nie opuściliśmy ani jednego roku, przyjechaliśmy nawet wtedy, gdy rodzice się rozwodzili. Wówczas nie było może idealnie (właściwie to duże niedopowiedzenie...), ale i tak spędzenie kilku dni z tą przybraną rodziną w jakiś sposób pozwoliło złagodzić szok, jakim była zmiana sytuacji w naszej rodzinie.

Ten okres zawsze zajmował w moim kalendarzu – i sercu – bardzo szczególną pozycję. Ta chatka była moją oazą, nie tylko dlatego, że przyjeżdżał tu Andrew Hollis. To naprawdę było idealne, po prostu perfekcyjne miejsce na święta – zawsze idealna ilość śniegu, idealne towarzystwo, idealny poziom komfortu i bezpieczeństwa. Tak, tu spędzałam święta doskonale. I nie zamierzałam pozwolić, by to się zmieniło.

A jednak... Czyżbym właśnie wszystko to obróciła w pył?

Pochyliam się i obejmuję ramionami kolana. O rety, jestem beznadziejna.

– Nie jesteś beznadziejna.

Z zaskoczenia aż podskakuję. Nade mną stoi Andrew, pochyła się, by podać mi kubek z parującą kawą. Na widok jego twarzy o poranku (ach, te przepastne zielone oczy, lekki poranny zarost, odcisk od poduszki widoczny na lewym policzku) moje ciało reaguje dokładnie tak, jak można by się tego spodziewać – serce trzepocze mi jak oszalałe, a w żołądku czuję nagle ciepło, które rozlewa się na cały organizm. W tej chwili nie ma człowieka, z którego widoku bardziej bym się ucieszyła... i przed którym bardziej chciałabym ukryć przyczynę mojej zgryzoty.

Próbując sobie przypomnieć, w jakim stanie są teraz moje włosy, naciągam wyżej koc. Po raz kolejny tego poranka żałuję, że nie mam na sobie

stanika.

– Gadałam do siebie? – pytam zmieszana.

– O, zdecydowanie tak – odpowiada z uśmiechem, a ja mam wrażenie, że oto słońce właśnie wyjrzało zza chmur specjalnie dla mnie.

Te rozkoszne dołeczki w policzkach – tak głębokie, że wyobrażam sobie, jak topię w nich wszystkie moje zmartwienia. Te zęby – przysięgam, że ich biel jest niemal oślepiająca. A teraz jeszcze to: jak na zawołanie na czoło spada mu niesforny brązowy pukiel włosów, co czyni ten obrazek jeszcze bardziej nieprawdopodobnym. No bez jaj!

A ja – o mój Boże! – poprzedniego wieczoru migdaliłam się z jego bratem. Czuję ukłucie żalu i wzbiera we mnie poczucie winy.

– Czy powiedziałam na głos o swoim ściśle tajnym planie obalenia rządu i zainstalowania w jego miejsce Beyoncé jako jedynej prawowitej i nieustraszonej przewodniczki narodu? – pytam zmieszana.

– Ta część musiała mnie ominąć – odpowiada Andrew, wpatrując się we mnie z wyraźnym rozbawieniem. – Podśluchałem tylko coś o tym, że czujesz się beznadziejna.

W wyrazie jego twarzy widzę coś, czego zupełnie nie mogę rozgryźć. Kiedy w jego oczach pojawiają się figlarne ogniki, czuję, jak nagłe przerażenie odbiera mi dech, zupełnie jakbym właśnie otrzymała cios w splot słoneczny. Celuję palcem w jego facjatę i pytam:

– Co tu się właściwie dzieje?

– Och, nic takiego. – Siada obok mnie, obejmuje ramieniem, po czym wyciska na moim czole całusa.

Ten całus na chwilę odrywa moje myśli od narastającej paniki. Z trudem powstrzymuję się, by nie złapać go za rękę i nie przytulić, gdy zaczyna się odsuwać. Och, być kiedyś porządnie, długo i trwale przytuloną przez Andrew... Na poziomie potrzeb byłby to dla mnie odpowiednik wypicia duszkiem wielkiej szklanki źródlanej wody w upalny dzień. Wiem, że nie zasługuję – ten cudowny mężczyzna jest zbyt dobry dla nas, śmiertelników – co jednak nie zmienia faktu, że nie mogę przestać go pragnąć.

Czuję powracającą falę obaw, gdy słyszę, jak ze śmiechem wypowiada moje imię.

– Strasznie jesteś dzisiaj uradowany – zagajam, usiłując wybadać grunt.

– Ty za to zupełnie! – odpowiada, nachylając się znów ku mnie i bacznie studiując moją twarz.

Jest tak blisko, że z zawieszonych na jego szyi słuchawek słyszę sączącą się muzykę. Moich uszu dobiegają stłumione dźwięki utworu *She Sells Sanctuary* zespołu The Cult.

– Maisie, co się dzieje? – pyta dyszkantem.

To jedna z naszych tradycyjnych gier: zamieniamy się w dwójkę wyobrażonych postaci, staruszków o imionach Mandrew i Maisie, którym nadajemy zmienione wysokie głosy. Czasem się w ten sposób przekomarzamy, próbujemy nawzajem rozbawić lub wydobyć z siebie sekrety. Teraz jestem zbyt przerażona, by w to wejść.

– Nic – odpowiadam normalnym tonem, po czym wzruszam ramionami. – Po prostu słabo spałam. – Czuję oleisty posmak kłamstwa, który osiada na moim języku.

– Ciężka noc?

– Yyy... – Mam wrażenie, że wnętrzności zaraz mi eksplodują. – Coś w tym guście...

– A zatem ty i mój brat, tak?

Czuję, jak w środku mojej głowy zaczyna następować seria miniwybuchów. Niemal widzę popiół opadający na otaczającą nas śnieżną połąć.

– O mój Boże – odpowiadam tępo.

Ramiona Andrew zaczynają się trząść, gdy w odpowiedzi wybucha śmiechem.

– Ech, dzieciaki, dzieciaki! Żeby się tak kryć po kątach.

– Andrew, to nie tak, to zupełnie... to właściwie nie...

– Nie, nie musisz się tłumaczyć! Wszystko w porządku. Szczerze mówiąc, nikt nie jest specjalnie zaskoczony. – Bacznie patrzy na grymas gro-

zy na mojej twarzy, po czym dodaje uspokajająco: – Hej, wyluzuj! Przecież jesteście dorośli.

Jęczę, opierając czoło o kolana, i próbuję ukryć twarz. O matko, on naprawdę nie rozumie, a co gorsza, kompletnie go to nie rusza.

Jego głos nagle mięknie, staje się niemal przeproszający.

– Słuchaj, nie chciałem cię tak przerazić, przecież to takie przekomarniki. Poza tym, mówiąc zupełnie szczerze, naprawdę czułem, że to w sumie tylko kwestia czasu, zanim ty i Theo...

– Andrew, nie – przerywam mu desperacko, po czym toczę niespokojnym spojrzeniem dookoła.

Cudownie byłoby wskoczyć do jakiejś dziury lub odkryć nagle właz do podziemnego korytarza, który umożliwiłby mi zniknięcie, ale nic takiego nie dostrzegam. Mój wzrok zatrzymuje się na czymś srebrzystym. To rękaw absurdalnie ohydny świąteczny swetra, który jeszcze niedawno należał do Andrew. Miso, niesforny pies rasy corgi Hollisów, dorwał się do tego wełnianego wybryku natury w Wigilię. Najwyraźniej Lisa zdecydowała, że nie warto ratować pozostałości. Ech, ile bym dała, by teraz znaleźć się w śmietniku razem ze srebrnymi szczątkami.

– To wcale nie tak. Między nami nic nie ma... – zaczynam tłumaczyć.

– Hej! Maisie, słuchaj, przecież wszystko w porządku – zapewnia mnie po raz kolejny Andrew i teraz dostrzegam, że jest naprawdę zaskoczony moją reakcją i poziomem paniki. Uspokajająco dotyka ręką mojego ramienia, opatrnie interpretując powody mojego stresu. – Nikomu nie pisnę ani słówka!

Czuję, jak narastają we mnie upokorzenie i wstyd.

– Ja... Rany, nie mogę uwierzyć, że ci powiedział...

– Nie powiedział – doprecyzowuje Andrew. – Wróciłem wczoraj do domu po telefon. No i was zobaczyłem. – Zobaczył nas? Chryste, dobiejcie mnie. Nie przedłużajmy tej męczarni. – No weź, nie ma co robić afery z kilku całusów! Rozmawiasz z synem kobiety, która rozwiesza jemiołę w każdym kącie domu. Pomyśl, połowa tej ekipy na jakimś etapie życia całowała się z prawie każdym z paczki. – Na chwilę dla żartu zakłada mi nel-

sona, a ja tężeję. Mój stan połowicznego rozpadu coraz bardziej się pogłębia. Andrew puszcza mnie w końcu i dźgając palcem w ramię, dodaje: – Tata polecił, żebym zawołał cię na śniadanie. A ja stwierdziłem, że przy okazji trochę cię podręcę. – Po tej wypowiedzi figlarnie mruga, odwraca się i kieruje z powrotem do domu.

Zostaję na dworze, próbując z trudem złożyć do kupy swoją popękaną na drobne kawałeczki psychikę.



Wnętrze domu wypełniają dźwięki świątecznych przebojów. Salon wprost zalany jest pozostałościami wczorajszej Gwiazdki: w każdym kącie leżą na wpół pogięte kartoniki po prezentach, podarty papier wysypuje się z torebek, do których wczoraj został pospiesznie upchnięty, a w pudełkach leżą dekoracje gotowe do użycia za rok. Przy drzwiach wejściowych widzę rząd walizek, jednocześnie orientuję się, co mnie ominęło – podczas gdy przeżywałam na ganku stan przedzawałowy, kuchnia zappełniła się ludźmi, a Andrew i mój tata zdążyli już odegrać komiczną etiudkę *Nieoczekiwane spotkanie pod jemiolą*. Jedną z wielu, jakie zawiesza w taktycznych punktach Lisa.

Przygotowania do śniadania idą pełną parą. Widzę, że mama wzbogaciła zapiekankę ziemniaczaną o resztki szynki, dorzuciła też inne produkty, które trzeba zjeść przed wyjazdem. Lisa wyciągnęła ze spiżarni duński chleb żytni *sigtebrod*, a Ricky zappełnia kolejne talerze naleśnikami i bekonem. Pozostali obserwują te zabiegi nieco spowolnieni i ociężali – jak by nie patrzeć, każdy z nas spożył przez ostatnie dwie doby porcję kalorii, która spokojnie wystarczyłaby na miesiąc. Ja jednak wiem, że ciężka atmosfera wynika z czego innego. Wszyscy są świadomi, że to nasz ostatni wspólny poranek. I nie jestem jedyną osobą, która niechętnie myśli o powrocie do szarej rzeczywistości, do życia od dziewiątej do siedemnastej.

Już za parę godzin mama, tata, Miles i ja spakujemy manatki i pojedziemy na lotnisko, z którego wspólnie polecimy do Oakland, a tam nasze drogi się rozejdą. Victor, obecny mąż mamy – też wraca z dorocznej wycieczki, którą odbywał w towarzystwie dwóch dorosłych córek – będzie na nią

czekał z kwiatami i uściskami. Co do taty... Pojedzie sam jak palec do swojego mieszkania w okolicach uniwersytetu i prawdopodobnie nie zobaczymy go przez długie tygodnie.

Jeżeli chodzi o mnie, to w poniedziałek wrócę do pracy, której nie znoszę, a nie mam jaj, żeby ją rzucić. Wrócę do codzienności, którą tak bardzo chciałabym się cieszyć... ale nie umiem. Nagle – cóż za idealne wyczucie czasu! – telefon przypomina mi radosnym ćwierkaniem, że termin wysłania do szefa bilansu zysków i strat upływa jutro rano. No tak... a ja nie otworzyłam laptopa od chwili, gdy tu dotarliśmy. Ech, przynajmniej wiem już, co będę robić w drodze na lotnisko. Jednocześnie czuję, jak każda komórka mojego ciała wzdraga się na samą myśl o tym.

Wszyscy otaczają stół suto zastawiony parującymi potrawami. Chwilę trwa znajdowanie drogi do swoich miejsc, aż w końcu siadamy.

Teoretycznie przyjęliśmy zasadę, że w trakcie posiłków nie powinny towarzyszyć nam telefony, ale Milesowi i tak wszystko uchodzi płazem (zawdzięcza to swoim ogromnym, brązowym oczom, którymi umie zmanipulować każdego), a jeżeli chodzi o Theo (którego aktualnie całkowicie pochłoniął Instagram i lajkowanie zdjęć modelek, wypasionych fur oraz piesków rasy golden retriever), to nikt nie ma szczególnej ochoty wchodzić z nim w konflikt. On sam wciąż nie zaszczycą mnie ani jednym spojrzeniem. Nie odzywa się do mnie. W sumie z jego perspektywy to może nawet mnie tu nie ma?

Czuję na sobie łagodne spojrzenie Benny'ego. Na chwilę nasze oczy się spotykają i mam nadzieję, że wyczyta z moich bezgłośny komunikat: „ANDREW WIDZIAŁ, JAK SIĘ MIGDALIMY. MARZĘ O TYM, BY ZAPAŚĆ SIĘ POD ZIEMIĘ”.

Kyle podśpiewuje pod nosem, nalewając do kubka kawę. Podejrzewamy, że ma swojego osobistego Chrystusa za Niego Kaca Cierpiącego, bo wzięwszy pod uwagę wczorajsze gry z udziałem różnych rodzajów alkoholu, powinien prezentować się zgoła inaczej. On tymczasem jest w takiej formie, że spokojnie mógłby wskoczyć na scenę na Broadwayu i z pieśnią na ustach przetańczyć kolejnych parę dni. Co innego jego mąż Aaron – ten przedstawia sobą raczej opłakany obraz, mimo że wczoraj nie wziął do ust

ani kropelki. Zapewne przyczyną tego stanu jest kryzys wieku średniego, który (jak przypuszczamy) Aaron właśnie przechodzi.

Podobno wszystkiemu winien jest jeden komentarz. Ktoś z ich wspólnych znajomych powiedział Aaronowi, że choć już prawie całkowicie osiwił, „to i tak wygląda naprawdę świetnie”. Kyle usiłował tłumaczyć, że ta opinia została wygłoszona w dobrej wierze, ale było już za późno. Aaron zaczął farbować włosy na kolor kruczoczarny, przez co w każdym pomieszczeniu, w którym się pojawia, jego głowa sprawia wrażenie czarnej dziury. Większość swojego pobytu w chatce poświęcił na maniackalne ćwiczenia sportowe (przerywane prężeniem mięśni przed lustrem). Jego cierpienie bynajmniej nie jest spowodowane kacem – siedzi teraz nieruchomo, bo nie jest w stanie podnieść nawet małej filiżanki z powodu zakwasów po nadmiernej liczbie wykonanych wczoraj pompek.

Jego rozanielony mąż toczy nagle wzrokiem po kuchni i zadaje pytanie:

– O co chodzi z tą dziwną atmosferą?

– Cóż, mam pewien pomysł – odzywa się Andrew, szczerząc zęby i rzucając znaczące spojrzenie bratu.

Benny reaguje błyskawicznie, delikatnie tarmosząc go za ucho, a ja zaczynam panicznie krztusić się kawą.

O, w końcu. Theo podnosi na mnie wzrok, ale po paru sekundach ucieka znów w telefon.

„O tak, ty kutafonie. Siedziałam tutaj przez cały czas”.

Ricky odchrząkuje, po czym ujmuje dłoń Lisy. Chryste Panie, czy oni też już wiedzą?! Jeśli plotka dotrze do uszu mojej mamy, to gotowa jest opracować listę imion dla potencjalnych wnucząt, zanim zdążymy dotrzeć do dwupasmówki.

– Chyba chodzi o nas... – odzywa się powoli Ricky. – Lisa i ja mamy pewną nowinę...

Coś w drzeniu jego głosu sprawia, że serce zaczyna mi walić jak młotem. Czyżby Lisa znów zmagła się z czerniakiem?

Nagle nasza pijacka obmacywanka już nie wydaje mi się najważniejszym problemem w życiu.

Ricky nakłada na kolejne talerze bekon i puszcza je w obieg. Lisa robi to samo z zapiekanką. Ale nikt z biesiadników nie zatrzymuje talerza. Wszyscy bezwiednie przekazujemy naczynia dalej, jakbyśmy nie byli w stanie zająć się jedzeniem, zanim nie dowiemy się, z jakim problemem przyjdzie nam się zmierzyć.

– W firmie wszystko gra – rzuca uspokajająco Ricky, po czym patrzy po twarzach zgromadzonych i dodaje: – I nikt nie jest chory. Tak że o to się nie martwicie!

Słysząc zbiorowe westchnienie ulgi, a ja widzę, jak tata odruchowo przykrywa dłoń swoją dłonią. No tak. Niczego tak bardzo się nie boimy jak choroby kogoś z członków tego grona.

– Natomiast chatka, jak wiecie, jest coraz starsza – ciągnie Ricky. – W związku z tym praktycznie co miesiąc musimy coś wymieniać.

Czuję, jak w mojej klatce piersiowej zaciska się supeł.

– Chcieliśmy wam powiedzieć, że mamy nadzieję, że i tak będziemy spędzać razem święta, tak jak robimy od przeszło trzydziestu lat! – ogłasza, po czym bierze do rąk przekazany mu talerz z bekonem (który właśnie zrobił pełne okrążenie wokół stołu) i odstawia go nietknięty na blat.

Wszyscy siedzą jak trusie, łącznie z pięcioletnimi bliźniętami Aarona i Kyle'a. Kennedy skuliła się, podciągając nogi pod brodę, co jeszcze bardziej uwydatniło sfatygowany plasterek z misiem zwisający smętnie z jej kolana. Zachary bezwiednie obejmuje ramię siostry. Wszyscy wiemy, dokąd zmierza wypowiedź Ricky'ego.

– Ale będziemy musieli opracować nowy plan, bo zdecydowaliśmy się z Lisą na sprzedaż domu.



Rozdział 3

Wolałabym wysłuchać najbardziej przygnębiających utworów świata niż tej dzwoniącej w uszach grobowej ciszy, która zapada w wypożyczonym samochodzie, którym wraz z Milesem i rodzicami kierujemy się przez ośnieżony podjazd na główną drogę.

Z siedzenia pasażera zaczyna dobiegać pochlipywanie mamy. Dłoń taty na kierownicy zaczyna się osobiwie przemieszczać, jakby nie był do końca pewien, co ma z nią zrobić. Podejrzewam, że chciałby jakoś okazać mamie swoje wsparcie, ale właściwie to on sam wygląda, jakby potrzebował pocieszenia. No tak, skoro ten domek znaczy tak wiele dla mnie, to trudno sobie wyobrazić, czym jest dla nich. Te wszystkie wspomnienia! Przyjechali tu przecież zaraz po ślubie, przyjechali tu, gdy na świecie pojawiłam się ja, a potem urodził się Miles.

– Mamo. – Pochyliłam się ku niej i delikatnie kładę dłoń na jej ramieniu. – Wszystko będzie dobrze! Na pewno w przyszłym roku spotkamy się ze wszystkimi.

Jej łkanie zamienia się w głośny szloch, a tata mocniej zaciska dłonie na kierownicy. Rozwiedli się po dwudziestu pięciu latach małżeństwa, a ta chatka była ostatnim miejscem, w którym byli w stanie się dogadać. Właściwie jedynym, w którym przez lata dobrze im to wychodziło. Lisa jest najbliższą przyjaciółką mamy, a Ricky, Aaron i Benny to w sumie jedyni

znajomi taty spoza środowiska szpitalnego. W negocjacjach rozwodowych ojciec gotów był poświęcić prawie wszystko: dom, większą część opieki nad Milesem, kawał comiesięcznej pensji, ale absolutnie nie brał pod uwagę rezygnacji ze spędzania Bożego Narodzenia w chatce. Z mamą było podobnie. Córki Victora były zachwycone perspektywą świętowania razem z ojcem i tym sposobem wypracowaliśmy kruchą równowagę rodzinnych relacji. Czy będziemy w stanie utrzymać ten układ, gdy zmieni się miejsce? Gdy święta przeniosą się gdzieś indziej, gdzie nie ma wszystkich tych dobrych wspomnień i nostalgicznych kotwic utrzymujących nasz statek na powierzchni.

Zerkam karcąco na mojego brata i zachodzę w głowę, jak można dryfować przez życie w stanie tak niezmaconego niczym zadowolenia. Aktualnie Miles ma na głowie słuchawki i dyskretnie podryguje w rytm jakiejś optymistycznej muzyczki.

– Próbowałam trzymać fason przy Lisie – odzywa się przerywanym głosem mama, po czym usiłując powstrzymać czkawkę, nurkuje w torebce w poszukiwaniu chusteczek. – Wydawała się naprawdę zdruzgotana. Zauważyłeś, Dan?

– Ja... tak... to znaczy... tak – zgadza się niepewnie. – Ale podejrzewam, że też trochę jej ulżyło, że w końcu podjęli taką trudną decyzję.

– Nie, nie, nie... przecież to okropne – protestuje mama, wydmuchując nos. – O Boże, moja biedna przyjaciółka.

W tym momencie nie wytrzymuję i wymierzam Milesowi pstryczka w ucho.

Odsuwa się jak oparzony.

– Co jest, do cholery?

Wskazuję ruchem głowy na naszą zapłakaną matkę i bezgłośnie przekazuję mu komunikat w rodzaju: „Okazże jej wsparcie, ty nieczuły idioto”.

– Hej, mamó, wszystko będzie dobrze – odzywa się, mechanicznym ruchem klepiąc ją po ramieniu.

Słyszę, że nawet nie kłopotał się wyłączeniem muzyki. Zanim z powrotem wgapi się w ekran smartfona, rzuca mi krótkie spojrzenie: „I co, zado-

wolona?”.

Odwracam głowę z powrotem w stronę okna i powoli wypuszczam powietrze z płuc, starając się zrobić to jak najciszej.

Zanim wyjechaliśmy, Lisa ustawiła wszystkich na ganku i zrobiła nam ostatnie grupowe zdjęcie (jak zwykle udało jej się obciąć głowy osobom stojącym w tylnym rzędzie), po czym nastąpiły łzawe pożegnania, uściski i obietnice, że z pewnością nic się nie zmieni. Jak sądzę, każdy wiedział, że się oszukujemy. Zarzekaliśmy się, że chcemy spędzać święta razem, ale niby gdzie? W dwupokojowym apartamencie Kyle’a i Aarona na Manhattanie? Czy może w mieszkanku Andrew w Denver? Albo jeszcze lepiej – w domu aktualnie należącym do mamy i Victora, tym samym, w którym kiedyś mieszkała z tatą. Nie sądzę. O, mam jeszcze lepszy pomysł! Wciśnijmy się wszyscy do zaparkowanego w Portland kampera Benny’ego!

Czuję, jak przez mój mózg przechodzi fala hysterii.

Okej, powiedzmy, że wynajmiemy na te parę dni jakiś dom, przywlecziemy do niego nasze walizki i będziemy silić się na pozytywne nastawienie. Co nam z tego przyjdzie, skoro wszystko i tak będzie zupełnie inne? Na pewno nie będzie tyle śniegu co zawsze. Albo ogródek będzie za mały, albo wcale nie będzie ogródka. A co z choinką? Będziemy ją ubierać? Pójdziemy na sanki? Będziemy spali, tak jak zawsze, wszyscy w tym samym domu? Ech, nie tak to sobie wyobrażałam. Sądziłam, że dzieciństwo będzie kończyć się stopniowo i łagodnie, a tu nagle natknęłam się na ścianę z wielkim neonowym napisem „KONIEC PEWNEJ ERY”.

Mama bierze głośny wdech, po czym odwraca się do nas, przerywając morderczą spiralę myśli, w którą coraz bardziej się wkręcałam. Kładzie dłoń na nodze Milesa i delikatnie ją poklepując, mówi:

– Dzięki, kochanie. – Następnie odwraca się do mnie, by zrobić to samo.

Widzę jej paznokcie, pomalowane na kolor fuksji, jej ślubna obrączka lśni w słońcu.

– Mae, przepraszam cię, nic mi nie jest. Nie musisz się mną zajmować – dodaje.

Wiem, że stara się pamiętać o tym, że mam w zwyczaju brać na siebie jej emocje, ale jej kompletna bezbronność jak zwykle mnie wzrusza, więc zapewniam ją żarliwie:

– Oczywiście, mam. Ale myślę, że czasem mamy prawo być bardzo smutni.

– To prawda. Tobie chyba też jest smutno.

– Mnie też! – mamrocze tata. – Tak mówię, na wypadek gdyby kogoś to interesowało.

Cisza, która nadchodzi po tym oświadczeniu, wydaje się wielka i głęboka jak księżycowy krater.

Oczy mamy znowu napętniają się łzami.

– Przyjeżdżaliśmy tam od tylu lat...

– Od tylu lat – powtarza jak echo tata.

– Pomyśleć, że nigdy tam nie wrócimy. – Mama przyciska dłoń do serca i rzuca mi spojrzenie znad ramienia. – No ale co ma być, to będzie.

Wyciąga do mnie dłoń, a ja czuję, że cokolwiek uczynię, będę żałować. Jeśli wezmę ją za rękę, poczuję się zdrajcą wobec taty, jeśli tego nie zrobię, zachowam się okropnie wobec mamy. W końcu ujmuję jej dłoń, jednocześnie patrząc w tylne lustro, by spotkać się wzrokiem z tatą.

– Mae, widzę, że trybiki w twojej głowie usilnie pracują nad obmyśleniem systemu, który pozwoliłby na wprowadzenie kilku nieoczekiwanych zmian, tak byśmy wszyscy byli zadowoleni... Przypominam ci, że to nie jest twoje zadanie!

Wiem, że mama naprawdę wierzy w to, co mówi, ale wcielenie tych słów w życie jest znacznie trudniejsze, szczególnie że całe życie walczę o zapewnienie choćby odrobiny spokoju i dobrej atmosfery w naszej małej rodzinie.

Przekazuję jej ostatni mocny uścisk i puszczam jej dłoń, żeby mogła wrócić na swoje miejsce.

– Życie jest naprawdę piękne – przekonuje wszystkich na głos mama. – Victor ma się dobrze, jego córki są dorosłe, dorobiły się własnych dzieci, a my mamy cudownych przyjaciół. – Rozkłada dłonie w szerokim geście,

po czym wskazuje na tylne siedzenie. – No i nasze dzieci po prostu kwitną w oczach!

Że co proszę? Czyli że to właśnie teraz robię? Kwitnę w oczach? O rety, nie na darmo powiadają, że matczyzna miłość bywa ślepa.

Mama kontynuuje swój optymistyczny wywód:

– A ty, Dan? Ty też miewasz się dobrze, prawda?

W odpowiedzi tata wzrusza ramionami, ale ona nawet na niego nie patrzy.

Czuję, jak Miles kiwa głową w rytm muzyki.

– Może to pora, by spróbować czegoś innego – zaczyna ostrożnie tata i nasze spojrzenia znów krzyżują się w lusterku. – Zmiana może wyjść nam na dobre.

Słucham? Zmiana nigdy nie wychodzi na dobre. Zmiana to ojciec, który gdy miałam pięć lat, zmienia oddział i przestaje bywać w domu za dnia. Zmiana to moja najlepsza przyjaciółka, która wyprowadza się, gdy jesteśmy obie w ósmej klasie. Zmiana to fatalnie dobrana fryzura o wdzięcznej nazwie *pixie cut*, która zatrula mi życie na pierwszym roku studiów. Zmiana to przenosiny do Los Angeles, uświadomienie sobie, że nie stać mnie na taką ekstrawagancję, i powrót do domu. Zmiana to pijacki pocałunek z odwiecznym kumplem z dzieciństwa.

– To wszystko kwestia perspektywy, czyż nie? – kontynuuje tata. – Być może święta będą wydawać się nieco inne, ale najważniejsze elementy zostaną.

„Chatka jest najważniejszym elementem” – odpowiadam w duchu, po czym znów próbuję uspokoić oddech.

Perspektywa. No tak. Przecież wszyscy jesteśmy zdrowi. Mamy siebie nawzajem. Nie możemy narzekać na naszą sytuację finansową. Ach, ta perspektywa... Doprawdy, świetny wynalazek.

Ale jak trudno cały czas myśleć perspektywicznie! Mam wrażenie, że ześlizguję się z powrotem do czarnej dziury paniki. Chatka! Nasza chatka! Ma być sprzedana! A ja obściskałam się z Theo, choć jestem zadurzona w Andrew! Poza tym nienawidzę swojej pracy! Mam dwadzieścia sześć lat,

a musiałam przeprowadzić się z powrotem do domu, w którym się wychowałam! No i jeszcze Miles, który składa dokumenty do szkół rozsianych po całym kraju. Ten zapewne stanie się posiadaczem własnego domu, nim ja zdążę na dobre wyprowadzić się z mojej dziecięcej sypialni!

Gdybym umarła właśnie dzisiaj, to co mogłoby się znaleźć w nekrologu? Może coś o tym, że obsesyjnie dbałam o dobrą atmosferę? Że świetnie radziłam sobie z arkuszami kalkulacyjnymi? Że przepadałam za sztuką? Że nigdy nie byłam w stanie zorientować się, czego tak naprawdę pragnę?

Staram się zignorować płynący z radia głos Judy Garland. Zamykam oczy i w myślach zawieram pakt ze wszechświatem. „Kochany wszechświecie, co ja właściwie robię ze swoim życiem? Proszę. Chciałabym...”

Tutaj się zacinam – nie mam pojęcia, jak dokończyć to zdanie. Chciałabym być szczęśliwa, a czuję, że ścieżka, po której krocę, prowadzi do bycia osobą wiecznie znudzoną i bardzo samotną.

Dlatego zmieniam ton i bezgłośnie pytam wszechświat: „Czy możesz odkryć przede mną, co da mi szczęście?”

Opieram czoło o szybę i obserwuję, jak mój oddech sprawia, że szklana powierzchnia pokrywa się parą. Kiedy zaczynam przecierać okno rękawem, prawie podskakuję, gdy widzę niebezpiecznie blisko przybrudzony świąteczny wieniec, przyozdobiony równie brudnymi kokardami. W ułamku sekundy dociera do mnie przeszywający dźwięk klaksonu, dostrzegam też oślepiającą zieleń pędzącą prosto na nasz samochód.

– Tato! – wrzeszczę.

Ale jest już za późno. Mój pas bezpieczeństwa głośnie się klinuje, gdy jakiś samochód uderza w bok naszego wozu. Rozlega się ogłuszający chrzęst ocierającego o coś metalu i tłuczonego szkła. Wszystko, co nie było przypięte, momentalnie wystrzela w powietrze. Obserwuję, jak z mojej torbki wypadają przedmioty, by w zwolnionym tempie lewitować we wnętrzu samochodu, gdy przewracamy się na dach. Z radia wciąż dobiega fraza:

Przez te wszystkie lata wciąż będziemy razem, jeśli tylko nam pozwoli los.

A potem wszystko pogrąża się w ciemności.



Rozdział 4

Próbując zamortyzować siłę uderzenia, wyciągam rękę, chcąc złapać się drzwi. Z przerażeniem odkrywam, że wcale ich tam nie ma. Zamiast boku samochodu jest twarz mojego brata, którą mimowolnie dźgam.

Miles wydaje z siebie pełne pretensji: „Auaaa!”, po czym chwytą mnie za ramię i mówi:

– Ej, mordko! Co ty, kurde, wyprawiasz?

Pozostawiam to pytanie bez odpowiedzi. Zaczynam powoli odrywać od ciała pas, by sprawdzić, ile krwi straciłam. O dziwo, jest kompletnie suchy. Z ulgą biorę spazmatyczny wdech, ale wciąż czuję, że serce wali mi jak młotem pneumatycznym, a całe moje ciało drga.

Moment. Miles jest po mojej prawej. A przecież wcześniej siedział w samochodzie po mojej lewej stronie... Znowu wyciągam do niego ramię, tym razem celowo. Ujmuję jego twarz w obie dłonie, a następnie przyciągam go do siebie, by mocno przytulić.

– Co jest grane? – mamrocze mój brat.

W tej chwili nie przeszkadza mi nawet intensywny zapach dezodorantu marki Axe. Czuję bezbrzeżną ulgę, że mój brat nie zginął. Że ja nie zginęłam. Że my wszyscy prze...

– Dobra, nie w samochodzie – mówię, puszczając go gwałtownie.

Kompletnie zdezorientowana zwracam głowę w lewą stronę. Nie mam pojęcia, co jest grane! Wszędzie widzę ostre białe światła. I ten szum... To musi być silnik! W tym momencie dostrzegam wentylator – sączące się z niego powietrze jest suche i chłodne. Przed sobą widzę rzędy głów. Ludzie się odwracają, by ustalić, jaka jest przyczyna zamieszania za ich plecami.

To ja jestem przyczyną tego zamieszania.

W końcu do mnie dociera, że nie jesteśmy w samochodzie. Znajdujemy się w samolocie – ja na środkowym siedzeniu, Miles przy przejściu, a obcy mężczyzna (który robi wszystko, by udawać, że nie zauważył, jak po obudzeniu zaczęłam rzucać się na boki jak wyciągnięta z wody ryba) przy oknie.

W skroniach mi łupie. Nie mam pojęcia, jak to, do cholery, jest możliwe.

– Gdzie my jesteśmy? – kieruję do Milesa dramatyczne pytanie. Nigdy w życiu nie doświadczyłam czegoś podobnego. – Przecież dopiero co byliśmy w samochodzie i... nagle wyskoczył na nas z boku ten... Słuchaj, czy ja straciłam przytomność? Byłam w śpiączce czy coś takiego?

A jeśli tak – zaczynam szaleńczo gonić wątek – to kto mnie tu umieścił? Usiłuję wyobrazić sobie rodziców eskortujących mnie nieprzytomną przez całe lotnisko i sadzających tu, w tym fotelu. Nie, nie ma to najmniejszego sensu. Mój ojciec, skrupulatny lekarz, i moja mama, której firmową cechą jest nadopiekuńczość. Nie, jakoś mi się to nie klei.

Miles obrzuca mnie zaskoczonym spojrzeniem i powoli zsuwa słuchawkę z jednego ucha.

– Co?

Wzdycham zniecierpliwiona i decyduję, że z brata chyba nie będzie pożytku. Zwracam się w stronę taty, który po drugiej stronie alejki właśnie odpina pas.

– Tato, co się stało?

W odpowiedzi wstaje, przechodzi przez korytarzyk i przykuca przy fotelu Milesa.

– Co się stało... ale kiedy?

– No wiesz, wypadek samochodowy.

Zerka zdziwiony na mojego brata, po czym przenosi wzrok na mnie. Jego broda i włosy są siwiutkie, ale brwi wciąż jeszcze mają czarny kolor, teraz zwracam na nie szczególną uwagę, bo tata podnosi je bardzo wysoko.

– Jaki wypadek, Kluseczko?

Jaki wypadek?

Odchylam się na siedzeniu, zamykam oczy, biorę głęboki wdech. Co jest grane?

Po raz kolejny szukam pomocy u Milesa. Gwałtownym ruchem ściągam mu słuchawki i pytam:

– Miles, posłuchaj mnie. Pamiętasz wypadek samochodowy? Zaraz po wyjeździe z chatki?

Wydaje z siebie wściekle stęknienie, po czym obrzuca moją spanikowaną twarz karcącym, nieco zde gustowanym spojrzeniem.

– Przecież właśnie siedzimy w samolocie w drodze do Salt Lake. O jakim wyjeździe z chatki ty gadasz? Nie zdążyliśmy tam nawet dotrzeć. – Po tych słowach odwraca głowę do taty i dorzuca: – Przysięgam, wypła tylko małe piwko imbirowe!

Jesteśmy w drodze do Salt Lake?

– Przecież ta ciężarówka... – mówię, usiłując przywołać jak najwięcej szczegółów. – Ta która była załadowana, nie wiem, chyba to były choinki.

– Pewnie miała zły sen – mówi ojciec do Milesa, zupełnie jakbym ja, w pełni przytomna, nie siedziała tuż obok.



Sen... Kiwam głową, myśląc, że może i miałoby to sens, ale przecież wiem, że to nieprawda. Nie, to niemożliwe. Nie śniłam przez ca łutkie święta. Próbuję to poskładać w całość, ale widzę, że Miles nie będzie użytecznym źródłem (nie jest nim w normalnych okolicznościach, to co dopiero teraz), tata natomiast wrócił do swojej krzyżówki. Mama drzemie na

siedzeniu przed tatą. Stąd, gdzie siedzę, widzę, że jej szyja wykręcona jest pod bardzo dziwnym kątem, a usta nieco rozchylone.

O czym myślałam tuż przed wypadkiem? To na pewno było coś o świętach... tak mi się wydaje. A może chodziło o pracę? Pamiętam, że wyglądałam przez szybę... Szybę samochodu, w którym nagle, nie wiedzieć czemu, już nie siedzę.

A może wcale w nim nie siedziałam?

Pochyliam się i zaczynam grzebać w leżącej pod siedzeniem torbie. Wyłączam telefon i naciskam jakikolwiek klawisz, by ekran obudził się do życia.

Widzę na wyświetlaczu datę. Jest dwudziesty grudnia. Ale... przecież to powinien być dwudziesty szósty, poranek dwudziestego szóstego...

– Rety – mówię do siebie, po czym znów się odchylam, rozglądając się w popłochu na boki. Czuję, jak panika zaczyna zawężać mi pole widzenia, wszystko dookoła staje się ciemne i rozmyte.

„Oddychaj, Mae” – nakazuję sobie. „Przecież masz łeb nie od parady. Nie brak ci zdrowego rozsądku. Poradziłaś sobie w życiu z niejedną kryzysową sytuacją. Przecież, do jasnej cholery, zarządzasz finansami małych organizacji non profit, które działają w permanentnym kryzysie. To dla ciebie chleb powszedni. Dlatego teraz skup się. POMYŚL. Jakie są możliwe wyjaśnienia tej sytuacji?”

Pierwsze: umarłam i trafiłam do czyśćca. Czuję, że w głowie zaczyna mi się formować załączek wizji. Może jesteśmy w takiej sytuacji jak bohaterowie serialu *Zagubieni* (o którym tata z Bennym długo debatowali jakiś czas temu po pijaku, dzięki czemu jestem zaznajomiona z fabułą). Więc jeśli ten samolot nigdy nie wyląduje, to nie będę nawet zaskoczona. Podobnie jeśli będziemy awaryjnie lądować na jakiejś wyspie. Albo jeśli czeka nas wybuch...

Dobra, to chyba nie pomaga mi się uspokoić. Jedziemy z kolejną teorią.

Hipoteza numer dwa. Tata ma rację i właśnie wybudziłam się z jakiejś megadrzemki, podczas której cudem zdołałam prześnić cały miniony ty-

dzień. Hipotetyczny plus: pocałunek z Theo nie miał miejsca. Minus... Chwilkę, czy w ogóle byłyby jakieś minusy?

Nie musiałabym od jutra wracać do roboty, za to mogłabym powtórzyć mój absolutnie ulubiony tydzień w roku, wystrzegając się popełnionych we śnie błędów. Uuu, może w rzeczywistości Hollisowie wcale nie sprzedają chatki!

Sęk w tym, że to, co przeżyłam, naprawdę nie wydawało mi się snem. Sny są dziwaczne i pomieszane, twarze zwykle nie pasują do osób, szczegóły często się nie zgadzają, a to było normalne, następujące po sobie w linearnym porządku sześć dni. Mam pełnowymiarowe wspomnienia z tego tygodnia, obecne w mojej głowie w sposób zupełnie standardowy i absolutnie klarowny. Poza tym... gdybym miała całować się z kimś w snach, to czyż nie byłby to Andrew? Ech, podejrzewam, że nawet w krainie Morfeusza nie zasłużyłabym na taki zaszczyt.

Miles, słysząc krótki wybuch śmiechu, odwraca się w moją stronę. Wiadać, że teraz jest już poważnie zaniepokojony.

– Co ci jest?

– Nie mam pojęcia, jak na to odpowiedzieć.

Brat wraca wzrokiem do telefonu. Widocznie to wyjaśnienie go usatysfakcjonowało.

– Tak się tylko upewnię... – zagajam. – Zmierzamy do Salt Lake, tak?

Tym razem odpowiedzią jest sceptyczny półuśmiezek.

– Ale z ciebie dziwadło.

– Pytam serio. Lecimy do Salt Lake?

Jego brwi unoszą się jeszcze wyżej.

– Nooo...

– A stamtąd do Park City?

– Taaak...

– Na święta Bożego Narodzenia?

Miles bardzo powoli kiwa głową, przyglądając mi się bacznie, jakby miał do czynienia z wyjątkowo ciekawym okazem jakiegoś egzotycznego

zwierzęcia.

– Owszem. Na święta Bożego Narodzenia. Weź mi powiedz, nie dosypali ci czegoś do tego twojego piwka?

– Łał – odpowiadam, znów chichocząc. – Właściwie to może i tak.



Rozdział 5

Z ogromnym trudem usiłuję nadążyć za pozostałymi członkami rodziny, którzy z kopyta ruszają po odbiór bagażu. Ciężko skupić mi się na jednej czynności, bo każdy szczegół otaczającego mnie świata przykuwa moją uwagę. Dziecko płaczące przy bramce obok. Zaaferowany biznesmen w średnim wieku, głośno nawijający do telefonu. Pograżona w sprzeczce para, stojąca w kolejce po kawę. Młody chłopak, usiłujący wyswobodzić się z ciężkiego zimowego płaszcza.

Nie mogę pozbyć się uczucia *déjà vu*. Mam silne wrażenie, że już tutaj byłam. Przez „tutaj” mam na myśli nie tylko to lotnisko, ale wszystko, całe otoczenie. Każdy element tej chwili wydaje mi się znajomy. Na początku kolejki po bagaż jakiś facet niechcący upuszcza napój tuż koło mnie, a ja zatrzymuję się w idealnym momencie i nie dosięga mnie nawet kropelka. Wygląda to tak, jakbym wiedziała, co się stanie. Po chwili mija nas jakaś rodzinka z banerem „Witaj w domu”, a ja nie mogę oderwać od nich wzroku.

– Mogłabym przysiąc, że wcześniej już ich widziałam – odzywam się do Milesa. – Widzisz ich? Tę rodzinę z banerem?

Przez ułamek sekundy brat poświęca mi uwagę i rzuca beznamiętnie:

– Jesteśmy w Utah. Każda rodzina tutaj łązi z banerem „Witaj w domu”. No wiesz, misjonarze, te sprawy.

– Jasne – odpowiadam, widząc, że z nim trudno będzie cokolwiek ustalić. – Jasne, jasne.

Ponieważ ruszam się jak mucha w smole, spowalniając całą naszą ekipę, bagaże odbieramy jako ostatni – walizki cierpliwie kręcą się w kółko, czekając na taśmę, aż ktoś się nimi zainteresuje. W końcu tata zabiera je i układa na wózku, podczas gdy mama ujmuję moją twarz w obie dłonie.

Jej ciemne włosy są ułożone w zaczesaną na bok falę. W oczach widać ogromną troskę.

– Co się dzieje, kochanie?

– Nie wiem.

– Jesteś głodna? – pyta, wpatrując się we mnie badawczo. – Może potrzebujesz wziąć advil?

Nie wiem, co mam jej odpowiedzieć. Nie jestem głodna. Nie jestem... Sama nie wiem, jaka jestem. Czuję się, jakbym dryfowała przez terminal, wypełniony po brzegi wspomnieniami, które już zdążyły zapisać się w mojej głowie.



Jakiś czas później mój żołądek wywija dziwnego fikołka na widok grupy zgromadzonej na ganku. Wszyscy witają nas, machając rękami, gdy wjeżdżamy na podjazd. Jestem pewna, że widziałam już ten obrazek, dokładnie sześć dni temu – pamiętam, że dojechaliśmy jako ostatni. Z uwagi na dogodny lot Kyle, Aaron i bliźniaczki dotarli na miejsce już w piątek, a Theo z Andrew przyjechali samochodem sporo wcześniej niż zazwyczaj.

Opony z chrzęstem zatrzymują się na podjeździe, tuż obok ogromnej pomarańczowej półciężarówki Theo. Gramolimy się z naszej toyoty RAV4 (tej samej, która brała udział w Wypadku, Który Nigdy Się Nie Zdarzył) i od razu lądujemy w objęciach wielu osób, które nie mogą doczekać się powitania. Kyle i Aaron ściskają mnie na kanapkę, podczas gdy ich bliźnięta Kennedy i Zachary przysysają się do moich nóg. Lisa, widząc fragment pustej przestrzeni, zbliża się, by też mnie przytulić, a ja łapię spoj-

rzenie Benny'ego, cierpliwie czekającego na swoją kolej. Posyłam mu nie-me wołanie o pomoc.

Mój mózg nie jest w stanie poradzić sobie z interpretacją tego, co się dzieje. Czy właśnie straciłam rok życia, czy coś w tym guście? Czy może jednak jestem po prostu martwa? Owszem, moja wizja nieba to przebywanie w tej chatce, więc właściwie nie byłoby tak źle. A może ciągle jestem w śpiączce? Ale czy wtedy czułabym na twarzy mroźne zimowe powietrze?

Zerkam znad ramienia Lisy, szukając w konarach drzew ukrytej kamery. Może wszyscy zaraz krzykną: „Niespodzianka!” i zaczną skręcać się ze śmiechu, że ta mistyfikacja tak znakomicie się udała? Może będą powtarzać: „A to dobre! Nieźle cię nabraliśmy, prawda, Mae?”.

Wszystkie te rozważania sprawiają, że nie mam czasu uzmysłwić sobie, że zaraz spotkam się z Theo. Nagle jestem zamknięta w mocnym uścisku i uniesiona z taką mocą, że moje stopy tracą kontakt z podłożem. Czuję się, jakbym obserwowała tę sytuację z odległości kilku metrów.

– Uuuuśmiech! – Przerażliwie jasne światło oślepia mnie, gdy Lisa robi nam zdjęcie. – Oj, kurczaki – mamrocze, wpatrując się w efekt swoich starań.

Podejrzewam, że tylko połowa mojej twarzy jest w kadrze, ale zakładam, że to jej wystarczyło, bo chowa telefon do kieszeni.

Kiedy Theo stawia mnie na ziemi, uśmiech powoli schodzi mu z twarzy. Chwila, czy to znaczy, że nasza ajerkoniakowa macanka nie miała miejsca? Ej... co dzieje się teraz z moją ekspresją? Mam ochotę dotknąć twarzy, jakby był to jedyny sposób, żeby się dowiedzieć, jaki wyraz się na niej aktualnie maluje.

– Co tam, dziwaku? – pyta Theo, śmiejąc się. – Wyglądasz, jakbyś zapomniała, jak mam na imię!

Uff, w końcu. Udaje mi się zdobyć na blady uśmiech.

– Ha, ha, ha. Cześć, Theo.

– Podejrzewam, że jest w kompletnym szoku z powodu twoich włosów – odzywa się Andrew, który stoi za bratem, czekając na swoją kolej, by zamknąć mnie w uścisku.

O, tak. To akurat idealnie zgadza się z moją wizją nieba.

Ale potem zaczynam myśleć nad sensem wypowiedzi Andrew i zdaję sobie sprawę, że to nieprawda. Wszyscy pozostali widzą nową fryzurę Theo po raz pierwszy, a ja miałam prawie tydzień, by się z nią oswoić.

– No nieźle! – Nieporadnie udaję zdumienie. – Kiedy się obciąłeś?

Nieobecnym ruchem przyciągam Andrew do siebie, by się przywitać. W mojej głowie trwa taka gonitwa myśli, że nie jestem w stanie uzmysłowić sobie cudowności tej chwili – wspaniałego uczucia płynącego z faktu, że nasze ciała są teraz tak blisko. Andrew ma długie, umięśnione kończyny i mocny, niezbyt rozrośnięty tors, który teraz mocno przyciska do mojej klatki piersiowej. Moje nozdrza wypełnia zapach eukaliptusa i płynu do prania.

– No hej! – Cicho śmieje się, prosto w moje włosy. – Wszystko gra?

Potrząsam głową, trzymając go w objęciach dłużej, niż wymaga tego standardowy protokół powitalny, jednak nie mam poczucia, że jest mu to nie w smak. Teraz dla odmiany próbuję sobie przypomnieć, jak pozbyć się z twarzy głupkowatego uśmiechu.

Bardzo potrzebowałam takiego zakotwiczenia. Fizycznego. Ciepłego. Mocnego.

Powoli się od siebie odsuwamy, moje ciało się rozluźnia, a puls wraca do normalnego tempa. Ze zdziwieniem rejestruję na twarzy Andrew charakterystyczne rumieńce.

– W zeszłym tygodniu – mówi Theo, kładąc rękę na głowie. Posyła mi uśmiech godny gwiazdy filmowej.

– Co w zeszłym tygodniu? – pytam, z trudem odrywając wzrok od zaróżowionej twarzy Andrew.

– Włosy – tłumaczy Theo, znów wybuchając śmiechem. – Obciąłem je w zeszłym tygodniu. Podoba ci się?

W tym pytaniu nie ma ani krzty niezręczności, ani odrobiny świadomości, że... jak by to ująć... kilkanaście godzin temu nasze języki się splatały.

– Nooo, tak, tak, wyglądasz super – dukam. Wiem, że udawanie idzie mi fatalnie. – Fantastycznie. Naprawdę fantastycznie.

Theo unosi brwi i odsuwa się, robiąc miejsce kolejnym osobom chętnym do przywitania się. Moim oczom ukazuje się Benny, który właśnie patykiem rysuje coś na śniegu. Czuję, jak mój głos zaczyna drżeć, gdy mówię:

– Benny Bu...

Na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Mocno mnie przytula.

– Jest i moja Kluseczka.

O tak. Benny. Jego właśnie potrzebuję. Chwytam się go, jakby był ukożenionym drzewem, a ja nieszczęśnikiem, który za sekundę spadnie z klifu, jeśli się czegoś nie złapie.

– Muszę ci coś powiedzieć – szepczę mu do ucha.

– Teraz? – pyta, a ja czuję, jak jego miękkie włosy smyrają mnie po policzku. I ten znajomy zapach ziołowego szamponu, tego samego, którego używa, odkąd pamiętam.

– Tak, teraz.

Benny odsuwa mnie na odległość ramienia, bacznie mi się przyglądając, a ja czuję nagły zawrót głowy. Nie zdaję sobie sprawy, że zaczynam osuwać się na bok. Benny łapie mnie zaniepokojony.

– Hej, hej... Wszystko w porządku? – pyta.

Podbiega mama i zaczyna sprawdzać temperaturę mojego czoła.

– Nie masz gorączki – wyrokuje, po czym delikatnie ugniata mi okolice gardła, żeby sprawdzić, czy ślinianki nie są powiększone. – Piłaś dzisiaj wodę?

Do mamy dołącza Lisa, uważnie studiując moją twarz.

– Ojej, ale jesteś bladziutka – mówi.

Mój brat podnosi wzrok znad telefonu, żeby podzielić się spostrzeżeniem:

– Już w samolocie była jakaś dziwna.

– W samolocie miała koszmar senny – poprawia go tata, po czym dodaje: – Zabierzmy ją do środka. – Podchodzi do mnie i ostrożnie obejmuje w talii.

– Czy możecie przestać mówić o mnie tak, jakby mnie tu nie było? – pytam słabo.

Gdy docieramy do schodków, zerkam przez ramię i napotykam wzrok Andrew. Posyła mi uśmiech, na poły figlarny, na poły pełen współczucia. Ma na sobie ten okropny srebrzysty sweter, który tak uwielbia, zawsze nosi go w pierwszym dniu świątecznego wyjazdu. To ten sam sweter, który Miso zniszczyła doszczętnie parę dni temu.

Gdy tylko nachodzi mnie ta myśl, Miso wystrzela jak z procy. *Déjà vu* staje się niemal nie do zniesienia. Z mojego gardła dobywa się krzyk:

– Kennedy, uważaj!

Ale jest już za późno. Pies z impetem przeciska się między nogami dziewczynki i ta przewraca się na próg. Kennedy wybucha płaczem.

Gapię się na całe zajście, obserwując Aarona i Kyle'a, jak przyglądają się troskliwie brodzie i łokciom małej. Jest tak, jakbym po raz kolejny oglądała ten sam film. Przecież to się już wydarzyło. Czuję, jak dzwoni mi w uszach. Przecież pamiętam doskonale, że dziś rano Kennedy siedziała przy kuchennym stole, a ja patrzyłam na jej sfatygowany plasterek z miśsiem, odchodzący powoli z gojącego się kolana...

– Kolano – mówię i zaczynam panikować na całego. – Zadrapała sobie kolano.

Kyle delikatnie podwija nogawkę, po czym rzuca mi pełne uznania spojrzenie. Krew nie zdążyła jeszcze przesiąknąć przez materiał spodni, ale na kolanie już pojawiają się pierwsze jaskrawoczerwone kropelki.

– Skąd wiedziałaś?

Śmiech, który wydobywa się z mojego gardła, jest przeraźliwy i histeryczny.

– Pojęcia nie mam!

Wchodzimy do domu. Kyle zabiera Kennedy do łazienki, by pomóc jej się umyć, a ja jestem prowadzona do kuchennego stołu.

– Podajcie jej wodę – szepcze Lisa do Andrew, który stawia szklankę na stole z takim pietyzmem, jakby pod jej ciężarem mebel miał runąć. Za-

uważam, że wrzucił do niej dodatkowe kostki lodu – dokładnie tak, jak lubię.

Podnoszę szklanę, by upić nieco płynu, słyszę brzęk lodu. Podnoszę wzrok i proszę zgromadzonych:

– Hej, przestańcie się na mnie wszyscy gapić.

Nikt nie reaguje na tę prośbę. Mama podchodzi bliżej i zaczyna masować moją dłoń.

– Teraz to już naprawdę mnie przerażacie – mówię.

Po tych słowach wszyscy usiłują znaleźć sobie w maleńkiej kuchni cokolwiek, czym mogliby się zająć. Chwytam spojrzenie Benny’ego i po raz kolejny przekazuję mu, tym razem niewerbalnie: „Musimy pogadać”.

Nagle moją uwagę przyciąga obiekt moich westchnień. Andrew przechodzi przez pokój, by ukradkiem wyjąć z kalendarza adwentowego jedną z czekoladek. Czuje na sobie mój wzrok i patrzy na mnie w momencie, gdy wkłada pralinkę do ust. Wzrusza ramionami, jakby chciał wyrazić, że wie, iż nie powinien... Tuż obok mój tata oparty o blat patrzy na mnie w skupieniu w pozie zmartwionego rodzica. Namysł przerywa mu pojawienie się tuż przed jego nosem talerza pełnego ciasteczek.

Znowu czuję ukłucie w żołądku. Teraz weźmie sobie jedno, ugryzie i...

Nieznośny dźwięk rozchodzi się po całym pokoju.

– Jezus Maria – odzywa się tata, wkładając sobie palce do ust. – Chyba właśnie złamałem sobie trzonowca.

O MÓJ BOŻE.

Lisa momentalnie robi się szara.

– O rany, Dan, naprawdę? Czy to moje...?

Wszyscy zaczynają na wyścigi przekonywać ją żarliwie: „Och, nie!” i „Może są odrobinę twardawe, ale za to jakie pyszne”. Andrew wykorzystuje sytuację i zakrada się po kolejną czekoladkę, a mnie udaje się dzięki zaistniałemu zamieszaniu wyjść na zewnątrz i w końcu wziąć ogromny, upragniony haust świeżego powietrza.



Rozdział 6

Na dworze jestem w stanie oddychać.

Wdech, wydech.

Czyli to nie był sen.

Właśnie odbyłam podróż w czasie. Cofnęłam się o sześć dni.

Widziałam takie rzeczy na filmach: po wypadku ktoś budzi się z jakimiś supermocami, umie latać, jest silny jak Herkules albo ma sokoli wzrok, którym może dostrzec, co dzieje się kilometry od miejsca, w którym stoi.

Szkoda, że nie zwracałam większej uwagi na numerki, które w zeszłym tygodniu wygrały w kumulacji Lotto.

Ta myśl sprawia, że wybucham niekontrolowanym śmiechem. Mój gwałtowny wydech zamienia się w obłoczek pary, a ja myślę sobie: „Mae, słabo ci to idzie”.

Urzeczona patrzę na linię drzew i padające z nieba płatki śniegu. Trzeba przyznać, że kontemplacja natury to całkiem dobry sposób na złagodzenie szoku. Tu, na przedmieściach Park City, zimą jest naprawdę cudownie. Może powinnam wyciągnąć zeszyt i przybory do rysowania? Na pewno taka czynność ukołoby skołatane nerwy.

Ogród sąsiadów jest porośnięty znacznie bujniejszą roślinnością niż za czasów mojego dzieciństwa, dzięki czemu chatka Hollisów wydaje się uro-

kliwym, ustronnym miejscem. Posiadłość okala drewniany płotek, podjazd oddzielony jest szpalerem wybujałych sosen, które jeszcze nie tak dawno dorównywały wzrostem mojemu tacie. Kiedyś Theo rzucił mi wyzwanie w postaci zrobienia siku właśnie wśród tych drzew, co udało mi się bez pudła – dodam, że jakimś cudem załatwiłam się na stojąco. Tak go to wtedy wkurzyło, że porwał moje spodnie i pobiegł z nimi do domu. Tej samej zimy razem z Andrew zbudowaliśmy z boku domu igloo i poprzysięgliśmy sobie solennie, że oboje spędzimy w nim noc. Niestety wytrzymaliśmy w naszej lodowej budowli zaledwie dziesięć minut.

Zimowy pejzaż sprawia, że mój rozszalały puls w końcu zwalnia, a spowijająca umysł mgła nieco się rozrzedza. W końcu biorę głęboki wdech, licząc do dziesięciu, po czym powolutku wypuszczam z płuc powietrze, które momentalnie zamienia się w obłoczek pary.

– Co się, do jasnej cholery, odpierdala – szepczę sama do siebie, po czym znów wybucham wariackim śmiechem.

– Właśnie miałem zadać to samo pytanie.

Zaskoczona podskakuję tak gwałtownie, że wytrącam z dłoni Andrew kubek pełen gorącej kawy. Niczym zaczarowani obserwujemy, jak przelatuje przez balustradę ganku, a zawartość ląduje, parując, w puszystym śniegu, który momentalnie topnieje w kontakcie z wrzątkiem. Naczynie znika nam z oczu. Andrew używa tego kubka do picia gorących napojów, gdy przyjeżdża do chatki. Podarowałam mu to cudo (przyozdobione jednoróżcem), gdy miałam piętnaście lat. Nigdy nie został poinformowany, że przed nałożeniem ostatecznej warstwy jaskraworóżowej farby napisałam na spodzie słowa „Mae + Andrew”.

– No, całkiem nieźle – komentuje, odwracając się i zerkając na mnie znad barierki. – Przyszedłem tylko zapytać, dlaczego tak dziwnie się zachowujesz, ale może to nie jest jednak najlepszy moment?

W mojej głowie pojawia się naraz tyle pytań, że czuję, jak moje myśli zlewają się w jeden wielki, męczący biały szum.

– Patrzysz na mnie takim wzrokiem, jakbyś mnie nie poznawała – kontynuuje, robiąc krok w moją stronę. – Zamierzałem sobie z ciebie pozarto-

wać, ale teraz zaczynam się naprawdę martwić, że przeżyłaś wstrząśnienie mózgu czy coś w tym stylu i nic nam nie powiedziałaś.

– Nie, jestem dziś po prostu trochę otumaniona.

W odpowiedzi uśmiecha się, a ja podziwiam jego idealne dołeczki. Szarmanckim gestem zbliża swoje długie, smukłe palce do piersi i mówi:

– A zatem... jestem Andrew Polley Hollis. Ta kombinacja imion z nazwiskiem stanowiła straszliwe przekleństwo w siódmej klasie podstawówki. A ty wołałaś na mnie Mandrew. Zarabiam na chleb, majdrując przy sprzęcie nagłośnieniowym w firmie Red Rocks, a mój młodszy brat jest niezłym dupkiem. Jeśli chodzi o mnie, to warto nadmienić, że jestem jedynym na świecie mężczyzną, który nie lubi ani szkockiej, ani piwa. Ja i ty jako dzieci zwykliśmy bawić się w dwójkę wampirów i byliśmy absolutnie nieświadomi faktu, że znamiona, które zostawialiśmy nawzajem na swoich szyjach, to malinki. – Przerywa ten strumień informacji, by wskazać na swoje ciało. – Mierzę sto osiemdziesiąt dziewięć centymetrów, ważę jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów, mój znak zodiaku to Baran. – Na chwilę milknie, po czym dotyka dłonią burzy loków na swojej głowie. – A ten skręt jest dziełem natury i za nic nie umiem go okiełznać.

– Czyżby skręt miał taki trudny charakter? – zagajam głupkowato, szczerząc zęby. Czy my właśnie flirtujemy? Na moje oko wygląda to na flirt...

„Och, ogarnij się, mózgu. Przestań wygadywać głupoty” – strofuję sama siebie.

– We wnętrzu chatki znajdziesz swojego ojca Daniela Jonesa, ginekologa, posiadacza świeżo ułamanego zęba. Wiecznie zamartwia się o swoje drogocenne ręce i ma w zwyczaju opowiadać bardzo osobliwe anegdoty z sali porodowej. Twoja mama (to ta, która co i rusz dotyka twojego czoła) ma na imię Elise, przy okazji nadmienię, że jesteś do niej bardzo podobna. Prawie cały czas o coś się niepokoi, ale jest przy tym bardzo zabawna. Dodatkowo – zapamiętaj, proszę, bo to proroctwo – pewnego dnia jej obrazy będą kosztowały znacznie więcej niż wartość nieruchomości, przed którą właśnie stoimy.

Jak zahipnotyzowana kiwam głową na znak, że również jestem pod wrażeniem talentu mamy. Andrew czeka, aż się odezwę, ale pokazuję mu gestem ręki, że proszę, by kontynuował. Jego głos jest po prostu niezmiernie. Głęboki i ciepły jak miód, a przy tym lekko chropowaty. Naprawdę z rozkoszą słuchałabym go, nawet gdyby czytał rozkład jazdy.

– W środku natkniesz się też na moich rodziców. To Ricky i Lisa. – Łypie na mnie zabawnie i po raz kolejny szczyrzy zębiska. – Ojciec to ten facet, który właśnie zabiera twojego tatę do dentysty. Najważniejsze, co powinnaś wiedzieć, to to, że nie powinniśmy ruszać żadnego z wypieków mojej mamy. Ma skandynawskie korzenie i takiż temperament. Jest też znakomitą pisarką, natomiast – w przeciwieństwie do Elise, która zacięcie artystyczne łączy z talentem kulinarnym – Lisa nie jest... no cóż... szczególnie sprawna w tej dziedzinie.

Reaguję na ten opis uśmiechem, po czym uzupełniam:

– Podobnie jeśli chodzi o kamerę i aparat.

Andrew kwituje moją wypowiedź chichotem, po czym kontynuuje:

– Kyle i Aaron Amir-Liang to personalia dwóch dżentelmenów z dwójką genialnych pięciolatek. Nie do końca wiem, jaka historia czai się za nagłą zmianą fryzury Aarona. W tym roku jego włosy nagle zniknęły, a zamiast nich pojawiła się atramentowoczarna przestrzeń. – Andrew zniża konfidencjonalnie głos, po czym dodaje: – Czy dobrze widziałem, że dziś ma na sobie legginsy?

Nie mogę powstrzymać chichotu.

– Dobrze ci się wydaje, ale i tak uważam, że to lepsza opcja niż ekstrawaganckie spodnie dresowe, na które miał fazę parę lat temu. O rany, to było... No cóż, to było nieco zbyt wiele dla oczu nastoletniej Mae.

Andrew wchodzi mi w słowo:

– Może i tak, ale to dobry znak, że wciąż to pamiętasz! W takim razie zapewne nie muszę ci przypominać, że Kyle to obsypany nagrodami aktor scen na Broadwayu i że tańczył nawet u Janet Jackson. Zresztą zapewne wieczorem sam zdąży o tym napomknąć.

Po raz kolejny wybucham śmiechem, po czym przygryzam wargę. Jestem przekonana, że na mojej twarzy malują się ekscytacja i ekstaza bliska tej, jaką odczuwa uczestnik teleturnieju po wygraniu okrągłego miliona dolarów. Jednak Andrew ze wspomnień nigdy nie dorównuje temu rzeczywistości. Moja pamięć nie jest w stanie oddać niesamowitej zieleni jego oczu, trudno uwierzyć, że kości policzkowe mogą być tak doskonale ukształtowane, a dołeczki tak głębokie i frywolne. Za każdym razem jego widok to dla mojego organizmu szok.

– W ubiegłym roku Zachary dowiedział się o zjawisku, jakim jest śmierć, gdy jego złota rybka kopnęła w kalendarz. Snuł się po domu jako miniatura ponurego zniwiarza, powtarzając w kółko, że wcześniej czy później i tak wszyscy pożegnamy się z tym światem. Jeśli zaś chodzi o Kennedy, to wyobraź sobie, że zna stolicę bodaj każdego stanu i państwa. – Andrew ponownie mówi ciszej: – Najmądrzejsze słowa w tym gronie najczęściej padają właśnie z jej ust. Dlatego mamy absolutny zakaz wciskania temu dziecku jakiegokolwiek kitu. Podejrzewamy, że Kennedy będzie w przyszłości pierwszym prezydentem ze spektrum autyzmu. Mam oczywiście nadzieję, że to nie ona będzie pierwszą kobietą na tym stanowisku.

– Z tą przepowiednią możesz mieć trochę racji – przyznaję.

– Kto nam jeszcze został? Aha, twój brat. – Andrew mruga do mnie. – Bystry z niego chłopak, chociaż nie dałbym sobie ręki uciąć, czy przez ostatnie dwa lat oderwał wzrok od telefonu. Jeśli chciałabyś odbyć z nim dłuższą pogawędkę, to proponowałbym ci przykleić sobie jego smartfon do czoła. To powinno zadziałać. – Andrew pochyla się, żeby spojrzeć mi w oczy, a z moim sercem dzieje się coś bardzo dziwnego. – Czy cokolwiek z tej opowieści brzmi w twoich uszach choć trochę znajomo?

Wyciągam rękę, by trzepnąć go karcąco.

– Przestań! Naprawdę ze mną wszystko okej. Może to jakaś łagodna odmiana choroby wysokościowej trochę miesza mi w głowie.

Andrew wygląda, jakby tej opcji akurat nie wziął pod uwagę. Zresztą mnie również przyszła ona na myśl dopiero w momencie, gdy automa-

tycznie wypowiedziałam to zdanie. Przybijam mentalną piątkę tej resztki szarych komórek, które usiłują wykonywać jeszcze jakąś robotę.

Nagle słyszymy odgłos człapania i zza drzwi wynurza się kudłata głowa Benny'ego. Po sekundzie dołącza do nas na ganku, ale cały się trzęsie, bo ma na sobie tylko cienką kolarską koszulkę.

– Hej, Kluseczko – odzywa się, patrząc na mnie wyczekująco. – Przepraszam, że wam przerywam, ale może pójdziemy pogadać?



Właściwie to nie mam prawa winić Benny'ego, że odciągnął mnie od rozmowy z Andrew. Jeśli wziąć pod uwagę rozpaczliwy sygnał SOS, który nadałam mu podczas powitania, oraz błagalne spojrzenia, które rzuciłam mu potem, mógł czuć się do tego zobowiązany. Wchodzimy razem do środka, a ja czuję rozlewającą się w ciele rozkoszną błogość. Cudownie jest wejść z mroźnego zimowego wieczoru prosto w ciepło gwarne wnętrza. Słyszę przytłumione głosy dobiegające z różnych pomieszczeń i nagle wraz z każdym krokiem, który oddala mnie od Andrew, zaczynam wracać do rzeczywistości. Matko, znowu tu jestem.

Mój mózg wydaje z siebie niemy wrzask: „To nie jest normalna sytuacja!”.

Próbując na czas tej rozmowy znaleźć się jak najdalej od reszty grupy, kieruję się w stronę schodów prowadzących na piętro. Odwracam się do Benny'ego i kładąc palec na ustach, pokazuję mu, by starał się być cicho jak myszka. Na palcach pokonujemy korytarz i zakradamy się na górę, by trafić do położonego na poddaszu pokoju Benny'ego. Ostatnie schodki, wiodące bezpośrednio na stryszek, straszliwie skrzypią. Klatka schodowa jest nieoświetlona, ale mój towarzysz często podkreśla, że gdyby droga do tego miejsca była w nieco lepszym stanie, ktoś mógłby wpaść na trop ukrytych na poddaszu skarbów.

Na ostatniej prostej serce wali mi jak młotem. W końcu udaje mi się wciągnąć Benny'ego do pokoju i zamknąć za nami drzwi. Słyszę, jak jego turkusowe bransolety stukają o siebie z charakterystycznym brzękiem.

Benny unosi pytająco brwi i z troską (która uwydatnia jeszcze bardziej jego australijski akcent) pyta:

– Wszystko w porządku?

Już drugi raz tego dnia (Chryste, to chyba najdłuższy dzień w moim życiu...) zastanawiam się, co w tym momencie wyraża moja twarz. Odnoszę wrażenie, że tracę kontrolę nad własną mimiką.

– Nie, nie sędzę, żeby było w porządku – odpowiadam, po czym przez dłuższą chwilę nasłuchuję, czy aby na pewno jesteśmy sami, czy nikt nas nie śledził w celu podsłuchania tej konwersacji. Gdy upewniam się, że stopień odosobnienia odpowiada moim wyśrubowanym standardom, szepczę: – Słuchaj, Benny. Odwała się jakaś ekstremalnie dziwna akcja.

Kiwa głową, po czym mruga do mnie porozumiewawczo.

– No tak, widziałem... Wydawało się, że na tym ganku flirtujecie w najlepsze! Czy o tym chciałaś porozmawiać? Czyżby do czegoś doszło?

– Że co? Nie. A szkoda. – Po tych słowach wskazuję dłonią na stojące w rogu krzesło i gestem zachęcam Benny'ego, żeby usiadł.

Siada, po czym pochyla się, bacznie mnie obserwując, oparłszy łokcie na kolanach. Czuję na sobie jego uważne spojrzenie i wiem, że nie ma lepszego lekarstwa na moje nerwy, które obecnie są już w strzępach.

– No dobrze – zaczynam, wyciągając spod ściany składane krzeselko dla siebie. Siadam naprzeciwko niego, oko w oko, kolano w kolano. – Słuchaj, czy kiedykolwiek robiłam na tobie wrażenie, że jestem... jakby to ująć... niespełna rozumu?

– Zakładam, że pomijamy dzień dzisiejszy? – odpowiada żartem. – Nie, nie robiłaś takiego wrażenia.

– A czy wydawałam się niestabilna emocjonalnie?

– Było parę takich dni, głównie między trzynastym a piętnastym rokiem życia, ale potem to absolutnie nie.

– Okej. Skoro to już ustaliliśmy, to proszę, wiedz, że to, co za chwilę powiem, mówię absolutnie i totalnie na serio.

Bierze głęboki wdech, jakby chciał się przygotować na wszystko.

– Dobrze, wal.

– A zatem istnieje możliwość, że właśnie przeniosłam się do nieodległej przeszłości i przeżywam po raz drugi te same święta... Jako jedyna jestem świadoma, że to powtórka z rozrywki.

Powiedziane na głos brzmi to jeszcze bardziej wariacko. Jego krzaczaste brwi na chwilę łączą się w zafrasowaną kreskę. Benny odgarnia swoje przydługie włosy za ucho.

– Masz na myśli ten koszmar senny, o którym mówił twój tata?

– Nie. Mówię o rzeczywistości. Nie o śnie. – W desperacji toczę wzrokiem po pokoju, jakbym miała nadzieję, że znajdę coś, co pomoże zyskać na wiarygodności. Hm, stara plansza spirytystyczna Lisy? Nie, odrobinę zbyt przerażające. A może magiczna kula, którą w dzieciństwie bawił się Theo? Nie, to byłoby w marnym stylu. Próbuję więc poradzić sobie bez rekwizytów. – Rzeczy, które zdarzyły się sześć dni temu, właśnie dzieją się od nowa.

Benny sięga do kieszeni, wyjmując z niej miętówkę i wrzuca ją sobie do ust.

– Zaczynij od początku – prosi.

Przeciągam dłonią po twarzy, zabierając się do dzieła.

– No dobra. Dzisiaj, dwudziestego szóstego grudnia... to znaczy... dla mnie to jest dwudziesty szósty. W każdym razie dzisiaj rano ruszyliśmy z rodzicami i Milesem na lotnisko. Po drodze uderzyła w nas ciężarówka, kierowca nie zauważył czerwonych świateł. Wiózł choinki czy coś takiego. Zresztą to mało istotne – mówię, usiłując przywołać z pamięci najważniejsze elementy zdarzenia. – Wszyscy byli rozkojarzeni, no i ten wóz walnął nas z boku. A potem obudziłam się na pokładzie samolotu – podnoszę wzrok, upewniając się, że Benny wciąż mnie słucha – który leciał tutaj. Dzisiaj. To znaczy dwudziestego grudnia.

Benny krótko wzdycha, po czym dodaje:

– Chyba czegoś nie rozumiem.

Nachylam się bliżej, uzupełniając wypowiedź:

– Może teraz wcale nie rozmawiamy. Może ja zapadłam w śpiączkę, a może po prostu cały czas śpię, a ty jesteś elementem mojego snu. Jedyne,

czego jestem pewna, to to, że już raz przeżyłam te święta, popełniłam wówczas kilka fatalnych błędów, uczestniczyłam w wypadku samochodowym z udziałem choinkowej ciężarówki, a teraz jestem z powrotem tutaj, na samym początku świątecznego wyjazdu.

– Jesteś tego absolutnie pewna?

– Nie, ani trochę.

Powoli kiwa głową.

– Dobra, czaję. Mów dalej.

– Zanim wyjechaliśmy – kontynuuję – Ricky i Lisa przekazali nam wszystkim wiadomość o sprzedaży chatki.

Oczy Benny'ego robią się wielkie jak spodki.

– O sprzedaży chatki?!

– Straszne, prawda? – odpowiadam współczująco. Wiem, jaki to szok. – I dlatego wyjeżdżając, byliśmy tacy rozkojarzeni, a nawet rozbici. – Pozwalam sobie na grę słów. – Poza tym wpadłam w totalną panikę po tym, jak migdałam się z Theo, w dodatku zostaliśmy przyłapani na gorącym uczynku przez Andrew.

Benny przerywa ten strumień świadomości.

– Chwila, moment. Trochę wolniej.

– Spokojnie, o wszystkim wiedziałeś – mówię, nie chcąc tracić czasu na wdawanie się w szczegóły. – To, o czym chciałam...

Mój rozmówca podnosi rękę i protestuje:

– Zapewniam cię, że gdybym o wszystkim wiedział, ta rozmowa zaczęłaby się właśnie od tego tematu.

– No... to znaczy... powiedziałam ci to dzisiaj rano, ale już o tym zapomniałaś... zresztą tak samo jak reszta ekipy też niczego nie pamięta – płaczę się w zeznaniach. Wreszcie biorę głęboki wdech. – Na marginesie dodam, że gdy ci się z tego zwierzyłam, byłeś znacznie bardziej pomocny niż teraz.

Przez chwilę duma nad tym, co usłyszał, po czym pyta:

– A byłem przy tym zjarany?

– Właściwie, to... tak.

Wyciąga przed siebie dłoń w geście, który ma oznaczać: „No to sama widzisz”.

– Słuchaj, w takim razie zacznij od tamtej przygody, a potem pójdziemy dalej.

Wydaję z siebie jęk rozpaczony. Nie mam ochoty znowu przeżywać tamtej upokarzającej chwili.

– No dobra. Zeszłej nocy wypiliśmy trochę za dużo ajerkoniaku i...

Benny wydaje westchnienie pełne szczerego zrozumienia. Mimo że ma ogromną wprawę w paleniu trawy, to jego odporność na ajerkoniak produkcji Ricky’ego jest bliska zeru. Wszyscy uważamy, że ten napój powinien być opatrzony specjalną etykietą ostrzegawczą.

– To było naprawdę bardzo przelotne. I bardzo niezręczne – ciągnę. – Poradziłeś mi, żebym pogadała z Theo jeszcze tego ranka, ale on totalnie mnie zignorował. Potem dowiedziałam się, że Andrew widział nas, jak się całujemy. Jeszcze później usłyszeliśmy, że Hollisowie sprzedają ten dom i wyjechali. No i potem, myk!, wypadek samochodowy. – Wyraźnie się rozkręcam. – No i potem, myk!, z powrotem w samolocie. Myk! i już jesteśmy tutaj. Znowu.

Benny gwizdże przeciągle.

– O rety, chyba muszę odbyć z Theo męską rozmowę...

– Serio, Benny? Naprawdę? Akurat ten aspekt mojej opowieści wydaje ci się najważniejszy? Poza tym z mojej perspektywy jednym z nielicznych plusów tej absurdalnej sytuacji jest fakt, że nie muszę przeżywać ponownie tej idiotycznej sytuacji z Theo!

Widać, że mój rozmówca stara się nadążyć za moim tokiem rozumowania.

– Okej, chyba zaczynam kumać. Nasuwa mi się pytanie, czy to przypadkiem nie są objawy choroby wysokościowej.

Pstrykam palcami, przypominając sobie istotny szczegół.

– Widziałeś, jak mój tata złamał sobie ząb? Wiedziałam, że to się stanie.

– Skoro wiedziałeś, to czemu go nie ostrzegłaś?

– Bo byłam totalnie spanikowana! – krzyczę, po czym rozglądam się po pokoju w obawie, że ktoś mógł to usłyszeć. Zniżam głos: – Jak myślisz, jak by zareagował? „No coś ty! Mowy nie ma, to ciasteczko wygląda przepysznie”. O, a nowa fryzura Theo. Już ją widziałam, dlatego zachowywałam się jak jakiś cholerny robot udający zaskoczenie! I jeszcze kolano Kennedy. Od razu wiedziałam, że krwawi – tłumaczę, wskazując gestem w stronę kuchni, jakby wzrok Benny’ego mógł przenikać przez ściany.

– Czy ty się przypadkiem nie dorwałaś do mojej niebieskiej torebeczki?
– pyta.

– Nie, oczywiście, że nie!

– Uff, to dobrze. Bo wiesz, mój znajomy ma domową hodowlę grzybków, rosną u niego w szafie i dał mi trochę...

– Benny, posłuchaj mnie uważnie! Nie jestem pod wpływem narkotyków. Nie jestem pijana. Nie zjadłam także żadnych halucynogenów. Wszystko, co mówię, mówię na poważnie! I jestem totalnie przerażona.

– No nic dziwnego. Dobrze, Mae, daj mi zebrać myśli.

Z dołu dobiegają stłumione głosy. Słyszę, że wszyscy powoli przemieszczają się do salonu na powitalne drinki. Z całej siły zaciskam powieki, starając się przywołać w pamięci detale, co do których nigdy nie przypuszczałam, że okażą się istotne, a teraz mogą być kluczem do przekonania Benny’ego, że to, co mówię, jest prawdą. Słyszę wysoki szkolony w teatrze głos Kyle’a i niski wibrujący śmiech Ricky’ego.

– O, mam – mówię, wskazując na drzwi. – Kyle właśnie pokazał Ricky’emu swój nowy tatuaż.

Benny pochyla się do przodu, nadstawiając uszu.

– I byłaś w stanie to usłyszeć z takiej odległości? Nieźle.

– Nie! – koryguję go. – Ja tego nie usłyszałam. Pamiętam to.

Widzę, że tego nie kupuje.

Teraz słyszymy pełen ekscytacji chichot Zachary’ego i – mimo chaosu oraz gorączkowej gonitwy myśli – mimowolnie się uśmiecham.

– Okej, teraz Miso liże palce Zachary’ego i dlatego mały tak się chichra. Słyszysz?

– Dość bezpieczny strzał – nie daje za wygraną Benny. – Ten pies przepada za bliźniętami.

Wzdycham zrezygnowana.

– No weź. Mógłbyś mi po prostu uwierzyć.

– Naprawdę bym chciał, ale wiesz, jak to wszystko brzmi...

Niestety wiem.

– Powiedzmy, że masz rację – szepcze Benny – i że to wszystko, o czym mówisz, naprawdę się dzieje. Czyli że to akcja rodem z *Powrotu do przyszłości*, z tym że mamy do czynienia z przeszłością... Chwila! – przerywa, kręcąc głową. – W tym filmie typ też wracał do przeszłości, czy źle kojarzę?

Zaczynam kiwać głową i czuję, że nie mogę przestać. Jestem kompletnie wyczerpana, zaraz stracę przytomność ze zmęczenia.

– Ej, no i czy to nie czyni ze mnie doktora Browna? – pyta Benny, które ewidentnie uczeplił się filmowej analogii.

Odpowiadam wybuchem śmiechu.

– Powiedzmy. – Rozbawienie ulatuje ze mnie jak kamfora, ustępując miejsca palącym pytaniom. – Ale co powinnam zrobić? Myślisz, że to wszystko dzieje się tylko po to, żebym mogła uchronić się przed tamtym feralnym pocałunkiem? Jeśli tak, to trochę słabo to wymyślił ten nasz wszechświat.

– No tak, ale gdybyś nie pocałowała Theo, to teraz by cię tu nie było – kombinuje Benny.

– No coś ty... Przecież to właśnie ten element skopałam, więc mogę go poprawić!

– Nie. To działa tak jak w *Avengers*, pamiętasz? Chcieli wrócić do przeszłości, żeby zabić tego gościa od kamieni, ale gdyby go rzeczywiście zabili, to w ogóle nie byłoby tematu – tłumaczy na okrętkę, po czym zaczyna się gubić. – No tak, podróże w czasie to naprawdę zagmatwana sprawa.

Zaczynam masować skronie.

– Benny! – przywołuję go do porządku.

Gapi się na mnie przez chwilę, a ja bezradnie wkładam czubek kciuka do buzi, zupełnie jak w dzieciństwie.

– Myślę, że powinnaś porozmawiać o tym z Danem – wyrokuje w końcu Benny.

– Z tatą? Który jest najbardziej zdroworozsądkową osobą, jaką znam? Który jest od zarania dziejów zafascynowany nauką? Nie ma opcji, żeby choć na sekundę dał wiarę w to, że mam jakąś supermoc. Albo że podróżuję w czasie. Albo że nagle zamieniłam się we wróżbitkę.

Benny chichocze.

– Powinnaś z nim porozmawiać, bo jest lekarzem.

– Tak, lekarzem od kanałów rodnych i pępowin.

– Myślę, że pamięta ze studiów na tyle dużo, by być w stanie zbadać twoje źrenice i odruchy bezwarunkowe – mówi miękkim głosem, widząc, jak bardzo nie nadążam.

Ojej. A więc o to mu chodziło.

– Masz na myśli... że mogłam doznać jakiegoś urazu głowy? Naprawdę myślisz, że o to chodzi?

Benny kładzie mi dłonie na ramionach.

– Wierzę ci, że dzieje się coś poważnego. Ale w ramach moich kwalifikacji jedyne, co mogę stwierdzić, to to, że ci wierzę. I raczej nie mogę ci pomóc. Za to twój tata na pewno byłby w stanie ustalić, czy wszystko działa tak, jak powinno.

Może właściwie tak byłoby prościej, przynajmniej gdyby chodziło o kwestie neurologiczne. Przecież i tak jakiegokolwiek inne wyjaśnienie jest absolutnie niemożliwe.

– Dobra – mówię. Całuję Benny'ego w policzek i robię krok w tył. – W takim razie wdramy plan A: zakładamy, że doznałam urazu albo jestem wariatką.

Kochana twarz Benny'ego się wydłuża.

– Wiesz, że wcale tego nie powiedziałem.

– Żarty sobie robię. Idę pogadać z tatą.

Macham mu na pożegnanie, odwracam się w stronę wąskich schodków i ruszam z zamiarem zejścia na dół. Niestety nie trafiam w pierwszy stopień. Noga ześlizguje mi się w dziwnym kierunku, a potem...



Rozdział 7

– Aaaaaaaa!

Budzę się z wrzaskiem, wyrwana ze snu przez straszliwe uczucie spadania ze schodów.

Jedną ręką wciąż mimowolnie szukam balustrady, na której mogłabym się podeprzeć. Po paru sekundach orientuję się, że nie ma ani schodów, ani tym bardziej barierki. Jest za to twarz mojego brata, w którą znowu przez przypadek pakuję dłoń.

Miles wydaje z siebie zde gustowany okrzyk, po czym łapie mnie za dłoń.

– Ej, mordko! Co ty wyprawiasz?

Prostuję się gwałtownie, oblewa mnie zimny pot. Sięgam dłonią do szyi, jakbym chciała sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. A może jestem powykręcana na wszystkie strony jak korkociąg? Może moja głowa osadzona jest tyłem do przodu? A może zostałam obdarzona jakąś nową supermocą i potrafię spojrzeć z bliska na swoje pośladki? Sama już nie wiem, jakich niespodzianek się spodziewać. Z ulgą stwierdzam, że na razie moja cielesna powłoka nie odbiega od normy, więc może nie stało się nic straszego.

I wtedy słyszę ten charakterystyczny szum. Ten sam szum wentylatora, który słyszałam nie dalej jak parę godzin temu...

Nie tylko wentylator się zgadza. Zgadza się absolutnie wszystko.

– Tylko nie to – szepczę do siebie, podczas gdy mój puls nagle dwukrotnie przyspiesza. – Kolejny raz tego nie zniosę.



Rozdział 8

Benny gapi się na mnie, mrugając bardzo, bardzo powoli, jakby usiłował z trudem przyswoić to, o czym mu powiedziałam. A ja po raz kolejny zmuszona jestem obserwować ten bolesny proces.

– Okej, chyba zaczynam kumać. Nasuwa mi się pytanie, czy to przypadkiem nie są objawy choroby wysokościowej.

O rety. Głęboki wdech. Masuję skronie, nakazując sobie cierpliwość. Nieszczęsny Benny przecież nie ma pojęcia, że dopiero co przez to przechodziliśmy. Nie ma pojęcia, że jego pytanie to cytat z samego siebie. I to nie jego wina, że znaleźliśmy się w cholernej pętli czasu.

– Właśnie przeżywam ten dzień po raz trzeci – odpowiadam. – A przez tę konkretną rozmowę przechodzimy po raz drugi.

– Czyli o ile dobrze rozumiem – mówi powoli Benny – już trzy raz widziałś, jak twój rodzony ojciec łamie ząb na ciasteczku?

– Owszem.

– I nie uznałaś za stosowne go ostrzec?

Zwijam się w kłębek, zakrywam twarz rękami i wydaję z siebie bezradny jęk.

Wrażenia z lotniska były identyczne, jazda samochodem nie różniła się ani o jotę od odbytej poprzednio. Tylko dotarcie do domku było dla mnie

jeszcze trudniejszym i bardziej dezorientującym doświadczeniem. W gardle rośnie mi gęsta panika, a moja krucha równowaga psychiczna poddawana jest następnej próbie, podczas gdy po raz kolejny przeżywam ten sam dzień. Nie wiem, czy dzieje się to tylko w mojej głowie, czy w rzeczywistości, a przede wszystkim nie mam pojęcia, dlaczego muszę przez to wszystko przechodzić.

Jedynym momentem, który był w stanie nieco mnie uspokoić, był czas spędzony z Andrew na ganku. Może z uwagi na to, że wydawałam się bledsza i bardziej zagubiona niż wcześniej, a może z jakiegoś innego powodu – dość, że tym razem jeszcze bardziej przyłożył się do spektaklu zatytułowanego *Panienka pozwoli, że nas przedstawię*.

„Zawsze spotykaliśmy się tu w grudniu, żeby wspólnie lepić różne śniegowe stwory, zjeżdżać na sankach z naprawdę sporych wzniesień, piec tony ciasteczek i z wypiekami na twarzach obserwować, jak nasi rodzice upijają się w środku dnia”.

„Kiedyś mieliśmy w zwyczaju bawić się w zespół rockowy – ja robiłem za Davida Bowie, a ty wcielałaś się w Janis Joplin...”

„Mówisz przez sen, ale niestety nigdy nie przyłapałem cię na żadnym elektryzującym wyznaniu, zwykle gadasz o jedzeniu albo arkuszach kalkulacyjnych”.

– Co jeszcze zdarzy się dziś wieczorem? – pyta Benny, sprowadzając moje myśli do tej chwili. Delikatnie dotyka moich dłoni, by odsłonić mi twarz. – Czy pamiętasz jakieś rzeczy, które mogłyby...

Bez wahania wchodzę mu w słowo:

– Które mogłyby sprawić, że mi uwierzysz?

Pocziwy Benny wzrusza ramionami, rzucając mi przeproszące spojrzenie, ale tak naprawdę trudno go winić. Dawno nie przeglądałam się w lustrze, ale jestem pewna, że sprawiam wrażenie kompletnej wariatki. Wszystko leci mi z rąk, z trudem łapię oddech, a dodatkowo czuję w ciele dziwną sztywność. Przeciagam się, po czym przechylam kark z jednej strony na drugą. W pokoju rozlega się głośne chrupnięcie. O, tak. Teraz dużo lepiej.

Po raz kolejny tego dnia słyszę głosy domowników zmierzających przez korytarz do salonu.

Gwałtownie wstaję i nakazuję mu iść za sobą.

– Patrz, zaraz Kyle pokaże wszystkim swój nowy tatuaż.

Przechodzimy przez pokój i stajemy przy drzwiach. Obserwuję Benny'ego, konstatując, że gdy próbuje cichutko chodzić na palcach, to niesamowicie przypomina Kudłatego ze *Scooby-Doo*. Udaje nam się bezszelestnie pokonać wąskie schodki i teraz ciśniemy się w rogu klatki schodowej.

Słyszemy, jak Ricky anonsuje:

– Zapraszam wszystkich tutaj! Kyle będzie się chwalił nowym tatuażem!

Kiedy te słowa docierają do naszych uszu, dłoń Benny'ego zaciska się na mojej tak, że jestem w stanie wyczuć osobno każdy z jego palców.

Zamykam oczy, próbując się skoncentrować, po czym powoli wyliczam:

– Zaraz Ricky będzie sobie wyrzucał, że zapomniał przywieźć ulubiony gin Aarona. W tym samym czasie Miso zacznie lizać palce Zachary'ego, a mały wybuchnie histerycznym śmiechem. Lisa włączy świąteczny krążek Boba Dylana – tak na marginesie, ta płyta jest naprawdę fatalna! – a Theo zachłyśnie się piwem i będzie kasłał przez dobre dziesięć minut. – Kończę litanię i rzucam Benny'emu poważne spojrzenie. – Zobacysz, wystarczy poczekać.

Oboje odwracamy się w stronę salonu, próbując cały czas zachowywać się cichutko jak myszki.

– Nie mam pojęcia, co zrobię, jeśli okaże się, że miałaś rację – szepcze do mnie Benny.

– Rozumiem cię. Mam tak samo.



Dwadzieścia minut później lądujemy z powrotem na stryszku. Benny łązi w tę i we w tę po pokoju, a każdemu jego krokowi towarzyszy charakterystyczny brzęk bransoletek. Siedzę na łóżku, gapiąc się w sufit. Wiem, że teraz mój towarzysz przeżywa stan bliski hysterii, bo wszystkie proroc-

two okazały się prawdziwe. W końcu zatrzymuje się przy mnie i prawie na bezdechu wyrzuca z siebie:

– Jeeezu. I pomyśleć, że nawet nie jestem zjarany.

Pewnie powinnam się cieszyć, że w końcu mi uwierzył, ale zamiast tego zaczynam się zastanawiać, czy tak właśnie będzie wyglądało moje życie. Czy codziennie będę obserwować tę samą sekwencję wydarzeń? Czy powinnam ewakuować się ze stryszku, zanim znowu spadnę ze schodów i zabawa zacznie się na nowo?

No i najważniejsze pytanie, czy to, co zrobię, w ogóle ma znaczenie, czy może w moim życiu czas został na zawsze... popsuty.

No dobra, w najgorszym razie będę w kółko przeżywać ten sam dzień. Wówczas postaram się maksymalnie skorzystać z najlepszych jego chwil, czyli pogawędek z Andrew na ganku.

Podnoszę się na łokciu i zagajam:

– W porządku. To powiedz, co mam z tym wszystkim zrobić.

– Wydaje mi się, że powinnaś pogadać ze swoim tatą – wyrokuje Benny, siłąc się na zdrowy rozsądek.

– Nie ma opcji – odpowiadam, z powrotem kładąc się na plecach. – Proponowałeś to ostatnim razem. W efekcie sfrunęłam ze schodów niczym Piotruś Pan i obudziłam się w samolocie.

– Ajajaj – szepcze, z poczuciem winy masując kark. – Bardzo mi przykro, Kluseczko.

Ton jego głosu sprawia, że serce mi się kraje, więc ciągnę go, by usiadł koło mnie, po czym składam na jego policzku całusa.

– To przecież nie była twoja wina – zapewniam.

– A może po prostu... – Podnosi niepewnie rękę. – Może po prostu spróbuj jakoś przetrwać ten dzień? Może jutro coś się wyjaśni, może zorientujesz się, co powinnaś zrobić? Wiesz, może chodzić o Theo. Albo o sprzedaż chatki. Pewnie wyjdzie w praniu. Moje motto to „płyn z prądem” i właśnie tę zasadę powinniśmy zastosować w tej sytuacji. – Klepie mnie w kolano, po czym dorzuca krzepiąco: – Dziewczyna da sobie radę.

Płyn z prądem. Jakżeby inaczej! Ta złota myśl pasuje do niego jak ulał.

No i nie ma przecież dostępnego na rynku podręcznika dla podróżników w czasie. Nie ma też żadnego oczywistego portalu, z którego mogłabym skorzystać, żeby wrócić do normalności. W *Opowieściach z Narnii* bohaterowie wiedzieli, że muszą wejść do szafy. A ja? Moją jedyną opcją jest udać się na dół i po raz kolejny dołączyć do świętowania, jak gdyby nigdy nic. Płyn z prądem.

Wstaję, a wtedy Benny opiekuńczo chwyta mnie za ramię, pytając:

– A tak poza tym wszystko w porządku? Praca? Życie towarzyskie? Nowinki z romantycznego poletka?

Zatrzymuję się, kładąc dłoń na klamce.

– Praca? – Uch. Na wspomnienie o niej mój żołądek zwija się w supeł. – Szkoda gadać. Życie towarzyskie: może być. Mira, moja współlokatorka ze studiów. Pamiętasz ją? No to wróciła do Berkeley, więc teraz we dwie buszujemy po Yelpie, szukając knajp, w których możemy zajadać trudne emocje.

Benny reaguje na ten opis chichotem, po czym poważnieje, czekając, aż odpowiem na ostatnie pytanie. W końcu nie wytrzymuje i dorzuca pytająco:

– A...?

– Jak to ująłeś... romantyczne poletko? – pytam retorycznie. – No cóż, w tym roku byłam na trzech randkach. Na dwóch z nich od początku było oczywiste, że kompletnie do siebie nie pasujemy, więc użyłam starej dobrej wymówki: „Koleżanka pilnie potrzebuje mojej pomocy”.

– Ojej.

– A ten trzeci koleś był naprawdę przystojny, miał fajną i dobrze płatną pracę, świetnie się z nim gadało.

– Brzmi ciekawie.

– Więc żeby nie było zbyt różowo, na drugiej randce przyznał, że choć wciąż mieszka z żoną, to właściwie są w totalnej separacji i absolutnie nie planują do siebie wracać.

Benny wydaje współczujący jęk.

– No, nie mów!

– Niestety. Sprawa nie staje się prostsza, kiedy wciąż mieszkasz ze swoją mamusią – kończę wątek, machając lekceważąco ręką. – Więc jak widzisz, romantyczne uniesienia muszą na razie poczekać.

Benny całuje mnie w czoło.

– Życie nie jest łatwe.

– Możesz to powiedzieć jeszcze raz. – Szczerzę się do niego. – To znaczy... prawdopodobnie powiesz to jeszcze parę razy, tylko po prostu nie będziesz tego świadom.

Benny wybucha śmiechem, po czym upiera się, by iść po schodkach przede mną – tak na wszelki wypadek. Schodzę najwolniej, jak potrafię, i kiedy docieram do korytarza, przybijamy sobie entuzjastyczną piątkę. Przynajmniej udało mi się zejść ze schodów bez przygód!

W mojej obecnej sytuacji trzeba świętować takie małe sukcesy.



Rozdział 9

Powoli otwieram oczy. Wokół widzę tylko ciemność, jest w niej jednak coś tak znajomego, że od razu czuję się spokojniejsza. Wiem dokładnie, gdzie jestem: dolne łóżko, pokój w piwnicy, chatka. Jedyne, czego nie jestem pewna, to który to dzień.

Szukam telefonu, zastanawiając się jednocześnie, na co liczę. Czy bardziej życzyłabym sobie powrotu do przyszłości, czy wolałabym zostać dłużej w świątecznym tygodniu. Trudny wybór. Tak czy siak, moje widzimisię nie ma tu znaczenia. Zerkam na ekran i widzę, że jest dwudziesty pierwszy grudnia. Innymi słowy, dotrwałam do kolejnego ranka! Co prawda nie oznacza to, że będę w stanie przeżyć resztę dnia, pozostając przy tej dacie, mimo to pora na mentalną piąteczkę. Pamiętacie? Świątowanie małych zwycięstw. Moja nowa strategia.

Przewracam się na plecy i pogrążam w myślach. Bardzo chciałabym zrozumieć nie tylko, co się dzieje, ale też dlaczego. Czy to ja spowodowałam tę zadziwiającą sytuację? A jeśli tak, to... jak? Co się działo w ostatnich sekundach przed wypadkiem?

Mama płakała z powodu sprzedaży chatki.

Tata przekonywał, że zmiana może przynieść dobre owoce.

Miles był w swoim świecie, jak zawsze. A jeśli chodzi o mnie... No cóż, wkręcałam się w mentalną spiralę rozgoryczenia i paniki z powodu utraty

tej jednej jedynej rzeczy, która zawsze...

Och. Wspomnienie nachodzi mnie tak gwałtownie, że aż siadam na łóżku. „Kochany wszechświecie, co ja właściwie robię ze swoim życiem? Proszę, pokaż mi, co uczyni mnie szczęśliwą” – tak to mniej więcej sformułowałam.

Zastanawiam się, czy to w ogóle możliwe. Próbuję się uspokoić, biorąc głęboki wdech, po czym staram się odpowiedzieć na to pytanie. No właśnie, co czyni mnie szczęśliwą?

Ten domek oczywiście. I moja rodzina. I ten nasz wyjątkowy czas, który spędzamy tu każdego roku. Poza tym... śmiech Andrew. Ciche popołudnia, które spędzam na rysowaniu, siedząc w ogródku. Obserwowanie Milesa i jego prób opanowania figur breakdance. Lepienie śnieżnych potworów. Degustacja kulinarnych cudeniek mojej mamy. Jazda na sankach. Serowe bliny produkcji Aarona. To uczucie, gdy powoli odpływam w sen przy otwartym oknie, z za którego czuć zapachy wiosny.

No tak, ale zostałam wysłana tutaj, konkretnie do tego czasu i tego miejsca. Nie do wiosny, nie do lata, nie do ogródka i szkicownika. Tutaj. I muszę się dowiedzieć dlaczego.

Zamykam oczy, pozwalając różnym obrazom przesuwac się pod powiekami, aż do momentu, gdy któryś przykuje moją uwagę... Mam!

Theo i ja mieliśmy po trzynaście lat, Andrew szesnaście. To właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że obiektywnie rzecz ujmując, jest po prostu przepiękny. Przed tym dniem obaj Hollisowie podpadali według mnie pod kategorię „rodzina”, w związku z czym postrzegałam ich mniej więcej tak jak własne odbicie w lustrze: jako oczywisty i niebudzący skrajnych emocji element mojego świata. Pamiętam, że tamtej zimy Ricky miał jakieś kłopoty z elektryką w chatce. Co chwilę wysyłał Andrew na dół z poleceniem, by włączał i wyłączał korki. Czas między tymi wycieczkami poświęcał na grę w karcianą wojnę ze mną i Kyle'em. Rozgrywka zaczęła robić się naprawdę emocjonująca, bo nabrałam przekonania, że Andrew gra nieczysto, wyciągając karty spod spodu swojej talii. On spokojnie tłumaczył mi, że to nieprawda. Powlokłam się za nim do piwnicy, cały czas wydzierając się na niego z powodu urojonego szulerstwa. W pewnym momencie po-

świecił latarką na skrzynkę z bezpiecznikami i łagodnym tonem polecił mi:

– Proszę, przez dwie sekundy bądź cicho, dobrze, Mae?

Potem światło wróciło, zobaczyłam jego profil w pełnej krasie i nagle poczułam, że w moim wnętrzu ruszyła lawina.

Po raz pierwszy naprawdę go ujrzałam – miękkie kędziorki tuż przy skroniach, męźniejący kark, wspaniałą linię nosa, dłonie, które nagle wydały mi się duże i męskie... Od tego momentu dzieliłam swoje dojrzewanie na dwa etapy: ten, zanim zakochałam się w Andrew, i ten po.

Wróciliśmy z piwnicy na górę i pamiętam doskonale, że nie chciałam już więcej grać w karty. Nie dlatego, że obawiałam się przegranej... O nie. Chodziło o to, że nie chciałam, by on przegrał. Chciałam, żeby czuł się dobrze, chciałam, żeby był szczęśliwy... Nagle przestał być po prostu przyjacielem rodziny. Stał się dla mnie kimś innym, kimś odrobinę ważniejszym, odrobinę bardziej moim, choć on sam zupełnie nie był tego świadom.

Poczułam się wtedy lekka jak piórko, jednocześnie targana wiatrem, niepewna tego, dokąd mnie zabierze... Bałam się tego uczucia.

Reszta tamtego wyjazdu była istną torturą. Mam we wspomnieniach parę kadrów: Andrew w spodniach od pizamy (oczywiście bez góry), nonszalancko drapiący się po brzuchu, pomaga czteroletniemu Milesowi powiesić ozdoby z origami. Andrew siedzący koło mnie przy stole, z podziwem obserwujący, jak rysuję, zapewniający mnie żarliwie, że jest przekonany, podobnie jak moja mama, iż mam wielki talent. Andrew w dżinsach i grubym wełnianym swetrze pomagający tacie i Benny'emu w przynoszeniu drewna. Andrew z zapalem grający na gitarze piosenkę za piosenką, próbujący przekonać mnie i Theo do twórczości Toma Petty'ego. Andrew drzemiący przy kominku, z Milesem smacznie śpiącym na jego brzuchu. Zabawa w sardynki w puszcze i to uczucie pełnego napięcia oczekiwania, że może znajdzie mnie właśnie Andrew, że może wylądujemy razem w ciasnej i ciemnej przestrzeni, że może to sprawi, że zaczniemy się obściskować, jak gdyby trochę przez pomyłkę.

Andrew był zapalonym muzykiem, urodzonym sportowcem, chłopakiem łagodnym i... kompletnie nieosiągalnym. Tak chętnie obdarzał nas swoim czasem i ciepłymi słowami, tak wspaniale dogadywał się ze swoją rodziną. Miał cudowne niesforne włosy i niewiarygodny, odrobinę nieśmiały uśmiech (nie muszę chyba dodawać, że był w nielicznym gronie nastoletnich szczęśliwców, którzy nigdy nie potrzebowali ortodonta). Wyobraźcie sobie spanie na piętrowym łóżku ze świadomością, że po drugiej stronie pokoiku znajduje się ten cud natury, że ten cud prawdopodobnie ma już dziewczynę, a do tego rozmaite części ciała, o których wcześniej nawet nie myślałam, i że prawdopodobnie... no wiecie... uprawia już S-E-K-S.

Mimo że z perspektywy dorosłych w takich warunkach między mną a którymś z braci Hollisów mogłoby zdarzyć się coś skandalicznego, wydawało się, że nikomu nie przyszło to na myśl. Mama była zwykle bardzo zasadnicza w kwestii wytyczania granic, ale przecież w jej oczach byliśmy jak rodzina. Może wszystkiemu winny był ten absolutny brak romantycznego zainteresowania Andrew moją osobą? A może absolutny brak mojego zainteresowania Theo? Dość, że rodzicielski radar nie włączył się ani na moment, nawet gdy byliśmy już wystarczająco duzi, by nadużywać alkoholu i podejmować pod jego wpływem fatalne decyzje.

Kiedy byłam dzieckiem, w każdą niedzielę chodziliśmy do kościoła, ale wiele lat temu stwierdziłam, że katolicyzm jest nie dla mnie. Teraz jednak pogrążona w ciemnościach zastanawiam się, czy to, co właśnie się dzieje, jest dla mnie szansą, by naprawić błędy popełnione w trakcie mojego ukochanego okresu w roku. Po raz kolejny rozmyślam, dlaczego właśnie ja. Wydawało mi się, że na świecie są problemy znacznie większego kalibru niż pocałunek po pijaku, i to w dodatku niezbyt udany.



Gramolę się z łóżka, starając się to zrobić na tyle cicho, żeby nie obudzić Theo ani Milesa. Ostrożnie wchodzę do kuchni, nie jestem pewna, co tam zastanę.

Ale wszystko wydaje się zwyczajne. Pomijając brak girlandy świątecznej, której bliźniaki jeszcze nie powiesiły, wszystko jest takie jak pięć dni później, w dniu naszego wyjazdu. No właśnie, pięć dni później czy dwa dni wcześniej? Cholera wie.

Ricky pojawia się w kuchni chwilę po mnie. Jego szpakowate włosy są w miarę ułożone z przodu, natomiast z tyłu są w kompletnym nieładzie. Oczy ma wciąż lekko zapuchnięte, ale zerka na mnie tak pogodnie, że przez moment czuję ukłucie wzruszenia. Pozwalam sobie na celebrację tej chwili – tego, że mogę być TUTAJ. Byłam pewna, że straciłam tę możliwość bezpowrotnie.

– Maelyn Jones – odzywa się zabawnym, tak dobrze znanym mi tonem – widzę, że gramy w tej samej drużynie!

Czuję, jak wewnątrz mnie zapala się światełko. Czekam na ciąg dalszy, wiedząc, że zaraz padną słowa...

– Oboje lubimy wstawać z kurami. – Ricky z westchnieniem sadowi się na krzesło.

– Powiem ci, że najgorszym uczuciem świata byłoby wiedzieć, że już nigdy nie usłyszę tego twojego powiedzonka – mówię, całuję go w czubek głowy, po czym nalewam mu kawy do jego ulubionego kubka z reniferem.

– Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? – pyta skonsternowany.

Nie odpowiadam. „Oj, Ricky, gdybyś wiedział, jak trudno mi to wyjaśnić”.

Znów pojawia się ta myśl, ciężka jak ołów: „Byłam pewna, że utraciłam te poranki bezpowrotnie”. Myślałam, że już nigdy nie spotkam Ricky'ego w tej kuchni, a jednak... oboje tu jesteśmy. Czy on zdaje sobie sprawę z tego, czym to miejsce jest dla nas wszystkich? Ten domek czyni mnie nie tylko szczęśliwą, on sprawia, że czuję się zakorzeniona. Czy jest jakakolwiek szansa, by udało mi się powstrzymać ich przed sprzedażą?

Ricky upija łyk kawy, po czym odstawia kubek i podnosi na mnie wzrok.

– Jak się dziś czujesz, Kluseczko?

Jak się czuję? Hm, o dziwo to jest teraz na szarym końcu listy moich zainteresowań. Nagle spłynęła na mnie świadomość celu. Już wiem, co tutaj

robię! I wiem, że jestem na właściwych torach, skoro sufit nie runął mi na głowę, a podłoga nie zapadła się pode mną z hukiem, by w magiczny sposób odesłać mnie z powrotem na pokład samolotu.

– Całkiem dobrze – odpowiadam, opierając łokcie na blacie. Znad kawy posyłam Ricky'emu uśmiech. Staram się wyglądać na pogodną i względnie spokojną, choć w środku szaleje tornado myśli, wspomnień, planów. – Właściwie to czuję się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

Odwracam się, słysząc dochodzące od strony schodów tupanie. Zza węgła łypie na mnie Benny, cały wymięty, jakby dopiero co się obudził. Gestem nakazuje mi milczenie i macha, jakby chciał, żebym do niego podeszła. Zerkam na Ricky'ego i widzę, że jest zbyt zajęty kawą i herbatnikami, by coś zauważyć, więc wstaję i cichutko wychodzę z kuchni na korytarz.

Podchodzę do Benny'ego, który bez słowa ugina nogi w kolanach, by znaleźć się ze mną na równej wysokości, po czym kładzie mi dłonie na ramionach i uważnie patrzy mi w oczy.

Czekam na jakieś wyjaśnienie. Daremnie.

– Można wiedzieć, co ty wyprawiasz? – pytam w końcu.

– A nic. Tylko się rozglądam.

– Za?

– Sam właściwie nie wiem. Próbuję sobie przypomnieć, jakie były objawy wstrząśnienia mózgu.

Przewracam oczami i lekko go odpycham. Jego kardigan jest zaskakująco mięciutki.

– Czy ty masz na sobie kaszmir?

Zerka na mnie takim wzrokiem, jakby sam nie był pewien, jaki sweter włożył.

– Może to i kaszmir – odpowiada rozkojarzony, po czym dorzuca: – Skoncentruj się, Mae.

Mrugam, usiłując zebrać myśli. Zaczynam mieć poważne obawy.

– Pamiętasz naszą wczorajszą rozmowę? – pytam w końcu.

– Yyy... tak...

Wydaję z siebie westchnienie ulgi.

– No dobra – ciągnę. Zbieram się w sobie, próbując ułożyć wydarzenia w logicznym porządku. – Przeżywamy to wszystko po raz kolejny, a ja jestem jedyną osobą, która ma tego świadomość. Jeszcze nie zostałam odesłana z powrotem, co odczytuję jako znak, że robię to, co trzeba. Jak myślisz?

– A przychodzi ci na myśl jakiegokolwiek inne wyjaśnienie?

Przygryzam wargę.

– Hm, może jestem wariatką? Albo może to jakiś przypadkowy błąd systemu i nie ma co dopatrywać się w tym sensu? Albo aktualnie jestem w śpiączce i leżę w szpitalu w Salt Lake? Mam trochę pomysłów.

– Żaden z nich nie brzmi zbyt zachęcająco – przyznaje Benny.

– O, tu się zgadzamy – odpowiadam, szczerząc zęby w szaleńczym uśmiechu. – Mnie też nie przypadły do gustu.

– Jakby co, to jestem tutaj – przypomina. – To znaczy... jestem... prawdziwy. Istnieję. I jestem w tym z tobą, więc mamy dowody, że to wszystko dotyczy nie tylko twojej skromnej osoby.

Nagle coś przychodzi mi do głowy.

– Słuchaj, szybka sprawa. Powiedz mi coś, cokolwiek, czego na pewno o tobie nie wiedziałam. Jakiś sekret. Inny niż sekretne schowanko twoich grzybków.

– Wiesz, gdzie trzymam grzybki?

– Benny, proszę cię.

Marszczy brwi, usiłując coś wymyślić. Potem nachyla się ku mnie, by wyszeptać mi do ucha potok słów.

Gdy w końcu się odsuwa, gapię się na niego zdegowana.

– Benny, serio?

Chichra się i potrząsa głową.

– Sęk w tym, że tak!

Wzruszam ramionami.

– Hm, miałam na myśli sekret w rodzaju: „Mój pierwszy piesek miał na imię Lady”, a nie: „Prowadziłem podwójne życie, pracując jako nagi kelner w knajpie w Arizonie”.

– Co poradzę na to, że to przyszło mi do głowy jako pierwsze?

Zamykam oczy, próbując pozbyć się tego obrazu z głowy.

– I co, mówimy reszcie? – pyta Benny. – Bo wiesz... to jest naprawdę gruba afera. A nuż ktoś z nich przeżył coś podobnego i jakoś dał radę wrócić na normalne tory? Poza tym może masz rację, to może być kwestia tego miejsca i tego, że jest... No nie wiem, zaczarowane?

– Doceniam twoją kreatywność, ale chyba mam lepszy pomysł. No bo widzisz, to decyzja Ricky’ego i Lisy o sprzedaży chatki była katalizatorem tego całego szaleństwa, moich próśb do wszechświata i tak dalej... Nie sądzisz, że to wszystko dzieje się po to, byśmy mieli okazję przekonać ich do porzucenia tego zamiaru? Może będziemy w stanie zebrać się wszyscy i jakoś im to powiedzieć?

Benny rzuca okiem na kuchnię i gospodarza chatki grzejącego dłonie o kubek.

– Spróbować nie zaszkodzi.

– Pomyśl, wszyscy gadają o tym, że tradycje wcale nie są nam potrzebne – szepczę z naciskiem. – A Ricky tak strasznie dużo robi, żeby utrzymać to wszystko przy życiu. A gdybyśmy dla odmiany zaczęli, no wiesz, z zapalem przy wszystkim pomagać? Przy remontach? Przy organizacji różnych rzeczy? Żeby czuł, że nie jest z tym wszystkim sam.

– Myślisz, że będziemy w stanie namówić pozostałych? – pyta niepewnym tonem Benny.

Krzywię się, patrząc za okno. Za dawnych czasów dzisiejszy dzień był dniem lepienia bałwana, ale potem nastoletnia Mae zaczęła dopytywać, dlaczego to nie może być bałwanica, a potem mały Miles zaczął prosić, żebyśmy zbudowali ze śniegu małpę, i tak dalej... Zatem dziś, czyli dwudziestego pierwszego grudnia, powinniśmy obchodzić tradycyjny Dzień Śnieżnej Rzeźby.

No i niby obchodzimy, ale pogoda zupełnie nie zachęca do wyjścia na zewnątrz. Przez lata przyzwyczailiśmy się do tego, że żelazny grafik Ricky'ego nie zważa na takie drobiazgi jak warunki atmosferyczne i zaczęliśmy podchodzić do sprawy tak zawzięcie, że przez dobre trzy godziny lepiłiśmy jak szaleni, by potem wytypować zwycięzcę, ale dziś może być wyjątkowo ciężko. Niebo jest stalowoszare, z okapu zwisają niczym sztylety grube, złowrogie sople lodu... Nie sądzę, żeby udało się zebrać entuzjastyczną, wolną od marudzenia grupę zapaleńców.

Głośno przetykam ślinę, po czym zerkam na Benny'ego i mówię dzielnie:

– Zrobię, co w mojej mocy.

Benny z gwizdem wciąga powietrze.

– O człowieku... A co z tym, że grzebiemy w dziejach świata? No wiesz, zmieniamy przyszłość i tak dalej. Słyszałaś o efekcie motyla? Co, jeśli jedna drobna zmiana sprawi, że coś we wszechświecie totalnie się posypie?

– Słuchaj – odpowiadam. – Jeśli ten cholerny wszechświat zleci mi wrzucenie pierścienia do plującej lawą szczeliny w jakichś górach, to też spoko. Ale na razie mam takie zadanie i zrobię, co mogę, żeby się z niego wywiązać.



Zmierzam za Bennym do kuchni. Gdy przechodzimy, drzwi się otwierają i do środka wchodzi Andrew, wpuszczając przy okazji lodowaty powiew z zewnątrz. W tym momencie czuję, jak poziom adrenaliny w moich żyłach skacze do niebezpiecznego poziomu.

– No hej! – mówię trochę za głośno i trochę zbyt entuzjastycznie. W wyobraźni brzmiałam swobodnie i nonszalancko niczym James Dean od niechcienia opierający się o framugę. Wyszło jak zwykle, czyli wydałam z siebie tak dziwaczny okrzyk, że obaj odskoczyli ode mnie jak oparzeni.

Benny w uspokajającym geście kładzie mi dłoń na plecach.

Andrew wyjmuję z ucha bezprzewodową słuchawkę i uśmiecha się do mnie tym swoim nieziemskim uśmiechem księcia z bajki.

– No hej, hej!

Trzęsie się z zimna, mimo że ma na sobie kurtkę, rękawiczki, szalik i jest jeszcze okutany w wełniany koc. O mój Boże, ta niewiarygodna mieszanka atrakcyjności i bezpretensjonalnego, rozbijającego uroku. Wiem, że na co dzień pracuje dla Red Rocks, nagłaśniając wydarzenia z reżyserki, ale jestem przekonana, że równie dobrze sprawdziłby się na scenie, w świetle jupiterów. Z pewnością spotkałby się z entuzjastycznym przyjęciem.

– Jak tam w domku na łódzie? Pewnie ciepło jak w uchu? – pytam, tym razem opanowując głos.

Odgarnia niesforne kosmyki wpadające mu do oczu.

– Wolę dygotać z zimna tam, niż kisić się z wami na łóżku piętrowym.

Jasne. Może i śpimy w piwnicy niczym śledzie w beczce, ale mamy ogrzewanie, a łóżeczka są miękkie, ciepłe i otulone cudownymi puszystymi narzutami, podczas gdy „przystań” jest tak naprawdę szopą o wymiarach cztery na cztery, z jednym w pełni przeszklonym oknem (wspaniały widok na góry jest okupiony ogromną stratą ciepła), ogrzewaną przez niezbyt dobrze działający piecyk. Owszem, jest tam urokliwie, ale to miejsce niewiele różni się od kempingu. Podejrzewam, że Andrew prędzej wyzionie ducha, niż się podda i powie ojcu, że woli wrócić do chatki.

Ricky z szelmowskich uśmiechem obserwuje syna, trzęsącego się z zimna w progę.

– Czy aby na pewno? – dopytuje zjadliwie znad kubka gorącej kawy.

Słyszę, jak Benny usiłuje stłumić chichot.

Nagle w mojej głowie pojawia się nieoczekiwane wspomnienie.

– Słuchaj, a może skorzystałbyś z tych wielkich śpiworów, które leżą w schowku?

Trzy pary oczu spoglądają na mnie wyczekująco, a ja z przerażeniem uświadamiam sobie, że położyłam sprawę.

Andrew jest więcej niż zainteresowany.

– Wielkich śpiworów?

– Jakim cudem wiesz, że tam są? – pyta Ricky, a na jego twarzy maluje się zaskoczenie. – Nawet ja zapomniałem o ich istnieniu, od wieków nie były używane.

– No właśnie, Mae... Skąd wiesz, że tam są? – włącza się Benny, za plecami pokazując mi wycelowane w górę kciuki.

Wiem o nich, bo w wigilijny poranek Ricky nagle sobie o nich przypomniał, rozwiesił je, żeby się przewietrzyły, po czym wręczył synowi, który piąty dzień z rzędu pojawił się w kuchni kompletnie przemarznięty. To ogromne wojskowe śpiwory, każdy z nich waży dobre dwadzieścia kilogramów. W środku są wyłożone grubą czerwoną flanelą z motywem myśliwskim (szczerze mówiąc, po rozpięciu purpurowe jelenie wyglądają absolutnie przerażająco, ale czy z tak błahej przyczyny powinniśmy odmawiać Andrew możliwości ogrzania się?). Mam przed oczami Andrew, jak wchodzi, owinięty w jedno z tych cudeniek, i mówi nam, że tak dobrze nie wyspał się od lat. Innymi słowy, właśnie podarowałam mu cztery ciepłe noce.

Podnoszę wzrok. No to jak, wszechświecie, jakieś dodatkowe punkty za aktywność?

Punkty czy nie, ta odkrywczą uwagę sprawia, że parę minut później spędzam grudniowy poranek na przejmującym zimnie, ubrana w gigantyczną kurtkę typu parka, usiłując wytrzepać wielki śpiwór kijem bejsbolowym, uprzednio oczyściwszy sznurek na pranie z wiszących na nim sopli.

Pół metra ode mnie, po drugiej stronie sznura, Andrew z całej siły wali rakieta tenisową w krwistoczerwoną połąć śpiwora, co sprawia, że unoszą się tumany kurzu.

– O rety, Maisie, miałaś naprawdę genialny pomysł!

– Chyba już zdążyłeś się zorientować, że mam głowę nie od parady, co?
– odpowiadam filuternie.

Andrew, mrużąc oczy w zimowym słońcu, patrzy na mnie badawczo.

– Nie miałem bladego pojęcia, że tam są. Straciłem je z radaru jakąś dekadę temu!

To zdanie implikuje pytanie – to samo, które dziesięć minut temu padło z ust Benny’ego i Ricky’ego. Widzę je też w oczach Andrew, więc próbuję jakoś wybrnąć.

– Moja mama potrzebowała brytfanny, więc poszłam jej poszukać. – Cóż, posuwam się do kłamstwa. – I tak na nie trafiłam. Były upchnięte w składziku. – Po tych słowach spuszczam oczy i zatapiam wzrok w purpurowym wnętrzu śpiwora. – Rety, ten rzucik jest naprawdę upiorny. Brr.

– Pamiętam, że jako dzieciak spałem w nich na obozach – odpowiada Andrew. – Czuję się jak Luke Skywalker we wnętrzu tauntauna.

– Oho, widzę, że wchodzimy na wyższy poziom wtajemnicza. Wstęp tylko dla fanatycznych wielbicieli *Gwiezdnych wojen*?

– Bez przesady! Frazeologizm „mieć zacisznie jak Luke w tauntaunie” wprawdzie nie wszedł jeszcze na stałe do amerykańskich słowników, ale myślę, że to tylko kwestia czasu.

– Wiesz o tym, że mógłbyś – zmieniam temat – wybrać się do miasta i po prostu kupić grzejnik pokojowy?

Andrew wymierza śpiworowi parę mocnych ciosów, tym razem tumany kurzu są wyjątkowo obfite.

– Może i tak. Ale to byłoby równoznaczne z przyznaniem się do porażki.

– Owszem, ale dla tak ważnej sprawy zdecydowanie warto oddać życie.

– Słuchaj, mogę zrozumieć, że mój tata uderza w takie tony. Ale żebyś ty, Brutusie, tak się wymądrzała – odpowiada zaczepnie, a jego oczy zwężają się w uśmiechu.

Słyszę cichutki głosik, który odzywa się w mojej głowie: „No, no, młoda damo, ależ cię cieszy ten jego uśmiech...”.

– A właśnie! Skoro już jesteśmy przy porażkach – dodaje Andrew – czy jesteś gotowa na to, co dzisiaj nastąpi?

Mróz co prawda ani odrobinę nie zelżał, ale śnieg pada cały czas, tworząc mięciutką poduszkę pod naszymi stopami.

– Gotowa jak nigdy wcześniej! – odpowiadam zaczepnie.

Wstępują we mnie nowe siły.



Rozdział 10

Nikogo z bliskich znajomych rodziny Hollisów nie zaskakuje fakt, że do konkursu na śnieżnego stwora podchodzą bardziej niż poważnie. Gdy po śniadaniu zbieramy się na ganku, na uczestników czekają już wszelkie niezbędne utensylia: od ciężkich szpadli po malutkie łopatki. Ale to nie wszystko. U podnóża schodów stoi wyniesiony uprzednio stół, zastawiony przyborami takimi jak kubki, talerze, łyżki do nakładania lodów, a nawet pochodnie. Wszystko po to, byśmy podczas formowania śnieżnych arcydzieł mogli puścić wodze rzeźbiarskiej fantazji. Pod stołem czekają drewniane pudełko i wiklinowy kosz. W pudełku można znaleźć marchewki, ziemniaki i inne warzywa umieszczone tu z myślą o potencjalnych nosach i kończynach naszych stworów, w koszu leżą kapelusze, peruki i apaszki.

Zgodnie z tradycją lepimy drużynowo, po czym głosujemy, która z figur jest najlepsza. Stawka jest naprawdę wysoka, na dzisiejszą kolację Ricky przygotował bogaty wybór mięs: od bitek po *filet mignon*. Każdy ma wrzucić do pudełka kartkę, typując najlepszą jego zdaniem rzeźbę (kodeks honorowy zabrania głosować na siebie), a zwycięska drużyna otrzymuje przywilej wybrania najlepszych kąsków na kolację oraz wskazania, co będą jeść pozostali, mniej utytułowani danego roku rzeźbiarze. Dość powiedzieć, że jeszcze nigdy w Dzień Śnieżnej Rzeźby nie było mi dane spróbować fileta.

Zaledwie parę dni wcześniej zrobiliśmy z Andrew naprawdę ciekawą rzeźbę. Niestety w ostatniej chwili musieliśmy zmienić pierwotny zamysł i zamienić naszego misia w małpę, więc pod koniec, zamiast cyzelować dzieło, byliśmy zmuszeni pospieszyć się z budową, by zmieścić się w czasie. Ostatecznie przegraliśmy z niedźwiedziem grizzly, który wyszedł spod ręki mamy i Ricky'ego. Theo zaczął się z nami droczyć i wygadywać różne rzeczy o naszej małpie. Po krótkiej chwili wylądowali z Andrew na ziemi, mocując się. Poczułam ducha rywalizacji i przyłączyłam się do tych przepychanek. Theo, by mnie spacyfikować, zamknął mnie w uścisku i trzymał tak przez dłuższą chwilę.

Chwileczkę... Czy to wtedy coś zaczęło się tlić, a ja nie zdołałam tego wychwycić?

Właściwie wszystko jedno – teraz na pewno nie dopuszczę, by doszło do takich scen.

Bliźniaki w zawrotnym tempie zbiegają ze schodów, by zanurkować w świeżutki puch. Jak co roku w ich krótkim życiu powtórzy się ten sam scenariusz: przez kwadrans będą zachwycać się śniegiem, po czym kompletnie stracą zainteresowanie tym zjawiskiem.

Aaron zrobił słynne bliny serowe według babcinego przepisu, ale sam nie zjadł ani jednego – zadowolił się proteinowym szejkiem, objaśniając zainteresowanym, że to „idealna porcja energii bez zbędnego nabiału”, a „nigdy nie czuł się równie dobrze”. Teraz siedzi na ganku, ma na sobie postrzępione džinsy, bomberkę z kwiatowym wzorem, a na stopach lekkie sportowe buty, które lepiej sprawowałyby się na statku kosmicznym niż w dziesięciocentymetrowej warstwie śniegu.

– A to... pewna nowość – komentuje Andrew, oglądając go uważnie.

– Czy tata nie wygląda totalnie szalowo? – pyta Zachary, wtulając się w długi szal Aarona kupiony w Burberry. – Ma takie same buty jak pan Tyler!

– A kim jest pan Tyler? – pytam.

Kyle sili się na dzielny uśmiech człowieka udrećzonego wielomiesięcznymi fanaberiami swojego męża.

– To dwudziestoczteroletni trener piłki bliźniaków. Zdobył sławę na Instagramie – tłumaczy cierpliwie.

Aaron zaczyna pokazowo truchtać w miejscu.

– Są naprawdę megawygodne! – rzuca młodzieżowo.

Andrew jest zachwycony sytuacją.

– Och, jestem tego absolutnie pewien! – odpowiada.

Po tych wszystkich latach doskonale znamy plan: dzielimy się na pary, potem obmyślamy strategię, następnie zabieramy się do budowania. Może bardziej oczywiste byłoby, żebym znalazła się w parze z Theo, jako że jesteśmy niemalże bliźniętami, ale po pierwsze Miles jest gotów z zimną krwią zamordować każdego, kto usiłuje zabrać mu cenny czas, który mógłby spędzić ze swoim idolem. Po drugie Andrew i ja dzielimy pewną przywarę: dość łatwo nas zdekoncentrować i nie jesteśmy szczególnie napaleni na wygraną, przez co nikt inny nie marzy o tym, by pracować akurat z którymś z nas. Po trzecie naprawdę chcę być w drużynie z Andrew. Nie jest to może najszlachetniejsza z pobudek, ale cóż zrobić.

Jeśli chodzi o resztę, to Benny również wykazuje umiarkowane zainteresowanie tą konkurencją, więc wciela się w rolę kogoś pomiędzy sędzią a cheerleaderem, Lisa buduje z Kyle'em, Aaron z tatą (temu ostatniemu muszę oddać, że mimo przeciągłego spojrzenia, którym obdarzył ubranie Aarona, powstrzymał się od komentarza), Theo działa z Milesem (oczywiście!). Ostatnia para to mama i Ricky, którzy wygrywają dziewięćdziesiąt procent starć. Nie jest to nic szczególnie dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że on jest architektem krajobrazu, a ona artystką.

Od zeszłego roku, kiedy Kennedy i Zachary zaczęli chodzić do przedszkola, opracowaliśmy Regułę Kostiumu Kąpielowego: nie można rzeźbić szczegółów anatomicznych, które w normalnym świecie byłyby schowane pod kostiumem. Lepiej było to ustalić, bo bez takiej wskazówki Theo mógłby puścić wodze fantazji. Gdy miał dwadzieścia lat, był skłonny przyprawić bujne piersi nawet śnieżnym jaszczurkom.

Teraz kątem oka widzę, jak wpada na trop grubej, poskręcanej fantazyjnie gałęzi, która inspiruje jego i Milesa do budowy śnieżnego słonia. Po tym odkryciu poziom adrenaliny u obu chłopaków niepokojąco wzrasta.

Przybijają sobie entuzjastycznie piątki, zupełnie jakby byli studenciakami, którzy właśnie ustawili pierwszą w życiu beczułkę, gotowi na pijackie gry i zabawy.

Benny podchodzi do mnie i pyta dyskretnie:

– Jaki masz plan?

Zerkam na Andrew, który właśnie przekopuje się przez pudełko z warzywami, szukając inspiracji. Parę dni wcześniej zaczęliśmy budować pandę, po czym w połowie starań zorientowaliśmy się, że do złudzenia przypomina niedźwiedzia. Niestety, to zwierzę było już zaklepane przez mamę i Ricky'ego, więc dokonaliśmy prowizorycznych przeróbek gatunkowych celem zamiany misia w małpę. Niestety nie starczyło nam czasu, ale gdybyśmy od początku celowali w małpie kształty, to kto wie...

– Zamierzam skorzystać z ostatniej lekcji – odpowiadam.

Benny przez chwilę kiwa głową, a potem po kilku sekundach ciszy cedzi:

– No tak. Widzę, że uczciwość to twoje drugie imię.

Rzucam mu spojrzenie pełne niemego wyrzutu, po czym zaczynam się bronić.

– No to słuchaj! Ostatnim razem wygrali mama i Ricky. Jak zwykle! I jak zwykle wszyscy narzekali, że to już powoli robi się nudne – szepczę z pasją. – A chyba nie chcemy, żeby wszyscy narzekali, prawda? Chcemy, żeby wszyscy byli zaangażowani i świetnie się bawili, zgodnie z założeniami projektu Ratusz Chatkę! Więc jeśli ja i Andrew zwyciężymy, tak dla odmiany, to wprowadzimy powiew świeżości. Jednocześnie ustanowimy kamień milowy, to będzie nasza pierwsza wygrana w historii! Nareszcie będziemy mogli zjeść na kolację steki! Hurra!

Benny gapi się na mnie, nieco zbity z tropu.

– Przecież każdy wie, że nie zależy ci na steku.

Ja również nie spuszczam z niego wzroku i brnę:

– A może dziś jestem bardzo głodna, hm? – Unosi brew, więc dodaję szczerze: – A może mam już dość ciągłego przegrywania.

Benny prycha prosto w trzymany w dłoniach kubek z kawą:

– No właśnie. Tak myślałem.

Nadchodzi Andrew. Daję mu delikatnego kuksańca w ramię i zaczynam szopkę pod tytułem „Wspólne ustalenia”.

– No to jak, co ci przyszło do głowy?

– Może miś panda? – odpowiada, gestem pokazując wielki, okrągły brzuszek.

Przez pięć długich sekund udaję głęboki namysł nad tą propozycją.

– Wydaje mi się, że twój tata i moja mama zdecydowali się już na niedźwiedzia – mówię, kręcąc głową, po czym orientuję się w popłochu, że chyba trochę przestrzeliłam. Niby skąd to wiem? Nasi rywale są na etapie gromadzenia materiałów, a ich rzeźba to na razie po prostu kupa śniegu, niepodobna do niczego.

Andrew rzuca mi pytające spojrzenie.

– Nooo, podsłuchałam, jak mama coś o tym wspominała – łzę jak z nut. – Idę o zakład, że miś wyjdzie im fantastycznie. Jak zawsze.

O dziwo, Andrew kupuje to w stu procentach. Dzięki ci, wszechświecie! Zbliżam się do ganku, po drodze namierzając dwa kawałki kory: idealnie nadają się na małpie uszy.

– To może zrobimy małpę? – pytam, przykładając korę do głowy, żeby przedstawić mu wizualizację swojego pomysłu.

Z uśmiechem nurkuje w pudełku z warzywami i po chwili wyławia ogromną poskręcaną dynię. Tak, jest doskonała! Łypimy na siebie zachwyceni tą twórczą synergią. Jesteśmy drużyną geniuszy!

– Spróbujmy zachować spokój – szepcze do mnie, usiłując zetrzeć z twarzy triumfalny uśmiešek.

Przybijamy konspiracyjnego żółwika.

Z początku wszyscy pracują w ściśle ustalonych granicach swojego terenu, nie zwracając szczególnej uwagi na poczynania konkurencji. Nam dłuższą chwilę zajmuje uformowanie kończyn tak, żeby nasza rzeźba w końcu zaczęła przypominać konkretny kształt. Upływają kolejne minuty, aż w końcu – mniej więcej wtedy, gdy bliźniaki bezpowrotnie tracą zainteresowanie rzeźbieniem i zaczynają bitwę na śnieżki – zaczynamy na-

prawdę czuć ducha rywalizacji. Przedstawiciele pozostałych drużyn coraz częściej zerkają przez ramię, obserwując postępy innych zespołów. Zaczynają się szeptki i wskazywanie palcem. Nikt nie ma ochoty jeść na kolację żyłastych bitek, więc trzeba się zorientować, kogo musimy pokonać, by do tego nie dopuścić.

Po trzech kwadransach spod naszej ręki wychodzi małpka urodziwsza, niż oczekiwałam – i znacznie lepsza niż ostatnim razem. Duże uszy nadają jej rozkoszny, komiksowy wygląd, a turkusowe guziki, które wprawiłam w miejsce oczu, sprawiają, że jej spojrzenie wydaje się tajemnicze i powłóczyście. Andrew świetnie posługuje się nożem do smarowania, podgrzewa go zapalniczką, po czym precyzyjnie rzeźbi małpie rysy. Ten nosek, te usta... Po prostu przesłodkie! Coś niesamowitego, ile jesteśmy w stanie osiągnąć, gdy postanowimy się przyłożyć.

No dobra, i zagrać trochę nieczysto. Ale tylko trochę.

– Jest zbyt wilgotne.

Podnoszę wzrok na Andrew, z którego ust właśnie padło to tajemnicze zdanie.

– Co jest zbyt wilgotne?

Głośno przełyka ślinę, po czym nożem wskazuje miejsce, nad którym właśnie ślęczę, usiłując zmusić śnieżny ogonek do zawinięcia się w supełek. Za każdym razem, gdy dodaję kolejną porcję śniegu, wszystko zaczyna się rozpadać i za nic nie chce przybrać pożądanego kształtu.

– Masz problem z nawilżeniem – mówi, nie opuszczając noża.

Jego słowa dźwięczą w mroźnym powietrzu. Oczy Andrew zaczynają się zwężać w szparki, aż w końcu nie jest w stanie powstrzymać wybuchu śmiechu. Oboje chichoczymy histerycznie – kompletne wariactwo.

– Czy ty mi właśnie zarzuciłeś, że mam problem z nawilżeniem?

Andrew nie przestaje rzeźić.

– Neeee... To znaczy... taaak!

– Drogi Andrew, czyżby coś było z tobą nie tak?

W teatralnym geście kłania się w pas, po czym mówi:

– Przysięgam, że nigdy wcześniej nie odezwałem się tak do żadnej kobiety.

Przyciskam rękę do klatki piersiowej i odpowiadam:

– Cóż za zaszczyt zasłużyć na miano tej pierwszej! Chodź, pomóż mi z tym.

– Z nawilżeniem?

– Andrew...

Powoli podchodzi na czworakach, przebijając się przez śnieg. Nie spuszcza ze mnie wzroku, a ja myślę o tym, jak bardzo chciałabym zapamiętać tę chwilę, umieścić ją w szklanej kuli i móc oglądać, gdy tylko najdzie mnie na to ochota, czyli bez przerwy.

Decydujemy się nadać naszej małpie imię Thea. Tym razem zamierzamy podroczyć się z Theo naprawdę bez hamulców, szczególnie gdy nasza wygrana stanie się oficjalna. Co chwilę odchodzę na bok i obrzucam śnieżne dzieło krytycznym spojrzeniem, jakbym dumiała nad kolejną poprawką. Andrew zauważa tę grę pozorów i posyła mi pełne aprobaty spojrzenie.

Ryba chwyciła przynętę. Po chwili nieopodal pojawia się Ricky i skanuje spojrzeniem naszą rzeźbę.

– Co to ma być?

Byłam przygotowana na takie odzywki. Podchodzę do małpy i przeciągam palcem po jej misternie wyrzeźbionej szczęce.

– Doskonale wiesz, co to jest. Na imię jej Thea, ale pieszczotliwie nazywamy ją *filet mignon*.

Kiwa głową, zataczając krąg, by móc przyjrzeć się naszemu dziełu z każdej strony. Widzę, że tak naprawdę jest pełen podziwu – po raz pierwszy Andrew i ja pokazaliśmy, na co nas stać.

W końcu Ricky odzywa się tonem pełnym przekąsu:

– Ech, nie byłbym taki pewny tego fileta, Mae. Widziałaś już naszego niedźwiedzia?

Andrew rzuca wzmiankowanej budowli szybkie spojrzenie, po czym odparowuje:

– Masz na myśli tę oprószoną korą kupę śniegu?

– Hej, to będzie dzieło mego życia! – odpowiada z chichotem mama, po czym rzuca śnieżką w kierunku Andrew.

Niestety w tym samym momencie tata decyduje się wstać, a tak niefortunnie się składa, że znajduje się dokładnie na linii ognia. Śnieżka uderza z głuchym pacnięciem w jego kark, po czym zsuwa się za kołnierzyk jego koszuli i przesuwa się dalej pod swetrem.

Cała tężeję. Owszem, mama jest figlarna i przepada za takimi kawałkami, natomiast tata... zdecydowanie mniej. Jest kochany, ale bardzo wrażliwy i naprawdę nie lubi być obiektem żartów.

„Proszę” – powtarzam w myślach. „Proszę, nie pokłóćcie się. Nie zniszczcie tego dnia”.

– Uuups... – rzuca lekkim, śpiewnym tonem mama. – Czyżbym cię walnęła, Dan?

Wszyscy zgromadzeni wstrzymują oddech, a mama niewzruszona zaczyna tańczyć w śniegu jak gdyby nigdy nic. Chyba nie zdaje sobie sprawy, że igrza z ogniem.

Nie spuszczać z niej wzroku, tata kuca, by zebrać garść śniegu, którą następnie formuje w doskonałą, zwięzłą śnieżkę. Czuję, jak napięcie schodzi ze mnie jak z przekłutego balonika, gdy w końcu tata wstaje i widzę, że szczerzy zęby w uśmiechu. Precyzyjnie rzuca śnieżną kulką, która ze świstem przesywa powietrze i mija żywy cel dosłownie o milimetry.

Mama piszczy zachwycona rozwojem wypadków. Tata chichocze i pochyla się po kolejną porcję śniegu, krzycząc:

– No, teraz to sobie nagrabiłaś! Szykuj się na zaciętą bitwę!

Hm. Tego się nie spodziewałam.

Po chwili znów zaczynam odczuwać lekki niepokój. Tak świetnie się bawiłam, lepiąc małą z Andrew, że na kilka błogich chwil zapomniałam, że już miałam okazję przeżywać ten dzień i... zaczęłam się nim po prostu cieszyć. Nie wzięłam pod uwagę, że grupa ludzi bawiących się w kopnym śniegu to duże ryzyko. Bitwa na śnieżki czai się tuż za rogiem.

Bliźniaki, aktualnie zajęte budową potwora składającego się ze sterty śnieżnych kul, uznały śmiech taty za znak, że coś się dzieje, i zanim zdążyłam się zorientować, że bitwa zaczęła się na dobre, nasze śniegowe pole rozgrzało się do czerwoności. Zachary trafił swojego ojca w odzianą w ekstrawaganckie spodnie nogę. Aaron (mocując się ze strojem, który nie ułatwiał mu zadania) podniósł się po chwili i walnął śnieżką Kyle'a (trafił w brzuch), który z kolei wycelował w ramię taty. Tata próbował się odegrać, ale jego śnieżka zamiast dosięgnąć Kyle'a, trafiła w ramię Lisy. Ta okazała się zdecydowanie skuteczniejsza i lodowaty pocisk ugodził tatę idealnie między łopatki. Widać, że Lisa ma cela! Chociaż nie objawia się to, gdy staje za obiektywem.

– Heeej, przestańcie! – krzyczę, wyrzucając w górę ręce, by zwrócić na siebie uwagę.

Bezskutecznie. Nawet Ricky zdaje się kompletnie zapominać o obowiązku podtrzymania tradycji. Jest zaangażowany na całego w bitwę na śnieżki, co chwilę celując kulkami w któregoś z synów. Echo głośnych śmiechów odbija się od drzew, chatki, pobliskich stoków.

Wszyscy biegają, nurkują w śniegu, chowają się za prowizorycznymi barykadami oraz – ku mojemu przerażeniu – tratuja napotkane na swojej drodze rzeźby. Przez ułamek sekundy widzę czerwone gatki Aarona (poszarpane spodnie padły ofiarą bitwy), który mocuje się z tatą przy śnieżnym niedźwiedziu mamy i Ricky'ego. Po chwili ich dzieło jest wspomnieniem. Bliźniaki entuzjastycznie rozwalają słonia autorstwa Theo i Milesa, a ci rzucają się, by obrócić w pył żyrafę Lisy i Kyle'a (temu projektowi od początku nie wróżyłam wielkiej kariery: był ciut za ambitny), za moment biedne zwierzę zostaje zdekapitowane. Rozglądam się po ogródku. Zaledwie godzinę temu był tu czarujący zimowy obrazek: gruba warstwa puszystego śniegu, ludzie pracujący w skupieniu nad swoimi rzeźbami. Teraz wszystko pochłonął chaos. Tu i ówdzie widać wielkie hałdy śniegu, gdzie indziej miękki puch został zdarty do gołej ziemi, która teraz miesza się ze śniegiem i zamarzniętymi resztkami starej trawy.

– Co tu się wyprawia? – pytam Andrew, usiłując przekrzyczeć zamęt.

– To, na co wszyscy czekaliśmy, kładziemy kres tradycji! – odpowiada. Na twarzy ma obłąkany uśmiech, podbiega do małpy i staje przed nią w obronnym geście. Rozkłada ramiona i odzywa się teatralnie: – Mogą zniszczyć tradycję, ale nie pozwolę, by zniszczyli małpkę!

Ogarnia mnie panika. Bitwa na śnieżki potrafi być przednią zabawą, ale nie tak to miało wyglądać. Przecież tym możemy zająć się jutro albo nawet w Wigilię. Przecież jeśli chcielibyśmy wyrzec się tradycji, to... co się stanie dziś wieczorem? Czy tata i Ricky nie będą, jak co roku, wybierać świątecznego drzewka? Czy zamiast polować na najpiękniejszą choinkę, wezmą po prostu pierwszą z brzegu? Czy naprawdę jesteśmy gotowi zapomnieć o tych wszystkich elementach, które czyniły te kilka zimowych dni tak doskonałymi?

Rozkładałam ramiona najszerszej, jak się da, chroniąc nasze dzieło do ostatniej sekundy, jednak uginam się pod naporem śnieżnych pocisków. Kątem oka widzę, jak Andrew wymierza Milesowi cios w krocze, w tym samym momencie Theo robi nura w kierunku naszej małpeczki.

Andrew rzuca się w stronę brata, próbując go zatrzymać, ale jest już za późno. Thea, ostatnie zwierzę ocalałe z hekatomb, rozpada się na kawałki, gdy wbija się w nią kłęb szamoczących się kończyn. W tym momencie widzę Benny'ego, który właśnie znalazł się na ganku.

Powoli się uspokajam i zaczynam przenosić wzrok z jednej osoby na drugą. Dla kogoś z zewnątrz musimy wyglądać na bandę kompletnych idiotów, sapiących jak po maratonie, od stóp do głów pokrytych śniegiem.

Benny schodzi ze schodów, po czym zatrzymuje się i odzywa nieśmiało:

– Zniknąłem raptem na dziesięć minut...

Wszystko zostało obrócone wniwecz i teraz dociera to do świadomości osób zaangażowanych. Oczekuję wybuchów żalu i niedowierzania. Przypuszczam, że Ricky zawyje: „Cóżśmy uczynili?!” czy coś równie dramatycznego. Jednak nic takiego nie następuje. Przeciwnie, gospodarz spogląda na zebranych, po czym wybucha gromkim śmiechem.

– Co się z wami dzieje? – nie wytrzymuję. – Nie rozumiecie? Przecież to szczególny dzień! Nasza tradycja! Nie będziemy w stanie podtrzymać jej przy życiu, jeśli wszyscy nie będziemy o nią dbać!

– Mae! – słyszę, po czym wyczuwam na swoim ramieniu dłoń Andrew.

Nad naszymi głowami rozlega się niepokojący trzask. Podnoszę głowę, by w ostatniej sekundzie zobaczyć wielką gałąź, która właśnie łamie się pod ciężarem śniegu. Obserwuję, jak zaczyna spadać...

Prosto na moją głowę.



Rozdział 11

Kolejna pobudka to już totalna jazda po bandzie. Ocknąwszy się, zaczynam wrzeszczeć na całe gardło, rwać włosy z głowy i rozglądać się wokół w poszukiwaniu resztek rozbryźniętego mózgu, krwawych plam i Bóg wie czego jeszcze. Ale – jak zwykle – nic takiego nie zauważam.

Nie muszę się nawet rozglądać, by wiedzieć, gdzie jestem. I tym razem naprawdę czuję, że jestem na skraju wytrzymałości.

– NIE ROZUMIEM, CO SIĘ DZIEJE! – drę się na cały samolot.

Oczywiście, rozumiem, że dwieście dziewiętnaście osób, zmuszonych dzielić zamkniętą przestrzeń z rozwrzeszczaną wariatką, może nie zachwycać to pytanie, ale mam nadzieję, że tym razem wszechświat łaskawie mnie usłyszy, bo nie mam już żadnego pomysłu, o co mu, do cholery, chodzi.

Tym razem nawet nie próbuję wypytywać ojca, czy to uraz głowy.

Za to podejmuję decyzję, że za wszelką cenę będę ratować chatkę od sprzedaży.

Byłam na najlepszej drodze do tego, by nie pocałować Theo Hollisa.

To co, do jasnej cholery, powinnam była zrobić inaczej?!

Przez samolot przebiega szmer zaniepokojonych głosów. Czuję na sobie spojrzenia całej rodziny. Tym krzykiem udało mi się obudzić nawet

mamę.

Stewardesa pochyła się nad Milesem, by wyszeptać w moją stronę:

– Proszę pani, czy wszystko w porządku?

Srebrne dzwoneczki przyczepione do jej sweterka dźwięczą przeraźliwie w otaczającej nas ciszy.

– Tak, wszystko w porządku – odpowiadam poirytowana, choć jest jasne jak słońce, że to nieprawda. Ale kogo to obchodzi? Nikogo. Przecież i tak żadna z tych osób nie zapamięta tego zdarzenia. – Po prostu po raz nie wiadomo który przeżywam ten sam cholerny dzień, to wszystko. Ale to nic: wylądujemy i jedźmy dalej z tym koksem.

– Czy mogę zaproponować pani jakiś napój? – pyta mnie profesjonalnym, łagodnym tonem.

– Czy to eufemizm „Pani zachowanie wywołuje panikę u pozostałych pasażerów. Może dam pani wina”? – Stewardesa odpowiada uprzejmym uśmiechem. – W każdym razie nie, dziękuję – mówię w końcu. Następnie przechyliłam się przez korytarzyk i łapię wzrok ojca. – Słuchaj, tato, jak dojedziemy do chatki, to pod żadnym pozorem nie jedz tego cholernego ciasteczka.



Gramolimy się z samochodu. Oczywiście jest cudownie, wszyscy na nas czekają i są tak niesamowicie podekscytowani. Jasne, to mój ulubiony moment w roku, otaczają mnie ukochani ludzie, bla, bla, bla. Ale jestem też kompletnie wyczerpana i – Bóg mi świadkiem – nie mam siły przeżywać tego po raz kolejny.

Przy okazji powitalnych uścisków dzielę się również swoją wiedzą, którą przekuwam w praktyczne porady:

– Kennedy, wchodząc do domu, uważaj na Miso. Tato, po raz kolejny, zaklinam cię, nie jedz ciasteczek. Uwaga, czy wszyscy mnie słuchają? Kyle zrobił sobie nowy tatuaż. To nuta, ma ją na ramieniu. Wygląda naprawdę świetnie, ale nie dotykajcie jego skóry, jeszcze się goi. Ricky – kontynuuję swoją tyradę – nie martw się brakiem ginu Hendrick's, wszyscy zadowolą

się Bombayem. A przy okazji, Aaron nie będzie pił, bo właśnie przechodzi kryzys wieku średniego i stroni od artykułów przyspieszających proces starzenia. No właśnie, to nas prowadzi do tematu włosów... Theo, twoja nowa fryzura jest super, ale w tej kwestii i tak nigdy nie miałeś problemów. Liso – ciągnę i nagle zaczynam czuć się nieswojo, wszyscy patrzą na mnie osłupiali – uwielbiam cię, naprawdę! Ale błagam, pozwól Aaronowi wybrać muzykę. – Robię krótką przerwę, po czym dodaję: – A robienie zdjęć pozostaw naszej mamie.

Gdyby nie fakt, że termometr pokazuje kilka stopni na minusie, w zapadającej po moim wywodzie ciszy moglibyśmy usłyszeć cykanie świerszczy.

– Przepraszam, nie chciałam zabrzmieć jak skończona pi... – Przerywam i dodaję z nienaturalną energią: – Uups, dzieciaki, chyba pora założyć słuchawki! Ciocia miała naaaprawdę ciężki dzień. – Wymówiwszy to słowo, wybucham nagłym śmiechem. Phi! Gdyby to był tylko „dzień”! Przez kilka ciągnących się w nieskończoność sekund usiłuję przywołać się do porządku, po czym mówię: – No cóż, wszyscy wiemy, że mam niezbyt mocną głowę, ale gdyby ktoś przypadkiem robił drinki, to piszę się na wódkę zmieszaną z czymś owocowym. Wszystko, byle nie ajerkoniak!

Andrew w odpowiedzi pstryka palcami, a ja zerkam w jego stronę. Oczywiście ma wielkie jak spodki, ale na jego ustach widzę uśmiech. Mój niezawodny, wieczny bohater, och...

– Już się robi, Szalona Maisie!

Czy powinnam pójść za nim do środka? Czy będę chciała jak zawsze flirtować z nim na ganku? Odpowiedź oczywiście brzmi: tak. Ale to nie ma najmniejszego sensu, narobię sobie tylko niepotrzebnych nadziei.

Nagle podnoszę wzrok i gapiąc się w niebo, wypuszczam z siebie długi, przeciągły ryk:

– PO COOO TO WSZYYYSTKOOO?!

Czuję, że ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Maelyn? – odzywa się tata. – Kochanie, co się z tobą dzieje?

– Powiedziałabym, że to długa historia, ale w sumie nie aż taka długa. Więc tak: jestem uwięziona tutaj, uwięziona w tym czasie. – Pozwalam so-

bie na krótki, osobliwy rechocik. – Czy chciałabym przyjeżdżać do tej chatki każdego roku? Zdecydowanie. Ale czy wynika z tego, że mam chęć przeżywać nie wiadomo ile razy dzień dwudziesty grudnia bieżącego roku? Bynajmniej. O nie.

Zarówno tata, jak i mama wyglądają na bardzo przejętych. W końcu mama mówi:

– Może powinniśmy zabrać ją do lekarza...

Tata obrzuca ją pełnym wyrzutem spojrzeniem.

– Ja jestem lekarzem.

Mama wzdycha.

– Przecież wiesz, o co mi chodzi...

– Właściwie to chyba nie wiem.

Narasta we mnie poczucie winy. To początek wyjazdu, a oni już zdążyli się posprzeczać, w dodatku z mojego powodu. Teraz jednak naprawdę nie mam siły się tym zajmować. Niech sobie radzą sami.

Odwracam głowę i patrzę na Benny'ego.

– Musimy pogadać – zwracam się do niego.

Potem zerkam na mamę, przekazując jej niemy komunikat: „Proszę, daj mi chwilę”, po czym oboje z Bennym udajemy się na ganek. Naprawdę uwielbiam swoją mamę, ale w tej chwili niezbędnie potrzebne jest mi spokojne usposobienie Benny'ego.

Wychodząc, próbuję jeszcze zatrzeć pierwsze fatalne wrażenie, całując Kennedy i Zachary'ego w czubek głowy. Niestety, spinają się, gdy się do nich zbliżam.

Ale przynajmniej Kennedy tym razem uważa, żeby nie nadepnąć na psa.

A tata nie rzuca się na podstępne ciasteczko.

Poza tym i tak nikt nic z tego nie zapamięta.



Benny siada koło mnie na ogrodowej huśtawce. W absolutnej ciszy powoli bujam się w przód i w tył. Za drzewami jestem w stanie dostrzec zaledwie zarys domu sąsiadów. Widzę nitkę dymu wijącą się z komina i światło świątecznych lampek migoczących między gałęziami.

GAŁĘZIE.

Podnoszę głowę, rozglądając się czujnie. Po drugiej stronie ogrodu widzę miejsce, w którym feralna gałąź roztrzaskała się na mojej głowie. Wskazuję na nią, mówiąc:

– Jutro mnie nie dorwiesz, ty mendo.

Benny zastyga, zatrzymując huśtawkę.

– Czy zamierzasz mi powiedzieć, co się dzieje?

– To i tak nie będzie miało znaczenia.

– Dlaczego nie? – pyta, uważnie mi się przyglądając.

– Bo po raz czwarty wylądowałam w tym samym dniu, mimo że za każdym razem próbuję zrobić wszystko, by uniknąć powtórki.

– Coś jak w *Dniu Świstaka*?

– To jakiś film?

Przeciąga dłonią po twarzy.

– Boże, ty naprawdę jesteś bardzo młoda. Jeśli chodzi o mnie, to wciąż uważam, że uzależnianie wiosny od tego, jaki cień rzuci świstak, to jedna z najdziwniejszych tradycji, o jakich słyszałem, ale cóż... Tam, skąd pochodzę, wiosna co roku zaczyna się tego samego dnia, niezależnie od poczynań jakiegoś gryzonia. – Widocznie gapię się na niego z wyrazem kompletnego niezrozumienia, bo po chwili uzupełnia swoją wypowiedź: – Tak, owszem, *Dzień Świstaka* to film.

– W takim razie faktycznie coś jak w tym filmie. Niezależnie od tego, co zrobię, za każdym razem doznaję jakiegoś urazu i ląduję z powrotem w samolocie.

– Może powinnaś porozmawiać z...

– Z moim tatą? – wchodzę mu w słowo. – Nie ma mowy. Próbowaliśmy tego dwa obroty temu. Zleciałam ze schodów, po czym znowu... – Ude-

rzam się dłonią w czoło, a na twarzy Benny'ego pojawia się grymas. Widać pojął, co mam na myśli.

– ...wszystko zaczęło się od nowa? – kończy moją myśl.

– Bingo. Z czego wnioskuję, że problem nie tkwi tylko w mojej głowie. – Wznoszę oczy ku niebu. – Czyli jednak nie chodzi o ocalenie chatki, co? – zwracam się do wszechświata.

Pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Zero pożytku z tego wszechświata, beznadzieja.

Benny marszczy brwi.

– Ocalenie chatki? Ale od czego?

Biorę głęboki wdech i decyduję się powiedzieć mu wszystko. Po raz kolejny. Nawet jeśli dobrnę zaledwie do kolejnego dnia, i tak przyda mi się ktoś, kto będzie wiedział. O ajerkoniaku. O lizaniu twarzy. O tym, jakim złamasem okazał się Theo. O tym, jakim aniołem jest Andrew. O wszystkim, czego żałuję. O chatce. O wypadku. O tym, że jestem w tym cholernym czyścicu po raz kolejny... Może to jakoś pomoże.

A może nie.

– O! – Nagle coś sobie przypominam. – Ostatnio poprosiłam cię, żebyś wyjawiał mi jakiś sekret, o którym wiesz tylko ty, byś potem zdołał mi uwierzyć na wypadek, gdyby to niewytłumaczalne zjawisko miało się powtórzyć. Teraz ta ciekawostką będzie jak znalazł!

– O czym ci powiedziałem?

– O tym klubie w Sedonie.

Jego oczy rozszerzają się do niepokojących rozmiarów.

– Serio?

– Owszem – odpowiadam, wzdragając się. – Teraz muszę żyć z tą informacją do końca swoich dni.

Benny wydaje z siebie stłumione:

– Łał.

– Wiem, że to brzmi kompletnie niedorzecznie, ale wydaje mi się, że to wszystko dzieje się z powodu jednej nieśmiałej prośby. Zapytałam wszech-

świat, czy może pokazać mi, co uczyni mnie szczęśliwą, i od tego czasu ten skurczybyk ciągle wysyła mnie w to samo miejsce i w ten sam dzień, w kółko i w kółko, w dodatku bez jakiegokolwiek instrukcji obsługi tej sytuacji – tłumaczę wzburzona. – Faktem jest, że Kocham to miejsce. Owszem, to prawda. I teraz w odpowiedzi na moje lamente zostałam tu umieszczona na zawsze i przeżywam niekończące się święta. Uważaj, o czym marzysz, bo marzenia mogą się spełnić, takie tam... – kończę sentencjonalnie, po czym wybucham maniackalnym chichotem.

Po dłuższej chwili Benny zadaje pytanie:

– No dobrze, a powiedzmy, że nie miałabyś żadnych ograniczeń, jeśli chodzi o skalę swojego życzenia, to o co byś poprosiła? Gdybyś miała do dyspozycji, no wiesz, nieskończoną liczbę możliwości.

Gdy tylko Benny kończy mówić, słyszymy odgłos kroków. Zza drzwi wyłania się Andrew. Zmierza ku nam przez trawnik, niosąc tacę z drinkiem.

– Bardzo proszę – odzywa się, wręczając mi wysoką szklanekę. – Screwdriver. Nie szczędziłem soku – mówi, obdarzając mnie ciepłym uśmiechem. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale jak wiemy, jesteś leciutka jak piórko, Maisie.

Siada na huśtawce między mną a Bennym. Czuję ciepło jego ciała. Moje emocje zaraz sięgną zenitu, a tymczasem namiętność mego życia zaczyna przyglądać się to mnie, to znów Benny'emu, aż w końcu pyta:

– A więc o czym sobie rozmawialiście?

Nie ufaj wszechświatowi, nie ufaj wszechświatowi...

„Rozmawialiśmy o tym, czego na całym świecie pragnę najmocniej, i w tym momencie nagle się pojawiłeś. Niezły zbieg okoliczności, co?”

Rzut oka na Benny'ego wystarczy, by zorientować się, że nie zamierza przyjść mi z pomocą. Muszę sama skonfrontować się z moim wewnętrznym rozdygotaniem.

– Rozmawialiśmy o moim zwariowanym dniu – zaczynam. – Benny zapytał, co uczyniłoby mnie szczęśliwą, i w tym momencie zjawiłeś się ty, z drinkiem w dłoni – objaśniam, zabierając od niego napój. – Bardzo ci dziękuję. Teraz jestem już szczęśliwa. – Upijam spory łyk. No nieźle. An-

drew jako barman zdecydowanie nie bierze jeńców. Nie powiedziałabym, że nie żałował soku. Wprost przeciwnie. Mam nadzieję, że przy wydechu z moich ust nie będzie buchać ogień. Przy dolewce muszę poprosić go o coś bardziej rozcieńzonego.

– To jest naprawdę mocne – mówię na wydechu, przekazując napój Benny'emu, który z kolei odstawia go na stół.

– Rzadko widzę cię w takim stanie jak dziś, Maisie – odpowiada Andrew, chichocząc.

Zaczynam zanosić się kaszlem (ach, ten drink!), po czym odzywam się przez łyż:

– Po prostu zaczęłam żyć w prawdzie...

– Tak, zauważyłem – mówi Andrew, a potem nad moją głowę przenosi wzrok na Benny'ego. – I oczywiście rozumiem. Ale powiedz, czy jesteś na nas zła z jakiegoś konkretnego powodu?

Igiełki poczucia winy zaczynają mnie podszczypywać, czuję, jak przebijają się przez mgłę, która spowija mój umysł. Nie wiem, czy to jakieś odnośniki mojej podświadomości, czy raczej wszechświat po raz kolejny bawi się w przestawianie pionków wedle swego widzimisię, ale nagle uzmysławiam sobie na nowo, jak bardzo kocham tych wszystkich ludzi i jak bardzo muszę się postarać, by następnym razem, gdy odejmie mi rozum, spróbować być dla nich choć odrobinę miłsza.

– Mam nadzieję, że nie zraniłam twojej mamy.

Andrew odpowiada śmiechem.

– Tata twierdzi, że puszcza świąteczny album Boba Dylana już trzeci tydzień. W dodatku już jej mówiliśmy, że jest koszmarne, ale może potrzebowała usłyszeć tę informację od kogoś, kto nie jest jej mężem ani synem. Może twoja interwencja przyniesie bardziej spektakularne efekty – rzuca lekko, po czym marszczy brwi i nieco poważniejszym tonem pyta: – Ale powiedz, skąd wiedziałaś, że tata zapomniał o ginie Hendrick's?

– Ot, przeczucie... – zmyślam na poczekaniu.

Andrew w rozkosznym zamyśleniu wysuwa dolną wargę, po czym kiwa głową, jakby ta odpowiedź była sensowna i całkowicie wiarygodna. Widać,

że radzi sobie z przyswajaniem surrealistycznych informacji prawie tak dobrze jak Benny.

– Jajku, ten sen, który miałaś w samolocie, musiał być naprawdę mocnym przeżyciem. W zeszłym tygodniu śniło mi się, że pracuję w wesołym miasteczku – zaczyna, a ja doceniam to, jak stara się nawiązać do mojej sytuacji. – Potem przez parę dni cały czas miałem poczucie, że muszę lecieć, bo zapomniałem uruchomić stoisko z watą cukrową. To było megastresujące!

Wybucham krótkim śmiechem, po czym zapada cisza. Przez chwilę cała nasza trójka siedzi w milczeniu, wsłuchując się w gwizdzący między drzewami wiatr. W końcu nie wytrzymuję i pytam:

– Ale dlaczego akurat stoisko z watą cukrową?

– Żarty sobie stroisz? – odparowuje Andrew, rzucając mi spojrzenie pełne niedowierzania. – Przecież w wesołym miasteczku to najlepsza fucha!

– Na pewno najbardziej lepiąca – poprawiam go.

Benny kiwa głową na znak, że się ze mną zgadza, po czym zwierza się nam:

– Ja wybrałbym karuzelę.

Na moją twarz wypelza grymas dezaprobaty.

– Sporo sprzątanania cudzych wymiocin.

Andrew wzdraga się z obrzydzeniem, a ja podnoszę na niego wzrok i pytam:

– Myślisz, że ludzie nie będą jeździć do Rygi tuż obok twojego stoiska z watą cukrową? Bo jeśli tak, to muszę cię wyprowadzić z błędu!

Benny zaczyna chichotać, po czym przymyka powieki i unosi twarz ku górze.

– O czym my w ogóle rozmawiamy? – pyta przytomnie.

Słońce już dawno zniknęło za linią gór. Nagle zdaję sobie sprawę, jak straszliwie jestem zmęczona, niemal fizycznie czuję grawitację przyciągającą mnie do ziemi.

– Andrew – odzywam się ostatkiem sił – w przystani będzie okropnie zimno.

Czuję, jak zastyga.

– Skąd wie...

– Kolejne przeczucie.

Następuje chwila przerwy w rozmowie, po czym Andrew stwierdza stanowczo:

– Ta opcja i tak jest o niebo lepsza od piętrowego łóżka w piwnicy.

– Może i tak... – mówię pojednawczo. – W takim razie przynajmniej zopatrz się w śpiwory, leżą w schowku w piwnicy. Proszę, bardzo bym nie chciała, żebyś zamarznął. Musimy zatroszczyć się o co bardziej wystające części twojego ciała, są narażone na odmrożenia.

– Ja... – zaczyna, po czym rzuca mi zdezorientowane spojrzenie. – Śpiwory? – Po chwili mojego milczenia dodaje: – Czyżby kolejne genialne przeczucie?

– Tia.

Na jego twarzy pojawiają się dwa cudowne dołeczki.

– Martwiłaś się o mnie, Maisie?

– Wiecznie się o ciebie martwię – odpowiadam, na poły zartobliwie.

– Szczególnie o te wystające części?

Wyczuwam, jak Benny zapada się coraz głębiej w oparcie huśtawki, jakby marzył o tym, by nagle ulotnić się jak kamfora.

– Zawsze – mówię, po czym dodaję w nagłym przypiływie szczerości: – Przecież wiesz, że kocham cię nad życie! Więc chodź, zbierajmy się, ogarnijmy ci w miarę godne warunki do spania, a potem położmy mnie na zasłużoną drzemkę.

Podnoszę na niego wzrok i zauważam, że wcale się ze mną nie droczy. Ani się nie śmieje. Po prostu patrzy na mnie bardzo uważnie. Nasze spojrzenia się spotykają. Chwila nie mija, trwa coraz dłużej, a ja czuję, jak wzrok Andrew na moment zatrzymuje się na moich ustach. Jego wargi le-

ciutko się rozchylają, jakby coś kompletnie go zaskoczyło, jakby zobaczył w mojej twarzy coś, czego nigdy wcześniej nie dostrzegł.

Och, gdyby tylko to był jego odpowiednik tamtej chwili pod skrzynką z bezpiecznikami... Ta, jasne, kto zabroni dziewczynie marzyć o niebieskich migdałach.

Mimo że usilnie próbuję przywołać się do porządku, to uczucie, że jestem w centrum jego uwagi, działa na mnie niczym narkotyk. Wstaję i od razu tracę równowagę, zaczynam lecieć do tyłu. Obaj panowie rzucają mi się na ratunek, ale Andrew jest szybszy – oburącz łapie mnie pewnym ruchem za przedramiona, nie dopuszczając tym samym do kolejnej mojej podróży w czasoprzestrzeń.

Nie jestem już w stanie tego powstrzymać, wszystkie zapory runęły. Czy to uścisk Andrew jest tym, czego zawsze pragnęłam? To ta chwila, właśnie teraz... Robię krok i wtulam się w jego objęcia.

Potrzebuję tego, dosłownie na moment, na sekundę... Chcę, by w końcu wziął mnie w ramiona i przytulił z okazji innej niż przywitania czy pożegnania. Z początku wyczuwam jego zaskoczenie, ale po chwili jego dłonie splatają się wokół mojej talii. Mocno obejmuję jego kark, przyciągając go bliżej, coraz bliżej...

Powoli otwieram oczy. Czy znów zobaczę wnętrze samolotu? To miałoby sens. Właśnie zachłannie biorę coś dla siebie, myślę tylko o tym, czego chcę, zamiast skupić się na czymś większym i szlachetniejszym.

A jednak wciąż stoję na ganku.

– To ja chyba będę spadał – zaczyna mamrotać Benny, dyskretnie wycofując się w stronę domu.

Dzięki ci, dobry człowieku.

– Hej, wszystko dobrze? – szepcze Andrew prosto w moje włosy.

– Tak – odpowiadam, zamykając oczy i wtulając nos w jego kark. Bijące z niego ciepło i zapach jego skóry sprawiają, że czuję narastającą w gardle gulę ogromnego wzruszenia. Próbuję się uspokoić, licząc, że te uczucia odpłyną, ale ciągle tam są – utknęły jak niepopite wodą lekarstwo.

– Po prostu potrzebowałaś przytulenia, tak?

Słyszę w jego chropowatym głosie uśmiech. Z zawieszonych na jego szyi słuchawek sączy się utwór *Just Like Heaven* zespołu The Cure. Dźwięki są przytłumione przez nasze wtulone w siebie ciała, ale słyszę znaną linię melodyczną. Gdzieś w okolicach mostka wzbiera we mnie fala nostalgii. Setki razy słyszałam tę piosenkę w wykonaniu Andrew. Muzyka płynie w jego żyłach, jest częścią jego DNA, podstawą jego spokojnego szczęścia. Uścisk, w którym trwamy, jest dla mnie jak kołysanka, jak kojąca melodia nucona przez bliską osobę tuż przed zaśnięciem.

Szczerze mówiąc, pragnęłabym zostać w tych objęciach na zawsze, ale cichy głos w środku mówi mi, że nie tego oczekuje ode mnie wszechświat. Zbieram się w sobie, po raz ostatni przyciskam Andrew z całej siły, a potem robię krok w tył.

– Właśnie to przepisał mi pan doktor. Jeden porządny uścisk, Andrew, potrafi zdziałać cuda. A ty potrafisz przytulać naprawdę zacnie.

– No cóż, serdecznie dziękuję za dobre słowo, szanowna pani! – mówi, a ja patrzę na niesamowite loki, które układają mu się nad czołem niczym dojrzałe, błyszczące jeżyny ciężko zwisające z krzaka.

Oczy ma tak błyszczące i tak zielone – może z powodu głębi ich koloru są tak nieodparcie hipnotyzujące. Oblizuje wargi i teraz nie mogę oderwać wzroku właśnie od nich: są pełne, kuszące, takie zapraszające... Andrew odgarnia włosy z czoła, po czym znów pozwala im opaść swobodną kaskadą.

Na krótką chwilę zupełnie tracę kontrolę i pytam go cichutko:

– A co się dzieje z tobą?

W odpowiedzi wybucha śmiechem i odpowiada:

– Ze mną? Chyba z tobą? Cóż to za nowa odsłona Mae? Mae, która domaga się drinków i przytulania?

– Nie będę próbować tłumaczyć, bo i tak byś nie uwierzył – mówię z prostotą.

– No cóż, jakakolwiek by była przyczyna, podoba mi się ta Mae! – odpowiada. – Szczerze mówiąc, sprawiłaś, że czuję się trochę, jakbym był pija-

ny, choć to kompletnie nie ma sensu, bo nic nie piłem. Ale żeby była jasność, to bardzo przyjemne.

Próbuję rozgryźć, co ma na myśli, gdy nagle na jego ustach znów zaczyna tańczyć figlarny uśmiech. Andrew błyskawicznie naciąga mi czapkę na oczy, po czym odchodzi. Zaskoczona zostaję, nie widząc, jak się oddala, ale wciąż słysząc jego śmiech.



Rozdział 12

Mimo że matematycznie rzecz biorąc, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin zjadam dwa identyczne śniadania, staram się podchodzić do nich z takim samym entuzjazmem. Czy próbuję upewnić się, że jedzenia wystarczy dla wszystkich biesiadników? Oczywiście, choć jednocześnie gdzieś z tyłu głowy kołacze mi się myśl, że w piecyku czeka drugie tyle blinów, że i tak nigdy nie skończymy tego posiłku i że tak właściwie to po co, do cholery, zostaliśmy zesłani na ten padół łez. Czy po to, żeby zostawić na stole stosy przepysznych żarcia? O nie, mowy nie ma. Nie na mojej – mi-mowolnej i kompletnie nieprzewidywalnej – warcie.

Andrew przejmuje ode mnie talerz, który właśnie uwolniłam od sporej porcji blinów. Chichocząc, komentuje:

– Widzę, że dzisiejszego poranka wciąż jest z nami konfrontacyjna Mae. Bardzo mi miło znów panią widzieć!

– Słuchaj – odparowuję – tym, co mamy, spokojnie dałoby się wykarmić pięćdziesiątkę wygłodniałych ludzi, więc dajmy sobie spokój z udawaniem, że nie mamy chęci zanurzyć całej twarzy w talerzu tych pyszności. Tym razem możemy sobie naprawdę pofolgować.

Andrew kupuje tę argumentację i nakłada sobie gigantyczną porcję blinów, a następnie – gdy dociera do niego krążący wokół stołu talerz z jajkami i bekonem – bierze sobie dokładkę i tego smakołyku.

– Pewnie niebawem pożałuję... – przyznaje.

Właśnie wsuwam do ust widelec z potężną porcją jedzenia, ale to nie powstrzymuje mnie przed odezwaniem się z pełnymi ustami:

– Czyżby?

Posyła mi uśmiech, który znaczy: „Masz rację, nie pożałuję”.

– Jeśli taka sama energia będzie towarzyszyć ci podczas dzisiejszego lepienia śnieżnych stworów – mówi Aaron, nie wykazując zainteresowania pełnym jedzeniem talerzem, który właśnie do niego dotarł – może ona znacząco wpłynąć na szanse wygranej twojego zespołu. Trudno powiedzieć, czy pozytywnie, czy negatywnie.

Aaron wciąż ma na sobie pizamę. Przychodzi mi na myśl, że może dobrze byłoby ostrzec go, by nie wkładał swojego ekstrawaganckiego stroju, którego właściwości w trakcie bitwy na śnieżki zwrócą się przeciwko niemu. Ostatecznie rezygnuję – nie byłabym w stanie znaleźć w miarę przekonującego wyjaśnienia tego proroctwa. Zamiast tego pytam:

– Co to ma znaczyć?

– Aaron miał chyba na myśli – przychodzi z pomocą Kyle, jednocześnie odbierając od swojego małżonka talerz – że emitujesz specyficzne wibracje, które wydają się odrobinę...

– Nieprzewidywalne – wchodzi mu w słowo tata.

– Chodzi im o to, że zachowujesz się jak wariatka – tłumaczy usłużnie Miles.

– Nie, bynajmniej nie to miałem na myśli – oponuje niemrawo ojciec.

Kennedy właśnie rozgniata naleśniki widelcem.

– Jakiego rodzaju wariatka? – pyta, podnosząc oczy znad talerza.

Miles na chwilę odrywa wzrok od telefonu, by udzielić odpowiedzi:

– Taka szalona.

Słyszając to, Zachary staje na swoim krześle i oznajmia:

– Nie lubię szalików!

– Miles – syczy mama.

– No co?

– Są święta, bądź miły dla siostry.

Kyle usiłuje usadzić Zachary'ego z powrotem na miejscu.

– Gdy tańczyłem u Janet Jackson – odzywa się – nazywaliśmy taki nastrój „zakręconym”.

Andrew rzuca mi znaczące spojrzenie, które odczytuję jako „No i doczekaliśmy się pierwszej wzmianki o Janet”.

– Słowo „zakręcona” dobrze opisuje mój dzisiejszy stan – stwierdzam koncyliacyjnie, nie dodając przy tym, że chociaż moje wibracje są „nieprzewidywalne” i „konfrontacyjne”, to wszyscy poza Aaronem poszli w moje ślady i nałożyli sobie podwójną porcję jedzenia.

Kyle przekazuje pusty talerz w ręce Theo, który zaczyna biadolić nad tym, że to akurat na niego padł obowiązek nałożenia dokładki.

– Mae – słyszę, a podniósłszy głowę, widzę, że Theo przyzywa mnie, lekko wysuwając podbródek.

Po co niby mam z nim iść? Żeby otworzyć piekarnik? Żeby potrzymać talerz, by było mu łatwiej nakładać bliny?

Nie reaguję zgodnie z jego życzeniem, zamiast tego próbuję pokazać, jak bardzo jestem zajęta. Na dowód przyozdabiam bliny gargantuiczną porcją dżemu, jednocześnie mamrocząc pod nosem:

– A co, mam sobie żałować?

Po krótkim namyśle dodaję jeszcze wielką łychę sosu jabłkowego. Patrząc na tę kulinarną konstrukcję, kompletnie ignoruję przerażone spojrzenia współbiesiadników.

– Kochanie – odzywa się łagodnie mama – jesteś pewna, że chcesz zjeść aż tyle?

Nigdy nie kłóczę się z mamą, ale skoro i tak nic z tego nie ma najmniejszego znaczenia...

– Moje oczy są pewne – odpowiadam. – Mój żołądek trochę mniej. Ale to najlepsze bliny, jakie jadłam w tym roku, a któż może wiedzieć, kiedy znów będę miała okazję zatopić w nich zęby. – Spoglądam na Benny'ego i mrugam porozumiewawczo. – No, ja akurat wiem, że taka okazja się nadarzy – dodaję zagadkowo, po czym rzucam się na jedzenie.

Benny patrzy na mnie z troską.

– Spokojnie, Kluseczko. Mogę prosić o dodatki?

Zaskoczona przekazuję sos i dżem w stronę Andrew, który dusi swoje naleśniczki pod obfitą warstwą obu.

– Mae – odzywa się z drugiej strony stołu Kennedy – jeśli zjesz to wszystko, co masz na talerzu, na bank zwymiotujesz.

– Kiedyś zjadłem cztery naleśniki z kawałkami czekolady i zwymiotowałem w samochodzie taty – uzupełnia jej argumentację Zachary.

Kennedy z obrzydzeniem przymyka powieki.

– I potem przez nie wiadomo ile czasu okropnie śmierdziało.

– Tak! Zupełnie jak w metrze – dodaje entuzjastycznie jej brat.

– Kennedy, Zachary! – zatrzymuje ten wątek Aaron. – Przy wspólnym stole żadnych rozmów o wymiotach, bardzo proszę.

– Święte słowa – odzywa się Ricky, usłużnie pomagając w zmianie tematu. – Zamiast tego możemy porozmawiać o rzeźbach. Jakie macie plany na tegoroczną edycję?

Andrew nachyla się do mnie i szepcze:

– Myślałem o pandzie.

Kręcę przecząco głową i odwracam twarz w jego stronę. Teraz jesteśmy od siebie oddaleni o zaledwie parę centymetrów. Widzę malutką plamkę sosu, która przylgnęła tuż pod jego dolną wargą. Już wyobrażam sobie, jak się nachylam, żeby ją zlizać. Cichutki głosik w mojej głowie mruczy: „Po prostu to zrób. I tak nie będzie tego pamiętał...”.

– Zrobimy śnieżną małpę – mówię, zamiast zrealizować ten koncept. – Damy jej na imię Thea i wygramy dzisiejszy konkurs.



Andrew pochyła się, starannie rzeźbiąc małpie rysy. Dookoła nas wszyscy pracują w skupieniu, w zasięgu wzroku nie widać ani jednej śnieżki.

– A więc... w sumie jeszcze o tym nie gadaliśmy, ale cały czas jesteś w Berkeley, tak? Czy z powrotem w Los Angeles?

Patrzę na niego zaskoczona. Oczywiście nie tym pytaniem... To naturalne, że widząc mnie zaledwie parę razy w roku, chce ustalić podstawowe fakty z mojego życia. Tym, co zbija mnie z tropu, jest wzmianka o Mae z Prawdziwego Życia. Dla mnie ta osoba przestała funkcjonować bardzo dawno temu, zastąpiona przez Mae z Chatki lub Mae z Pętli Czasu. Ta, jak widać, spędza większość czasu z Andrew z Chatki. I zupełnie nie wie, czy – i kiedy – wróci do domu. Jeśli te niezapowiedziane skoki będą cały czas mi się przydarzać, możliwe, że nigdy nie opuszczę stanu Utah, a mityczny Prawdziwy Świat nawet nie zauważy mojego zniknięcia.

Powoli wypuszczam powietrze i odpowiadam:

– Taaak, Los Angeles nie do końca się sprawdziło.

Prawda jest następująca: Podjęłam niewłaściwą decyzję i przyjąłam słabą ofertę pracy. Byłam świeżynką prosto po studiach, a mała firma start-upowa zaproponowała mi posadę grafika. Zgodziłam się, mimo że zaoferoowali marniutką pensję, a ja wiedziałam, że muszę utrzymać się za te pieniądze w jednym z najdroższych miast świata. Kiedy wróciłam do domu, by wprowadzić się z powrotem do mamy – i jej nowego męża – szybko wyparłam palące uczucie wstydu i poczułam ogromną ulgę spowodowaną błogą świadomością, że nie muszę opłacać większości wydatków, robiąc debet na karcie kredytowej. Ale teraz, dwa lata później, nie czułam się już rozsądną, trzeźwo myślącą osobą. Byłam osobą, która skazała się na porażkę.

– Ale... żyje ci się dobrze?

– No wiesz – zaczynam – nie muszę płacić czynszu i mogę spędzać czas z Milesem, kiedy tylko wyrazi na to zgodę, to na plus. Z drugiej strony śpię w tym samym łóżeczku, w którym spałam jako dziecko, i wiem doskonale, jak brzmi moja matka uprawiająca seks ze swoim nowym partnerem, więc sprecyzuj, co to znaczy „dobrze”.

Na jego twarzy pojawia się grymas. Andrew wypuszcza z siebie jęk pod tytułem „Ach, czemu każesz mi to sobie wyobrażać...”.

– Cierpię, słuchając tego, więc ty musisz cierpieć, wyobrażając to sobie. Prosta sprawa.

– To spróbuję inaczej. Jak tam w pracy?

Ładuję trochę więcej śniegu w okolicy brzucha naszej małpy.

– Może być.

– Spokojnie – odzywa się głębokim, rozwibrowanym głosem, który sprawia, że w dół krzyża przebiega mi dreszcz. – Nie musisz się aż tak ekscytować!

Ta przewrotna wypowiedź sprawia, że trochę się rozluźniam.

– Wybacz... Po prostu biorąc tę robotę, myślałam, że moje zadania będą trochę bardziej kreatywne, a mniej... komputerowo-dobijające.

– Myślałem, że pracujesz z dziećmi?

Wzruszam ramionami, ogarnia mnie dziwne odrętwienie.

– Ten program okazał się odbiegać od moich wyobrażeń.

Mało powiedziane. Kiedy przeprowadziłam się z powrotem do domu, zaczęłam starać się o pracę w jednej z organizacji non profit, której celem było wdrażanie bezpłatnych, innowacyjnych programów mających na celu rozwój dzieci z trudnych środowisk. Mam podwójny dyplom: ze sztuk graficznych (mama zachęcała do podążania za marzeniami) i finansów (tata uczył, że należy praktycznie podchodzić do życia), więc wysunęłam propozycję cyklu popołudniowych zajęć w centrum Berkeley – dzieciaki miałyby się uczyć podstaw grafiki i projektowania. W idealnym świecie ja prowadziłabym te zajęcia, a młodzież mogłaby budować swoje portfolio, a nawet przy tym zarabiać, oferując niedrogie projekty graficzne lokalnym firmom.

– Szefowa nie chciała wdrożyć twojego planu? – pyta Andrew, jednocześnie używając kciuka, by delikatnie odgarnąć z małpki śnieg, który właśnie oprószył jej głowę.

– O nie, to nie tak. Planem była zachwycona – odpowiadam. – Spędziłyśmy bity rok, zastanawiając się nad szczegółami, takimi jak finansowanie programu, potrzebna kwota, urządzenie zbiórki, system licencjonowania, no i oczywiście rozważając kwestie kadrowe.

– Jasne, ten etap dobrze pamiętam z twoich wcześniejszych opowieści.

– No właśnie, więc kogo zatrudnić, to szefowa akurat wiedziała. Tego lata zaangażowała do prowadzenia tych zajęć swoją przyjaciółkę.

Andrew wydaje z siebie pełen współczucia jęk.

– Czeka! Czy to znaczy, że po tych wszystkich przygotowaniach... ty przy tym nawet nie pracujesz?

Potrząsam głową.

– Neda, moja szefowa, stwierdziła, że skoro mam dyplom księgowej, to powinnam zajmować się przy tym programie właśnie tą działką.

– Czyli pracujesz jako księgowa?

– Tak, plus trochę jeszcze siedzę nad stroną internetową. Ale zasadniczo ogarniam finanse. I to pochłania większość mojego czasu. – Kucam koło naszej małpki, wgniatając w jej potężne już uda nieco więcej śniegu. – Nie miałam okazji poznać ani jednego z uczniów, bo system licencjonowania, który wybrałyśmy, właściwie to ja wybrałam, zakłada, że dla dobra młodzieży w zajęciach nie może uczestniczyć żadna osoba dorosła poza prowadzącym. Sama zasada jest świetna, system też, tylko nie podoba mi się rola, którą odgrywam.

– Słuchaj, nie chcę udzielać ci nieproszonych rad, ale... Czy myślałaś o tym, żeby zrezygnować? Mówiłaś, że zaletą mieszkania w domu jest posiadanie poduszki bezpieczeństwa.

Nie jest pierwszą osobą, która wysunęła tę propozycję. Mira, moja przyjaciółka ze studiów, próbuje przekonać mnie do rzucenia tej roboty od ładnych paru miesięcy. Niestety, jestem fatalna w skokach na głęboką wodę, do tego za każdym razem natykam się na odwieczny problem jajka i kury. Gdybym znalazła inną pracę, to owszem mogłabym odejść, ale szukanie innej pracy oznaczałoby przyznanie się do tego, że mam zamiar odejść... i tak dalej. Ten upiorny kołowrót kompletnie mnie paraliżuje.

– Ech – zdobywam się na błyskotliwą odpowiedź.

Andrew marszczy brwi, rzucając mi pełne współczucia spojrzenie.

– Strasznie mi przykro, Maisie. To brzmi okropnie.

Faktycznie, tak właśnie jest. Ale teraz nie jestem w stanie dłużej koncentrować się na tym wątku, bo zaczynam myśleć o tym, co dzieje się wokół nas, a raczej co się nie dzieje. Wszyscy pracują w zupełnej ciszy i absolutnym skupieniu. Andrew i ja jesteśmy jedynym zespołem, który pozwolił

sobie na pogawędkę. Nie widzę wokół roześmianych twarzy, nie słyszę pełnych ekscytacji pisków, którymi rozbrzmiewał ogródek podczas śnieżnej bitwy. Widzę natomiast, że wszyscy w skupieniu pracują, cyzelując swoje rzeźby, tak jak robimy to każdego roku. To jest właśnie nasza tradycja, nasza rutyna. Ale zauważam, że nikt – nawet Ricky – wcale się tą pracą nie rozkoszuje.

Bitwa na śnieżki była spontaniczna i pełna nieskrępowanej, beztroskiej zabawy. Wywołała uśmiech na absolutnie każdej twarzy, sprawiła, że poczuliśmy się jeszcze bardziej zżyci, połączeni nowym doświadczeniem. Niepotrzebnie próbowałam jej zapobiec.

– Nie tak to powinno wyglądać – mówię na głos.

Andrew patrzy na mnie, po czym przenosi wzrok na członków naszych rodzin.

– Co nie powinno tak wyglądać?

– No, zobacz. Wszyscy ruszają się jak pozbawione radości cyborgi. Po co my to w ogóle robimy?

– Bo to tradycja – oznajmia Andrew takim tonem, jakby była to absolutna oczywistość.

Poniekąd ma oczywiście rację, ale komu z tu zgromadzonych naprawdę wciąż zależy na tym, by ją podtrzymać? Andrew przenosi wzrok z jednej drużyny na drugą. Wszyscy lepią śnieżne stwory w ponurym skupieniu.

Wstaję, szczerząc do niego zęby, po czym znów pochylam się, by chwycić w dłoń garść śniegu, który zaraz zamienię w śnieżkę. Rozglądam się po przyszlým polu bitwy, szukając potencjalnej ofiary.

– Pytanie brzmi: kto na to zasłużył.

Andrew pochyla się gwałtownie, by zacząć formować własny pocisk. Bez wahania odpowiada:

– Theo.

– A może bardziej Miles?

– A może twój tata?

– O, mój tata to zdecydowanie! – odpowiadam.

– Nie zapominajmy też o mojej mamie, wciąż puszcza fatalną muzykę, mimo że wyraźnie jej tego zabroniłaś – wysuwa nową kandydaturę Andrew.

– A Kyle przenigdy nie ma kaca, choćby nie wiem ile wypił. To naprawdę niesprawiedliwe.

Andrew potakuje, po czym pyta:

– Myślisz, że śnieżka zostałaaby pochłonięta przez czarną dziurę na głowie Aarona?

– Warto sprawdzić – odpowiadam – rozwój nauki jest w naszych rękach, poważna sprawa.

– Ale pomyśl, jest jeszcze Benny – waha się Andrew – który siedzi sobie na frontowych schodkach z kubkiem gorącej kawy, podczas gdy my tu harujemy.

– Bo ma olej w głowie.

– Do licha z nim i jego znakomitymi decyzjami! – mówi zabawnie Andrew, przerzucając śnieżną kulę z jednej ręki do drugiej.

– A zatem decyzja zapadła: Benny. Liczę do trzech. Uwaga! – zapowiadam. – Jeden...

– Dwa...

– Trzy...

Wymierzamy pierwsze śnieżki w nic nieprzeczuwającego Benny'ego. Moja uderza go w ramię, natomiast ta, którą rzucił Andrew, trafia go w sam środek klatki piersiowej. W pierwszej chwili Benny rzuca nam spojrzenie pełne wyrzutu, jakbyśmy właśnie dopuścili się straszliwej zdrady. Coś jednak w tym spojrzeniu zmienia się, gdy obserwuje mnie i Andrew, stojących razem w ogródku, schylających się, by naszykować kolejne śnieżne kule. Może wyczytał to z mojego spojrzenia, a może sam zauważył, jak bardzo Andrew potrzebuje przełamania rutyny (kto wie, może zorientował się nawet, że liczę na ten zwrot akcji?). Dość, że sam schyla się po okazałą porcję śniegu, którą jako tako zlepia, po czym celuje kulą prosto w Ricky'ego.

W ciągu paru sekund kompletnie tracę rachubę. Już nie wiem, kto walnął we mnie, kto uderzył w Andrew i kiedy nasza Thea została rozbita w pył. Dookoła widzę tylko wznoszące się tumany puszystej bieli. Jedyne, co wiem na pewno, to to, że śmiech moich bliskich, ganiających się między ośnieżonymi zboczami, to jeden z najwspanialszych dźwięków, jakie znam.

Kolejne małe zwycięstwo.



Rozdział 13

Centrum Ogrodnicze Park City przez większość roku działa zgodnie ze swoją nazwą – jest po prostu centrum ogrodniczym. Za to każdej zimy zamienia się w skrzącą się różnymi barwami, rozświetloną magiczną krainę. Mały zielony budynek zazwyczaj jest królestwem przyborów ogrodniczych i roślin, w grudniu jednak można znaleźć w nim wspaniałe świąteczne wieńce oraz szeroki wybór dekoracji i prezentów. Nad głowami klientów wisi łańcuch lampek, a z zadaszonych części zamiast wiosennych kwiatów zwieszają się girlandy ostrokrzewu, doniczki z gwiazdą bielejską czy miniaturowymi jodłami. W środku jest nawet miejsce z ogniskiem, przy którym można usiąść i nieco się ogrzać. Pracownicy chodzą po budynku, rozdając klientom grzany cydr.

Zwykle to tata i Ricky stawiają czoło dzikim tłumom, ale dziś wieczorem to ja stwierdziłam, że muszę wyrwać się z chatki. Skoro moja dotychczasowa strategia wydaje się działać, poszłam za ciosem – powiedziałam Andrew, że chciałabym, aby wybrał się ze mną. Nasi ojcowie skwapliwie przyjęli propozycję, dzięki której mogli uniknąć starcia z tabunem świątecznych zakupowiczów, podwieźli nas i poprosili o telefon, jak już będziemy mieli drzewko gotowe do załadowania, po czym wybrali się do pobliskiej kawiarni na coś gorącego.

Przedzierając się przez tłum, cały czas czuję na sobie wzrok Andrew. Wywołuje to u mnie osobliwą reakcję – jednocześnie oblewa mnie zimny pot i ogarnia fala wściekłego gorąca. Postanawiam przełamać tę dziwność rozmową.

– Nie zdążyłam zapytać o twoją sytuację zawodową! – mówię, starając się wyminąć parę, która ukucnęła, by przyjrzeć się cenom choinek.

– Byłaś zbyt zajęta rozpętywaniem wojny na śnieżki.

Wybucham śmiechem, ale nie odpuszczam:

– Jak się mają sprawy w Denver?

– Jestem teraz w dziwnym położeniu – odpowiada. – Mam absolutnie fantastyczną posadę z absolutnie zerowymi możliwościami rozwoju. Jedyne stanowisko nade mną to główny inżynier dźwięku, a zajmuje je koleś, który jest zaledwie pięć lat ode mnie starszy. Myślę, że nigdy nie będzie chciał odejść z Red Rocks.

Andrew zawsze był strasznie wkręcony w takie rzeczy, pieszczotliwie nazywaliśmy go dźwiękowym świrem. W szkole zapisywał się na każde zajęcia, które miały coś wspólnego z muzyką, w wolnym czasie tropił koncerty. Gdy jakiś zespół występował w okolicy, to był tam też Andrew. Zazdroszczę mu tej pasji. Podejrzewam, że chętnie wykonywałby swoją pracę nawet bez wynagrodzenia.

– Myślałeś kiedyś o tym, żeby zająć się produkcją muzyczną?

Kręci przecząco głową.

– Nie mam w sobie tyle mentalnej intensywności, żeby odnaleźć się w tej branży.

– To może chcesz, żebym pozbyła się tego mitycznego współpracownika? Wiesz, może moje problemy zawodowe rozwiąże odkrycie w sobie zabójcy na zlecenie.

Andrew szczerzy do mnie zęby, po czym poważnieje i mówi:

– Chciałem ci powiedzieć, że jestem przekonany, że znajdziesz swoją ścieżkę, Mae. Jesteś naprawdę niesamowicie zdolna. Artystyczne jabłko nie mogło paść zbyt daleko od artystycznej jabłoni.

Jego niezachwiana wiara w mój talent jest naprawdę wzmacniająca.

– Dzięki, Mandrew.

– Słuchaj, to może ci się wydać dziwne, ale... Czy ktoś ci kiedyś stawiał tarota? – pyta nieoczekiwanie.

– Serio pytasz?

Odpowiada śmiechem.

– Eee, no tak.

– Nie – przyznaję. – Przede wszystkim dlatego, że nie przepadam za otrzymywaniem kiepskich wiadomości.

– Mnie się zdarzyło – odpowiada, po czym podnosi ręce i zaczyna zapewniać mnie żarliwie: – Wiem, że to brzmi idiotycznie. Wierz mi, naprawdę sam miałem wrażenie, że to jakiś żart. Ale byłem na imprezie, na której jedna kobieta stawiała te karty. Powiedziała mi, że trzeba być prawdziwym złamasem, by komuś wróżyć tragiczne losy, i że ona by tak nigdy nie zrobiła.

– Myślisz, że powinnam pójść do tarocistki, by odkryć swoją ścieżkę kariery? – pytam, po cichu myśląc, że ostatnią rzeczą, której potrzebuję, jest igranie z kosmiczną energią w jeszcze szerszym zakresie.

– Po prostu wydaje mi się, że to mogłoby coś w tobie uruchomić – mówi łagodnie, po czym wzrusza ramionami. – Tak właśnie było w moim przypadku.

Przechodząca obok kobieta uderza mnie niechcący łokciem. Przystawiony do ust kubek z grzanym cydrem niebezpiecznie się przechyla i gorący płyn ścieka mi po ręce. Wydaję z siebie syknięcie, poparzenie jest małe, ale bardzo bolesne.

– Myślisz, że zawsze jest tutaj tyle ludzi? Nie wiedziałam, że pozostali mieszkańcy Park City są w sztuce prokrastynacji równie biegli jak my – mówię, lekko się pochylając i zlizując gorący płyn z palców.

Może to tylko moja rozszalała wyobraźnia, ale jestem prawie pewna, że Andrew patrzy na tę czynność jak zaczarowany.

– Wydaje mi się, że większość tego tłumu nie składa się z mieszkańców, tylko z takich wczasowiczów jak my, którzy przyjechali tu na święta i w ostatniej chwili przypomnieli sobie, że nie mają drzewka – mówi, po

czym wkłada obie ręce do kieszeni. – Tata zawsze narzekał, że tuż przed Wigilią jest tu piekło i szatani.

– A wyobrażasz sobie tu zaparkować? O matko! W sumie dlaczego nie prosimy ich co roku, żeby nas tu podrzucali, a potem jechali gdzieś dalej i tam na nas poczekali? Tak chyba byłoby wygodniej.

W odpowiedzi Andrew rzuca mi spojrzenie, z którego wyczytuję, że to było naprawdę niemądre pytanie. „Nie robimy tego, bo przez lata funkcjonowaliśmy inaczej” – mówią jego oczy. „Tradycja, te sprawy”. Ile rzeczy ułatwiamy w ten sam sposób, bez chwili refleksji, automatycznie, po prostu dlatego, że tak robiliśmy zawsze? Te same potrawy na każdy posiłek, te same gry każdego wspólnego wieczoru, rozgrywane zawsze w tych samych drużynach. Te same piosenki towarzyszące nam podczas czasu spędzanego razem. A ja jestem najgorsza ze wszystkich – nie chcę odpuścić ani jednego, najdrobniejszego nawet elementu.

Uświadamiam to sobie, a wtedy w mojej głowie zapala się lampka.

Świąteczna muzyka gra nad naszymi głowami, Andrew idzie obok mnie niemalże tanecznym krokiem. Nagle zaczynam się zastanawiać, czy on też po latach nie zaczął się dusić pod kożuchem świątecznych tradycji. Czy my wszyscy to przeżywamy, ale nikt tego nie zauważył?

– Czy ty przypadkiem nie znienawidziłeś tych zwyczajów? – pytam wprost. – No wiesz, śnieżnych rzeźb i tych wszystkich gier?

Udziela mi odpowiedzi dopiero po chwili namysłu.

– Uwielbiam jazdę na sankach i... nie, nie nienawidzę reszty. Ale tak, przyznaję, że czasem miałbym chęć na drobną odmianę. Robimy dokładnie te same rzeczy przez całe życie – mówi, po czym wskazuje na piękny, idealnie symetryczny okaz daglezji. – Co sądzisz o tej?

Drapię się po nosie i potrząsam głową.

– Wiem, że rodzice uwielbiają gościć wszystkich w święta – wraca do poprzedniego tematu. – Ale nie masz czasem chęci wskoczyć do samolotu i wybrać się w jakieś kompletnie odjechane miejsce? Być na Wigilię w Grecji, a Nowy Rok witać w Londynie? – Zanim zdążę udzielić odpowiedzi, wskazuje palcem kolejne drzewko. – Może ta?

– Nie...

– Twoje „nie” odnosiło się do drzewka czy do wypadu w odjechane miejsce?

Posyłam mu uśmiech, po czym odpowiadam:

– Do obu kwestii. No bo wiesz... Nowy Rok w Londynie? Czy ten scenariusz jest w stanie pomieścić całą naszą czeredę, czy moglibyśmy tam być wszyscy razem?

Jego oczy błyszczą, a wzdłuż mojego kręgosłupa przebiega błogi dreszcz. Przysięgam, że nigdy wcześniej nie patrzył na mnie w ten sposób. Wydaje się, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

– Oczywiście, że tak.

– W takim razie brzmi super! Mimo że chatka jest moim ulubionym miejscem na całej planecie, to też uważam, że powiew świeżości jest całkiem niezgorszym pomysłem. Może po prostu powinniśmy robić różne rzeczy dlatego, że je uwielbiamy, a nie dlatego, że robiliśmy je zawsze. – Milknę na chwilę, starannie układając sobie w głowie pytanie, które mam zamiar za chwilę zadać. – Andrew?

Głowę ma teraz zadartą, jest zajęty podziwianiem wybujałego iglaka. Płatki śniegu sypią się z nieba i wirując, opadają na nasze twarze.

– Mhm?

– Chatka wymaga sporo pracy, prawda?

Uśmiech powoli znika z jego warg. Patrzy na mnie i odpowiada poważnie:

– No tak, sporo.

– Na przykład?

– Na przykład przydałoby się cyklinowanie podłóg – zaczyna wyliczać. – Dobrze byłoby pomalować ściany w środku i na zewnątrz. Poza tym wszystkie sprzęty są mniej więcej w moim wieku. No i warto byłoby położyć nowy dach.

– Ile kosztuje nowy dach? – pytam, czując narastającą w okolicach żołądka nieprzyjemną gulę.

– Bardzo ostrożna wycena opiewała na dwanaście tysięcy dolarów – odpowiada.

Aha, czyli już zdążyli to sprawdzić.

– A jeśli zdecydowalibyśmy się na cedrowy gont, czyli oryginalny materiał, to mogłoby wyjść ponad dwa razy tyle. Nie mówiąc o tym, że jakby zacząć przy tym wszystkim grzebać, to mogłoby się okazać, że trzeba byłoby wymienić jeszcze inne elementy konstrukcji... i tak dalej, i tak dalej.

Jasny gwint.

No dobra, po prostu o to zapytam.

– Twoi rodzice myślą o sprzedaży, prawda?

Andrew nie wydaje się zaskoczony tym pytaniem.

– Tak sądzę.

– A ty i Theo? Też chcecie sprzedać ten dom?

Zręcznie wymija dwójkę dzieci grających w berka wokół dużego drzewka.

– Ja nie, ale ja siedzę w Denver. Nie sądzę, że powinienem się wtrącać i zachęcać do tego, żeby zachować dom, jeśli nie jestem na miejscu, żeby służyć pomocą. A Theo właśnie kupił kawałek ziemi w Ogden, ma zamiar się budować, więc też nie będzie w pobliżu i nie będzie miał zbyt wiele czasu. A mama i tata nie są już tak pełni energii i tak elastyczni jak kiedyś. Chatka to dla tej dwójki naprawdę spore wyzwanie, szczególnie gdy mają sobie z nim poradzić kompletnie sami.

– No tak, ale... Co z nami? Przecież my wszyscy moglibyśmy pomóc.

Andrew zatrzymuje się i patrzy na mnie.

– Wy mieszkacie w Kalifornii, a Kyle i Aaron w Nowym Jorku.

– No tak, miałam na myśli to, że moglibyśmy przyjechać pomóc w trakcie roku.

Niesforny kosmyk wrywa się spod jego czapki na wolność. Wzrok Andrew wciąż jest utkwiony we mnie, jestem tak odurzona, że aż kręci mi się w głowie.

– Tata jest dumny – mówi Andrew, zerkając pospiesznie nad moim ramieniem, jakby chciał się upewnić, że wzmiankowany ojciec właśnie nie wychynął zza węgła. – Nie lubi prosić o pomoc i jest fatalny w jej przyjmowaniu, nawet gdy ktoś mu ją zaproponuje. A jeżeli ta propozycja wychodzi od nas, dzieci, to już w ogóle nie ma mowy.

Wiem, że to prawda. Pamiętam czasy, kiedy Ricky błagał mamę, żeby w chatce nie zajmowała się gotowaniem – nie wiedział jeszcze, że nikt nie jest w stanie jej powstrzymać. Ale w tym wszystkim nie chodzi przecież tylko o pomoc ze strony innych rodziców. Czai się we mnie bestia, która już przebiera pazurami, usiłując wydostać się na zewnątrz. Tak bardzo nie chcę już dłużej być dzieckiem.

– Ale przecież nie jesteśmy już dziećmi.

Andrew znów obrzuca mnie przeciągłym spojrzeniem, przesuwając wzrokiem po mojej twarzy. Na dłuższą chwilę zatrzymuje się przy ustach.

– Już od dłuższego czasu nie jesteśmy dziećmi – odpowiada.

To zdanie przynosi taki efekt, jakbym właśnie zażyła środek na zwiótczenie mięśni.

– A twoi rodzice uwielbiają mieć gości, wiem. I uwielbiają być rodzicami. I jeszcze uwielbiają zajmować się jak najtroskliwiej nami wszystkimi. Ale to jest moment, gdy to właśnie my wszyscy musimy wkroczyć do akcji.

Andrew powoli rusza z miejsca.

– Mówisz to tak, jakby twoi rodzice nie przepadali za rolą rodziców.

Intuicyjnie przełączam się na tryb ostrożnego dobierania słów.

– Wiesz, mama jest absolutnie cudowna i szalenie opiekuńcza. Ale ich relacja zawsze była bardzo skomplikowana. Czasem ciężko im było to wszystko ogarnąć.

– W sumie nigdy nie rozmawialiśmy o tym, że twoi rodzice są rozwiedzeni, a mimo to wciąż co roku przyjeżdżają na wspólne święta.

– Mąż mamy, Victor...

– Ten typ, który spędza Wigilię z dala od swojej żony? – pyta Andrew, rzucając mi zaczepne spojrzenie.

– Dokładnie ten. Ma dwie córki, każda z nich zdążyła już założyć rodzinę. Obie mieszkają na Wschodnim Wybrzeżu, w związku z czym – mimo że na co dzień świata poza moją mamą nie widzi – cieszy się, że może spędzić święta z dziećmi i wnukami, bez komplikacji w postaci przyrodnich braci i siostr. Wiem, że to brzmi dosyć głupio, bo powinnam przecież być dorosła i nie dbać o takie rzeczy jak to, czy tatuś i mamusia są razem w święta, ale ten jeden, jedyny tydzień w roku zachowujemy się tak, jakbyśmy znowu byli rodziną.

– Wcale nie uważam, że to głupie – odpowiada Andrew. – Kiedyś bardzo ci współczułem.

Jestem zbита z tropu tą nagłą zmianą tematu.

– Mnie?

Kiwa głową w odpowiedzi.

– Ale dlaczego?

Andrew rzuca mi takie spojrzenie, jakby to było oczywiste.

– Nie no, naprawdę. Powiedz mi dlaczego.

– Bo przez kilka lat obserwowałem, ile trudu wkładasz w to, żeby twoi rodzice wciąż byli razem, gdy spędzaliśmy święta w chatce. Ale było oczywiste, że nie są już, no wiesz... razem. Owszem, fizycznie wszyscy byliście obecni w jednej przestrzeni, ale były momenty kiedy wydawałaś się z tego powodu... strasznie smutna – mówi. – Pamiętam, że tego roku, kiedy ogłosili wszem wobec, że się rozwodzą, wyglądało, jakbyś znów mogła odechnąć pełną pierś. – Gapię się na niego z otwartymi ustami totalnie zaskoczona. On to wszystko zauważył? – Przepraszam cię. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nie powinienem był...

– Nie musisz – wchodzę mu w słowo. – Nie musisz przeproszać. Jestem po prostu zaskoczona tym, że tyle byłeś w stanie dostrzec.

– Znam cię od początku twojego życia, Mae. Jak mógłbym to przeoczyć? – pyta, posyłając mi uśmiech. – A tego roku nagle pojawiaasz się w tej impulsywnej odsłonie, jesteś energiczna jak nigdy, wywracasz oczekiwania wszystkich do góry nogami, mówisz nam, co mamy robić.

– Po prostu staram się spojrzeć na wszystko z innej, świeższej perspektywy. No wiesz, muszę w końcu dorosnąć. Tak mi się wydaje.

Andrew strzepuje nieco puszystego śniegu z mijanej właśnie gałęzi.

– Wjeżdżasz w te święta jak buldożer.

W tym momencie budzą się we mnie rebelianckie instynkty.

– Nie, po prostu widzę jak na dłoni życie, które się przede mną rozciąga, i myślę sobie: „A może by tak dla odmiany sięgnąć po to, czego naprawdę pragnę?”

– I pragniesz dodatkowej porcji dżemu i sosu jabłkowego – żartuje. – I drinków na ganku. I śnieżnych bitew.

Kolejne słowa wystrzeliwują ze mnie same, kompletnie bez kontroli:

– Pragnę ciebie.

Uśmiech na jego wargach na chwilę zastyga, po czym powoli wraca.

– Mnie? – pyta, po czym wypuszcza z siebie krótki, niezręczny śmiešek. – No to spójrz, jestem cały twój! – dodaje, szerokim gestem wskazując wszystko, co nas otacza, ośnieżone drzewka i migoczące nad naszymi głowami lampki.

– Chodzi o coś więcej niż twoje towarzystwo przy stoisku z iglakami. I myślę, że dobrze o tym wiesz – mówię, a serce wali mi jak młotem. – Ale możemy udawać, że wcale tego nie powiedziałam, żeby nie zrobiło się między nami dziwnie.

Andrew patrzy na mnie, a we mnie wzbierają naraz duma i absolutne przerażenie. Widzę, że zupełnie nie wie, jak zareagować.

– Czy to znaczy... W sensie, że... – Podnosi pytająco brew.

W moich żyłach buzuje adrenalina.

– Tak. W takim właśnie sensie.

– Ale założyłem, że ty i Theo...

– Nie.

– Ale on...

– Może on, ale nie ja. – Zbiera się we mnie fala poczucia winy, więc uczciwie dodaję: – Nigdy tak o nim nie myślałam.

– Och – odpowiada Andrew, a ja nawet w tym oświetleniu zauważam, że cały oblewa się rumieńcem.

Czy właśnie zdusiłam w zarodku to, co zaczęło się tlić między nami? Może. Ale właściwie mogę potraktować to jako ćwiczenia na poligonie. Następnym razem gdy wrócę do punktu wyjścia, będę wiedziała, czego mam NIE mówić.

– No, chodź. – Ciągnę go za rękaw. – Znajdźmy w końcu jakieś drzewko.

Ruszamy, a milczenie między nami jest niczym ogromny głąz. Trzeszczący pod naszymi butami śnieg, odgłosy przetykania, gdy Andrew zaczyna pić cydr. Wszystko wydaje się wielokrotnie głośniejsze, a ja w popłochu szukam tematów do rozmowy. Nie jestem w stanie wymyślić ani jednego, gdy w końcu odzywa się Andrew:

– Masz jakieś postanowienia na nadchodzący rok? Jakies cele?

O Boże, co za męczarnia. Wszystkie odpowiedzi, które przychodzą mi na myśl, nie nadają się do powiedzenia na głos. Bo czy mam powiedzieć: „Chciałabym zrozumieć, czemu podróżuję w czasie” lub – co akurat wydaje się kompletnie absurdałne i absolutnie niewykonalne – „Chciałabym pocałować cię w usta”? A może: „Chciałabym zrezygnować z pracy”?

Chwila, moment...

– Tak, właściwie to mam.

Ten impuls dociera do mnie jak objawienie. Błyskawicznie wyciągam telefon i zaczynam pisać maila do szefowej.

Nedo, proszę uznać tę wiadomość za moją rezygnację z miesięcznym wyprzedzeniem. Bardzo doceniam wszystkie możliwości, które roztoczyłaś przede mną, ale jestem gotowa otworzyć się na nowe wyzwania. Z przyjemnością porozmawiam o tym po przerwie świątecznej.

Pozdrawiam
Maelyn

Nie daję sobie ani chwili na wątpliwości i naciskam „Wyślij”. Biorę głęboki wdech, potem powoli wypuszczam powietrze z płuc. Neda umie docenić konkret i szczerść. Wszystko jest w porządku.

O mój Boże, naprawdę to zrobiłam! Uczucie ulgi spływa na mnie i otula niczym ciężka puchowa kołdra.

– Rety, przyjemne uczucie.

– Ale jakie? – pyta zdezorientowany Andrew.

Szczerzę do niego zęby i odpowiadam:

– Właśnie rzuciłam pracę.

– Ty... w sensie, że teraz? – Unosi brwi tak wysoko, że znikają pod burzą kędziorów. – Łał. Okej. Naprawdę walczysz z przeciwnościami na poważnie, co?

– Staram się – odpowiadam, przymykając powieki i biorąc kolejny głęboki wdech. – To już był najwyższy czas. I mam nadzieję, że to wiele zmieni.

– Jak mogłoby nie zmienić? Przecież to megaważna decyzja!

Podnoszę na niego wzrok.

– Czasem trudno się zorientować, który wybór jest właściwy, póki się go nie dokona. Tak mi się wydaje.

– O tak, masz absolutną rację! – odpowiada, zatrzymując się przed jedną z choinek. Rozkłada ramiona tak, jakby chciał ją zamknąć w uścisku. – Czyż to nie jest ta jedyna?

Nie, nie jest.

Przed wypadkiem moją największą obawą było to, że cokolwiek się zmieni. Ale czy prośba, którą wystosowałam do wszechświata, nie dotyczyła tak naprawdę właśnie tego? Żeby zmieniło się WSZYSTKO?

– Żadna z tych tutaj mi się nie podoba – stwierdzam bez ogródek.

– To są, dosłownie, idealne drzewka – odpowiada Andrew.

– I chyba o to właśnie mi chodzi.

„Zmiana może być dobra” – powtarzam w myślach.

Przepycham się między iglakami, aż docieram do ostatniego rządka, w którym stoją poukrywane trefne okazy – przerzedzone w najbardziej widocznych miejscach, spłaszczone z jednej strony, za niskie, zbyt powykręcane.

Właśnie tam znajduję choinkę obdarzoną każdą z powyższych cech. Wskazuję na nią i mówię:

– Weźmiemy tę.

Andrew wybucha śmiechem.

– Tata dostanie wylewu, jak zobaczy, że akurat ten okaz chcemy upchnąć w samochodzie.

– Nie sądzę – oznajmiam stanowczo, czując, że jestem w stanie zmierzyć się z oporem Andrew. – Jestem pewna, że nic takiego się nie wydarzy.



Rozdział 14

Podczas gdy Ricky i tata wyciągają zakupioną przez nas choinkę z wozu, po czym próbują ją postawić, bliźniaki wraz z Lisą nurkują w pudłach z ozdobami, poszukując swoich ulubionych, które zamierzają powiesić w pierwszej kolejności, ja zaś siadam w rogu pokoju, usiłując oswoić się z nową energią, którą czuję gdzieś w środku. Każdego roku – ba, nawet tego roku – ja też buszowałam na dywanie razem z dziećmi, przeglądając dekoracje. Ale zmiana oznacza przecież nie tylko zwierzenie się Andrew z uczuć, jakie żywię w stosunku do niego, czy odejście z pracy, oznacza też poluzowanie więzi z tradycją i zostawienie choinki w rękach Kennedy i Zachary'ego.

Skoro już chcę się pakować w rolę dorosłego, to chyba powinnam zacząć nieco więcej pomagać, na przykład nie zostawiać Benny'ego i Aarona samych ze sprzątnięciem pozostałości po upojnym koktajlowym popołudniu.

Zbieram szklanki i kieliszki, po czym zanoszę je do kuchni. Po drodze zauważam kolejne szczegóły, na które długo nie zwracałam uwagi. Zadrapania na drewnianej podłodze, widoczne przetarcia na balustradzie (widać, że przez lata nasze dłonie opierały się w tych samych miejscach), farba łuszcząca się w okolicach listew, prawie całkowicie wyblakła przy drzwiach i w korytarzu. Nagle widzę to wszystko wyraźnie, po raz pierw-

szy bez różowych okularów nostalgii i przywiązania. Tak, ten dom jest miejscem przez wszystkich ukochanym, ale jest również naprawdę bardzo zniszczony. Część z tych spraw to kosmetyka, ale są też poważniejsze, związane z trudnymi warunkami atmosferycznymi: przez jedną trzecią roku chatka musi radzić sobie z mrozem i śnieżycami, podobną ilość czasu jest narażona na upał i suszę. Aby przetrwać, potrzebuje znacznie więcej niż tylko ciepłych spojrzeń i pracy dwóch par rąk: Ricky'ego i Lisy.

Z tyłu słyszę kroki Benny'ego. Podchodzi akurat, gdy ładuję do zmywarki brudne naczynia.

– Hej, Mayday – odzywa się.

– Hey, Benihana! – odpowiadam.

– Jak tam wybieranie drzewek? – pyta, a ja słyszę, jak przez jego australijski akcent przebija się nuta uśmiechu.

Odwracam się w jego stronę i opieram o zlew.

– W sumie to było naprawdę super.

Wygląda na zaintrygowanego.

– Super? – dopytuje. – Widziałem tę kupkę nieszczęścia i gałęzi. Stwierdziłem, że byliście zmuszeni wziąć ostatnią, która została.

– No coś ty – odpowiadam. – Musisz przyznać, że trudno nie kochać tej biedaczki. Widzieliśmy, że jeśli jej nie uratujemy, to skończy jako opał... Chyba to nie dziwne, że chcieliśmy ocalić ją przed tym losem? – Benny kwituje tę tyradę lekkim uniesieniem brwi, jakby czekał na ciąg dalszy. Zerkam przez ramię, by się upewnić, że jesteśmy sami, i dodaję nieco ciszej: – Ale to nie dlatego było tak super – mówię, po czym milknę na chwilę, przygryzając czubek kciuka. – Było super, bo... powiedziałam Andrew, co do niego czuję.

Oczy Benny'ego robią się wielkie jak spodki.

– Naprawdę to zrobiłaś?

– No tak – potwierdzam. – Nie było to może coś równie spektakularnego, jak dajmy na to: „Pragnę cię, Andrew. Gdybyś w tej chwili padł na kolana, by mi się oświadczyć, to bez chwili wahania powiedziałabym »tak«”,

ale było blisko. Żartowaliśmy na temat tego, jak to w tym tygodniu sięgam po to, czego chcę, i powiedziałam, że chcę właśnie jego.

– Łał! – dziwi się Benny, po czym składa obie dłonie i w wyrazie kompletnego zaskoczenia zbliża je do ust.

– Poza tym zrezygnowałam z pracy.

Zaskoczenie Benny'ego wzrasta, robi krok w moją stronę, pytając:

– Co proszę?

– Dobrze słyszałeś. Wysłałam szefowej maila z informacją, że odchodzę.

– Tak po prostu? I to... teraz? W trakcie wyprawy po choinkę?

– Tak! I to było fantastyczne! Takie uwalniające! Jakby spłynęło na mnie objawienie czy coś w tym rodzaju. No dobra, będę musiała poszukać sobie nowej pracy, ale właściwie co z tego? Czy to takie straszne?

Benny mruga szybko powiekami.

– Czy ty to naprawdę właśnie powiedziałaś, czy coś mi się przesyłało?

Wzruszam ramionami, po czym rozglądam się wokół siebie, jakbym chciała się upewnić, że sufit nie runie nam na głowę. Dziwne to wszystko.

– No dobra – przyznaję. – Może ta wypowiedź była odrobinę zbyt optymistyczna.

– Ale... – wcina się Benny. – Co powiedział Andrew na twoje wyznanie.

– W sumie to niewiele – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Nie było to jakieś potwornie niezręczne, ale też nie spotkałam się z reakcją typu: „Uff, co za ulga. Przez lata czułem do ciebie to samo, ale nic nie mówiłem”.

Mój umysł powoli się uspokaja. Z każdą chwilą, kiedy jestem tu, w chatce, a nie budzę się znów na pokładzie samolotu, zaczynam coraz trzeźwiej patrzeć na rzeczywistość. I właśnie w tym momencie czuję nieprzyjemny dreszcz zawstydzenia. Orientuję się, że było znacznie gorzej, niż to właśnie przedstawiłam.

– Yyy... to znaczy... okej, może było dość niezręcznie.

– Andrew jest naprawdę zrelaksowanym gościem – przypomina mi oczywistą prawdę Benny. – Potrzebuje trochę czasu na konkretną reakcję.

Może i racja, ale...

– W sumie to nie powiedział prawie nic.

– Jest Amerykaninem o australijskiej duszy – pociesza mnie z uśmiechem Benny. – Musi to wszystko przegryźć w spokoju.

Przysuwam sobie kuchenne krzeselko i siadam, opierając się o stół. Benny robi to samo.

– Może i tak, ale nawet jeśli nigdy nie wróci do tego tematu, to... jakoś to zniosę – mówię. – Jeżeli już mam przeżywać ten wyjazd nie wiadomo ile razy, to równie dobrze mogę wyrzucić z siebie całą prawdę przynajmniej raz.

– W sumie to nie masz pewności, że będziesz to robić jeszcze parę razy – komentuje przytomnie Benny.

Sama też zaczęłam brać pod uwagę, że może być różnie.

– Faktycznie. Przeżyłam już prawie dwa dni! – zauważam, a on w odpowiedzi wyciąga do mnie rękę, jakby chciał przybić mi gratulacyjną piątkę.

Przez chwilę jego dłoń zawisa w powietrzu, aż w końcu delikatnie dotykam jej palcem wskazującym, jakbym nie chciała zapeszyć.

– Oi! – protestuje charakterystycznym australijskim zawołaniem.

W korytarzu wybucha rozchichotana wrzawa. Okazuje się, że to mama i Kyle, którzy właśnie zostali nakryci pod jemiolą, jak zwykle nieoczekiwanie zmieniającą miejsce pobytu (jeszcze chwilę temu wisiała w salonie). Oboje z Bennym uśmiechamy się, patrząc, jak mama wybucha niepowstrzymanym śmiechem, gdy Kyle składa na jej policzku buziaka.

Pora jednak wrócić do meritum sprawy.

– Jutro będzie dwudziesty drugi grudnia, czyli dzień trzeci – oceniam.

– Chyba można to uznać za sukces?

– Hm, może i tak, ale wydaje mi się, że zaczynam widzieć w tym wszystkim pewną prawidłowość – odpowiadam, po czym odliczam na palcach: – Za pierwszym razem zostałam odesłana z powrotem do samolotu w trakcie pierwszej nocy. Za drugim razem dotrwałam tutaj tylko do drugiego poranka. Więc jest spora szansa, że tym razem dobrnę do trzeciego dnia, czyli do jutra, ale potem znów będę musiała zacząć od początku. – Mówiąc to na głos, zdaję sobie sprawę, jakie to upiorne. Życ w pętli czasu, która za

każdym razem pozwala dodać do rzeczywistości zaledwie jeden dzień?
Istna tortura.

– Może to nie jest jedyny scenariusz – pociesza mnie Benny, ujmując moje dłonie. – Wcześniej żyłaś tak ostrożnie, przed tyloma rzeczami się powstrzymywałaś... Może tym razem nie chodzi o podejmowanie idealnych decyzji, ale o takie, które podejmujesz ze względu na siebie i swoje pragnienia? Może tego właśnie potrzebujesz?

– A może ta cała sprawa nie ma nic wspólnego ze mną? Rety, sama już nie wiem – wzdycham zrezygnowana. – Ale czuję się wyczerpana ciągłym zgadywaniem i nieustannym zważaniem na każdy kolejny krok.

Nachyla się ku mnie i posyła mi porozumiewawczy uśmiech.

– O tym właśnie mówię.



Ta wymiana zdań cały czas dźwięczy mi w uszach, gdy idę za Bennym do salonu. Wnętrze opanowały bliźnięta i ich dekoratorski szaf. Kyle zajęty jest mieszaniem drinków, które wciska każdemu, kto wykaże choć cień zainteresowania. Aaron zaległ na kanapie w swoim idealnie skrojonym dresiku, a tata mocuje się z choinkowym stojakiem, leżąc plackiem pod drzewkiem. Podchodzi do mnie Theo, w dłoni trzyma przygotowany dla mnie napój (ma sporo bąbelków, za to niewiele lodu) udekorowany plasterkiem limonki. Na jego twarzy malują się niepewność i poczucie winy, tak jakby czuł ciężar tego epizodu, który położył się cieniem na naszej relacji – epizodu, o którym przecież nie ma prawa wiedzieć.

Nie miałam wcześniej okazji zastanowić się nad zmianą, która zaszła. Owszem, wiem, że wszyscy pozostali mogą pozwolić sobie na luksus trwania w niewiedzy, ja jednak nie mam tego przywileju. Nasz błąd – spotęgowany przez dziwaczne zachowanie Theo następnego poranka – spowodował pęknięcie w delikatnej tkance odwiecznych relacji łączących członków naszej grupy. To niestety nie ulega wątpliwości.

Znamy się przez całe życie, przyjaźnimy od tylu lat. Czy naprawdę Theo nie był w stanie zdobyć się na normalną rozmowę o naszych niefortun-

nych obściskiwankach? Przecież ta ekipa przetrwała znacznie gorsze przypadki, jak chociażby rozwód moich rodziców. Wydawało mi się, że o wiele mniej dramatyczny zwrot akcji nie będzie jakimś wielkim problemem, ale może nie doceniłam powagi sytuacji. A tak bardzo chciałabym zachować te wszystkie więzi.

Pochyliłam się, wachając podawany mi napój.

– To tylko woda gazowana – wyjaśnia Theo, w jego głosie słyszę nutę urazy.

– A! Dzięki.

– Może potem coś porobimy?

Upijam łyk.

– Na przykład co?

– Posiedzimy na dole. Gadaliśmy z Milesem o tym, żeby pograć w coś po kolacji.

O, takiej konkretnej propozycji się nie spodziewałam.

– Konsola czy planszówki?

– Wszystko jedno, co tylko będziesz chciała. Bo w sumie to ledwo miałem okazję z tobą posiedzieć, odkąd przyjechałaś.

Czy naprawdę tak mocno tkwimy w naszych dzieciennych przyzwyczajeniach, że aby spędzić razem czas, musimy umówić się na granie w gry?

Otwieram usta, by udzielić odpowiedzi, ale w tym momencie odzywa się Aaron, który właśnie wcisnął się między rozwieszające dekoracje mamę i Lisę.

– Interesujący wybór – komentuje drzewko, po czym usiłuje sam przyozdobić je jedną z zabawek. Na kilometr widać, że znów się przetrenował, bo podnosząc rękę, krzywi się. Ostatecznie poprzestaje na wrzuceniu ozdoby na jedną z gałązek. – Czy nie było żadnych normalnych choinek?

– Mae chciała wziąć właśnie tę – odzywa się Andrew, stojący po drugiej stronie naszej pociesznej sosenki. – Mnie tam się podoba.

Moja klatka piersiowa wypełnia się rozkosznym ciepłkiem.

Mama podchodzi do mnie i przytula się, kładąc mi brodę na ramieniu.

– Zgadzam się z przedmówcą – mówi, po czym zaczyna wesoło podśpiewywać.

Słyszę jej głos i nagle się orientuję, jak w moim żołądku zaczyna pęcznieć gula. Głos mamy napawa mnie instynktownym poczuciem, że zrobiłam coś nie tak. Jakimś cudem przez ostatnią godzinę byłam w stanie zepchnąć do podświadomości problem tego, jak oznajmić mamie, że właśnie rzuciłam robotę, w dodatku wiedziona bliżej nieokreśloną potrzebą chwili, na domiar złego nie mając bladego pojęcia, jaki będzie mój kolejny krok.

„To nie ma najmniejszego znaczenia” – uspokajam sama siebie. „I tak żadna z tych rzeczy nie przetrwa”.

Mama całuje mnie, mówiąc:

– Kocham cię, Kluseczko!

Czuję na policzku znajome ciepło jej oddechu i postanawiam, że wszystko jej powiem. Ale później. Jeśli okaże się, że naprawdę muszę to zrobić.

Abstrahując od żartów o nieoczywistej urodzie choinki, mam wrażenie, że wszyscy jednak poczuli tego bluesa co ja. Gdzieś w tle słychać dobiegające od strony telewizora odgłosy filmu *W krzywym zwierciadle: Witaj, Święty Mikołaju*. Wszyscy jednym okiem śledzą zmagania Clarka Griswolda z gigantycznym drzewkiem, jednocześnie robią wszystko, by zamienić naszą drobną i niepozorną sosenkę w prawdziwą piękność, ozdobioną lampkami i zabawkami oraz obwieszoną girlandami z popcornu (mama i bliźniaki poświęciły na zrobienie tego cuda cały miniony wieczór). Gdy kończymy dzieło zdobienia, cały pokój wibruje radosną świąteczną atmosferą, a masa ozdób wszelkiej maści jest tak ogromna, że ledwo wystaje spod nich kształt naszej sosenki. Ale i tak ta choinka jest absolutnie doskonała.

Nie da się tego samego powiedzieć o procesie robienia grupowego zdjęcia na jej tle. Cała operacja zajmuje prawie pół godziny. Przy takiej liczbie ludzi może zdarzyć się parę felernych ujęć, na których ktoś będzie miał zamknięte oczy albo głupią minę – na to jesteśmy przygotowani. Ale mierzymy się ze znacznie poważniejszymi trudnościami. Lisie co prawda udało się ulokować statyw na odpowiedniej wysokości, ale nastawienie samowy-

zwalacza na odpowiedni czas okazuje się już zadaniem wykraczającym poza jej możliwości. W efekcie na dwóch zdjęciach Zachary dłubie w nosie, na trzecim usiłuje tymi wykopaliskami nakarmić Miso, na kolejnym Miles kicha, poza tym na żadnym nie udaje się uchwycić błysków, jakie rzucają świąteczne kolczyki naszej mamy. Jest też fotka, na której Theo gapi się prosto w swój telefon, i inna, na której sprawdza, czy nie ma przypadkiem rozpiętego rozporka (owszem, ma). I zdjęcie z Miso podskakującą tak, że skutecznie zasłania całą grupę. Na następnym psina skacze radośnie na Kennedy. Kolejne minuty upływają nam na próbie uspokojenia zwierzaka. Gdy w końcu się to udaje, otrzymujemy ujęcie, na którym Ricky całuje się z Lisą. Na kolejnych fotkach nie jest w stanie utrzymać normalnego wyrazu twarzy. Jednym słowem im dłużej próbujemy, tym gorzej nam idzie.

Usiłuję nieustannie pamiętać, że zmiana oznacza również, że nie muszę jęczeć: „Aleee to tradycja!”, więc spokojnie obserwuję, jak Theo bierze sprawy w swoje ręce i zastępuje aparat Lisy swoim telefonem, którym błyskawicznie robi jedną jedyną fotkę.

Dobra wiadomość: wszyscy jesteśmy w kadrze. To już coś. Zła wiadomość: ostrość ustawiona jest na potraktowane rozświetlaczem czoło Kyle’a, które wygląda na zdjęciu niczym mieniącą się kula dyskotekowa.

– Walić to – kwituje całą sprawę Theo, słysząc dźwięk minutnika dobiegający od strony piecyka. – Ujdzie w tłoku.



Gdy jesteśmy już obzarci jak węże boa, zaczynamy rozchodzić się po salonie, wszyscy w błogim, spokojnym milczeniu.

Salon w tym domu jest naprawdę majestatyczny: wysokie sklepienie zachwyca grubymi belkami stropowymi, na starych drewnianych podłogach leżą pięknie tkane dywany. Przy jednej ze ścian znajduje się kominek, ogień wesoło trzaska, ogrzewając całe pomieszczenie do temperatury, która jest po prostu idealna – dwa stopnie wyżej i byłoby odrobinę za gorąco. Czuję zapach drewna, które Ricky od lat kupuje w najbliższym mieście, nic nie równa się tej woni. Gdybym mogła, kupowałabym perfumy, które

pachną właśnie tak. Gdybym mogła, sprawiłabym, żeby każdy salon w absolutnie każdym domu pachniał właśnie tak jak chatka Hollisów w długie grudniowe wieczory.

Palenisko jest dość obszerne i bardzo wysokie. Gdy mieliśmy siedem lat, pod koniec wyjazdu dostaliśmy zadanie wygarnięcia popiołu. Pamiętam, że Theo mógł stanąć w środku niemal na baczność.

Teraz widzę, jak języki ognia budzą się do życia, najpierw się skradają, a potem wybuchają z nieoczekiwaną siłą. Nawet kiedy ogień dogasa i płomień są ledwo widoczne, i tak czuję, jakbyśmy dzielili to pomieszczenie z żywym dzikim stworzeniem czającym się gdzieś w kominku.

Na stoliku kawowym czekają ułożone w miseczce ciastka. Mama i tata zajęli miejsca po przeciwnych stronach szeslonga, każde zatopione w lekturze. Benny, Kyle i Aaron zajęci są układaniem puzzli z Kennedy. W tym czasie Zachary dosiada pleców Benny'ego, udając, że jest mknącym na maszynie motocyklistą. Świąteczna muzyka delikatnie plumka gdzieś w tle, Lisa krząta się po salonie – zapala świece, przesuwa pogrzebaczem rozgrzane drewno i proponuje nam kocyki. Ricky rozmawia w kuchni przez telefon, Theo zalega na kanapie, skrolując ekran.

Ten widok przypomina mi o jednym z wieczorów, który spędziliśmy właśnie w ten sposób, siedząc obok siebie i śledząc kolejne instagramowe obrazki i relacje, kompletnie nieczuli na to, co nas otacza. Gdy teraz o tym myślę, to nasze nastoletnie zachowanie wydaje mi się strasznie głupkowskie. Dlaczego po prostu nie spędziliśmy czasu z resztą? No i jak często się tak zachowywaliśmy? Czy to dlatego Andrew założył, że Theo i ja...?

Może gdybym spędzała te wieczory, w pełni ciesząc się rytuałami i błogością, jaką napełnia mnie świadomość, że jestem w pokoju pełnym ukochanych ludzi, sprawy potoczyłyby się inaczej.

Wsuwam się pod choinkę i kładę na plecach. Przyglądam się powykrzywianym gałązkom. Widzę istny kalejdoskop barw i kształtów: od gładkich i lśniących światełek aż po ostre, chropowate sosnowe igielki. Misternie zdobione szkło, cienkie metalowe gwiazdki, malutki drewniany perkusista, którego Theo podarował swojemu tacie prawie dwie dekady temu. Laminowany papier, wycinany z wzornika, który dostaliśmy w przedszkolu,

bliżej nieokreślone ceramiczne kształty, które lepiliśmy jako dzieci, próbując bezskutecznie nadać im formę krów, świnek czy piesków. Nic tu do siebie nie pasuje, brak motywu przewodniego. Są za to morze miłości i ocean historii, jakie wiążą się z każdą z tych ozdób.

Nagle ciepło i światło bijące od kominka przysłania jakiś cień. Odwracam głowę i widzę Andrew, który wśliznąwszy się pod drzewko, jest tuż obok, bardzo blisko mnie.

Moje serce wykonuje niekontrolowanego fikołka. Po tej sytuacji w centrum ogrodniczym nie jestem pewna, czy nie próbuje trzymać się ode mnie z daleka.

– To mi wygląda na niezły pomysł – odzywa się, przybierając identyczną pozycję jak ja przed chwilą. Podziwia obficie przyozdobione gałązki. Jego profil jest teraz rzęsiście oświetlony przez błękity, żółcie i zielenie. Przez papierowe wycinanki sączy się snop kolorowego światła, na jego kościach policzkowych pojawia się delikatny rzucik. – No i wspaniale tu pachnie.

– Pięknie, prawda? – mówię, wsuwając się głębiej pod drzewko, by zrobić mu więcej miejsca. Zastanawiam się, jak wyglądamy z zewnątrz. Obserwator może podziwiać dwie pary nóg sterczących spod drzewka niczym kończyny Złej Czarownicy ze Wschodu, uwięzionej pod chatką bajkowej Dorotki. – To znakomite miejsce do pograżania się w zadumie.

– No i nad czym tak dumałaś? – pyta.

– Nad tym, jak bardzo przepadam za tym drzewkiem.

Nagle nachyla się ku mnie i kciukiem delikatnie zbiera coś z mojego policzka. Przez moje ciało przebiega niemal elektryczny dreszcz. Dopiero po dłuższej chwili jestem w stanie skoncentrować się na tyle, żeby zobaczyć, co mi pokazuje.

– Kropla wody – tłumaczy.

– Och.

– Musiała spaść z drzewka.

Natychmiastowe skojarzenie sprawia, że wybucham śmiechem i pytam:

– Czyżbyś znów ośmielał się sugerować, że mam problem z nawilżeniem?

Andrew parę razy mruga, po czym również zaczyna histerycznie chichotać.

– Że cooo?

O cholera. Nie ta oś czasu. To było w tej poprzedniej. Jasny gwint, Andrew nie ma prawa rozumieć, o co chodzi w tym żarcie.

– Proszę, uznajmy, że te słowa nie padły – mówię.

Nic z tego. Jego oczy rozbłysły zainteresowaniem.

– Czy ty naprawdę właśnie powiedziałaś coś o problemie z nawilżeniem?

– Nie – odpowiadam. Zaraz umrę z poczucia niezręczności. – Tak – poprawiam się, po czym przygryzam wargę. – Po prostu to zignoruj, dobrze? Przejdźmy do kolejnego tematu.

Widzę, że jest w nastroju kota, który chętnie pobawiłby się z myszką nieco dłużej, ale zamiast tego wzrusza ramionami i marudnym głosem intonuje przeciągle:

– Nooo doooobra. – Następnie podnosi głowę i patrząc na gałązki, zagaża znanym mi dyszkantem: – Maisie?

– Tak, Mandrew?

– Wiesz, co właśnie do mnie dotarło?

– Co właśnie do ciebie dotarło?

– Kupiliśmy tę choinkę jakieś, ja wiem... dwie godziny temu. A co, jeśli wciąż siedzi na niej jakaś wiewióreczka?

Gapimy się na siebie szeroko otwartymi oczami, po czym w tym samym momencie wydajemy z siebie wrzask:

– AAAAAA!

Zdążyłam już kompletnie zapomnieć o telefonie, który tkwi w mojej kieszeni. Właśnie przypomina o sobie bzycczeniem, które wcina się w nasz histeryczny wybuch śmiechu. Nie ma teraz na świecie osoby, z którą chciałabym rozmawiać, a która nie byłaby obecna w tym pokoju. W związku z tym decyduję się zignorować to bzycczenie... Niestety. Odzywa się po raz kolejny. I kolejny.

– Twój tyłek chyba wibruje – komentuje oczywisty fakt Andrew.

– Jeśli to moja szefowa, która zdecydowała się właśnie teraz odpisać na mojego maila, to będę potrzebowała czegoś znacznie mocniejszego niż woda gazowana – mówię, wyciągając z kieszeni telefon.

Wiadomość jednak nie przysłała od Nedy. Na wyświetlaczu widzę numer Theo.

Co tam porabiasz

Zero interpunkcji, zero kontekstu. Typowy Theo posługujący się telefonem w taki sposób, jakby wciąż był nastolatkiem.

Siedzę sobie z Mandrew.

Chodź tutaj i posiedź ze mną

Nagle słyszę stłumiony wybuch śmiechu i orientuję się, że Andrew czyta mi przez ramię.

– Widzisz?

Czuję, jak wnętrzności wywracają mi się na lewą stronę.

– Co mam widzieć? – rżnę głupa.

Ruchem podbródka wskazuje na telefon.

– Nie spędzasz z nim czasu, więc robi się marudny.

– To nie tak, po prostu wcześniej sobie gadaliśmy – protestuję.

– Jesteś na niego zła? – pyta Andrew nieoczekiwanie.

Głośno przelękam ślinę, zatapiając wzrok w lampkach. Mieniające się barwami światelka coraz bardziej się rozmazują.

– Nie do końca.

– Co w tym kontekście znaczy „nie do końca”?

Odwracam głowę w jego stronę. Widzę, jak szybko mruga powiekami, brwi ma ściągnięte.

– Trudno to wyjaśnić – przyznaję. – Nie jestem na niego zła. Jestem po prostu świadoma tego, że jesteśmy bliskimi sobie ludźmi tylko dlatego, że znamy się od lat, a nie dlatego, że jesteśmy... naprawdę bliskimi sobie ludźmi – tłumaczę nieporadnie, po czym wzruszam ramionami. – Ale to chyba normalne. Po prostu oddaliśmy się od siebie z biegiem lat, tak to chyba bywa, gdy ludzie dorastają...

Słyszając te słowa, uśmiecha się i mówi:

– Mae...

Odwzajemniam uśmiech.

– Tak?

Odchrząkuje w absolutnie uroczy sposób, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że teraz oto poruszy ważny temat.

– Jeśli chodzi o to, o czym mówiłaś wcześniej...

Och.

– Tak? – Mordercze połączenie serca walącego niczym młot pneumatyczny i wywijającego fikołki żołądka sprawia, że robi mi się słabo.

– Doceniam twoją szczerłość – mówi w końcu.

Yyy. Najgorsza rzecz, którą można usłyszeć w takiej sytuacji.

– Nie musisz obchodzić się ze mną aż tak łagodnie – rzucam i żeby zamaskować swoją prawdziwą reakcję, żartobliwie lekko go uderzam.

Przypadkowo potrącona choinka momentalnie zaczyna się trząść.

– Andrew! Mae! Co wy tam wyprawiacie? – krzyczy w naszą stronę mama.

– Nic! – odpowiadamy chórem.

– No dobrze, ale bardzo proszę nie trząść drzewkiem! – upomina nas.

Znowu chórek:

– Nie będziemy!

Andrew znów zwraca głowę w moją stronę i pyta:

– Jesteś pewna, że Theo nie myśli, że coś do niego czujesz?

– Czy właśnie próbujesz mi zakomunikować, że on tak uważa?

– Nie, to nie tak, ale uznałem, że skoro ja to tak odbieram, to może Theo też mógł pomyśleć, że...

Takie buty... No faktycznie, jeśli Theo żyje w przekonaniu, że darzę go uczuciem, to pewnie tłumaczyłoby jego oziębłe zachowanie w poranek po tym, jak odepchnęłam go w trakcie naszej ajerkoniakowej macanki.

Kręcę głową. Andrew odwraca głowę pod takim kątem, że światła lampek uniemożliwiają mi dostrzeżenie, co maluje się na jego twarzy.

– Może to trochę dziwne, ale martwiłem się o ciebie. Bałem się, że... – mówi lekko zacukany. – No, że nie wiem, zaczniecie się spotykać i dasz się zranić.

Nie łapię, o co w tym wszystkim chodzi. Andrew martwił się, że zaczną się spotykać z Theo, który złamie mi serce? Czy ktoś właśnie wywrócił świat do góry nogami?

– No faktycznie, to bardzo dziwne – potwierdzam zdezorientowana.

W odpowiedzi Andrew wzrusza ramionami i wyjaśnia:

– On jest typem... no wiesz... gracza. Zdobywcy. A ty jesteś dobra.

To niezręczne sformułowanie przyprawia mnie o wybuch śmiechu.

– Ja jestem dobra?

– Nie chodziło mi o to, że jesteś dobra w sensie romantycznym albo... no nie wiem... seksualnym – płacze się, a ja słyszę w jego głosie napięcie. – Nie żebym cokolwiek o tym wiedział. Chodziło mi o twoją duszę.

– O czym ty w ogóle mówisz, Andrew? – pytam zadowolona, że ta rozmowa zastała mnie w pozycji leżącej.

– Okej, kiepski dobór słów. Chodziło mi o to, że jesteś dobrym człowiekiem – stwierdza, po czym odwraca się i patrzy prosto na mnie. Jesteśmy teraz naprawdę blisko. – Uwielbiasz tu przyjeżdżać, kochasz każdego z nas takim, jakim jest. Jesteś jedną z najbardziej wspaniałomyślnych i najmniej oceniających osób, jakie znam.

– Nie jestem...

– Wprowadziłaś się z powrotem do domu, gdy twoi rodzice się rozeszli – kontynuuje niezrażony moim protestem. – Uwielbiałaś tę norkę, w której mieszkałaś, i poświęciłaś to, żeby być ze swoją rodziną w chwili, gdy cię potrzebowała. Zaopiekowałaś się Milesem, pomogłaś swojej mamie.

Przygryzam wargę, czując, że cała promienieję pod gradem tych komplementów.

– Pamiętasz, jak deweloper zaczął budować te apartamenty za nami? – pyta Andrew. – Strasznie się tym martwiłaś, bo wiedziałaś, jak bardzo nasz tata lubi patrzeć na drzewa, pijąc poranną kawę. No i obawiałaś się, że mieszkające blisko sarenki nie będą miały gdzie pójść. A Theo był zadowolony, bo dla niego ta wycinka oznaczała przede wszystkim mniej liści do grabienia.

Wybucham śmiechem. Tamto wspomnienie wraca do mnie jak przez mgłę. Nie sądziłam, że próba łagodnego dania komuś kosza może być aż tak misterna i rozbudowana. To wszystko jest jednocześnie niezwykle czule i łagodne, a zarazem pełne niewypowiedzianej niezręczności.

– No, w każdym razie to zagrożenie naprawdę ani przez chwilę nie było realne. Theo nigdy mi się nie podobał. Poza tym... przepraszam, jeśli to, co ci powiedziałam, sprawiło, że teraz jest jakoś dziwnie.

Wyciąga rękę, by podrapać się po policzku. Nie jestem w stanie odwrócić wzroku. Jeszcze nigdy nie byłam aż tak blisko jego twarzy. Andrew ma parodniowy zarost, ale włoski wydają się bardzo miękkie. Z tej odległości jestem w stanie rozróżnić co najmniej cztery odcienie zieleni, którymi mienia się jego tęczęwki, a kiedy zwilża wargi językiem, mój puls dwukrotnie przyspiesza.

– Chcę przez to wszystko powiedzieć, że wiedziałem zawsze, że to jest... – mówi, zacinając się. – Usiłuje dobrać odpowiednie słowa, a ja mam wrażenie, że mój mózg przypomina teraz wnętrze Wielkiego Zderzacza Hadronów. Wiedział, że to jest co?! – Zawsze cię podziwiałem – podejmuje wątek Andrew. – Jesteś jedną z tych osób, z którymi nie chciałbym nigdy stracić kontaktu. Mam nadzieję, że po rozmowie przy choinkach wcale nie będzie między nami dziwnie – dodaje, patrząc mi prosto w oczy. – Nie

wiem, czy odpowiedziałem tak, jak powinienem. A wtedy, zaraz po tym, jak mi to powiedziałaś... byłem po prostu zaskoczony.

– Nie ma sprawy. Ja też byłem zaskoczona tym, że to powiedziałam – odpowiadam szczerze.

Uśmiecha się do mnie.

– Powiedzenie o swoich uczuciach musiało wymagać od ciebie odwagi. Bardzo to podziwiam i chcę, żebyś wiedziała, że to – gestem dłoni pokazuje przestrzeń między nami – nie zmieni tego.

Doskonale wiem, co ma na myśli. Będziemy blisko, dokładnie tak, jak byliśmy od zawsze, od prawie trzydziestu lat. I oczywiście jestem wdzięczna losowi za to, że tak jest.

Mimo że nigdy – nawet w najśmielszych snach – nie przypuszczałam, że mógłby odwzajemnić moje uczucia, i tak czuję ból odrzucenia. Bo przecież nie wyznałam mu tego wszystkiego po to, żeby sprawy pozostały takie same jak dawniej, prawda?

– No dobra, zmiana tematu – mówię zdecydowanym tonem.

Andrew wybucha śmiechem.

– Dobra myśl!

– Gdybyś mógł udać się w podróż w dowolny zakątek świata, to gdzie by to było?

Nie potrzebuje ani chwili, żeby przestawić się na zupełnie inny temat rozmowy. Bez wahania odpowiada:

– Do Budapesztu. A ty?

– Rozumiem, że chatka, w której właśnie siedzimy, jest poza konkursem?

Przewraca oczami w odpowiedzi.

– Owszem, musisz wymyślić jakieś inne miejsce.

– Dobra, dobra – przytakuję, w myślach przeglądając pocztówkowe wyobrażenia o różnych zakątkach, w których nigdy nie byłam. Mało wciągająca to gra, trzeba przyznać. – Pojęcia nie mam... Może Hawaje?

– Gdybyś mogła wybierać ze wszystkich miejsc na świecie, to poleciałabyś na Hawaje?

– A co w tym złego?

Wzrusza ramionami.

– No nie wiem. To się wydaje takie proste. Nie wolałabyś Tahiti? Albo Majorki?

– Jasne, też spoko – zgadzam się beznamiętnie.

Odpowiada mi chichotem.

– Dobra, no to mamy przynajmniej jakieś ustalenia. Ale skoro masz takie podejście do sprawy, to... no cóż, chyba ja będę zarządzał naszymi przyszłymi podróżami!

Słowo „ustalenia” dudni między nami. Na chwilę oboje zastygamy w milczeniu.

– Teraz to dopiero wyszło dziwnie – odzywa się w końcu Andrew i posyła mi przepaszający uśmiech.

Wybucham śmiechem. Uff, tym razem to nie ja ponoszę odpowiedzialność za niezręczną sytuację.

– Owszem, wyszło.

Przez chwilę jeszcze chichoczemy, po czym znów pogrążamy się w milczeniu. Nie do końca wiem, jak interpretować to, co się teraz dzieje. Wyznałam Andrew, co do niego czuję, dając mu pole do ewentualnego ujawnienia się z tym, że odwzajemnia te uczucia. Mimo że tego nie zrobił, z jakiegoś powodu coś między nami kiełkuje, pojawia się jakiś zupełnie nowy rodzaj połączenia.

– Dobra, mam pomysł – odzywa się. – Zero słów przez pięć minut. Po prostu leżymy i wspólnie kontemplujemy choinkę. Co ty na to?

– Jasne... oczywiście jednocześnie trzymając kciuki, żeby żaden gryzoń nie zeżarł nam facjat.

Znów wybucho śmiechem, po czym przejeżdża dłonią po twarzy i mówi zaczepnie:

– Boże... Nie jesteś w stanie zachować powagi, co? – Ociera załzawione od śmiechu oczy. – Uwaga, zaraz zaczynamy. Pięć minut.

Idę za jego przykładem i staram się skoncentrować na drzewku.

– Okej. Pięć minut.

Ten pomysł jest zarazem osobliwy i absolutnie genialny. Uwalnia mnie od konieczności myślenia o tym, co powinnam powiedzieć – co w tej chwili jest nie do przecenienia, jako że mój przerażony umysł przypomina aktualnie puściutką białą kartkę.

Przez pierwsze trzydzieści sekund mam poczucie, że tonę w oceanie dźwięków dobiegających z salonu. Otacza nas zamieszanie, tak kontrastujące z tą ciszą, w jakiej trwamy pod choinką.

Ale po chwili to wszystko znika i jestem w stanie skoncentrować się na tym, co jest tuż obok: na migoczących nade mną światełkach, lekko bujających się złotych ozdobach, zalaminowanym zdjęciu przedstawiającym Theo i Andrew, którzy jako mali chłopcy wspinają się na gałąź jednego z rosnących w ogrodzie drzew. Zaczynam mocniej odczuwać łagodną obecność Andrew, który leży tuż obok. Jego ciepłe ramię styka się z moim, gdy trwamy tu w ciszy, oddychając we wspólnym rytmie.

Nagle z jego brzucha rozlega się burczenie. Nie mogę powstrzymać chichotu. Andrew odwraca się do mnie, żeby mnie uciszyć. Nasze oczy się spotykają i widzę w jego spojrzeniu błysk, gdy zbliża do ust palec, po czym szepcze:

– Żadnych rozmów. Chcę po prostu poleżeć z tobą pod choinką.



Rozdział 15

Dwudziesty drugi grudnia. Wciąż tu jestem.

A motyw przewodni dzisiejszego dnia – saneczki – jest moim ulubionym. Niestety jestem w stanie wyobrazić sobie tysiące sposobów, na które wszechświat może mnie posadzić do oślej ławki i wysłać z powrotem na pole z napisem „Start”. Ogromna gałąź spadająca mi na głowę. Przeróżający głaz pojawiający się zniemacka na mojej drodze. Cyrkowa muzyczka towarzysząca najazdowi kamery na mnie – samotną, niczego nieświadomą wczasowiczkę – gdy pcham się w sam środek sunącej na mnie lawiny.

Trzęsąc się z zimna, stawiam stopy na lodowatej piwnicznej podłodze.

Dom jest pogrążony w ciszy. Przechodzę powoli do kuchni, po czym staję przy oknie, obserwując, jak szyba pokrywa się wraz z każdym moim oddechem coraz gęstsza mgiełką pary. Wczorajsze wieczorne opady – puszyste i delikatne – w ciągu nocy zamieniły się w prawdziwą śnieżycę i teraz widok za oknem jest jedną wielką bielą. Drzewa uginające się pod ciężarem świeżego śniegu, górskie szczyty pokryte białymi czapami. Nigdy nie znudzi mi się ten obrazek.

Złowrogie ciasteczka Lisy wciąż czekają na śmiałków na blacie. Podnoszę talerz i wyrzucam je prosto do śmieci, ukrywając dowód tej zbrodni pod warstwą fusów z wczorajszej kawy, po czym ruszam zaparzyć świeżą. No bo właściwie dlaczego by nie?

A skoro już przy tym jestem, to zaczynam też robić śniadanie. Czy zawsze musimy czekać, aż wstanie moja mama?

Zapach kawy i smażonego mięsa jest niczym syrena alarmowa. Po krótkiej chwili do kuchni zaczynają zewsząd ściągać domownicy. Niebawem z drugiego pokoju dobiegają stłumione dźwięki telewizora. Ktoś włączył go i ogląda właśnie film *Grinch: Świąt nie będzie*.

– Dzięki, że się tym zajęłaś, kochanie – mówi mama, ściągając włosy gumką.

Wkłada swój fartuszek Pani Mikołajowej, zabierając przy tym z mojej ręki drewnianą łyżkę. To jej sposób na zakomunikowanie mi, że moja misja została wykonana i teraz ona przejmuje obowiązki.

Stojąc nad zlewem, wyglądam za okno. Andrew jest już na dworze, właśnie odśnieża podjazd. Na głowie ma czapkę, a i tak zмага się z przeraźliwym mrozem – zdradzają to nie tylko jego zaczerwienione policzki, ale także ułożenie kurtki na napiętych plecach. Kurtka wygląda na grubą, mimo to mam wrażenie, że widzę ruch prawie każdego mięśnia, który bierze udział we wbijaniu łopaty w kopny śnieg.

– Mae, kochanie, czy mogłabyś podać mi... och.

Prawie podskakuję, odwracając się na pięcie w stronę mamy.

– Co podać? I jakie „och”?

Robi, co może, żeby sprawiać wrażenie niczego nieświadomej. Słabo jej to idzie.

– Żadne, żadne, po prostu chciałam – płacze się, zdejmując szpatułkę z suszarki do naczyń – potrzebowałam tego.

– A ja umilałam sobie zmywanie kontemplacją widoku – tłumaczę się.

– Naturalnie.

Odkręcam wodę, po czym zaczynam ponownie płukać ten sam talerz.

– Na zewnątrz jest naprawdę pięknie.

Unosi znacząco brew i zerka na podjazd.

– O tak, jest pięknie...

Posyłam jej karcące spojrzenie. Nie powinnam mieszać jej do takich spraw, to mogłoby doprowadzić wyłącznie do katastrofy.

– Chodzi mi o śnieg – podkreślam.

Słyszymy odgłos zbliżających się kroków. To Theo, jeszcze na wpół śpiący, wchodzi na chwiejnych nogach i nieprzytomnym głosem mamrocze:

– Padało?

– Zdecydowanie – mówi mama, po czym posyła ostatnie spojrzenie w stronę ogrodu. Przenosi wzrok na mnie, śmiejąc się figlarnie, a następnie wychodzi z kuchni.

Kiedy odwracam się z powrotem do okna, zauważam, że Andrew patrzy teraz w stronę domu. Nasze spojrzenia się spotykają, a on macha do mnie wesoło jak gdyby nigdy nic.

Oblewam się rumieńcem i odpowiadam machaniem. Dopiero później przypominam sobie, że warto byłoby zakręcić wodę. Nie mam pojęcia, czy właśnie zostałam przyłapana na gapieniu się na niego, czy może to on został złapany na obserwowaniu mnie. Niezależnie od zapewnień, które wczoraj padły z jego ust, mam nieodparte przeczucie, że w najbliższej przyszłości nie wrócimy do tak zwanej normalności.



Zastanawiam się, czy jakakolwiek matka byłaby zaskoczona, obserwując, ile czasu zajmuje nam wyjście. Czy każda rodzina się tak grzebie i nie ma w tym nic niezwykłego? Tym razem jednak przeszliśmy samych siebie. Miles przez przypadek wlaźł Aaronowi pod prysznic, po czym usiłując jak najszybciej zbiec z miejsca wypadku, pośliznął się na macie łazienkowej i gruchnął na podłogę. Kyle przez długi czas nie mógł namierzyć swoich butów, a Ricky dla odmiany poszukiwał kluczyków. Kennedy nie podobały się zaproponowane jej na ten dzień spodnie, a rozgorączkowany Theo zamiast skoncentrować się na przygotowaniach do wyjścia, przeczesał piwnicę w poszukiwaniu WD-40, bo nagle stwierdził, że dłużej nie zniesie skrzypienia drzwi swojego auta. Kiedy w końcu jesteśmy wreszcie zwarci i gotowi, wyruszamy karawaną pojazdów. Podjeżdżamy kawałek, po czym

wysypujemy się z wozów prosto w przenikliwy ziąb. Teraz nie chronią już nas zaciszne drzewa okalające chatkę. Kennedy stwierdza, że jednak włożenie spodni było dobrą decyzją.

Okutani od stóp do głów wsiadamy do kolejki i unosimy się, obserwując, jak drzewa pod naszymi stopami robią się coraz mniejsze. Tutaj napałało jeszcze więcej niż u nas w dolinie. Widok zapiera dech w piersiach. Niebo ma odcień kryształowego błękitu, a powietrze jest idealnie przejrzyste, pachnie mrozem i sosnami. Burza zmiotła z gór resztki mgły, widoczność jest znakomita.

Wiatr na szczycie jest bezlitosny. Kulimy się, przemarznięci, jednocześnie podejmując negocjacje na temat składu drużyn saneczkarskich. Na mnie czeka już tata. Gramolę się do sań, wiedząc, że mój partner marzy przede wszystkim o tym, by ten cyrk szybko się skończył.

Zdecydowanie nie trafiłam najlepiej, sanki z tatą nie należą do przyjemności. O ile z prowadzeniem samochodu radzi sobie naprawdę nieźle, o tyle powoząc saniami, zamienia się w nerwową babuleńkę – reaguje za szybko, wykonuje dużo niepotrzebnych i rozdygotanych ruchów. Zazwyczaj lądujemy gdzieś na poboczu, wyrzuceni z toru jazdy i konkursu. Wtedy tata cieszy się, że jego obawy okazały się uzasadnione, a potem w ślimaczym tempie schodzimy na dół. Buty ojca zapadają się w śnieg, a w uszach mam radosne piski reszty saneczkowiczów, którzy zjeżdżają z górki jak gdyby nigdy nic.

Widzę stojącego z boku Kyle'a. Trzęsie się jak osika, mimo że to dopiero początek, a on ma na sobie niezliczone warstwy ciepłych ubrań. Stwierdzam, że to dobry moment, by wejść w nowo odkryty tryb „Mae wali prawdę prosto z mostu”.

– Tato, czy ty aby na pewno chcesz to zrobić? – pytam.

– Oczywiście – odpowiada mało przekonującym tonem.

– Ty też przecież nie lubisz jeździć na sankach – mówię, wskazując palcem szczękającego zębami Kyle'a. – Może po prostu pójdziecie sobie we dwóch do namiotu?

Kyle przysuwa się zaintrygowany.

– Czy ktoś powiedział słowo „namiot”?

Tata rzuca mi spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

– Wiem, że lubisz jazdę na sankach, Kluseczko – zaczyna, ale widzę, że kieruje nim raczej poczucie winy. Jego protest jest raczej niemrawy. Pomyśl, żeby posiedzieć w ogrzewanym namiocie, w towarzystwie Kyle’a i grzanego cydru, ewidentnie zyskał jego zainteresowanie.

Podnoszę podbródek i wskazuję kierunek.

– Lećcie.

Nie trzeba im dwa razy powtarzać tej zachęty. Obaj skwapliwie wskakują do kolejki, która zawozi ich z powrotem na dół, do ciepła, jedzenia i alkoholu.

Miles zdążył już wyruszyć, mknie w dół zbocza w pojedynkę. Mama jedzie z Lisą, Aaron z Kennedy, a Ricky z Zacharym. Słyszę ich oddalające się coraz bardziej głosy. W głowie dokonuję szybkich obliczeń: zostały dwie pary sanek i trójka zawodników, czyli ja, Theo i Andrew. Ktoś z nas będzie musiał jechać sam.

Bracia mierzą sporo ponad metr osiemdziesiąt, nie zmieściliby się we dwójkę nawet przy najlepszych chęciach. Ja za to mam metr sześćdziesiąt pięć, co oznacza, że na pewno wcisnę się do sań z którymś z nich. W normalnym trybie automatycznie zwróciłabym się do Theo, bo przebywanie z Andrew w tak niewielkiej przestrzeni sprawia, że nerwy zjadają mnie żywcem.

Ale teraz myśl o tym, by siedzieć między jego szeroko rozłożonymi udami, czuć we włosach jego oddech, a wokół talii jego ramiona... Ta myśl wcale nie sprawia, że czuję się zdenerwowana. Raczej głodna.

Pytanie brzmi, co czuje w związku z tym Andrew. Owszem, wczoraj położył się ze mną pod drzewkiem i wyglądał, jakby bardzo mu to odpowiadało. Ale zdecydowanie nie chciałabym stawiać go w niezręcznej sytuacji. Nie wiem, jak oceniałby taką bliskość teraz, gdy wie już o moich uczuciach.

Nie zdążam otworzyć ust, by zaproponować Theo wspólną jazdę, gdy Andrew robi krok w przód, ujmuje sznurek dwuosobowych saneczek, po

czym unosząc zachęcająco brwi, pyta:

– Chcesz się ze mną przejechać, Maisie?

No cóż, niech będzie.

– Owszem.

Nawet jeśli Theo jest tym poirytowany, to nie daje tego po sobie poznać. Gwałtownie wskakuje przed parkę dwudziestolatków, po czym wsiada na sanki i rusza z werwą w dół stoku. Uff, dzięki Bogu.

Głos Andrew wyrywa mnie z zadumy:

– Czemu nie masz czapki?

Podnoszę rękę, by dotknąć włosów.

– O cholera.

Musiałam zostawić ją w samochodzie. Akurat dzisiaj, w taki przeraźliwy mróz. No i oczywiście moja kurtka nie ma kaptura. Kiedy osiągniemy docelową prędkość, moje uszy ani chybi zamienią się w parę lodowych sopek.

Andrew zdejmuje swoją czapkę i naciąga mi ją na głowę mimo moich protestów.

– Mandrew, ależ nie musisz oddawać mi swojej...

W odpowiedzi wkłada kaptur, posyła mi szelmowski uśmiech i mówi:

– Moje wszy chętnie zwiedzą twoje włosy, tak dla odmiany.

– Ohyda – mówię, po czym składam delikatnego całusa na jego miękkim, chłodnym zaroście.

Nagle tak strasznie się cieszę, że Theo jest już w połowie góry, moja mama jest jeszcze dalej i nie może zerknąć na mnie i znacząco unieść brwi, a wszyscy otaczający nas teraz ludzie nie znają nas i nie mają pojęcia, od jak wielu lat miałam ochotę, by zrobić to, co właśnie zrobiłam.

Odsuwam się i widzę, jak Andrew się do mnie uśmiecha. Nagle między nami pojawia się coś nieoczekiwanego, a do mnie dociera waga tego, co się stało. Owszem, często go przytulam, ale jeśli chodzi o całusy, to bynajmniej nie jest to standard. Nie mam gdzie podziać oczu. Najchętniej zatopiłabym wzrok w jego wargach, ale wiem, że to fatalny pomysł, bo nie mo-

głabym później zmusić się do spojrzenia na cokolwiek innego. Cóż, już za późno. Widzę je, od mrozu są jeszcze czerwieńsze, pełne i jak zwykle niewiarygodnie fascynujące. Kiedy w końcu ogromnym wysiłkiem woli zmuszam się do podniesienia wzroku, jego oczy wydają się uśmiechać, a kolor tęczy jest jeszcze bardziej intensywny niż zazwyczaj.

– A to za co? – pyta.

– No... za czapkę.

– Dobra, to przy okazji napomknę, że pocałunki to ja bardzo lubię.

Co proszę?

Andrew rozładowuje tę chwilę napięcia, wślizgując się do sań i poklepując wolne miejsce przed sobą. Czuję, że z moim pulsem dzieje się coś bardzo dziwnego.

– Zapraszam na pokład, Maisie – rzuca wesoło, podnosząc głowę i patrząc mi prosto w oczy.

Do rozszalonego tętna dołącza niekontrolowany trzepot w klatce piersiowej.

– Mamy wiele przygód do przeżycia – dorzuca mój saneczkowy partner.

Co innego przytulać się do tego mężczyzny, a co innego siedzieć między jego mocnymi nogami, czuć w talii jego rękę, słyszeć dobiegający z tyłu niski, rozwibrowany głos. Nie jestem pewna, czy poradzę sobie z tym doświadczeniem.

– Gotowa?

Nie.

Kiwam głową, lekko przechylając się do tyłu. Andrew zwalnia hamulec, opiera stopy tuż obok moich łydek i odpycha nas wolną ręką. Zaczynamy współpracować, dążąc do rozpędzenia sanek: pchamy je we wspólnym rytmie. Mam wrażenie, że zaraz spalę się ze wstydu, tak bardzo, tak ogromnie, tak niebotycznie seksualne skojarzenia nasuwają mi się podczas tej czynności. Za chwilę jednak zaczynamy nabierać prędkości i suniemy, coraz szybciej i szybciej, w dół zbiega.

Jego ramiona obejmują mnie coraz mocniej, a ja bezwiednie przyciskam dłonie do jego nóg i mocniej odchylam się do tyłu, by być jeszcze bli-

żej. Czuję jego twarde ciało, czuję moc, z jaką jego uda oplatają się wokół mnie. Zawsze myślałam o tym, jaki jest łagodny, dobry, dowcipny. Nigdy wcześniej nie dotarła do mnie jego fizyczna siła. Przez moją głowę przelataje zupełnie nieproszony obraz: jego nagie uda, napięty brzuch, głowa odrzucona do tyłu w wyrazie ekstazy.

Prawie połkam własny język, gdy nagle zostaję wyrwana z tych błogich wyobrażeń i przywołana do rzeczywistości wesołym okrzykiem. Andrew krzyczy i śmieje się beztrąsko niemal wprost do mojego ucha. Suniemy z boczem rozpędzeni, a ja nie czuję nic z tej niepewności, jaka zawsze towarzyszy mi podczas jazdy z tatą. Nie czuję też obawy, że możemy w każdej chwili przewrócić się i wypaść z toru. Nic z tych rzeczy. Z Andrew czuję się bezpieczna i ani przez chwilę nie obawiam się utraty równowagi. Mogłabym tak jechać bez końca.

– Wszystko gra? – pyta, usiłując przekrzyknąć świszczący w naszych uszach wiatr.

– Tak!

Po tej wymianie zdań następuje pauza, a ja słyszę – mimo że jesteśmy otoczeni przez tłumy innych pokrzykujących wesoło saneczkarzy – słyszę wyraźnie, jak Andrew bierze głęboki wdech.

– Chciałbym coś powiedzieć – odzywa się podniesionym głosem, cały czas przekrzykując gwizd wiatru.

Mrużę oczy w słońcu i koncentruję się na tym, by wspólnie z nim przechylić się, omijając muldę, która właśnie przed nami wyrosła.

– Dobra!

Czuję jego wargi tuż przy swoim uchu.

– Po tym, co powiedziałaś ostatniego wieczoru... byłem pewien, że mnie pocałujesz. Tak naprawdę pocałujesz.

Teraz ja tracę dech. Nie jestem w stanie się odwrócić. Nie umiem zinterpretować jego tonu głosu.

– W sensie... w usta? – krzyczę przez ramię, a mój głos toczy się echem po zboczu.

Andrew nachyla się jeszcze bliżej, obejmuje mnie jeszcze mocniej i przyciąga do siebie, po czym odzywa się na przydechu:

– Tak, w usta.

Gapię się w przestrzeń przed nami. Figurki ludzi na stoku zaczynają się rozmazywać, gdy w porywistym wietrze moje oczy napęlniają się łzami.

Jego głos jest teraz cichszy, ale z jakiegoś tajemniczego powodu wszystko wokół też cichnie. Słyszę go doskonale.

– Nigdy nie byłeś dla mnie, Maisie. Nigdy nie sądziłem, że jesteś opcją.

– Co masz na myśli?

Lekko uderzamy w wyrastającą przed nami muldę i mocno przechylamy się na lewo, żeby skorygować kurs. Jego palce coraz mocniej zaciskają się na mojej talii. Gdy już nam się udaje i jedziemy dalej prosto, bynajmniej nie ma zamiaru rozluźnić uścisku. Przeciwnie, przyciąga mnie coraz mocniej, obejmuje coraz ciaśniej. Jego palce już prawie wślizgują się pod moja kurtkę...

Znów czuję na karku jego ciepły oddech i słyszę, jak drżącym głosem mówi:

– Przez myśl mi nie przeszło, że mogłabyś być moja.



Rozdział 16

Choć od tamtego zjazdu upłynęły już dwie godziny, wrażenie, jakie zrobiły na mnie te słowa, jest wciąż tak silne, jakby Andrew cały czas szeptał mi do ucha. Mam dziwne poczucie, że to zdanie „Przez myśl mi nie przeszło, że mogłabyś być moja” wybrzmiewa cały czas, a usta Andrew są wciąż tuż obok mnie... W rzeczywistości siedzimy w pewnym oddaleniu od siebie w piwnicy, a on zamiast mojej talii ściska w dłoniach talię kart.

Przez pierwszą godzinę saneczkowania w ogóle nie czułam chłodu. W moim sercu rozgorzało prawdziwe ognisko, trawił mnie od środka wewnętrzny ogień. Jednak po jakimś czasie zaczęłam tracić czucie w palcach, a tyłek prawie przymarzył mi do drewnianego siedziska. Po powrocie zbun-krowaliśmy się w piwnicy we czworo – Theo, Miles, Andrew i ja – szukając schronienia przed buchającym z kominka gorącym oraz buchającymi z ust naszych rodziców ploteczkami. Nastął czas tradycyjnej popijawy w ciągu dnia, nie tylko suto zakrapianej alkoholem, ale także służącej nadrobieniu towarzyskich zaległości.

Wspólnie decydujemy, że umilimy sobie czas grą w karty. Theo tasuje, a ja nagle czuję, że czyjaś ubrana w grubą skarpetę stopa pod stołem odnajduje moją. Zaraz dołącza do niej druga i moja noga zostaje uwięziona w błogim sekretnym uścisku. Andrew rzuca mi dyskretne spojrzenie i w tym momencie oblewa mnie tak piekielne gorąco, jakbym w wełnia-

nym ubraniu przemierzała w upalny dzień pustynię Mojave. Niezdarnie usiłuję ściągnąć z siebie sweterek. Niestety gdy podnoszę ręce, by ostatecznie się go pozbyć, ten klinuje się na etapie przechodzenia przez głowę, a wszystko to przez spinkę do włosów. Andrew pochyla się, żeby przyjść mi z pomocą i wyłuskać mnie z nieszczęsnej płataniny. W tym celu musi puścić moje stopy. Gdy akcja kończy się powodzeniem, podnoszę na niego wzrok i widzę, jak z trudem powstrzymuje igrający na wargach uśmiešek.

– Dzięki – mówię.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada, łapiąc moje spojrzenie.

Rzucam się na szklankę z wodą gazowaną i łapczywie upijam parę łyków. Może to pomoże mi poradzić sobie z tymi nieznośnymi falami gorąca. Dobry Boże, co się ze mną dzieje? Sądząc po mojej reakcji, można by pomyśleć, że nigdy wcześniej nie dotknął mnie żaden mężczyzna.

Nie spuszczając ze mnie wzroku, Andrew podnosi głowę, lekko drapiąc się po karku.

– Fajnie było dzisiaj – odzywa się Miles, po czym podejmuje nieudolną próbę sięgnięcia po piwo Theo. Dostaje po łapach, ale niewzruszony mówi: – Spoko, że namówiłaś tatę, by posiedział w namiocie. Gdybym w tym roku znów musiał męczyć się z mamą, to chyba bym dał sobie spokój z jazdą.

– No właśnie. Dzięki, że wykazałeś się szlachetną postawą i wzięłeś na siebie jazdę z Mae – mówi Theo do brata, po czym rzuca mi kąśliwy uśmieszek. – W życiu nie widziałem gorszego sternika, słowo daję.

– Hej! – usiłuję zaprotestować, ale czuję jednocześnie, że cała jarzę się wewnętrznym blaskiem i bynajmniej nie wyglądam na niezadowoloną.

Andrew wzrusza ramionami w łaskawym geście, po czym odpowiada:

– Cóż mogę poradzić na to, że po prostu lubię nieść pomoc najslabszym.

– Hej! – piszczę i wymierzam mu żartobliwego kuksańca.

Oczy mu błyszczą i widzę w nich rodzącą się świadomość, że między nami jest coś, o czym wiemy tylko my dwoje. Przez dłuższą chwilę patrzy-

my na siebie. W końcu z trudem odrywam od niego spojrzenie i spuszczam głowę. Gapiąc się na stolik, wracam myślą do minionych godzin. Zjechaliśmy ze stoku jakieś sześć razy. Chyba powinnam dziękować niebiosom, że kolejne zjazdy nie były aż tak pełne ekscytacji i podtekstów jak ten pierwszy. Gdyby reszta była równie intensywna, mogłabym wylądować w szpitalu z migotaniem przedsionków. Na szczęście od drugiego przejazdu mój partner zamienił się na powrót w starego dobrego Andrew. Najpierw komicznie imitował śpiew operowy, potem zarzekał się, że przez całą drogę miał zamknięte oczy, następnie mówił „dobry” do absolutnie każdego napotkanego na stoku człowieka, a przy ostatniej jeździe wrócił do trybu „normalny, dorosły mężczyzna”. Byłam tym zachwycona. I zarazem wprost przeciwnie.

Może jednak ta pierwsza wspólna jazda nie była taka zła. Wydaje się, że jeżeli chodzi o Andrew, to ryzykowne dla życia i zdrowia momenty pełne nadmiernej ekscytacji należą do moich ulubionych.

– Musimy zacząć mówić na siebie jakoś inaczej niż „dzieciaki” – odzywam się, przełamując panującą przy stoliku ciszę. – Przecież to miano powinno przypadać teraz bliźniakom.

– A bliźniaki nie mają przypadkiem ksywki „bliźniaki”? – odpowiada Miles.

– Moglibyśmy się w takim razie nazywać „dzieciurami” – wysuwam żartobliwą propozycję.

Widzę, jak Andrew pożera mnie wzrokiem, trzęsąc się ze śmiechu. Wydaje się zachwycony tą sugestią.

Po chwili bierze do ręki talię kart, stuka nią o stolik i zaczyna tasować. Obserwuję jego dłonie, starając się nie myśleć o tym, jakie są duże. I jak długie i piękne są jego palce. Rety, nigdy wcześniej nie zwracałam uwagi na męskie paznokcie (o ile nie były jakoś tragicznie zaniedbane), a teraz gapię się na paznokcie Andrew – czyste i równo przycięte. Łapię się na tym, że zaczynam wyobrażać sobie jego zachłanne dłonie błędzące po mojej nagiej skórze.

Theo odchrząkuje, a ja wracam na ziemię. Zalewa mnie fala poczucia winy i za wszelką cenę staram się wyrzucić z głowy ręce Andrew.

– Dwie prawdy, jedno kłamstwo – mówi Theo, jednocześnie puszcżając do mnie oczko, którego kompletnie nie jestem w stanie zinterpretować.

Andrew podnosi wzrok znad kart i z kamienną miną stwierdza:

– Nie wydaje mi się, żeby to była gra karciana.

Theo ignoruje tę wypowiedź i wskazując podbródkiem na Milesa, mówi:

– Ty pierwszy. Dam ci potem łyk piwa.

– Miles żyje za krótko, żeby mieć w życiorysie jakieś interesujące prawdy i kłamstwa, nie mówiąc już o tym, że żyje zdecydowanie za krótko, by żłopać piwo w środku dnia – protestuje Andrew.

– Właściwie – oponuje Miles – w zeszłym roku graliśmy w to na chemii, w ramach integracji. W sumie ciężko było wymyślić jakieś fakty odpowiednie do... no wiecie... do powiedzenia w szkole...

Podnoszę dłonie z wyrazem niedowierzania.

– Że co, proszę?

Andrew zaczyna chichotać.

– Miles, nie denerwuj siostry.

– To był twój pomysł – odzywa się Miles do Theo – więc ty zaczynaj!

Z irytacją konstatuje, że zapewne taki od początku był cel tej propozycji. Otóż Theo miał chęć uraczyć nas jakimiś skandalizującymi anegdotami. Szczerze mówiąc, prawie każda proponowana przez niego gra zawsze zmierzała do tego samego: żebyśmy siedzieli i słuchali o jego dzikich przygodach i niewiarygodnym stylu życia.

– Pomyślmy – odpowiada, po czym pochyla się do przodu i strzela kostkami. – No dobra, numer jeden: na studiach jeden z moich ziomków z bractwa trzymał w pokoju żywego kurczaka. Przez cały rok. I żaden z nas się nie zorientował.

Wydaję z siebie bezgłośny jęk. No tak, pamiętam: podczas gdy Andrew wynajmował poza kampusem nieco zagracone, ale całkiem przyjemne mieszkanie przy Uniwersytecie Kolorado (jego współlokator był zarazem jednym z najzabawniejszych i najbardziej osobliwych facetów, jakich miałam okazję poznać), Theo zapisał się do bractwa i mieszkał z typowymi

jego przedstawicielami – hordą bananowych dzieciaków, których główną rozrywką było podrywanie tabunów dziewczyn. Wiem, że są na tym świecie bractwa wartościowe i postępowe, ale to, do którego należał Theo, absolutnie się do takich nie zaliczało.

– Człowieku, bez jaj, ukrywał kurczaka? – Twarz Milesa robi się biała jak ściana. – A czy on... no wiesz... robił z tym kurczakiem jakieś chore rzeczy?

Gwałtownie odwracam się w stronę brata.

– Milesie Danielu Jonesie, czy możesz przestać być obrzydliwy?! – Następnie zwracam się do Theo: – A ty mi nie denerwuj brata, dobra?

– Okej, numer dwa – ciągnie niezrażony Theo. – Mam na biodrze tatuaż z papugą. To pamiątka po wypadzie do Las Vegas z ziomkami.

– Z papugą? – pyta Andrew, a na jego twarzy maluje się komiczna mieszanka totalnej dezorientacji i surowej oceny, na jaką zdobyć się może tylko starszy brat. – Na biodrze? I ja nigdy niczego nie zauważyłem?

Theo posyła mu zadowolony uśmiešek, po czym wygodniej rozpiiera się w fotelu.

Andrew wzdraga się, uzmysławiając sobie, o co tak naprawdę chodzi.

– Aha, rozumiem. Czyli masz ją gdzieś w okolicach krocza, tak?

– O kurde, chciałabym zrozumieć, jakim cudem uznałeś zrobienie sobie tatuażu w Las Vegas za dobrą zabawę – mówię. – No i mam wielką nadzieję, że właśnie to jest kłamstwo.

– A teraz numer trzy: nie mam łaskotek – informuje Theo, po czym patrząc mi prosto w oczy, dodaje: – Nigdzie.

Następujące po tej wypowiedzi mrugnięcie jest już absolutnie jednoznaczne. I obłeśne.

– Dobra, obstawiam jedynekę – mówi Miles, który myślą wciąż jest przy kurczaku.

– Cieszę się, że są w twoim życiu rzeczy, o których nie mam bladego pojęcia – oznajmia Andrew, znużonym gestem przeciągając dłońią po twarzy. – No i podobnie jak Mae mam nadzieję, że kłamstwem jest fakt numer dwa.

– Ja rzeczywiście mam taką nadzieję – potwierdzam – ale obstawiam, że kłamstwo kryje się pod trójką. Nie ma opcji, żebyś nie miał łaskotek w żadnym miejscu. Coś na pewno by się znalazło.

– Chcesz poszukać? – pyta Theo, rzucając mi kolejny uśmiech.

– Ja... – zacinam się już przy pierwszym słowie. – Ja... nie, spaszuję.

– No dobrze, tak czy siak wygrana należy do ciebie – ujawnia Theo. – Niejaka Ellie T. na ostatnim roku studiów odkryła, że mam łaskotki na wysokości kolan.

Ciekawe, jakie to uczucie uprawiać seks z tyloma osobami, że aby je rozróżnić, musisz dodawać do imienia pierwszą literę nazwiska?

– Co dostaję w nagrodę? – pytam. – Kurczaka?

Miles się krzywi.

– Jezu, błagam, nie.

Andrew patrzy na mnie z figlarnym uśmiechem.

– W nagrodę... jesteś druga w kolejce. Innymi słowy, teraz ty.

– W sumie to nie znoszę tej gry – przyznaję.

– To pomyśl, jak ja się muszę czuć – odparowuje Andrew, znany wszystkim jako najbardziej nieudolny kłamca świata. Wybucha śmiechem, po czym odgarnia z czoła burzę niesfornych kędziorów, które momentalnie wracają na miejsce, niepokorne i absolutnie doskonałe.

– No dobra, to fakt numer jeden – zaczynam. – Na studiach dzieliłam pokój z dziewczyną, której tak nie cierpiałam, że w sekrecie używałam jej szczoteczki do zębów, żeby doczyścić paznokcie po treningach siatkarskich.

– Ohyda – mamrocze Miles.

– Numer dwa: również na studiach podkochiwałam się w typie, który – jak ze zdumieniem odkryłam – widniał w dokumentach jako sir Elton Johnson, jego rodzice byli totalnymi świrami, a on na co dzień posługiwał się imieniem John.

– To – odzywa się Andrew, celując we mnie palcem wskazującym i szczerząc zęby – może być najlepsza anegdota, jaką w życiu słyszałem.

Chryste, niech to będzie prawda...

– A trójka – ciągnę, nie do końca biorąc pod uwagę fakt, że mój młodszy brat siedzi tuż obok – z ostatnim chłopakiem zerwałam, bo smakował jak keczup.

Miles rzuca się na ziemię w konwulsjach, udając, że ktoś właśnie go postrzelił.

Zarówno Theo, jak i Andrew w skupieniu przyglądają mi się, mrużąc oczy.

– Nie ma opcji, żeby to była prawda – mówi w końcu Theo, potrząsając głową. – W sensie... zawsze smakował jak keczup? Co to ma niby znaczyć? Nie ma opcji. Trójka to kłamstwo.

– Zgadzam się z przedmówcą – jęczy Miles z podłogi. – Poza tym myślę, że to totalnie niewiarygodne, bo przed nim nie całowałaś się z nikim innym.

Wypuszczam z siebie krótki rechocik.

– Jasne, myśl sobie, co tam chcesz.

Andrew wciąż obserwuje mnie spod przymrużonych powiek.

– Szczoteczka. To było kłamstwo. Nigdy byś tego nie zrobiła, nawet najgorszemu wrogowi.

Wskazuję palcem w jego stronę.

– Słusznie. To właśnie było kłamstwo.

– Czeka... Mam nadzieję, że to nie dlatego zerwałaś z Austinem? – pyta grobowym tonem Miles. – Naprawdę go lubiłem.

– To był tylko jeden z powodów. A ty lubieś go głównie za to, że dawał ci prowadzić swój samochód.

Nagle, kompletnie zaskoczona zauważam, że na twarz Andrew wypełza rumieniec. Obserwuję to zjawisko jak zahipnotyzowana. Wydaje się poirytowany i wytrącony z równowagi. Chwileczkę... Czyżby Andrew Hollis był o mnie zazdrosny?



Gdy już kończymy z tą idiotyczną grą i decydujemy, że w sumie to nikt nie ma chęci łupać w karty czy w żadną z około pięćdziesięciu dostępnych na miejscu planszówek, chłopaki udają się na górę po przekąski, a ja zwiżam się na dolnym poziomie łóżka, w końcu sam na sam z szalejącymi w mojej głowie myślami.

Intensywność ostatnich dni uderza we mnie z nagłym impetem. Zapadam w drzemkę tak głęboką, jakbym nie spała od wielu dni i właśnie zaaplikowała sobie środek nasenny lub dopiero co zakończyła tłustą ucztę z okazji Święta Dziękczynienia.

Budzę się powoli, przebijając się przez opary snu i rejestrując dobiegający moich uszu szelest papieru. Słońce zdążyło już zająć i za oknem piwniczki widać jedynie nieprzeniknioną ciemność.

Po drugiej stronie pokoju rozlega się odgłos przewracanej kartki, niosący się echem po chłodnym wnętrzu.

Biorę głęboki wdech i słyszę, jak książka zostaje zamknięta. Pstryknięcie lampki. Nagle pokój wyłania się z ciemności, oświetlony łagodnym blaskiem żarówki.

– A więc ona żyje – odzywa się Andrew.

Ogarnia mnie przeraźliwy niepokój. Odzywam się zachrypniętym, niepewnym głosem:

– Która godzina?

Zerka na zegarek. W drugiej ręce trzyma oprawioną w miękką okładkę książkę.

– Szósta – odpowiada. – Kolacja powinna niebawem być gotowa.

Spałam dwie godziny? O rany.

– Gdzie są wszyscy?

Patrzy w stronę schodów, jakby był w stanie ze swojego miejsca przy karcianym stoliku dostrzec salon.

– Bliźniaki razem z twoją mamą robią kolejne popcornowe girlandy. Znow zaczął padać śnieg, więc nasi ojcowie są na zewnątrz, odśnieżają. A moja mama jest... ekhm... – Przerzywa na chwilę, po czym lekko się krzywi. – Jest zajęta pieczeniem. – Na mojej twarzy również pojawia się gry-

mas, a on dodaje złowieszczo: – Wydaje mi się, że to będzie ciasto kawowe...

– Wywaliłam tamte ciasteczka – przyznaję się nagle, odrzucając na bok koc i siadając. Zaczynam masować sobie kark. Jest rozgrzany, a ja nagle czuję dziwne gorąco, trochę jakbym była pijana.

Oczy Andrew rozszerzają się ze zdumienia.

– Ale z ciebie buntowniczką!

Rozciągam się, wydając z siebie lekki jęk.

– Wszystko okej? – pyta.

Podnoszę na niego oczy.

– Tak, jestem tylko strasznie zmęczona.

Kto by pomyślał, że podróżowanie w czasie tak człowieka wyczerpuje? Nie, chwila. Moment, moment. Kto by pomyślał, że podróżowanie w czasie naprawdę istnieje?

Podnosi się na składanym krzeselku, po czym odwraca je i siada na nim okrakiem.

– Może nastrój poprawiłaby ci odrobina keczupu?

Celuję w niego palcem i mówię zaczepnie:

– A ty wciąż o tym?

– Może... – odpowiada, a potem zapada między nami cisza, w końcu przerwana przez Andrew, który posyła mi znaczący uśmiech i pyta: – Zastanawiam się tylko, czy miałaś na myśli – gestem wskazuje swoją twarz – czy raczej... – Zawiesza głos, kiwając głową na bok i lekko w dół.

Wybucham niekontrolowanym śmiechem.

– Ale z ciebie świnia!

Rozszerza oczy w wyrazie przewrotnego oburzenia.

– Że niby ja jestem świnia?

Słyszę dobiegający z góry brzęk garnków i wrzaski chłopaków, po których następuje krzyk. Nie jestem w stanie wychwycić słów.

– Co tam się dzieje? – pytam.

– Twoja mama miała przygotować kolację – odpowiada – ale Benny kazał Theo i Milesowi się tym zająć. – Widząc malujące się na mojej twarzy zaskoczenie, dodaje: – Benny coś wspominał o tym, że mówiłaś, że powinniśmy więcej pomagać.

– Jakie to miłe, że przypisuje mi zasługi za takie szlachetne gesty, gdy ja w tym czasie ucinam sobie drzemkę stulecia.

Andrew śmieje się, widzę grę mięśni na jego szyi. Potem milknie i zamyka książkę. Cisza znów kładzie się między nami niczym wielkie zwierzę. Chciałabym zapytać go o tyle rzeczy: o to, jak obejmował mnie podczas jazdy sankami; o to, co wyprawiały pod stołem jego stopy; i o to, dlaczego wydaje się zazdrosny o mojego byłego chłopaka.

– W sumie to co ty tu robisz? – zagajam zamiast tego. – O ile się nie mylę, to w tym domu znalazłoby się około siedmiuset miejsc bardziej odpowiednich do czytania książki.

– Zszedłem na dół, żeby cię zawołać – wyjaśnia. – Ale nie byłem w stanie zmusić się, by cię obudzić.

– Więc sobie tu siedziałeś, patrząc, jak śpię? – pytam, posyłając mu przez tonący w półmroku pokój promienny uśmiech.

– Wyglądałaś tak słodko. Uśmiechałaś się przez sen, wiesz? Przez prawie cały czas.

– Myślałam, że byłeś zajęty czytaniem – zauważam nieściskość.

Andrew wzrusza ramionami, a ja zaczynam chichotać.

– No powiem ci, Edward Cullen by się nie powstydział.

Marszczy brwi.

– Kto?

– O mój Boże. Andrew, nie wierzę, że nie wiesz, o kim mowa! Chyba jednak nie możemy być przyjaciółmi.

– Tylko żartowałem. Przecież wiem, ten z *Igrzysk śmierci* – odpowiada zaczepnie, po czym wybucha śmiechem, obserwując to, co dzieje się na mojej twarzy. – O rany, wyglądasz na szczerze oburzoną! Czyżby to był właśnie twój sposób na odsianie egzemplarzy, które się nie nadają?

– Tak!

Nie przestając się śmiać, wstaje i gestem zachęca mnie, bym zrobiła to samo.

– Całe szczęście, że zawsze byłem pilnym uczniem. Może jakoś to wszystko ogarnę.

Och.

– No, chodź – mówi, biorąc mnie za rękę. – Powiedziałem bliźniakom, że przed kolacją zdążymy jeszcze zagrać w sardynki.

Widzę, jak jego oczy błyszczą w ciemności, jakby szykował jakiś niecny plan.

– A ja zamierzam chować się pierwszy. Mam przekożacką kryjówkę!



Rozdział 17

Po wyjściu z dyskretnego półmroku piwnicy kuchnia wydaje się nienaturalnie jasna. Czuję, jakbym właśnie wchodziła na plan jakiegoś podejrzanego talk-show. Poczucie winy, które we mnie narasta, mogłoby sugerować, że dopiero co tarzaliśmy się zupełnie nadzy na drapiącej piwnicznej wykładzinie. Witają nas pytające spojrzenia wszystkich zgromadzonych. Wyczuwam w nich nutę podejrzewania. Nie wiem, czy to moja rozszalała wyobraźnia, ale mam wrażenie, że w pomieszczeniu panuje pełna napięcia cisza.

Jak kompletna kretynka macham na powitanie i nerwowo trajkoczę:

– Hej! Sorki, przysnęło mi się. – Wskazuję dłonią na znajdujące się za moimi plecami schody. – Po tym jak gadaliśmy. I graliśmy w karty. I takie tam, no wiecie...

Miles przejeżdża dłonią twarzy.

– Dzięki za info.

Zawiązuje sobie wokół szyi paski kwiecistego fartuszka, po czym sięga po korkociąg. Trzeba przyznać, że jak na otwieracz to urządzenie jest całkiem wyrafinowane, ale mój brat już trochę przegina. Obraca je w rękach, jakby było częścią skomplikowanej maszyny, a on wynajętym przez NASA specjalistą, który ma je okiełznać. Czyżbyśmy naprawdę oddali losy kolacji dla trzynastu osób w ręce tego niedoświadczonego berbecia?

Andrew zaczyna cierpliwie tłumaczyć Milesowi zasady prawidłowego użycia tego sprzętu, a ja kładę dłoń na ramieniu nauczyciela, próbując go powstrzymać.

– Zostaw. Niech uczy się w mękach.

Następnie posyłam ostrzegawcze spojrzenie mojej mamie, ona jednak wydaje się całkowicie niewzruszona losem swojego bezradnego syna. Siedzi przy kuchennym stole z kieliszkiem wina w jednej dłoni i książką w drugiej. Wygląda na zadowoloną z życia.

Miles zaś najwyraźniej ma ogromną ochotę pokazać mi środkowy palec, ale nagle wyraz jego twarzy kompletnie się zmienia. Na jego ustach zaczyna się błąkać niepokojący uśmieszek.

– E, ludzie – mówi, wskazując na nas palcem. – Stoicie dokładnie pod jemiolą.

Jak na zawołanie podnosimy z Andrew głowy. Rzeczywiście, na przymocowanej do futryny wstążce wisi charakterystyczna żółta gałązka.

– Nie wiedziałam, że tutaj jest... – zaczynam, próbując się bronić.

– Ja też nie! – zapewnia Andrew, rzucając mi przeciągłe spojrzenie.

Choć kąciki jego ust nie są uniesione, w jego oczach widzę mnóstwo uśmiechu. Czy ktoś właśnie zatrzymał czas? Na pewno tak się wydaje. Tyle razy wyobrażałam sobie, jak kuszę go pod jemiolą, ale w żadnej z tych fantazji nie występowała zgromadzona wokół nas rodzina.

– Każde z was może zrobić mały krok w tył i po sprawie – cedzi Theo, ale trudno wziąć jego irytację na poważnie, widząc go odzianego w pożyczony od mojej mamy fartuszek klauna. – Wcale nie musielibyście się całować.

No cóż, uważam, że jednak musimy. Tej konkretnej zasady wolałabym nie łamać.

Andrew wypuszcza z siebie nerwowy śmieszek, po czym patrzy mi prosto w oczy i... zaczyna się ku mnie nachylać. Jego usta – o mój Boże, jego perfekcyjne, doskonałe, idealne usta – dotykają moich warg w najcudowniejszym pocałunku w historii tej planety.

Po chwili Andrew prostuje się, a ja za wszelką cenę usiłuję utrzymać kręgosłup w tej samej pozycji. Wysiłkiem woli staram się nie nachylić w jego stronę, by przedłużyć ten cudowny moment.

Bo był niewiarygodny, ale trwał tyle co nic. Raptem jedno uderzenie mojego rozdygotanego serca.

Nagle pokój rozświetla błysk flesza, po którym naszych uszu dobiega mamrotanie Lisy:

– Cholera, spóźniłam się.

Miles odzywa się drwiąco:

– To przecież nie był żaden pocałunek.

W tym momencie z całego serca żałuję tych wszystkich momentów, w których powtarzałam mojemu bratu, że jest idiotą. Teraz widzę wyraźnie, że jest prawdziwym geniuszem, mistrzem Yodą inteligencji emocjonalnej!

– Człowieku, daj spokój – skowycze Theo.

Ale my nie zwracamy na niego uwagi, jesteśmy zamknięci w swojej banieczce. Słyszę, jak Andrew śmieje się cicho i mówi do mnie:

– Miles ma rację. To nie był pocałunek z prawdziwego zdarzenia.

Andrew. Właśnie. Mnie. Pocałował. I. To. W. Usta.

Wzruszam ramionami, jakby cała ta sprawa była mi całkowicie obojętna. Starając się za wszelką cenę nie dopuścić do tego, by głos mi się załamał, mówię:

– Było okej.

– Wierz mi – szepcze w odpowiedzi Andrew – w moich planach nasz pocałunek miał być znacznie lepszy niż „okej”.

– No dobrze – mówię, a serce podchodzi mi do gardła tak, że z trudem jestem w stanie dobrać głos. – W takim razie spróbuj jeszcze raz.

Unosi pytająco brew, błędząc wzrokiem między moimi wargami a linią moich oczu.

– Zamierzasz ją pocałować? – drze się Zachary przez korytarz.

Odwracamy się od siebie i widzimy wlepione w nas sześć par oczu śledzących z przerażającą intensywnością każdy nasz ruch. Wszystkie komórki mojego ciała wydają niemy krzyk rozpacz.

Nagle to napięcie przerywa chórek nienaturalnie ożywionych głosów.

Kyle śmieje się, po czym mówi:

– Wydaje mi się, że obserwowanie akcji pod jemiolą może przynieść pecha.

– Boże, jesteście tacy młodzi – odzywa się Aaron scenicznym szeptem. – Chciałbym znów być w waszym wieku i migdalić się pod jemiolą. Balować do trzeciej nad ranem. Wiązać buty bez obawy, że coś sobie naciągnę.

– Ależ oni się nie migdalili – prycha tata, po czym dodaje niepewnie: – Czy może jednak?

Co ja takiego widzę w tej mojej rodzinie? Czy ktoś może mi przypomnieć, za co ich tak właściwie lubię? Cholera, nawet jeśli Andrew miał zamiar pocałować mnie po raz drugi, to ta chęć została z pewnością zduszona przez kilogramy otrzeźwiających komentarzy.

– A zatem... – mówi Andrew, robiąc krok w tył i wkładając ręce do kieszeni. – Macie chęć zagrać w sardynki?

– Jasne – mówię, siląc się na entuzjazm. – Zagrajmy.

Sardynki są ulubioną grą Zachary'ego. Jednocześnie ze wszystkich gier Kennedy tę akurat lubi najmniej, ale zgadza się grać w nią na prośbę brata, bo – jak to kiedyś zgrabnie ujęła podczas wspólnego posiłku – „Bardzo nie lubię stać blisko innych ludzi, ale stanie obok was jakoś mi nie przeszkadza”. Uznaliśmy te słowa za komplement. Aaron musiał nawet poudawać, że coś wpadło mu do oka, tak by córka nie zobaczyła, że prawie popłakał się z radości.

Teraz Zachary zaczyna tłumaczyć Lisie zasady sardynek, usiłując ją jednocześnie przekonać, że koniecznie powinna dołączyć. Powodzenia, dzieciaku. Krzyżyk na drogę.

Lisa marszczy nos i się upewnia:

– Czyli wszyscy wspólnie włączymy do jakiejś małej przestrzeni i się w niej chowamy?

– Tylko jedno z nas się chowa – mówi swoim dziecinnym głosem Kennedy. – Potem, kiedy ktoś znajdzie tę osobę, to włązi do tej małej przestrzeni z tym, który szukał.

Zachary zaczyna wykonywać zwariowane taneczne ruchy stylizowane na uderzenia karateki. W efekcie jeden z jego butów wystrzela i wzbija się w powietrze.

– Ostatnia osoba, która znajduje kryjówkę, jest ostatnim zwycięzcą! – krzyczy entuzjastycznie i niezbyt zrozumiale.

– Przegrany – poprawia go siostra. – Tata i Papko mówią na to „ostatni zwycięzca”, ale tak na serio ostatni zwycięzca to przegrany.

Zachary wzrusza ramionami.

– Ja tam lubię wygrywać.

Widzę, że Kennedy zastanawia się, czy brnąć dalej w tę wymianę zdań, ale w końcu rezygnuje i zamiast tego zwraca się do Lisy:

– To jak? Będiesz grała? Andrew chowa się pierwszy.

Lisa ewidentnie błogosławi swojego pierworodnego i mnie za to, że umożliwiliśmy jej ucieczkę. Kto wie, może w czasie gry będzie próbowała po raz kolejny przewiesić jemiolę?

– Nie, powinnam chyba sprawdzić, czy Elise nie potrzebuje mojej pomocy przy kolacji.

– Przecież dziś gotują Theo i Miles.

– No właśnie, to może im powinnam pomóc?

– Mamo – odzywa się łagodnie Andrew.

Lisa wybucha śmiechem.

– Dobra, dobra. Pójdę znaleźć Elise.

Andrew odwraca się w stronę bliźniąt i pyta:

– To jak? Kto jest gotów na sardynki?

Dwie małe rączki z prędkością światła wystrzelują w powietrze.

– Super, w takim razie zasłońcie oczy i zacznijcie odliczać do pięćdziesięciu – poleca im, po czym patrzy na mnie i pyta: – A co właśnie robi Mae?

– Co robi? – powtarzam głupio.

– Nie ma podglądania! – odpowiada z błyskiem w oku, a ja czuję, jak moja kobiecość budzi się do życia i wywiesza białą flagę na znak kapitulacji.

– Nawet bym nie śmiała – odpowiadam, po czym zakrywam dłońmi oczy i dołączam do bliźniąt w odliczaniu. Słyszę, jak Andrew oddala się na paluszkach.

– Dwadzieścia cztery! Dwadzieścia pięć! Dwadzieścia sześć!

– Czterdzieści osiem! Czterdzieści dziewięć! Pięćdziesiąt!

– Czy jesteś gotów, czy nie, i tak biegniemy znaleźć cię! – krzyczy rymowankę Zachary, po czym bliźnięta rozbiegają się w przeciwnych kierunkach: Kennedy w stronę tonącej w ciemnościach jadalni, jej brat podąża do kuchni i piwnicy. Ja obieram azymut na górne piętro. Mam przeczucie, że wiem, gdzie ukrył się Andrew.

Gdy nie zwałamy się zgrają na głowę Hollisów, chłopcy nie muszą spać na piętrowych łózkach w piwnicy. Na piętrze znajdują się cztery sypialnie plus poddasze. W trakcie ferii świątecznych nasz tata sypia w studiu, mama w sypialni Theo, natomiast obecna sypialnia Kyle’a i Aarona wcześniej należała do Andrew.

Serce wali mi jak młotem. Lekko popycham drzwi i od progu czuję, jak uderza mnie esencja jego zapachu. Lisa ma w zwyczaju umieszczać w każdym z pomieszczeń świecę zapachową: ona i Ricky przepadają za tą o aromacie lawendy, Theo preferuje drzewo sandałowe, natomiast Andrew – eukaliptus. Poza tą wonią wyczuwam jeszcze delikatny zapach świeżego prania i coś, czego nie mogę pomylić z niczym innym, co z pewnością oznacza jego obecność. Gdy tylko zamykam za sobą drzwi, czuję, jak pokój tężeje, jakby wszystkie ściany i meble były ze mną w zмовie i po cichu wskazywały na szafę, konspiracyjnie szepcząc: „Jest tam! Tam jest!”.

Kolejna poszlaka to włączone światło. Kyle ma obsesję na punkcie oszczędzania energii, natomiast Andrew z pewnością myśli przede wszystkim o tym, by nie skazywać bliźniąt na poszukiwania w kompletnie ciemnym pomieszczeniu.

Podchodzę, starając się uspokoić rozdygotany oddech. Setki razy graliśmy w tę grę i nigdy dotąd nie udało nam się znaleźć wspólnej kryjówki.

Uchylam drzwi szafy.

Andrew okrywa oczy dłonią, mrugając, bo razi go sączące się przez szparę światło.

– Długo ci to nie zajęło.

– Nie trzeba było nadwerężyć wyobraźni, by cię namierzyć – odpowiadam, po czym wchodzę i zajmuję miejsce za nim.

Wnętrze szafy momentalnie kurczy się do rozmiarów pudełka na buty. Nagle uzmysławiam sobie, w jakiej sytuacji się znaleźliśmy.

– Gdzie pobiegły bliźnięta? – pyta Andrew.

– Na dół. Do jadalni.

Nie odpowiada, czuję natomiast, że lekko się przesuwam. Nagle całe moje ciało się spina. To zapowiedź tego, co może za chwilę nastąpić...

– A więc pewnie ciężko ci oddawać ten pokój na czas świąt? – zagajam w końcu.

Ledwo dostrzegam jego kształt w słabym świetle, które pada na nas z góry, sącząc się małą szparką w drzwiach. Zauważam jednak, że kręci przecząco głową, po czym odpowiada:

– Nie bywam tu zbyt często. Poza tym jestem w stanie spać gdziekolwiek.

Wiem, że to prawda. Gdy byliśmy dziećmi, Andrew sływał z tego, że mógł zapaść w drzemkę w różnych nieoczywistych okolicznościach, na przykład przy stole po sutym posiłku.

– To dlaczego właściwie przeniosłeś się do przystani? – pytam.

– Bo jest coś straszliwie infantylnego w spaniu na piętrowym łóżku w piwnicy – odpowiada. – Wiem, że to może brzmieć absurdalnie, ale naprawdę nie byłem w stanie znieść tego przez kolejny sezon.

– Jak dla mnie to trochę przywołuje atmosferę ferii i jakiegoś obozu, ale rozumiem, że u ciebie może budzić to mniej pozytywne skojarzenia.

– Tak właśnie jest.

Przez chwilę myślę o zimnej, ciemnej, pustej przestrzeni przystani i czuję, jak dreszcz przebiega mi po karku.

– Nie przeraża cię trochę to, że... że śpisz tam zupełnie sam?

Andrew śmieje się i lekko przysuwa się w moim kierunku.

– A co niby ma mnie tam zaatakować, Maisie? Duch? Wilkołak?

– Myślałam raczej o jakimś seryjnym mordercy przeczesującym okolicę w poszukiwaniu kolejnych ofiar – mówię i w odpowiedzi znów słyszę śmiech. – To co cię przeraża? – drązę. – Czy jest w ogóle coś takiego?

– Wiesz... zakochałem się w obróbce dźwięku podczas oglądania *Halloween*, *Lśnienia* i *Nocy żywych trupów* – zaczyna, a ja słyszę w jego głosie rozbajający, dumny uśmiech. – Raczę się tego typu produkcjami, gdy mam chęć naprawdę porządnie się zrelaksować.

Co za paradoks. Ten przesłodki, łagodny mężczyzna lubuje się w horrorach.

– A jaki jest twój ulubiony straszny film? – pytam.

Słyszę, jak wybucha niepowstrzymanym rzeniem, po czym tłumaczy:

– Właśnie użyłaś najślawniejszej frazy z filmu *Krzyk*. Tak właśnie zagał morderca.

– Serio?

– Serio. Wszyscy to wiedzą, Maisie.

Teraz ja też zaczynam się śmiać.

– Mówię ci, że nie jestem w stanie obejrzeć niczego, co ma być straszne, nawet z przymrużeniem oka. – W ciemnościach wymierzam mu delikatnego kuksańca. – A powiesz mi, który jest twój ulubiony?

– Jeśli chodzi o warstwę dźwięku? – precyzuje, a ja wzruszam ramionami.

– Niech będzie.

– No dobra, w takim razie *Ciche miejsce*. Ale robiąc finałowe zestawienie ze wszystkich kategorii, to chyba jednak wybrałbym *Milczenie owiec*.

Czuję, jak błogi dreszcz rozlewa się po moim ciele niczym płynny brokat.

– Oglądaliśmy go razem, pamiętasz?

– Pamiętam, że nie pozwalałaś mi ruszyć się z kanapy dalej niż na pół metra, a po seansie musiałem sprawdzać pod twoim łóżkiem, czy aby na pewno nikt się tam nie czai.

– Słuchaj – przerywam mu, śmiejąc się – jestem miękką bułą, okej? Zawsze przedkładałam całowanie nad zabijanie.

Wyczuwam, jak zmienia pozycję i opiera się o ścianę, jednocześnie wydychając powietrze z takim impetem, jakby myślał o czymś bardzo skomplikowanym. Robię, co mogę, by powstrzymać się od fantazjowania o tym, jak językiem pieszczę okolice jego jabłka Adama.

– Dobrze się czujesz? – pytam, dotykając jego ramienia swoim.

Mimo ciemności wiem, że odwraca się w moją stronę, by odpowiedzieć:

– W porządku.

– Tylko „w porządku”?

– No... trochę chyba za dużo analizuję.

W moich żyłach zaczyna się prawdziwa burza z piorunami. Usiłuję pokryć zdenerwowanie żartami i odzywam się zaczepnie:

– Rozmyślasz o tym, że po wieki wieków będę myślała, że całujesz tak... no... całkiem okej?

Słyszę, że jego śmiech staje się odrobinę wymuszony. Nawet w panującym w szafie mroku dostrzegam, że coś nagle się zmienia, jakby między nami nastąpiło wyładowanie. Mrugam, by zmusić się do oderwania wzroku od jego szczęki, jej linia jest tak wyraźna, taka... apetyczna. Opuszczam wzrok i dostrzegam zarys jego szyi, z którą mam analogiczny problem. W końcu docieram do jego przedramion, pada na nie strumyk światła. Rękawy flanelowej koszuli ma podwinięte. Kontempluję ich muskularną strukturę okrytą meszkiem włosów. Ręce są jeszcze bardziej zachęcające niż kark. Mam ochotę zatopić w nich zęby.

– Ten rok będzie naprawdę osobliwy – odzywa się cicho Andrew. – Theo buduje dom, a mama i tata przebąkują coś o pójściu na emeryturę. Wszyscy wydają się wiedzieć, dokąd zmierzają, a ja... – przerywa na chwilę. – Ja, mimo że kocham swoją pracę, mam to niedające się stłumić poczucie, że

jest coś więcej. Więcej życia, więcej przygód. Więcej niż tylko parę randek w miesiącu.

Serce gwałtownie mi się zaciska.

– Znam to uczucie.

– Poznaję dziewczyny, ale jedna randka zlewa mi się z kolejną. Nigdy tak naprawdę z nikim się nie spotykałem, no wiesz... tak poważnie, długo-falowo... od... od bardzo długiego czasu.

Słyszając to, konstatuje, że mimo iż przez te wszystkie lata słyszałam o tym, że Andrew miewa jakieś dziewczyny, to nigdy o nich nie opowiadał, a przynajmniej nie przy mnie.

– A potem ty... – urywa w pół zdania, a ja obawiam się, że nie będę w stanie dobyć z siebie głosu, nawet gdybym bardzo chciała. – To mnie kompletnie rozwaliło. Nie w złym sensie... Wiesz, co mam na myśli?

– Nie za bardzo – odzywam się drżącym głosem.

To znaczy myślę, że wiem, dokąd zmierza jego wypowiedź, ale wołałabym, żeby on wyartykułował wszystko ostrożnie i w całości. Bo naprawdę może mu chodzić o wiele rzeczy – o to, że ten rok jest inny, bo Theo i ja już się ze sobą nie trzymamy. Albo że jest inny, bo w końcu wyznałam Andrew, co do niego czuję. Lub że jest inny, bo ja odbywam podróże w czasie... o czym on, oczywiście, nie ma bladego pojęcia.

– Pamiętasz, jak powiedziałem ci, że parę miesięcy temu byłem na imprezie – szepcze. – Znajoma znajomej stawiała tarota.

– Tak.

– Trochę się z niej naigrawałem, droczyłem się i w końcu kazała mi usiąść. Położyła przede mną karty i powiedziała, że mi powróży. Co miałem do stracenia? Przecież nawet mnie nie знаła. Powiedziałem, że jasne, nie ma problemu. Więc zaczęła, spojrzała w karty i powiedziała mi, że mógłbym być szczęśliwy, pracując tam, gdzie pracuję, nawet nie zmieniając stanowiska. I że nie potrzebuję wielkiego życia, że nie mam parcia na to, by zmieniać świat. Miała rację. Tak jest. A potem dodała jeszcze, że już zdążyłem poznać miłość swojego życia, ale ja jej wtedy nie słuchałem – wy-

bucha krótkim śmiechem – mimo że całe moje życie opiera się na słuchaniu.

Wielki rój pstrych motyli zaczyna szaleć gdzieś w środku mnie. Zajmują całą przestrzeń, utrudniając mi oddychanie. Uzmysławiam sobie wagę tego, co może kryć się za jego ostatnią wypowiedzią.

– Cały czas nie mogę uwierzyć, że żyłem w kompletnej niewiedzy – dodaje, po czym spuszcza nieco głowę – na temat tego, co do mnie czujesz.

Przygryzam wargę.

– Nie mogłam rozgryźć, czy to cię przypadkiem nie zmartwi, nie zniechęci – szepczę niezręcznie. Zanim kończę myśl, mijają całe wieki, ale dodają w końcu: – Czy może przeciwnie, zachęci.

Przesuwa się za mną, jego ciało teraz przylega mocniej do mojego. Gdy się orientuję, co się wydarzy za moment, moje serce w mgnieniu oka zamienia się w zaciśniętą pięść walącą z impetem o klatkę żeber. Andrew podnosi rękę, bardzo powoli, jakby się nie spieszył, po czym delikatnie kładzie ją w zgięciu mojej szyi.

Słyszę jego rozdygotany oddech.

– Zachęca.

A potem Andrew Hollis mnie całuje. Jego usta stykają się z moimi. I znowu odsuwają się za wcześnie. Teraz jednak ta krótka, cudowna sekunda była zupełnie inna – frywolna, głodna, zaczepna... Tak bardzo inna od tej pod jemiołą.

Mimo że nasze wargi już nie są złączone, napięcie między nami wciąż rośnie, bo on jest teraz przy mnie, oddalony zaledwie o kilka centymetrów, i walczy z nierównym oddechem dokładnie tak samo jak ja. Otacza nas ciemność, jest tu ciasno i przytulnie. Na wieszakach wisi parę jego koszul – teraz odsuniętych na boki, tak że otulają nas jak kurtyna – które pachną zupełnie jak on. Te same ubrania dotykały jego ciała, gdy pracował i się pocił, gdy drzemał i grał ze mną w karty w piwnicy, a teraz ocierają się o moje plecy tuż po naszym pocałunku.

– Teraz było okej?

– Znacznie lepiej niż okej – odpowiadam szeptem.

Śmieje się krótko i na przydechu. To, co robimy teraz – wspólne oddychanie, słodka antycypacja tego, co zaraz nastąpi – jest bez dwóch zdań najbardziej erotycznym przeżyciem, jakiego dane mi było doznać.

Prostuję się nieco w momencie, w którym on nachyla się w moją stronę. Jego rozchylone wargi stykają się z moimi, a ramiona oplatają wokół mojej talii. Andrew przyciąga mnie bliżej. Wydaję z siebie jęk, a on wykorzystuje to, by dotknąć językiem mojego języka.

A więc o to chodzi.

Teraz wszystko rozumiem. Już nigdy nie prychnę lekceważąco, czytając książkowe opisy przeżyć kobiet, które rozpadają się na kawałki pod wpływem jednego dotknięcia. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jakie dźwięki zacznę wydawać, jeśli ten cudowny mężczyzna stanie przede mną nagi.

Gorąco rozlewa się falą idącą od naszych złączonych warg, sunie przez moje gardło, unosząc się klatkę piersiową, aż po sam środek brzucha. Setki razy wyobrażałam sobie tę chwilę, ale mój umysł jest jednak pozbawionym krzty kreatywności beztalenciem – to, czego właśnie doświadczam, bije na głowę tamte fantazje. Andrew smakuje jak mięta i czekoladki, pachnie jak drewno z kominka, a w dotyku jest jak promień słońca. Jeśli w fabryce Willy'ego Wonki ktoś wprowadziłby do maszyny wszystkie z moich ulubionych elementów życia, jestem pewna, że cukierek, który by powstał, przybrałby kształt Andrew Hollisa. Myślę tylko o tym, by mocniej przycisnąć moje biodra do jego bioder i w końcu zedrzeć z jego niezmiernych ramion tę flanelową koszulę.

– Wyglądasz tak... dziko – mówi zachrypniętym głosem, który też brzmi niezwykle zwierzęco.

Nigdy nie przypuszczałam, że Andrew ma w sobie i taką stronę. Mam wrażenie, że przechadzam się po przydymionym, tonącym w półmroku korytarzu, wyściełanym delikatnie migoczącymi kamieniami szlachetnymi, o ścianach wyłożonych prawdziwym złotem. „Sprawdźmy, dokąd nas to zaprowadzi” – odzywa się cichutki głosik w mojej głowie. Czuję przyływ paniki: przecież nie to powinnam robić, to nie jest właściwa ścieżka. Całowanie Andrew w szafie podczas gry w sardynki nie jest moją powinnością, raczej muszę przestać...

Ale w tym momencie on pochyła się, żeby dotknąć mojej szczęki, i wszystkie wątpliwości ulatują jak kamfora.

– Czuję się dzika – przyznaję.

– Kto by przypuszczał, że Maelyn Jones będzie tak zajebiście, tak niemożliwie zniewalająca – mruczy pod nosem, jednocześnie sunąc wargami wzdłuż mojej szyi.

– Na pewno nie ja.

Jedna z jego dłoni chwyta mnie teraz w okolicach bioder, po czym przesuwają się w górę talii, zatrzymując się okrutnie daleko od moich spragnionych piersi.

– Tak strasznie długo byłaś po prostu dzieckiem – mówi Andrew. – A potem nagle, zaledwie parę lat temu, nagle już nim nie byłaś.

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. Wyciągam rękę i palcem znaczę linię od jego szyi aż do obojczyka.

– Miałem o tobie sen. Erotyczny – odzywa się, po czym wybucha śmiechem.

– Że co?!

– Na łóżku piętrowym – dodaje. – Coś potwornego.

– Kiedy my wszyscy tam spaliśmy?

Kiwa głową.

– Też masz tak, że takie sny zostają w twojej głowie przez cały ranek i trudno się ich pozbyć?

– Tak.

– Po śniadaniu zaczęliście z Theo mocować się na podłodze, a ty, leżąc, śmiałaś się i krzyczałaś. Chyba czułaś się cudownie. Musiałem bardzo się skoncentrować, żeby odepchnąć nasuwającą się myśl, jak to jest... widzieć cię w takim stanie. Nie mogłem dać temu wykiełkować.

Każde jego słowo wymaga ode mnie przepisania na nowo historii tego, co działo się przez minione lata w mojej głowie.

– Gdybym tylko wiedziała... z przyjemnością pomogłabym ci odtworzyć ten sen.

Odpowiada mi śmiechem.

– A potem powiedziałaś, że pragniesz mnie, a ja przypomniałem sobie tego tarota. Oczywiście nie wierzę w te wszystkie bzdury albo przynajmniej nigdy wcześniej nie wierzyłem, ale zacząłem myśleć: „A co, jeśli przez ten cały czas ona jest tuż obok, przed moim nosem?”. To nagle zaczęło wydawać mi się tak absolutnie oczywiste. Kiedy byliśmy na sankach, pachniałaś karmelem i jakimś słodkim szamponem...

– Taaak? – pytam i osuwam się w stan zbliżony do transu.

– Byłem o krok od tego, by pocałować cię w szyję. Tak po prostu.

Nie zastanawiając się zbyt długo, ściągam przód jego koszuli w węzełek, którym manewruję, by przyciągnąć go do siebie jak najbliżej. Gdy z jego ust dobywa się jęk, a nasze oddechy mieszają się w jeden, zaczynam czuć przemożną ochotę, by robić z tym słonecznym mężczyzną bardzo, bardzo niegrzeczne rzeczy.

– Miałam prawie identyczne myśli – mówię. – Wiele... – Andrew odsuwa usta od moich warg i kieruje je w stronę mojej szyi, w której delikatnie zanurza zęby, po czym zaczyna ssać moją skórę. Nie jestem w stanie zebrać myśli. – Wiele razy – kończę z trudem.

Dłoń Andrew ześlizguje się po moich pośladkach w dół, po czym zatrzymuje się na udzie i mocno przyciska moje biodra do jego nogi, jednym powolnym pchnięciem. Czuję go mocno, gorąco jego bioder między moimi nogami, ciężar jego...

Nagle oślepia nas światło. Do szafy jak błyskawica wpada mała postać.

Andrew momentalnie puszcza moją nogę i gwałtownie się odsuwa, ja natomiast unoszę obie ręce w górę, jakbym właśnie dała się zaaresztować. Oboje oddychamy tak szybko i ciężko, że można by pomyśleć, że właśnie przeprowadziliśmy w tej szafie zajęcia CrossFit.

– Znalazłem was! – odzywa się radośnie Zachary przedziwną mieszanką krzyku i szeptu.

– Ooch. Czeeeeść – wykrztusza Andrew, usiłując bezskutecznie uspokoić oddech, po czym podnosi dłoń, by poprawić sobie mocno przekrzywiony kołnierzyk koszuli. – Trochę ci to zajęło, młodzieńcze!

Nawet w takim świetle jestem w stanie zauważyć rumieniec rozlewający się na twarzy Andrew i przyspieszony puls widoczny pod jego skórą. Nie zdziwiłabym się, gdybym pochyliwszy głowę, zauważyła na swoim ubraniu dziurę po małym pożarze.

– Myślałem, że jesteś na przystani! – mówi Zachary.

Andrew sadza go między nami, po czym delikatnie zamyka drzwi i mówi:

– Na przystani nie ma żadnego miejsca, które mogłoby robić za kryjówkę.

– Dokładnie to samo powiedział wujek Ricky! – konstatuje z satysfakcją Zachary.

– A gdzie Kennedy? – zmieniam temat.

– Ciągle szuka – odpowiada jej brat, a ja widzę w jego ciemnych oczach zwycięski błysk. – Ale nie mów jej, że jest przegraną, dobra?

– Nigdy bym tego nie zrobiła – zapewniam żarliwie.

Nad głową Zachary'ego wymieniamy spojrzenia. Patrząc w oczy Andrew, czuję, jak oblewa mnie fala gorąca, a całe ciało zaczyna mnie swędzieć. Jestem niespełniona i rozedrgana.

– Ciąg dalszy nastąpi? – rzuca szeptem Andrew.

O tak, to akurat nie ulega kwestii.



Rozdział 18

Gdy docieramy do stołu, Andrew z rewerencją odsuwa mi krzesło. Czy to u niego normalne zachowanie? Czy wcześniej też tak robił? Czy wcześniej kiedykolwiek siadaliśmy do stołu w tym samym momencie, czy też może po raz pierwszy miał szansę wykazać się galanterią? W jego oczach widzę znajome ogniki – ewidentnie powstrzymuje wybuch śmiechu. Domyślam się, że chętnie podroczyłby się ze mną, żartując z tego, jak bardzo nie jestem w stanie zachować zimnej krwi i siedzieć przy tym stole spokojnie, jak gdyby nigdy nic. Ale czy jemu udało się uwolnić od myśli o naszych pocałunkach? Ja cały czas czuję na ustach słodkie piętno odcisnięte przez jego wargi.

Benny łapie moje spojrzenie i powoli unosi pytająco brew. Pospiesznie odwracam wzrok.

Obiektywnie rzecz ujmując, kolacja jest totalną katastrofą. Stół ugina się pod ciężarem jedzenia: stoi przed nami niepokojąca masa czegoś w odcieniu czerwieni i brązu (zapewne ma to robić za sos mięsny), do tego na półmisku obok leży odrażająca breja ze zbyt długo gotowanymi bladymi kluseczkami. Zwęglony chlebek czosnkowy pokrajany jest w nierówne kromki, a wymęczone zbyt długim duszeniem warzywa toną w czymś, co chyba w zamierzeniu miało być sosem ranczerskim.

Aktualny wygląd kuchni przywodzi na myśl lej po bombie. Miles i Theo stłukli co najmniej parę talerzy. Nie mam pojęcia, kto posprząta ten cały bajzel, ale... niech mnie diabli wezmą, jeśli nie jest to najcudowniejszy posiłek, jaki jadłam w życiu! Cały czas mam w uszach słowa „ciąg dalszy nastąpi”. Jestem tak szczęśliwa, że z apetytem zjadłabym nawet porcję kleju.

– O rany, bez jaj – mówię śpiewnie. – To jest przepyszne!

Andrew próbuje przywołać mnie do porządku, delikatnie trącając łokciem pod stołem.

Ricky nakłada sobie małą łyżeczkę mięsno-kluskowej papki, po czym spróbował, odsuwa od siebie talerz i pyta:

– Co planujecie robić dziś wieczorem?

O mały włos, a zadławiłabym się konsumowanym właśnie kęsem. Andrew troskliwie uderza mnie po plecach, jednocześnie udzielając odpowiedzi:

– Może Cluedo?

– Och! – woła entuzjastycznie moja mama. – W to jeszcze nie graliśmy!

– Aż tak dużo czasu tu nie spędziliśmy – przypominam jej. I sobie. Bo szczerze mówiąc, czuję się tak, jakbym siedziała w chatce już od miesiąca. Dokonuję szybkiego rachunku: siedem dni oryginalnych świąt plus sześć dodatkowych dni rodem z Krainy Nieoczekiwanych Powrotów.

Sos robi drugie okrążenie wokół stołu. Zachary gestem i mimiką imituje torsje, a Aaron nawet nie próbuje go od tego odwieść. Sam przygląda się podejrzliwie misce z mięsem, po czym mamrocze pod nosem coś o tym, że powinien trzymać dietę. Następnie przekazuje naczynie prosto do naszego taty, omijając Kyle'a.

Jestem pewna, że próbował w ten sposób uchronić męża przed koniecznością konsumpcji tego cudu gastronomii, ale Kyle przechwytuje przesyłkę i mówi:

– No weź... Muszę pracować nad tym, by utrzymać te krągłości! – żartuje, a wszyscy wybuchają śmiechem, jako że Kyle składa się z samych mięśni i żył.

Aaron przeprosza męża, składając na jego ustach buziaka.

Ta chwila czułości jest taka prosta i taka... rozbijająca. Odwracam się akurat, by zobaczyć, jak moi rodzice wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Tata opuszcza podbródek w stronę klatki piersiowej i widzę, jak jego ramiona zaczynają się charakterystycznie trząść.

– Dobra – mówię, celując w nich placem. – Co tu się dzieje?

– Kiedy byłam w ciąży z tobą, na samym początku – zaczyna mama, która też usiłuje stłumić wybuch śmiechu – zapytałam twojego ojca, czy już coś po mnie widać. A on odpowiedział, że może jeszcze nie wyglądam na ciężarną, ale na pewno na taką, która sobie nie żałuje.

Tata zakrywa oczy dłońmi.

– Gdy tylko usłyszałem, jak to brzmi, miałem ochotę wepchnąć sobie te słowa z powrotem do gardła.

– Można by przypuszczać, że facet, którego zawodem jest radzenie sobie z ciężarnymi kobietami, będzie miał więcej oleju w głowie – droczy się wujek Ricky, po czym momentalnie garbi się, rzucając spłoszone spojrzenie swojej małżonce. – O nie...

Lisa wycelowuje w niego placem wskazującym.

– A pamiętasz, jak zaczęłam chodzić na zajęcia z garncarstwa na uniwersytecie?

Ricky wybucha krótkim chichotem, po czym odpowiada zawstydzony:

– Taaak...

Lisa odwraca się w stronę reszty biesiadników i ciągnie:

– Powiedziałam mu, że przy tych młodych siksach czuję się stara i wylinała, a on pocieszył mnie, mówiąc, że „i tak mnie kocha”!

Wszyscy wybuchają histerycznym śmiechem. Tylko Theo wydaje z siebie jęk i mówi:

– Nie, ojciec, nie wierzę.

Ricky odwraca się w stronę syna.

– Jaja sobie robisz? Akurat ty powinieneś chyba zrozumieć! Wczoraj odebrałaś telefon od dziewczyny i nie mogłaś sobie przypomnieć jej imienia!

– Ja wcale nie – zaczyna się bronić Theo, ale Ricky stopuje go gestem uniesionej dłoni.

– Kiedy przyjechaliśmy tu na Święto Dziękczynienia, to co miałeś chcieć ukryć w szafie?

Andrew i ja zamieramy.

Theo przymyka powieki, udając, że to pytanie naprawdę go zawstydzia.

– Kobietę.

– Kobietę – powtarza po nim ojciec. – Kobietę, która po prostu czekała w szafie, aż my skończymy posiłek.

Śmiech niedowierzania rozchodzi się wokół stołu, ale czuję, że dotarliśmy do bomby, która może zaraz wybuchnąć.

– Theo, nie ma opcji, żebyś akurat ty udzielał mi pouczeń w temacie kontaktów z płcią przeciwną.

– Zakrywamy uszy – rzuca Aaron w stronę bliźniąt, a one bez szemrania realizują to zalecenie.

Miles jako ostatni chichocze, a Theo odwraca się do niego, rzucając niepozbawiony dumy komentarz:

– Przynajmniej jest się czym pochwalić, brachu.

Muszę oddać mojemu bratu, że nie wygląda na to, by akurat te przechwałki robiły na nim wrażenie. Wydaje się raczej zdezorientowany.

– Mam siedemnaście lat... Czy ja też powinienem chować w szafie jakichś ludzi?

– Nie! – odpowiadają chórem nasi rodzice.

– Mae i Andrew siedzą podejrzenie cicho – odzywa się pogodnym głosem Lisa.

Cały pokój na chwilę zamiera, po czym spojrzenia wszystkich zebranych kierują się w naszą stronę. Ja jestem zajęta dziabaniem swojej porcji, a Andrew robi minę niewiniątka, które zupełnie nie ma pojęcia, o co chodzi.

– Że co, proszę? – rzuca pytająco, jednocześnie nabierając sobie sałatki.

– Och, właśnie się zastanawialiśmy, jak to możliwe, że jesteście zupełnie poza tym tematem – mówi tata, a mama wydaje się pękać z dumy.

– No właśnie, ci dwoje nie kryją po szafach swoich lowelasów, nie czają się ze swoimi kochankami po kątach – mówi Ricky, ewidentnie pijąc do młodszego syna.

Usiłuję z trudem przełknąć kęs glutowatej mieszanki, a Andrew nonszalanckim gestem nabija na widelec sałatę, mówiąc:

– Technicznie rzecz ujmując, to prawda.

– Mae musiałyby z kimś chodzić, żeby robić takie rzeczy – mówi Miles, a ja patrzę na niego w osłupieniu.

– Twoja siostra nie jest zainteresowana przygodami na jedną noc – mówi tata, nadziewając sobie na widelec burą kluseczkę, po czym przygląda jej się uważnie i rezygnuje z konsumpcji.

Mój brat upuszcza widelec. Wydaje się absolutnie zniesmaczony.

– Czy możecie przestać gadać o kochankach i romansach?

Czuję, jak stopa Andrew zbliża się pod stołem do mojej, i nagle zaczynam wykazywać niezdrowe zainteresowanie kompozycją, która znajduje się na moim talerzu.

– Theo, ta potrawa jest naprawdę wyjątkowa. Możesz nam opowiedzieć, jak ją zrobiłeś?

Wydaje się, że naprawdę mu schlebiłam, bo skwapliwie zaczyna opowiadać o procesie podsmażania mięsa, dodawania do niego pomidorów z puszki i przeczesywania szafek w poszukiwaniu suszonych warzyw. Rozmowa schodzi na inny temat, a ja prawie zupełnie się wyłączam. Tak chyba jest lepiej, wzięwszy pod uwagę niebotyczne ilości energii, które wydatkuję na to, by się nie zdradzić z tym, jakie wrażenie robią na mnie kolejne mikroruchy wykonywane przez Andrew pod stołem. Naprawdę nie byłabym teraz najlepszą partnerką do najprostszej nawet wymiany zdań.

Wydaje mi się, że co chwilę celowo trąca mnie łokciem, ale trudno to jednoznacznie stwierdzić, jako że on jest leworęczny, a ja praworęczna. Przestaję analizować, z czego to wynika, bo patrząc na jego dłonie, przy-

pominam sobie, jak te palce chwyciły mnie za udo, przysuwając mocno w stronę jego bioder. Myślę o jego napierającym na mnie...

– Mae? – Przez zgiełk przebija się głos mamy.

– Mhm? – pytam, podnosząc głowę

Oczy wszystkich znów wpatrzone są we mnie. Widocznie przegapiłam jakieś skierowane w moją stronę pytanie.

Mama marszczy brwi.

– Kochanie, dobrze się czujesz?

Z przerażeniem konstatuje, że twarz i szyję oblewa mi rumieniec.

– Taaak, jasne. Przepraszam, po prostu skupiłam się na przeżuwananiu.

Theo podpira się na łokciu i mówi:

– Właśnie zaklepałem Profesora Śliwkę, a ty nie zareagowałaś nawet mrugnięciem.

– Och – mówię, wymachując widelcem. – Zadowolę się postacią, która zostanie.

U zebranych moja wypowiedź wywołuje szok. Owszem, są sprawy, w których idę na kompromisy, i takie, które są mi niemal obojętne, ale kwestia Profesora Śliwki do nich nie należy. Jak każda szanująca się dwudziestosześcioletka nad wyraz poważnie podchodzę do gry w Cluedo.

A mimo to tym razem...

– O co tyle krzyku, ludzie? – pytam. – Czasem zmiany mogą wyjść na dobre!



Pułkownik Musztarda zwyciężył tę edycję gry w Cluedo, a Profesor Śliwka jak niepyszny udał się na spoczynek. Okazało się, że zmiana roli przyniosła mi nie tylko szczęście i powodzenie w reprezentowaniu nowego bohatera. Traf chciał, że tym razem to właśnie Profesor Śliwka okazał się mordercą (miejsce zbrodni: konserwatorium, narzędzie zbrodni: sznur). Nie sądzę, by Theo z przyjemnością obserwował mój zwycięski tańiec, za to Andrew z pewnością czerpał z niego niebywałą frajdę.

Po zakończeniu gry pozostali zaczęli powoli odmeldowywać się i udawać na spoczynek – dorośli w stronę sypialni, dzieci i młodzież do piwnicy. Nagle zostajemy sami, sprząając elementy gry, tuż przy trzaskającym wesoło ogniu, czując buzujące między nami seksualne napięcie i zastanawiając się, co wydarzy się już za chwilę...

Tak przynajmniej mi się wydaje. Nie czuję się ani odrobinę zmęczona i absolutnie nie mam zamiaru udać się do piwnicy, bo tej nocy liczę na coś specjalnego.

Andrew skinieniem głowy wskazuje kuchnię. Orientuję się, że mój szatański plan wymknięcia się do przystani spełza na niczym – czeka nas zlew pełen brudnych naczyń.

– No tak – wzdycham, żegnając się z fantazją zdzierania flaneli z tego cudownego ciała. – Powiedzieliśmy, że się tym zajmiemy.

Andrew zakasuje rękawy i rzuca mi zaczepne, pełne rozbawienia spojrzenie.

– Zaczniemy pomagać... mówiła... Wiem, że będzie fajnie... mówiła... Musimy zachowywać się jak dorośli... mówiła...

Śmiejąc się, odstawiam do zmywania niemal pełną szklankę z cydrem, po czym odwracam się w stronę stołu z zamiarem pozbierania reszty naczyń.

– Wybacz.

– Pić to ty nie umiesz! – dzieli się obserwacją Andrew, wylewając cydr ze szklanki do zlewu i umieszczając puste naczynie w zmywarce.

– Wiem – mówię, obserwując go, jak wstaje znad zmywarki i oplukuje dłonie pod kranem. – Ale ty masz tak samo.

Andrew szczerzy się do mnie przez ramię.

– Gdy jestem pijany, często podejmuję impulsywne decyzje. Serio, obawiam się, że raptem jeden czy dwa drinki byłyby w stanie zmotywować mnie do wytatuowania sobie na ciele jakiegoś miernego cytatu z piosenki.

Wybucham niepowstrzymanym śmiechem, po czym zasłaniam usta dłonią, słysząc, jak echo mojego chichotu niesie się po pustej kuchni. Ostatnie, czego bym sobie życzyła, to zwabienie tutaj Theo i Milesa.

– Czyli papugi byś sobie nie wytatuował, powiadasz?

Wzdraga się, słysząc to pytanie, po czym zatyka jedną komorę zlewu i zaczyna napępniać ją ciepłą wodą z płynem.

– To, czego najbardziej nie rozumiem, to dlaczego akurat papuga?

Wzruszam ramionami, przygryzając wargę.

– A co jest złego w papudze?

– W papudze na ramieniu albo na plecach? Właściwie nic, opcja do rozważenia – mówi bez przekonania, po czym pokazuje dwoma złączonymi palcami w kierunku swojego krocza. – Ale papuga... tutaj? Tuż przy kutasie? Czemu?!

Chętnie udzieliłabym odpowiedzi, ale część mózgu odpowiedzialna za formułowanie zdań jak na złość się wyłącza. Andrew podnosi na mnie wzrok i błyskawicznie orientuje się w czym rzecz.

– Czyżbym swoim grubiaństwem zawstydził szanowną panienkę?

– Odrobinę – odpowiadam, sięgając po kuchenną ściereczkę z zamiarem wytarcia naczyń, które jak mniemam, Andrew zaraz zacznie myć.

On jednak zamiast tego robi dwa kroki w moją stronę, po czym ujmuje moją twarz w dłoń.

– Masz taki wyraz twarzy, jakbyś nie była pewna, czy to wszystko dzieje się naprawdę – stwierdza.

– To przerażająco trafna obserwacja mojego stanu.

Z uśmiechem zbliża swoje wargi do moich.

– Musimy pozmywać – mamroczę prosto w jego usta. – Rano nie będziemy na to mieli specjalnej ochoty.

Delikatnie przygryza moją dolną wargę, po czym z jękiem odrywa się ode mnie i odwraca w stronę zlewu.

– Racja. Trzeba myśleć zdroworozsądkowo.

Podchodzi do starego magnetofonu Ricky'ego, wkłada do niego kasetę, po czym z głośnym trzaskiem wciska guzik startu. Z małych głośników zaczyna sączyć się głos Sama Cooke'a. Magnetofon ustawiony jest na tyle cicho, że jestem prawie pewna, iż dźwięki muzyki nie dotrą ani na górę, ani

na dół. Jesteśmy tu bezpieczni, tylko we dwoje... Ostatecznie to nie Ozzy Osbourne, tylko Sam Cooke.

Nie wiem wiele o historii...

Andrew podśpiewuje cicho razem z nagraniem, myjąc naczynia. Przy pierwszych paru talerzach, które podaje mi do wytarcia, raczy mnie uwodzicielskim uśmiechem. Po kilku minutach wpadamy w cichy, spokojny rytm pracy. Czuję, że to efekt wspaniałej kombinacji ról: jesteśmy zarazem wieloletnimi przyjaciółmi, jak i nowymi kochankami.

Otrząsa nieco swój ulubiony kubek z jednoróżcem, a ja odbierając go, pytam:

– Chcesz poznać historię związaną z tym kubkiem?

– Jasne.

– Kiedy go pomalowałam, napisałam „Mae i Andrew” na biało, po czym przemalowałam wszystko na różowo, żeby nie było widać.

Gapi się na mnie z otwartymi ustami, po czym wyrывa z mojej ręki kubek, próbując dopatrzeć się na nim dawnego napisu.

– Nie zrobiłaś tego.

– Owszem, zrobiłam.

Andrew podnosi naczynie w stronę światła i wydaje z siebie radosny okrzyk:

– O mój Boże, jest!

Wspólnie pochylamy się nad kubkiem, a on palcem wskazującym celuje w napis. Ma rację. Litery są ledwie dostrzegalne, ale wprawne oko ciągle może odczytać napisane przeze mnie słowa.

– Wiedziałem, że nie bez powodu tak bardzo go lubię.

Wybucham śmiechem.

– Ale to głupie.

– Nie, Mae, to wcale nie jest głupie – mówi, pochylając się, by złożyć na moim czole pocałunek. – No i zgaduję, że nie żartowałaś z tym, że... się we mnie podkochiwałaś.

– Oczywiście, że nie żartowałam! – potwierdzam, a gdy się odwracam, jego usta już czekają, by spotkać się z moimi.

I jeśli to mogłoby zdarzyć się z tobą...

Wracamy do naszego rytmu zmywania i wycierania. Nawet się nie orientuję, że trochę się przesunęliśmy i teraz cały czas stykamy się ramionami. W końcu Andrew sięga po ostatni brudny talerz, a potem nasze oczy spotykają się na dłuższą chwilę. Jestem absolutnie odurzona tym, co się dzieje. To jest to, o czym zawsze marzyłam: być tutaj, właśnie tak, właśnie z nim. Może nie jesteśmy jeszcze parą w klasycznym tego słowa znaczeniu, ale zdecydowanie jesteśmy czymś o wiele więcej niż przyjaciółmi.

Nagle w mojej głowie rodzi się myśl, która sprawia, że czuję się tak, jakbym zapadała się w cudownej toni jeziora w gorący dzień. „Jestem szczęśliwa. Nigdy wcześniej nie byłam taka szczęśliwa”. Może Benny miał rację, może w końcu jestem sobą.

Pochyliłam się, by pocałować Andrew w szyję.

– Pozwólmy naczyniom trochę obeschnąć. Poukładam przyprawy i inne takie. – Chwytam słoik z oregano, pojemniczek z suszoną pietruszką i jakąś mieszankę o nazwie „Miks makaronowy”, pod pachę wkładam kilka nienapoczętych puszek z pomidorami. Tak wyekwipowana ruszam do spiżarni.

Andrew zakręca wodę i rusza w ślad za mną, wycierając wilgotne dłonie w ściereczkę.

– Co ty wyprawiasz?

– Skradam się! – szepcze, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Nawet w ciemnościach spiżarni widzę jego promienny uśmiech.

– Czy mężczyzn z rodu Hollisów kręci kitranie się w małych przestrzeniach?

– A czy nie o to chodzi w świętach? No wiesz, pocałunki pod jemiołą, migdalenie się po kątach...

– Na oczach wścibskich krewnych.

Jego usta są centymetry od moich. Nagle wybucha śmiechem i składa na nich delikatny pocałunek. Mój umysł jest jak przetarta mokra ściereczką

tablica. Pod wpływem jego ust moja głowa oczyszcza się z jakichkolwiek myśli. Zostają tylko jego wargi na moich, jego ramiona wokół mojej talii, moje ręce błędzące po jego klatce piersiowej, obejmujące go za szyję.

Na końcu języka mam pytanie: „Czy to nie jest najlepszy pocałunek w historii?”. Bo dla mnie bezdyskusyjnie zasługuje na pierwsze miejsce. I nie chodzi tylko o to, jakim uczuciem darzę Andrew. Sama czynność jest po prostu absolutnie doskonała, wszystko łączy się dokładnie tak, jak powinno – jego usta zdają się idealnie pasować do moich. Perfekcyjna kombinacja.

Andrew przenosi wargi na mój policzek, a potem niżej. Składa idealne, przeplatane delikatnym ssaniem, pocałunki na mojej spragnionej, wrażliwej skórze. Mój puls przyspiesza jeszcze bardziej, gdy słyszę, jak wydaje z siebie jęk. Ten dźwięk dosłownie posyła mnie w kosmos. Jeszcze chwila, a wyląduję na Jowiszu... Przez krótki moment w mojej podświadomości pojawia się niczym błysk flesza wyobrażenie jego głowy między moimi udami.

Myśl o tym, że mogłabym obserwować go, gdy będzie to robił, sprawia, że jednocześnie czuję się nieco zawstydzona i absolutnie nakręcona. Moje libido zamieniło się w nienasyconego potwora. Andrew nie wydaje się ani trochę speszony tym, że zachłannie przysuwam go bliżej siebie, całuję go mocniej, jestem coraz głośniejsza, poruszam się coraz bardziej intensywnie... Tutaj, w zacisznej ciemności składziku, mogę udawać, że jesteśmy zupełnie sami, że nie dzielimy tego domu z jedenastoma osobami. Bez namysłu wkładam dłonie pod jego koszulkę, z rozkoszą dotykając miękkiego rozgrzanego ciała. Błędzę palcami po jego żebrach.

– Widzę, że chcesz sobie trochę poobmacywać?

Ewidentnie się droczy, ale sposób, w jaki wypowiada te słowa, daje mi do zrozumienia, że to, co robię, bardzo mu się podoba.

– Owszem. Powiem ci, że jesteś naprawdę przyjemniutki.

– Moja kolej – mówi, a jego palce przez chwilę błakają się w okolicach rąbka mojej koszulki, po czym suną w górę – przez brzuch, żebra i dalej...

Pocałunki nie słabną. Mam ochotę pożerać to uczucie, najeść się nim do syta, kąpać się w nim.

– Myślisz, że wszyscy dostaliby kociokwiku, gdyby wiedzieli, co się tu wyprawia? – pyta.

– Nie wszyscy – odpowiadam. – Ale z pewnością niektórzy z tych bardziej wpływowych.

Jego kciuk wślizguje się pod mój stanik, po czym z powrotem wycofuje.

– Obstawiam, że cieszyliby się naszym szczęściem.

Myśl o tym, że moglibyśmy zaistnieć jako para w świadomości innych ludzi wydaje mi się zarazem cudowna i przerażająca. Utrzymywanie tego w sekrecie przed naszymi rodzinami sprawia, że czuję, jakbyśmy zachowali to w sekrecie przed całym światem, a co za tym idzie, przed wszechświatem, który może jeszcze się nie zorientował, co się dzieje. Bo owszem, jestem szczęśliwa, a zapewne o to w tym wszystkim chodziło, ale nie mam pojęcia, jak właściwie do tego doszło i jak to utrzymać. A przecież nikt nie jest w stanie być szczęśliwy przez cały czas. Co będzie, gdy mi przejdzie?

Palce Andrew wślizgują się pod fiszbinę i podnoszą materiał biustonosza tak, że przechodzi ponad piersiami, odsłaniając je.

– Tak jest w porządku?

Nie dbam o to, jak desperackie wydaje się moje „tak”. Pragnę całego jego ciała, pragnę jego dotyku skoncentrowanego właśnie w tym punkcie, pragnę, by każdy elektron jego energii zogniskował się właśnie tutaj...

Jego dłoń nurkuje pod moją koszulkę i okrywa całą pierś. W tym momencie wypuszczamy z siebie absurdalny jęk rozkoszy, prosto w usta tego drugiego. Po sekundzie odsuwamy się, wciąż patrząc na siebie, rozbawieni do rozpuku. Widać, że jesteśmy dwójką idiotów dokładnie tej samej kategorii. Dobraliśmy się w korcu maku.

Z błyszczącymi oczami zaczyna powoli masować moje piersi, subtelnie drażniąc się z nimi i delikatnie je podszczypując.

– Jesteś doskonała – mruczy. – Tak cudownie miękka...

Wysyłam w stronę wszechświata tysiąckrotne podziękowania. Ku mojej radości przyciśnięty do mnie Andrew nie ma z miękkością absolutnie nic wspólnego.

„To jest najlepszy pocałunek na świecie!” – krzyczy po raz kolejny moja jaźń, gdy jego wargi znów spotykają się z moimi. Tym razem jestem cudownie rozkojarzona jego dłonią, wciąż bawiącą się moim biustem.

Nagle w moim polu widzenia pojawia się ostre białe światło. Instynktownie cofamy się, wpadając na szafki. Teraz Andrew przyciska się do moich pleców, a moje serce momentalnie ląduje gdzieś w okolicach tchawicy.

Chryste Panie, musimy znaleźć sobie inne miejsce schadzek, schowki ewidentnie przynoszą nam pecha.

– Tutaj! Tu jesteśmy – krzyczę dla niepoznaki, modląc się, by za drzwiami spiżarni grasował Benny.

– Dlaczego drzwi są zamknięte? Dlaczego tu jesteście?

O Boże. To mój brat.

Gwałtownym ruchem ściągam biustonosz na miejsce.

– Właśnie sięgałam po...

– To – wybawia mnie z opresji Andrew, zdejmując coś z najwyższej półki.

Nie mam bladego pojęcia, co to takiego ani kogo to właściwie obchodzi. Mnie za to obchodzi fakt, że biodrami cały czas wbija się w moje plecy i czuję go... Czuję go i... Łał, jest naprawdę twardy. Mam wrażenie, że mój mózg zaczyna topnieć.

Miles musi być naprawdę skupiony na obserwowaniu tego, po co sięga Andrew. Dzięki Bogu. Ja za to jestem absolutnie skoncentrowana na tym, co kłuje mnie w pośladki.

Zrobiłam to.

Pragnęłam tego.

Andrew zdejmuje tajemniczy obiekt z półki i przekazuje go mojemu bratu. Jakimś cudem zdołał obrócić mnie tak, że stoję teraz twarzą do Milesa, jednocześnie zasłaniając Andrew. Jest to doprawdy konieczne. Wziąwszy pod uwagę, że ma na sobie dres, jego aktualny stan byłby niemożliwy do przeoczenia.

Miles przygląda się wręczonemu mu właśnie przedmiotowi.

– Przyszliście tu po... ceramiczne sombrero?

Słyszając te słowa, przenoszę wzrok na to, co kryje się w dłoniach Milesa. Miseczka na salsę i nachosy przeszła już niejedno, teraz dodatkowo jest pokryta grubą warstwą kurzu. Nie widziałam jej na oczy od co najmniej dekady.

– Tak, Mae miała akurat chęć na przekąskę.

Andrew delikatnie szczypie mnie w okolicach talii, gdy milczę, zamiast żarliwie przyłączyć się do tej farsy.

– Tak, tak właśnie było! – piszczę, opamiętując się.

– Nie mogłaś zjeść chipsów z jakiejś normalnej miski?

„Miles, weź się po prostu odczep”.

– Miałam chęć poświętować – próbuję nieudolnie.

Przygląda mi się uważnie, po czym na jego twarzy pojawia się złośliwy grymas.

– Jesteś czerwona jak burak!

– Jestem?

– Jest? – powtarza jak echo Andrew, odwracając się w stronę szafek w nieudanej próbie ukrycia chichotu. – Daj, nasypię chipsów, Maisie.

Ale nas przyłapał. O cholera, biedny Miles. Najpierw historia o keczupowym chłopaku, teraz to.

Wychodzę ze składziku i brat gwałtownym ruchem odciąga mnie na bok.

– Czy wyście się tam właśnie całowali?

– Oczywiście, że nie!

Bez jaj, to się robi z lekka przerażające. Czemu on nie może po prostu zakumać, że jest piątym kołem u wozu, pożegnać się i odejść w siną dal?

– Zmywaliśmy wspólnie naczynia, a mnie złapała chęć, żeby coś przegryźć. Możesz... po prostu wracaj do łóżka.

Miles rzuca ostatnie pełne sceptycyzmu spojrzenie w stronę drzwi do spiżarni, po czym nalewa sobie szklankę wody i człapie po schodach do piwnicy.

Gdy jestem już pewna, że zniknął na dobre, patrzę na Andrew, który poprawia swoje dresy, szczerząc do mnie zębiska.

– No cóż... To było dość niezręczne.

– Dość?! To była najbardziej niezręczna sytuacja w historii!

Coś w wyrazie jego twarzy nagle się zmienia, jakby opadła kurtyna, spod której wyłania się zapowiedź kolejnej fazy naszych nocnych przygód.

– Och – mówię, celując w niego palcem. – Wyczuwam zmianę frontu.

Andrew nachyla się ku mnie, po czym konspiracyjnym szeptem zaczyna:

– Myślałem...

– Brzmi niebezpiecznie...

– Że zamiast kitrać się w kuchni, ryzykując spotkanie rodzeństwa obu stron, mógłbym zaproponować panience powrót ze mną do przystani, gdzie służę drinkiem.

– Czy mówiąc drink – szepczę w odpowiedzi – masz na myśli całowanie się bez koszulek?

Powoli kiwa głową.

– Zgadza się. Aby dopełnić obrazu tej propozycji, dodam, że w istocie nie mogę zaoferować ani jednego drinka, ponieważ aktualnie nie posiadam na stanie ani kropli alkoholu.

Udaję, że rozważam propozycję, choć w istocie mój mózg wykonuje już setki radosnych fikołków.

– Chętnie się wybiorę, ale pod jednym warunkiem.

Wyraz jego twarzy zmienia się w okamgnieniu.

– Nie musimy robić niczego, na co nie jesteś...

– Że potem odprowadzisz mnie do domu – przerywam mu zdecydowanym tonem. – Nie ma opcji, żebym przeżyła insynuacje mojej mamy, gdybyśmy zostali przyłapani rano, a nie zamierzam wracać tutaj sama.

W jego oczach widzę błysk zrozumienia.

– Czyżby przypomniała ci się jakaś scena z *Milczenia owiec*?

– Trafiłeś w dziesiątkę.



Rozdział 19

Na zewnątrz dech zapiera mi widok granatowego nieba, które swoją intensywną barwą przypomina przepastny ocean, tu i ówdzie upstrzony malutkimi srebrzysto połyskującymi rybkami. Powietrze jest tak ostre, że muszę wziąć parę wdechów, by przyzwyczać płuca do tego, że nie jesteśmy już w suchym, ciepłym wnętrzu. Odchodzimy dwa kroki od ganeczku, a Andrew ujmuje mnie za rękę – jego palce splatają się z moimi tak naturalnie, jakby robił to już setki razy.

– W domu nigdy nie widuję takiego nieba – zachwycom się.

– Czasami zapominam, jak bardzo kocham to miejsce, a potem wychodzę na dwór, widzę to i... rety, trudno mi będzie z tego zrezygnować.

Wypuszczam z siebie krótki, osobliwy odgłos i usiłuję pokryć go nerwowym kaszlnięciem.

– Myślałeś o tym, żeby spróbować przekonać rodziców, by jednak zatrzymali dom?

Pełna wymownego milczenia pauza daje mi do zrozumienia, że odpowiedź nie jest twierdząca.

– Chciałbym, żeby zrobili to, co dla nich najlepsze. Rozumiesz?

Podnoszę rękę i przeczesuję włosy. Część kosmyków owija mi się wokół palca, próbuję odgarnąć je z twarzy.

– Masz tak strasznie dużo włosów – odzywa się cicho Andrew. – Są przepiękne.

– Radzenie sobie z nimi to istna męka. Powinieneś zobaczyć moje sinia-ki – żartuję. Głęboki brązowy odcień odziedziczyłam po mamie, natomiast bujność owłosienia jest charakterystyczna dla rodziny mojego taty.

– Ale pomyśl, ile ptasich gniazd zostało tu uwitych właśnie dzięki nim.

Wybucham śmiechem, ale z każdym krokiem, który robimy, stąpając przez ciemność rozświetloną tylko błękitną poświatą śniegu (jest tak zmrożony, że idziemy, nie zapadając się), czuję potężniejszy strach.

– Chciałam tylko powiedzieć – zaczynam – zanim dojdziemy do przystani... Chciałam cię poprosić, żebyś nie przestawał ze mną rozmawiać. Nawet jeśli będzie dziwnie albo coś pójdzie nie tak. Obiecuję, że jeśli stwierdzisz, że chcesz czegoś innego, to będzie w porządku. Ale jeśli zaczynasz mnie ignorować, to nie będzie w porządku – kończę niezgrabnie.

– Naprawdę myślisz, że mógłbym się tak zachować?

Szczerze mówiąc, nie. Nie jestem nawet w stanie sobie tego wyobrazić.

– Masz rację – potwierdzam.

– A dlaczego właściwie zakładasz, że to akurat ja zmienię zdanie?

– Po prostu staram się zadbać o nas i nasze rodziny. Teraz jest cudownie, ale wiem, że to w sumie poważna kwestia.

Andrew pochyla się i składa na moich wargach pocałunek. Mam wrażenie, że ten gest jest jak uzupełnienie naszej rozmowy, jak niewypowiedziane zdanie: „Zaufaj mi, dobrze?”.

Docieramy do przystani. Andrew odwraca się, by sięgnąć po klamkę i otworzyć z głośnym szcękaniem drzwi. Naszym oczom ukazuje się ciemna, pusta przestrzeń, a ja myślę o tym, dlaczego odwiedzenie przystani tego wieczoru budzi we mnie zupełnie inne uczucia niż zazwyczaj. Zimny mrok pomieszczenia nie wydaje się przerażający czy niegościnnie. Owszem, temperatura pozostawia wiele do życzenia, ale wiem, że w odległym kącie leży sterta śpiworów, w których już za parę minut będę kokosić się z Andrew przyciśniętym mocno do mojego ciała.

A co, jeśli będziemy uprawiać seks?

Słowo „seks” uderza mi do głowy, po czym zaczyna migać jak fluorescencyjny neon. Zaledwie parę godzin temu przekonałam się, jakie to uczucie go całować, ale... w końcu nie jesteśmy już dziećmi, a przyjaźnimy się przez prawie całe życie. A jeśli intensywność tego, co jest między nami, można mierzyć miarą naszych pieszczot w szafie i spiżarni oraz sekretną namiętnością, która czaiła się pod moją skórą już od dekady, to właściwie nie ma powodu, by przypuszczać, że nie zerwiemy z siebie ubrań w tym samym momencie, w którym zamkną się za nami drzwi.

Słyszę szcęk zasuwki. Echo tego pojedynczego, zdecydowanego dźwięku kontrastuje z przyspieszonym, nierównym rytmem mojego rozszalałego tętna. Andrew przechodzi obok mnie, zanurzając się w mrok przystani.

– Chodź – mówi, prowadząc mnie w głąb pokoju. Zapala narożną lampkę, która zalewa pomieszczenie ciepłym, żółtym światłem. – Tadam!

Gdy się odsuwa, moim oczom ukazuje się przytulna kompozycja złożona z poduszek i śpiworów. Leżą na podłodze, bo jego miejsce do spania byłoby zbyt wąskie dla więcej niż jednej osoby. Jednak połączywszy dwa flanelowe, podszyte purpurowymi jeleniami śpiwory stworzył całkiem przyzwoite legowisko dla dwojga. Dodatkowo przy ścianie leżą zachęcająco ułożone poduszki, na których w razie potrzeby moglibyśmy złożyć głowy. Andrew przyszykował nawet kilka butelek z wodą gazowaną (moją ulubioną), którą musiał zawczasu podprowadzić z kuchni.

Przenoszę wzrok na niego, a w moich oczach zapewne ukazują się bijące serduszka jak u postaci w kreskówkach. Kiedy on to wszystko przygotował?

– Mówiłeś, że nie masz żadnych napojów.

– Powiedziałem, że nie mam żadnych drinków – prostuje, szczerząc zęby. – Ale wiem, w czym gustujesz.

Próbuję się przed tym bronić, ale wbrew mojej woli nachodzą mnie wspomnienia kolejnych facetów z przeszłości, którzy z trudem byli w stanie zapamiętać, czy lubię dodawać do napoju kostki lodu i który drink jest moim ulubionym, nie wspominając nawet o pomysle, by go dla mnie zawczasu przygotować.

Porzucam wszelkie kalkulacje i jakąkolwiek ostrożność. Przepelniają mnie wdzięczność i pragnienie, które sprawia, że bez namysłu przysuwam się do Andrew, oplatom ręce wokół jego karku, jednocześnie konstatając, że on przyjmuje ten wybuch czułości z entuzjazmem i bez wahania. Chryste, to, co dzieje się między nami, jest jak odwrotność wybuchu – nagle, pełne gorąca topnienie. Andrew mocno mnie przytula i przysuwa swoje usta do moich. Na chwilę przed pocałunkiem wydaje z siebie coś między śmiechem a jękiem rozkoszy. Znowu czuję promienie słońca. Tym razem nie musimy się zastanawiać, kto może nas nakryć, nie musimy być ostrożni. Jesteśmy tylko ja i on, gorąco jego roześmianych ust oraz westchnienia ulgi i przyjemności.

Andrew mocnym ruchem obraca nas i przyciska mnie do ściany. Ten pogodny i łagodny Andrew nagle znika, zamieniony w mężczyznę, który stoi właśnie przede mną. Uśmiecha się, ale jest w nim coś ciemnego i ekscytującego. Chwyta moje biodra, przyciąga je do swoich, dając mi poczuć, że teraz gnębi go ten sam głód co i mnie.

Przenosimy się na podłogę. Moja koszulka zostaje uniesiona, po czym przechodzi przez moją głowę, a ja w końcu mogę pozbyć się miękkiej flaneli i poczuć pod palcami skórę jego ramion, jego siłę, napięcie, które pojawia się u niego na wysokości grzbietu, gdy nagle znajduje się nade mną, przyciskając mnie dokładnie tam, gdzie chcę.

Znowu w głowie wyświetla mi się neon: „Seks. Seks. Seks”.

Spędziliśmy w przystani najwyżej cztery minuty, a już jesteśmy północy. Nie żebym była zaskoczona, ale nie chciałabym być naiwna.

– Andrew – mamroczę prosto w jego wargi.

Odsuwa się lekko, a w przydymionym świetle lampki widzę malujący się na jego twarzy niepokój.

– Co tam?

Czy powinnam teraz poruszyć ten temat? Czy wyjdzie w praniu i wtedy będziemy się martwić? Nie, to nigdy nie jest dobry pomysł. Sformułowanie „pod wpływem chwili” jest bardzo adekwatne, i właśnie to nam grozi.

– Słuchaj, to zabrzmiało trochę niezręcznie, ale nie mam... – Czeka, aż dokończę zdanie, ale ja nagle czuję, ile w tym moich założeń, może zbyt śmiałych, zbyt pochopnych. Jezu, przecież dopiero co zdjęliśmy koszulki. „Uspokój się, Mae”, strofuję samą siebie. – Nieważne – mówię w końcu.

– Czego nie masz? – naciska. Lekko przesuwam się w moją stronę. Teraz znajduje się jeszcze bliżej tego dezorientującego mnie, rozgrzanego punktu między moimi nogami.

– Yyy... Nie żebyśmy na pewno mieli to zrobić, w sensie... zapewne tego nie zrobimy. Ale jedno może płynnie przejść w drugie i...

Słyszę w jego głosie uśmiech.

– Maelyn Jones, czy mówisz o antykoncepcji?

Nie sądziłam, że moje przerażenie może wzrosnąć jeszcze bardziej. A jednak.

– Tak jak mówiłam – dodaję raptownie. – Nie to, że do tego dojdzie, dopiero tu przyszedliśmy, ale chciałabym, żeby było...

– Bezpiecznie – wchodzi mi w słowo niskim, zmysłowym głosem, po czym delikatnie ściska moje biodro. – Zająłem się tym. Nic się nie martw.

Po tych słowach znów jest nade mną. Teraz nasze ruchy są nieco bardziej czułe i mniej nerwowe, jakby wypowiedzenie na głos tego, co może nas dziś czekać, sprawiło, że zeszło z nas napięcie.

Powietrze w przystani wydaje się jeszcze zimniejsze niż to na zewnątrz, ale w połączonym gniazdku ze śpiworów szybko robi się ciepło i przytulnie. Andrew przez chwilę mocuje się z moim biustonoszem (co dodaje mi otuchy i z jakichś względów bardzo mnie rozczuła), a potem, gdy w końcu wygrywa tę batalię, rzuca stanik gdzieś w okolice swojego łóżka. Czuję gorąco jego warg na swojej szyi, a potem na klatce piersiowej. Delikatnie mnie kęsa i nieco mocniej całuje.

Targają mną sprzeczne żądze. Mam chęć z całej siły wcisnąć pedał gazu i przyhamować, jednocześnie chcę, by działał jeszcze szybciej, chcę poczuć go w sobie. Mam ochotę z pietyzmem przeżywać każdą sekundę, bo oto moje wieloletnie fantazje się spełniają i jest tak idealnie, tak wspaniale. Zupełnie jakby Andrew czytał nienapisany przez nikogo *Przewodnik po ciele*

Mae i jakby uważał, by nie ominąć ani jednego ze strategicznych punktów. Jeszcze nie tak dawno byłam przekonana, że Andrew nie darzy mnie uczuciami innymi niż braterskie, a tu nagle, przyjąwszy moje zaproszenie do tego, by odkryć nas jako parę, jest tak bardzo pełen zapału, tak absolutnie zaangażowany. Zupełnie jakby on też na to czekał. Jakby też marzył o mnie i tak samo jak ja w końcu mógł tchnąć życie w swoje fantazje. Wszystko to wydaje mi się kompletnie surrealistyczne.

Andrew znika w śpiworze. Dzięki umiejętnemu użyciu swoich zręcznych palców, determinacji i czułości ust szybko radzi sobie z zapięciem moich dzinsów, a następnie zsuwa je w dół, po czym odrzuca na bok.

Nie widzę go, ale czuję jego usta w okolicach kolan, na udach, aż w końcu dociera między moje nogi, a ja czuję, że... zaraz umrę. Nigdy nie pragnęłam niczego tak mocno jak tego. Oddałabym wszystko, żeby tylko czuć gorąco jego pocałunków właśnie tam...

Nagle Andrew prostuje się gwałtownym, panicznym ruchem, po czym przebiwszy się przez wszystkie warstwy śpiwora, bierze głęboki, łapczywy wdech.

– O kurde – mówi, wciąż niespokojnie oddychając. – Chyba nigdy nie byłem tak blisko utraty życia.

To, co wychodzi z moich ust, stanowi bardzo dziwne połączenie histerycznego chichotu i przerażonego łkania.

Najwyraźniej tam, na dole, jest absolutnie upiornie... Dlaczego nikt wcześniej nie powiedział mi prawdy?!

Zakrywam twarz dłonią.

– Żyjesz? – pytam.

– Tak i mam się dobrze! Chciałem... ale nie byłem w stanie zaczerpnąć powietrza – mówi, cały czas oddychając nierówno, po czym łapie kolejny głęboki wdech. – W tej flaneli jest strasznie duszno, dosłownie nie ma w ogóle powietrza.

Wybucham śmiechem i opuszczam ręce, ogarnia mnie wielka ulga.

– Byłam gotowa poświęcić wszystkich najbliższych, żebyś tylko nie przestawał, ale nawet to nie było warte twojej śmierci przez uduszenie.

Znów się pochyla, po czym przykłada czoło do mojego ramienia.

– Oskarżam Mae, która zaczęła się na mnie ze swoją waginą we flanelowym śpiworze.

Teraz śmieję się już bez żadnej kontroli. On również zaczyna się trząść, a ja myślę o tym, że wspólna głupawka z Andrew, gdy leżymy oboje nadzy, może być najlepszą rzeczą, jaka kiedykolwiek mnie spotkała. Odsuwa się kawałek na bok i podpira na łokciu, patrząc na mnie. Drugą ręką kreśli kółeczka na moim brzuchu, moich piersiach, mojej szyi.

Obserwuję go w łagodnym świetle, boczna lampka podkreśla tę doskonałą kombinację miękkości i kanciastości. Ostra linia szczęki i wydatne kości policzkowe, łagodne łuki warg, niemożliwie długie rzęsy.

– Czy ktokolwiek zdążył ci już powiedzieć, że masz najpiękniejsze oczy na świecie? – pyta mnie Andrew. – Masz takie niewinne, sarnie spojrzenie, trochę jak ta aktorka z *Gidget*.

Odpowiadam śmiechem.

– To wypowiedź godna naprawdę starego człowieka, Mandrew!

– Nie, posłuchaj – nie odpuszcza. Podnosi się na ręce i zaczyna gestykować drugą. – Prawie zawsze jak chorowałem i musiałem zostać w domu, oglądałem powtórki *Gidget*. I, mówię zupełnie serio!, jestem prawie pewien, że Sally Field była moim pierwszym poważnym zauroczeniem.

– Czy to przypadkiem nie jest bardzo dziwne? – zastanawiam się głośno. – Trudno powiedzieć...

– Nie jest to dziwne – mówi, nachylając się i całując mnie w policzek. – Jest ślicznotką. Nawet dobijając siedemdziesiątki, wciąż ma to coś.

– Wiesz, że Tom Cruise ma prawie sześć dych? – wchodzę mu w słowo.

Przez chwilę wygląda na nieco zbitego z tropu.

– Czujesz coś do Toma Cruise'a?

Drapię się po nosie.

– Absolutnie nie. Ale myślę, że to dosyć zabawne, jeśli wziąć pod uwagę, że od zawsze wygląda, jakby właśnie dobijał czterdziestki.

Andrew wydaje z siebie pomruk pełen zrozumienia, po czym rzuca:

– Wiesz, że Christopher Walken jest osiemdziesięcioletnim?

Znów wybucham śmiechem.

– Kurde, czemu my mamy w głowach te wszystkie informacje?

– Bo jesteśmy dziwolągami? W jak najlepszym tego słowa znaczeniu – sugeruje, jednocześnie zbliżając usta do mojej szyi.

– Może jednak nie w takim najlepszym – odpowiadam. – Leżę nago i gadam o Christopherze Walkenie. Nieźle.

– To, że leżysz nago, jest zdecydowanie najlepsze – mówi Andrew. – Szczerze powiedziawszy, jestem szczęśliwy, mogąc dzielić ten wyjątkowy moment z tak znakomitym aktorem jak Christopher Walken.

Zalewa mnie fala czułości tak przemożna, że nie mogę powstrzymać się od ujęcia twarzy Andrew w obie dłonie. Nie chodzi tylko oto, jak cudownie się czuję albo jaki on jest piękny i nieziemski. Chodzi również o to, jak łatwo i naturalnie przychodzą nam te rozmowy pomiędzy pocałunkami, bliskość zupełnie pozbawiona skrępowania, mimo że oboje jesteśmy zupełnie nadzy. I te żarty z tego, że Andrew nieomal stracił życie między moimi nogami.

Pocałunek z początku jest słodki i łagodny, ale kiedy jego język wślizguje się między moje wargi, wydaję z siebie jęk, który sprawia, że jakaś tama w nim zostaje przerwana. Nagle znów rzuca się na mnie z niezwykłą zachłannością, a ja czuję pożądanie tak silne, że kręci mi się w głowie.

Moje palce bawią się ze szlufką jego dresów, wsuwają się pod nią delikatnie, po czym – właściwie to czemu by nie? – zsuwają spodnie w dół. Czuję jego rozgrzaną skórę ocierającą się o moje uda. Przez sekundę myślę, że to wszystko może dzieje się za szybko. Orientuję się, że chyba on poczuł to samo, bo delikatnie odsuwa się ode mnie.

Jeszcze nigdy nie zsynchronizowałam się z nikim tak idealnie. Wydaje się, że na całowaniu i pieszczotach, pogawędkach i żartach, rozmowach przerywanych nagłymi wybuchami śmiechu zeszły nam całe godziny. Seks jest bardzo realną perspektywą, podobnie jak nieprzenikniona ciemność nocy, która przypomina nam o tym, że nie ma pośpiechu, że na tę nieskrępowaną zabawę mamy mnóstwo czasu. Nawet charakterystyczny

szelest opakowania prezerwatywy wprawia nas w drgawki histerycznego śmiechu. Andrew cały czas chichocze, wchodząc we mnie, a potem nagle widzę go poważnego i skoncentrowanego. To człowiek, którego całe życie opiera się na słuchaniu. Teraz każdy ruch dostraja do wydawanych przeze mnie odgłosów.

Gdy w końcu się ubieramy i Andrew odprowadza mnie przez nieskalaną biel śniegu, dwóch rzeczy pragnę z równą intensywnością: by się odwrócić i znów znaleźć się zupełnie nago razem z nim w jednym śpiworze oraz by pójść wspólnie do kuchni, siąść przy stole i rozmawiać z nim długie godziny.



Rozdział 20

O piątej trzydzieści, po dwóch i pół godzinie od momentu, gdy Andrew odprowadził mnie do chatki, w końcu kapituluję i uznaję, że jednak nie uda mi się zasnąć. Cicho wdrapuję się na górę i kieruję się do kuchni. Czuję się jak kompletny wrak, który wyłazi z kanałów wprost w blask dziennego światła. Zdecydowanie jestem kobietą, która do normalnego funkcjonowania potrzebuje pełnych ośmiu godzin snu. Cóż, dzisiejszy dzień zapowiada się doprawdy ciekawie.

Ricky wchodzi do pomieszczenia w tym samym momencie co ja. Oboje zastygamy na widok jego syna pochylonego nad michą pełną płatków śniadaniowych. Serce momentalnie łąduje mi w żołądku, gdy z przerażeniem obserwuję, jak Andrew podnosi rękę, by jak gdyby nigdy nic zetrzeć sobie z brody kroplę mleka.

Chyba nie słyszał, że nadciągamy. Wiem, że może być zaskoczony naszym widokiem, ale ta zapadająca między nami cisza, on pochylony nad miską, nieodzywający się ani słowem... To wszystko do złudzenia przypomina tamten upiorny poranek z Theo. Czuję, jak krew krzepnie mi w żyłach.

Czy to właśnie jest ta ukryta pułapka? Nieoczekiwany zwrot akcji? „Mamy cię! Popełniłaś z Andrew identyczny błąd jak wcześniej z jego bra-

tem. Czy naprawdę myślałaś, że cała ta maskarada prowadzi do tego, byś była szczęśliwa?”

Mimowolnie wydaję z siebie piskliwy odgłosik, coś pomiędzy jękiem a westchnieniem. Andrew ogniskuje na mnie wzrok, następnie odwraca się przez ramię w stronę swojego taty, by potem znów spojrzeć na mnie. Jego zaspane oczy rozbłyskują radością.

– Witam towarzyszy niedoli przedwczesnego wstawania! – rzuca wesoło.

Patrzy na mnie tak, jakbym była dokładnie tą osobą, której widok tego poranka cieszy go najbardziej. Ja jednak potrzebuję trochę czasu, by to sobie uzmysłwić i odrzucić wątpliwości, które opadły mnie przy wejściu. Dlatego nadal stoję w tym samym miejscu, zamiast usiąść przy stole.

Ricky zerka na mnie, potem na dzbanek do parzenia kawy, następnie znów na mnie, po czym widząc, że na nic jego znaczące spojrzenia, rezygnuje i sam podchodzi do maszyny.

– Dlaczego jesteś na nogach tak wcześnie, Drew?

– Nie mogłem spać – odpowiada Andrew, po czym zza pleców ojca puszcza do mnie bogate w znaczenia oczko.

Nagle w mojej głowie pojawiają się, niczym klatki z filmu, wspomnienia. Echo jego jęku, widok jego szyi wygiętej w tył w wyrazie ekstazy. Gdzieś w środku mnie narasta kula lepkiego gorąca, a w moich myślach nie ma już miejsca na nic więcej.

– Pewnie w przystani było za zimno, żeby spać, co? – rzuca zaczepnie Ricky, po czym posyła mi triumfalne spojrzenie, jakby był pewien, że teraz porządnie dogadał synowi.

– Właściwie dzisiaj było tam ciepło jak w uchu – odpowiada Andrew, dziobiąc łyżką swoje płatki. – Tylko strasznie długo byłem na nogach, a potem jakoś nie mogłem wyłączyć nadaktywnego mózgu.

– Martwisz się czymś? Jakies kłopoty w pracy? – pyta Ricky, przygotowując na blacie trzy kubki, podczas gdy kawa zaczyna powoli sączyć się do dzbanka.

– W sumie to sprawy związane z pracą zajmują teraz w mojej głowie ostatnią pozycję – odpowiada indagowany, wzruszając ramionami, a następnie znów zaczyna raczyć się płatkami. – Po prostu rozpierała mnie pozytywna energia.

Zerkam na linoleum, markując swój nieprzytomny, pełen zachwytu uśmiech udawanym ziewnięciem.

– No cóż, po dzisiejszym dniu na pewno będziesz padnięty – prorokuje Ricky, siadając przy stole. – Tego możesz być pewien.

Dziś jest dwudziesty trzeci grudnia, to Dzień Poławiaczy Mydła i Powidł. Dobieramy się w drużyny (ciągnąc losy z kapelusza), po czym rozbiegamy się po Park City w poszukiwaniu rzeczy z dość osobliwej listy wymyślonej co roku przez Lisę i Ricky'ego. Mamy znaleźć na przykład srebrny ornament, gigantyczną lukrecję czy psa paradującego po ulicy w swetrze. Czasem potrzebny jest dowód w formie nagrania wideo – tak było w zeszłym roku, gdy na liście znalazła się grupa ludzi tańczących kankana. Oczywiście potrzebna była zgoda tancerzy na uwiecznienie ich wysiłków. Muszę przyznać, że proszenie przechodniów o to, by wykonali jakąś kompletnie absurdalną czynność, bywa dość straszne, ale w większości przypadków to przede wszystkim świetna zabawa.

Poszukiwania zwykle stanowią też okazję do dokonania zakupów na ostatnią chwilę. Theo i Miles jeszcze nigdy nie skalali się zrobieniem ich wcześniej. Dodatkowym plusem tej aktywności jest fakt, że stanowi ona pożądane wytchnienie od nieustannego przebywania we wspólnej przestrzeni. Mama, Kyle i Aaron zwykle zostają w domu, szykując ucztę na kolejny dzień. Zazwyczaj w menu znajdują się te same, ukochane przez wszystkich wigilijne potrawy: szynka, pieczone ziemniaki, grillowane warzywa, makaron z serem, domowej roboty chleb i dziesięć innych dań, na które każdego roku czekamy z utęsknieniem.

Reszta towarzystwa zwykle zachowuje się jak spuszczone ze smyczy, a duch rywalizacji nie opuszcza nas ani na minutę. Któregoś roku tata posunął się do nabycia nowej koszulki dla pewnej kobiety, a to tylko po to, by nikt inny nie miał możliwości wykreślenia z listy podpunktu „osoba w T-shircie Broncos”.

Moje stopy w końcu budzą się z letargu. Przechodzę przez kuchnię do stołu, odsuwam sobie krzesło i siadam ramię w ramię z Rickym.

– A jak tam u ciebie, Mae? – pyta, lekko mnie trącając. – Udało ci się po-
spać?

Zapewne powinnam skłamać, ale jestem tak wyczerpana, że nie stać
mnie na żadne podstępne zagrania.

– Nie bardzo.

Na twarzy Andrew pojawia się wystudiowany grymas pełen troski
i kompletnego zaskoczenia.

– Och nie, naprawdę? Ty też?

Ricky zrywa się, bo maszyna do kawy właśnie piszczeniem obwieszcza
szczęśliwy finał procesu parzenia. Wykorzystuję ten moment, by posłać
Andrew ostrzegawcze spojrzenie, które wbrew mojej woli zamienia się
w uśmiech. Znów czuję na twarzy promienie słońca, a w mojej głowie Julie
Andrews swoim anielskim głosem wyśpiewuje rzewne piosenki na tle ty-
rolskich landszaftów. Konfetti w najlepsze tryska z pokrytych brokatem
kanionów, klucz ptaków z wdziękiem przefruwa z korony ogromnego
dębu, a ja jestem w stanie niepowstrzymanego, wypełniającego mnie po
brzezi szczęścia.

Ricky przesuwa w moją stronę wypełniony kawą kubek, po czym dys-
kretnie odchrząkuje.

– Zupełnie nie wyglądasz na zmęczoną, Maelyn.

– Przeciwnie, jesteś nawet zarumieniona! – dorzuca jego syn z niewin-
ną miną, po czym bierze do ust łyżkę pełną płatków i mleka, z pietyzmem
przeżuwa mieszankę, przełyka i dodaje: – Ale gdybyś później potrzebo-
wała się zdrzemnąć, to polecam przysnąć. Cisza, spokój, no i w tych śpiwo-
rach jest naprawdę ciepło.

Dobra, teraz już mogę być pewna, że robię się właśnie czerwona jak bu-
rak, a oczy rozbłyskują mi na nowo. Pochyliam się po kubek z kawą, przez
chwilę upajam się lekko orzechowym aromatem, po czym uprzejmie od-
powiadam:

– Dzięki, raczej nie będzie takiej potrzeby.

– Tak czy owak, dziś położymy cię do łóżka znacznie wcześniej – podsumowuje Andrew, zerkając na mnie znad swojego parującego kubka. – Słowo harcerza!



Pół godziny później łapie mnie w holu, gdy z kosmetyczką w ręce zaczynam wspinać się po schodach z zamiarem skorzystania z górnej łazienki (ciśnienie wody jest w niej zdecydowanie najlepsze). Ciągnie mnie do poprężonej w ciemnościach jadalni i znajduje nam obojgu kryjówkę za jedną z grubych aksamitnych zasłon. Gdy tylko się tam znajdujemy, wtula twarz w zagłębienie mojej szyi.

– Cześć – odzywa się, nie zmieniając pozycji i biorąc długi wdech. – Nie myj się jeszcze, dobrze? – Lekko rozchyła usta i zębami dotyka najczulszych punktów na mojej szyi i ramionach. – Wciąż pachniesz jak przystań...

– Gdzie w dniu wczorajszym twój flirt był o niebo subtelniejszy – droczę się z nim.

Śmiejąc się cichutko, przyciąga mnie do siebie. Teraz przytulamy się mocno, stojąc oparci o ścianę.

– Pocałuj mnie – mruczy.

Spełniam jego prośbę.

– Chcesz wiedzieć, czemu nie mogłem zasnąć?

Tym razem ja wybucham śmiechem.

– Czemu?

– Bo bez przerwy myślałem o tych wszystkich odgłosikach, które wydawałaś z siebie wczoraj...

– Moich odgłosikach?

Jego wargi znów suną w stronę mego karku.

– Tak, szczególnie tych wydawanych prosto do mojego ucha – mówi, po czym dodaje znacznie ciszej: – Nie przerywaj. Proszę, nie przerywaj...

Z ręką na sercu mogę powiedzieć, że nie mam żadnych tego typu konkretnych wspomnień, jedynie rozmazane przebłyski jego poruszającego się nade mną ciała, nieziemskiej, wyginającej plecy w łuk rozkoszy, ciężkiego, przyspieszonego oddechu Andrew, gardłowych dźwięków, które dobywały się z jego ust, gdy dochodził.

– Nie sądziłam, że nadałam jakikolwiek komunikat w mowie artykułowanej – przyznaję.

– Artykułowaną bym jej nie nazwał – odpowiada, chichocząc. Śmiech szybko przechodzi w jęk, po którym pada pytanie: – Jak my to niby mamy ukrywać? Przecież mam to wszystko wypisane na twarzy. Może jednak nie powinniśmy próbować?

Czy on mówi serio? Naprawdę myśli, że możemy obwieścić to światu po zaledwie jednym dniu? Czy on w ogóle zna nasze rodziny?

Zadaję sobie to pytanie, po czym orientuję się, że teraz nie mam najmniejszej ochoty zawracać sobie głowy kimkolwiek innym niż my dwoje. Zaplatam ramiona wokół jego barków, a on zaczyna mnie dotykać.

– Obawiam się, że gdy zasłonka zacznie się trząść, to z zewnątrz może wyglądać bardzo podejrzanie – ostrzegam.

Odsuwa się w wyrazie teatralnego zgorszenia.

– Co proszę? Wyobrażasz sobie, że co, za przeproszeniem, będziemy tu robić? – pyta, po czym obejmuje dłońmi moje piersi.

Wciąż czuję gdzieś w środku rytmiczne echo wczorajszej nocy. O to, że na przeżyte uniesienia pada teraz cień poczucia winy, mogę oskarżać chyba tylko moje nieco zbyt sztywne wychowanie. Mama, owszem, w większości pozbyła się pruderii, tak kultywowanej przez babcię, ale zachowała jedno z konserwatywnych uprzedzeń – w jej opinii seks nie powinien zdarzać się ot tak, zwyczajnie. Wie, że nie jestem dziewicą, ale jestem też absolutnie pewna, że nie ucieszyłaby się na wieść, że uprawiałam z Andrew seks w chatce jego rodziców. Nie sprawia to, że żałuję tego, co zrobiliśmy, ale nie mam ochoty się z tym afiszować.

Andrew zauważa, że zmarkotniałam. Jego dłoń ześlizguje się z piersi w okolice talii.

– Co się stało?

Nie odpowiadam, cały czas pogrążona w głębokiej zadumie. Realność tego, że uprawiałam z nim seks, i to tak szybko – samo tempo rozwoju akcji jest, prawdę mówiąc, szokujące – dociera do mnie razem z innymi aspektami tej sytuacji. Przez minionych kilka godzin pozwoliłam sobie zapomnieć o tym, że to wszystko jest jedną dziką, kosmiczną wycieczką, że gdzieś we wszechświecie tyka niesłyszalny stoper. Przecież przeżywałam już ten sam dzień i godzinę i nie mam bladego pojęcia, co może spowodować, że cofnę się w czasie po raz kolejny. Czy ostatnim razem, na chwilę przed uderzeniem gałęzi, czułam się inaczej, jakoś mniej zakorzeniona w rzeczywistości niż teraz? Może... Przetrwałam, owszem, cały dzień bez cofania się do samolotu, ale był to też dzień, w którym nie siliłam się na żadne nowe postanowienia czy życiowe wnioski. Byłam po prostu... szczęśliwa.

A przecież to było moje jedyne życzenie – być szczęśliwą.

Więc co się stanie, gdy nie będę szczęśliwa? Co stanie się, gdy te upojne ferie dobiegną końca, Andrew wróci do Denver, a ja znajdę się z powrotem w Berkeley, załamana naszą rozłąką, pozbawiona pracy i kompletnie splukana? Co, jeśli nie będę w stanie utrzymać tej krzywej szczęścia? Czy tym samym obleję test? Czy znajdę się z powrotem na polu startowym, mając przed sobą zadanie przeżycia tych wszystkich momentów na nowo i utrzymania tego balonu szczęścia w górze bez końca, na zawsze, na wieki wieków?

– Nic się nie stało – odpowiadam w końcu, mając nadzieję, że ta cisza nie była alarmująco długa. – Po prostu przetwarzam to wszystko, co się dzieje.

– O kurde – wypala, a mina mu rzednie. – Za szybko działamy. – Przeciąga dłonią po twarzy. – Zeszłej nocy powinniśmy trochę zwolnić. Ale to było takie cudowne i ja po prostu...

– Nie tylko ty – przerywam mu. – I tak, wszystko działo się szybko – przyznaję, jednocześnie czując, że po jego wzmiance o tym, jak dobrze było, na nowo zalewa mnie fala rozkosznego gorąca. – Ale nie za szybko.

Chciałam to z tobą zrobić od chwili, gdy dowiedziałam się, na czym polega seks.

Na jego twarzy pojawia się zmysłowy uśmiech.

Nagle dodaję trzeźwo:

– To znaczy, to byłoby za szybko, jeśli... – z wahaniem przetykam ślinę – jeśli to jest sprawa na jedne święta...

Po raz kolejny tego dnia odsuwa się, ale teraz wydaje się naprawdę szczerze zraniony.

– Czy rzeczywiście masz takie obawy? – pyta.

– Sama do końca nie wiem, ale jesteś w tych sprawach jeszcze bardziej tajemniczy niż Theo. Dla mnie na pewno to nie jest coś takiego – dodaję niezgrabnie.

Przez chwilę bawi się ramiączkiem mojej koszulki.

– Nigdy bym ci czegoś takiego nie zrobił. I nie, Mae, to nie jest sprawa na jedne święta.

– Wiem, że występuje tu mnóstwo czynników, które wszystko komplikują, takich jak fakt, że nasi rodzice są najlepszymi przyjaciółmi, a my mieszkamy setki kilometrów od siebie – wyliczam, po czym przygryzam wargę i się mityguję: – Przepraszam. Nie chciałam, żeby zrobiło się tak poważnie.

– Żartujesz sobie? – pyta, zginając nogi w kolanach, dzięki czemu nasze oczy znajdują się teraz na tej samej wysokości. – Przecież jedyny sposób, w jaki możemy to zrobić, to rozmawiać szczerze i otwarcie. Nawet jeśli nie czujesz, że wczorajszego wieczoru coś zdarzyło się za szybko, to fakty są takie, że od poziomu zero przeskoczyliśmy od razu do poziomu sześćdziesiątego. Mów, proszę!

Właściwie przekładanie tej rozmowy na później nie ma żadnego sensu, możemy zająć się tym już teraz.

– Wiem, że myślisz, by powiedzieć o nas innym, ale czy naprawdę tego chcesz? – Delikatnie wkładam rękę pod rąbek jego koszulki, szukając dłoni znajomego ciepła.

Andrew próbuje stłumić jęk, po czym raptownie zaskakuje mnie długim, głębokim pocałunkiem, który sprawia, że serce przemieszcza się z mojej klatki piersiowej gdzieś w okolice brzucha.

– Nie chciałabym, żeby wszyscy zaangażowali się w tę sprawę, zanim my sami zdążymy zorientować się, o co nam chodzi.

Kiwa głową, a ja wyciągam z tego gestu wnioski, że dalsze tłumaczenia są niepotrzebne, że wie, o co mi chodzi. Dorastałam, obserwując związek, który zupełnie nie działał. Wiem, że nawet pozornie najprostsze rozstania po mało zobowiązujących przygodach potrafią stać się naprawdę paskudne, i nie chcę, by ktokolwiek czuł się zmuszony do opowiadania się po którejś ze stron, jeśli między nami coś nie ułożyłoby się idealnie tuż po rozpoczęciu.

Składa delikatny pocałunek w kąciку moich ust, po czym mówi:

– To może przyjrzymy się temu jeszcze chwilę, zanim cokolwiek komukolwiek powiemy? Teraz jestem tak szczęśliwy, że czuję się tak, jakbym był kompletnie pijany. Ale mogę spróbować trochę się ogarnąć i podejść do tego rozsądnie.

Problem w tym, że nie wiem, czy ja będę w stanie. Właśnie przekazałam moje serce w dłonie osoby, która (nic o tym nie wiedząc) i tak trzymała je od lat. Jestem przerażona myślą, że Andrew może nie zdawać sobie sprawy z wagi tego, co właśnie się dzieje.

Słyszymy czyjeś kroki. Ktoś zatrzymuje się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od naszej kryjówki. Andrew cały sztywnieje, jego oczy robią się wielkie jak spodki. Czuję, jak moje nogi zamieniają się w dwa betonowe słupy.

– Hop, hop! Kimkolwiek jest ten, kto się tam czai – odzywa się Andrew – ja właśnie... sprawdzałem, czy drzwi balkonowe działają jak należy. – Przeciska się obok mnie i zaczyna głośno grzebać przy zamku.

Przez chwilę patrzymy po sobie, bezgłośnie modląc się, by byli to Kennedy lub Zachary, tak byśmy mogli bezkarnie zełgać, że od samego rana gramy w sardynki.

Nasze wątpliwości zostają rozwiane przez charakterystyczne chrząknięcie. Żadne z bliźniąt nie potrafiłoby tak akuratnie udawać głosu dorosłego mężczyzny.

– Znam niezłego ślusarza.

Benny.

Andrew odrzuca kurtynę za plecy, wypuszczając z siebie głośnie westchnienie ulgi.

– O kurde, dzięki Bogu.

Benny śmieje się, po czym rzuca:

– Czy można zapytać, co robiliście ukryci za zasłoną?

– Sprawdzaliśmy zamki? – odpowiadam figlarnie.

Benny chyba nie załapał żartu, bo pyta na poły poważnie:

– To tak się na to teraz mówi, hm?

– No dobra, obściskiwaliśmy się – odpowiada Andrew, wzruszając ramionami. – Ale uwaga, zobowiązujemy cię do dyskrecji!

– Ostatnimi czasy co i rusz ktoś powierza mi sekrety – mówi Benny, rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie.

Andrew zauważa to i przenosi wzrok z niego na mnie, a następnie pyta:

– Co jest grane?

Teraz to ja wzruszam ramionami, jakbym chciała powiedzieć: „To nie ja, to Benny”.

– Mae przechodzi teraz przez... różne fazy – wyjaśnia mój powiernik.

– Dobre czy złe? – drażży Andrew, zwracając się w moją stronę. Wydaje się momentalnie zdjęty obawą, że coś przed nim ukrywam.

– Hm, raczej określiłbym je jako dobre – mówi Benny, patrząc na mnie i pytająco unosząc brwi.

Zza ramienia Andrew pokazuję mu w odpowiedzi dwa wycelowane w górę kciuki. Benny pozoruje taneczne ruchy, które chyba mają oznaczać spontaniczne świętowanie. Gwałtownie przerywa w momencie, w którym Andrew odwraca się w jego stronę.

– Ale przyszedłem tutaj – mówi, nagle poważniejąc – by ostrzec was, że Miles grasuje po domu, szukając Mae.

– Skąd wiedziałeś, że znajdziesz nas za zasłonką? – pytam z niedowierzaniem.

Odwraca się na pięcie, rzuca nam ostatnie spojrzenie przez ramię, po czym odpowiada z uśmiechem:

– Wystarczyło podążać za chichotem.



Odnajduję brata na ganku. Siedzi na huśtawce, grzebiąc w telefonie. Podnosi głowę, słysząc moje kroki. Od razu wciska urządzenie do kieszeni kurtki, a złożone ręce wsuwa między złączone kolana.

– Hej – rzuca.

– Hej – odpowiadam.

Na zewnątrz jest upiornie zimno, a ja dopiero co wyszłam spod prysznicza. Odnoszę wrażenie, że właśnie znalazłam się w zamrażarce, która momentalnie zamieni mnie w sopel. Szczękając zębami, jedną ręką ciaśniej obejmuję gorący kubek z kawą, drugą zasuwam zamek błyskawiczny w mojej parce najwyżej, jak się da.

– Benny wspominał, że mnie szukałeś.

Miles na chwilę zastyga, po czym nagle się rumieni. W tym momencie dociera do mnie, o co w tym wszystkim chodzi. Jakim cudem nie domyśliłam się wcześniej?

Siadam koło niego i lekko trącam jego ramię swoim.

– Co tam? – pytam.

– Zeszłego wieczoru miałem rację, prawda? – odpowiada pytaniem, po czym patrzy na mnie poważnie.

Odziedziczył po naszej mamie ogromne oczyska i doprawdy szybko nauczył się, jak używać tej broni, kiedy szeroko je otworzyć w wyrazie kompletnej niewinności, a kiedy łobuzersko zmrużyć. Teraz mruga, patrząc na mnie, jakby był przerażony perspektywą rozmowy na takie tematy z sio-

strą. Jednocześnie czytam w tym spojrzeniu nadzieję, że nie posunę się do kłamstwa.

– Rację w jakim temacie? – doprecyzowuję. Chcę mieć pewność, że nie zaszło nieporozumienie.

– Takim, że ty i Andrew się obściskiwaliście.

– Tak. Miałeś – odpowiadam z prostotą.

– Theo wie?

Cała momentalnie się spinam i odpowiadam defensywnie:

– Nie wie. I proszę, nie mów mu, dobrze? Jak już ustalimy, dokąd to zmierza, to sami powiemy wszystkim w odpowiednim momencie.

Miles kiwa głową, po czym przenosi spojrzenie na tonący w bieli podjazd.

– Jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

– Nie bardzo – odpowiadam szczerze.

– Mama nie podejdzie do tego na luzie.

Problem z przeprowadzką do rodzinnego domu jest następujący: nagle z trybu niezależnego dorosłego weszłam na powrót w tryb dziecka. Mama wciąż gotuje większość posiłków, bo naprawdę uwielbia to robić. Robi też za mnie większość prania. Twierdzi, że to pomaga jej się odstresować, gdy musi pomyśleć nad zmianami w którymś ze swoich obrazów. Oczywiście płacę za te wygody tym, że nie mam prawa narzekać, gdy decyduje się dorzucać swoje trzy grosze do niemal każdego aspektu mojego życia.

– Uwierz mi – zapewniam – że to jest najważniejszy powód, dla którego na razie trzymam rzecz w tajemnicy.

Miles bierze głęboki wdech, po czym powoli wypuszcza powietrze. Nagle rzuca:

– Wydaje mi się, że Theo jest w tobie zakochany.

– Że co? Nie, na pewno nie jest – mówię pospiesznie.

– Skąd wiesz?

Wybucham suchym śmiechem i tłumaczę:

– Theo po prostu przyzwyczał się do tego, że wszystkie dziewczyny go pragną. A ja jestem wyjątkiem. I tyle! On jest typem faceta, który ma chęć na to, czego nie może zdobyć.

Obserwuję twarz Milesa, który próbuje zrozumieć logikę tych wyjaśnień. Nagle chyba zaskakuje, bo potakująco kiwa głową.

– No dobra. Ja po prostu... nie chciałem, żeby zrobiło mu się przykro.

Całuję go w czoło i stwierdzam czule:

– Dobry z ciebie chłopak.

Z udawanym obrzydzeniem odpycha mnie od siebie, ale zaraz potem odwraca się, żeby dodać:

– Spędź z nim dzisiaj trochę czasu.

– Dlaczego?

– Bo wydaje mi się, że naprawdę się za tobą stęsknił.



Rozdział 21

W kontekście tej informacji prawdziwym zrzędzeniem losu wydaje się przebieg losowania. Tego roku Miles i Theo przypadkiem stłukli szklaną misę, do której zwykle wrzucaliśmy karteczki z imionami. Teraz wybieramy je po raz pierwszy z naprędce przysposobionego kowbojskiego kapelusza Ricky'ego. Karteczka z imieniem Theo jako pierwsza zostaje wyłowiona, tuż za nią pojawia się moja. Andrew posyła mi zbolące spojrzenie, ale doskonale wiem, że wyjdzie na tym wcale nieźle. On i Miles stanowią idealną drużynę gotową stawić czoło każdemu zadaniu. Doskonała kombinacja sugestywnych oczu Milesa i nieodpartego uroku Andrew, który jest w stanie przekonać niemal każdą napotkaną osobę do wypełnienia najgłępszego zadania, stanowią gwarancję sukcesu.

Naprawdę im się poszczęściło, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę tegoroczną listę, obfitującą w wyzwania w postaci nagrań wideo dokumentujących następujące cuda:

- nieznajomy śpiewający piosenkę *Jingle Bells*,
- sztuczki w wykonaniu psa,
- ktoś, kto wyrecytuje do kamery swoją listę świątecznych zakupów,
- osoba z twojej drużyny dokonująca aktu dobroci serca.

Theo podchodzi do mnie z listą w ręce, uśmiechając się nieśmiało. Czuję się tym kompletnie rozbrojona. Jakim cudem ten przestraszony gostek

może być tym samym typem, który wylizał mi twarz po to, by następnego dnia kompletnie mnie zignorować? Połączenie w głowie tych dwóch postaci wydaje mi się kompletnie niemożliwe. Kiedyś mieliśmy w zwyczaju pisać do siebie wiadomości o wszystkim – pracach domowych, szkole, jego treningach piłki nożnej, moich projektach artystycznych. On narzekał na zaspę śniegu, ja w odpowiedzi wysyłałam mu zdjęcie ogrodu mojej mamy, wciąż pełnego kwitnących roślin. Zaprzestaliśmy tego już jakiś czas temu. Teraz się zastanawiam, czy Theo nie tęskni za tym, jak było wtedy.

Tak bardzo chciałabym, żeby Miles nie miał racji.

– Wygląda na to, że dziś miałaś nieszczęście trafić na mnie – zagaja Theo.

Z przyganą lekko uderzam go w ramię, pokrywając zmieszanie osobliwym wybuchem śmiechu. Chryste, nie wyszło to zbyt dobrze, za to zdecydowanie krzykliwe i nienaturalnie. Theo zna mnie zbyt dobrze, żeby uwierzyć w taką szopkę. Odsuwa się lekko, patrząc na mnie podejrzliwie. Wiem, że nie jest typem człowieka, którego zaskoczenie zmusi do tego, by wprost zadać cisnące mu się na usta pytanie. Nie lubi rozmawiać o uczuciach, a już na pewno nie lubi tego robić w towarzystwie innych ludzi. Stoimy zatem w krępującej ciszy, patrząc, jak formują się składy pozostałych drużyn.

Potem odjeżdżamy, zapakowawszy się do niezawodnego vana Ricky'ego. Siedzący z przodu Andrew nastawia świąteczny album Nat King Cole'a i wszyscy fałszywie podśpiewujemy razem z wokalistą, komentując jeden przez drugiego zarówno poszczególne pozycje z listy, jak i styl jazdy Ricky'ego (trzeba przyznać, że naprawdę prowadzi jak dziadek). Poza tym na głos marzymy o tym, jak znakomicie smakować będzie dzisiaj kolacja.

Wtaczamy się do miasta, znajdujemy miejsce na kameralnym parkingu, po czym wysypujemy się gromadą z auta i ustawiamy w parach. Według instrukcji mamy spotkać się przy wozie za dwie godziny. Ricky żegna się z nami, przypominając o zasadach (mamy pamiętać, by zawsze zachowywać się uprzejmie, prosić o zgodę na zrobienie zdjęcia i „Jeśli chcecie się

poddać teraz, to nie ma sprawy... Oszczędzicie sobie trochę czasu, bo Kennedy i ja zdecydowanie zamierzamy wygrać”).

Theo odwraca się plecami do grupy. Stajemy naprzeciw siebie jako dwuosobowe zgromadzenie. Przebywanie tak blisko niego nie powinno być dla mnie niczym dziwnym – znam go jak nikogo innego – a jednak nie jestem w stanie otrząsnąć się z poczucia dziwnej czujności. Nie chodzi tylko o to, że w równoległej przeszłości się z nim migdaliłam, ani o to, że regularnie migdałam się z jego bratem. Idzie chyba o warstwy wszystkich rzeczy, o których Theo nie ma pojęcia. O to, czego dowiedziałam się o nim – choć on nie ma prawa tego pamiętać – podczas mojego pierwszego, oryginalnego świątecznego tygodnia. I ta wiedza nie działa na jego korzyść.

Teraz trzyma listę, wodząc palcem po kolejnych podpunktach.

– Powinniśmy zacząć od czegoś, co szybko pójdzie. Może zadanie z lukrecją? – rzuca, po czym czyta dalej. – A może zdjęcie nas obojga w czapkach Świętego Mikołaja albo zdjęcie jakiegoś przedmiotu z wizerunkiem łośia – kończy wymieniać, po czym podnosi na mnie wzrok. – Te zadania powinny być całkiem proste. Jak sądzisz?

„Powinny, szczególnie z uwagi na to, że dokładnie wiem, gdzie znaleźć te wszystkie fanty” – myślę, ale nie wypowiadam tego na głos.

– Prowadź – rzucam, siląc się na uśmiech.

Wszystko między nami wydaje się teraz wymuszone. Nie mogę tego znieść.

Odwraca się i oddala na lewo od vana w stronę Main Street. Zerkam przez ramię. Andrew i Miles obrali ten sam kierunek, ale przeszli na drugą stronę, chcąc zapewnić nam nieco przestrzeni. Gdy nasze spojrzenia się spotykają, Andrew mruga do mnie porozumiewawczo. To oczko jest dla mnie jak łyk źródlanej wody w gorący dzień. Stanowi cudowne przypomnienie o tym, że nawet jeśli musimy działać teraz bardzo ostrożnie, to jednak działamy razem. Ramię w ramię.

I że się całowaliśmy.

I uprawialiśmy seks.

Sprawy wyglądają naprawdę, naprawdę dobrze.

Podbiegam, by dogonić Theo. Zrównuję się z nim, czując nagły przypływ animuszu.

– Oto i ona – rzuca, patrząc w dół, i posyła mi uśmiech.

Zanim Park City stało się popularne wśród miłośników narciarstwa i nim zostało gospodarzem festiwalu Sundance, było miastem górniczym. Teraz leży między dwoma gigantycznymi ośrodkami wypoczynkowymi, pierwotnie zostało odkryte przez żołnierzy stacjonujących w pobliżu Salt Lake City, którzy zapuścili się w te okolice, wpadłszy na trop ukrytego w górach srebra. Gdy w końcu dotarła tu linia kolejowa, a wieść poszła w świat, nagle zaroilo się w tym miejscu od żądnych przygód i bogactwa śmiałków marzących o zbiciu fortuny.

Main Street wyglądem wciąż przypomina o tamtych początkach. Fasady w stylu retro i budynki o długiej historii pozwalają cofnąć się myślą do górniczych czasów, ale teraz zamiast dawnych sklepów czy knajp miasto pełne jest eleganckich butików i muzeów, powstała nawet destylarnia. Teraz Park City oznacza też spore pieniądze. Jeśli wziąć pod uwagę liczbę zjeżdżających tu turystów, chatka Hollisów z pewnością jest warta fortunę. Nic dziwnego, że zdecydowali się na sprzedaż.

Theo i ja naprędce kompletujemy kilka najprostszych zdjęć z listy. Mamy już koszulkę z motywem łosia, fotkę kowboja, bączek do gry w drej-dla, ozdobę z płatkami śniegu, losową rzecz z dopiskiem „Ho, ho, ho”, po czym zatrzymujemy na ulicy jakąś parę, próbując przekonać ją, by zgodziła się zaśpiewać przed kamerą utwór *Jingle Bells*. Chwilę nam to zajmuje, ale ostatecznie się udaje. Na szczęście, bo już czujemy na karku oddech konkurencji. Zauważyliśmy, że Andrew i Miles zrobili filmiki z co najmniej czwórką różnych ludzi, a Ricky i Kennedy, którzy cały czas mającą nam na horyzoncie, zdają się frunąć przez kolejne zadania bez najmniejszego trudu. No cóż, tak to jest, gdy ma się w drużynie przeuroczą, a razem nad wiek dojrzałą pięciolatkę.

Nie to, żeby tak bardzo zależało mi na wygranej, ale plusem zaangażowania się w tę aktywność jest to, że mogę poudawać, że nie słyszę rozbrzmiewającego w mojej głowie uporczywego głosiku, który usiłuje mnie

ostrzec, że wszystko jest na krawędzi i już za chwilę, już za moment nastąpi totalna katastrofa.

Nie jestem w stanie dokładnie ustalić, co wywołuje to uczucie, ale nie sposób go zignorować. Narasta we mnie panika. Owszem, wszystko się zmieniło, i to na lepsze, ale... nigdy wcześniej nie miałam zaufania do swoich decyzji i nie mam pojęcia, jak poradzić sobie z tym, że znienacka dostaję wszystko, czego tylko zapragnę. Tak, pragnęłam Andrew, ale przecież to wszystko nie może ograniczać się tylko do pocałunków, miziania i poczucia błęgiego szczęścia. Gdyby tylko wszechświat dał mi jakąś małą wskazówkę, choćby porozumiewawcze mrugnięcie, z którego mogłabym wyczytać, że postępuję tak jak trzeba, że jestem na właściwej ścieżce, może wtedy mogłabym odetchnąć pełną piersią. Teraz jednak czuję, że muszę po prostu przebrnąć przez ten dzień, przez dwudziesty szósty grudnia, i dotrzeć do punktu, w którym jeszcze nie byłam. Dopiero wtedy będę mogła zrelaksować się z poczuciem, że wszystko jest jak należy, że zostaję w tej rzeczywistości na dobre.

Gdy parę podpunktów z listy zostało już skreślonych, Theo zatrzymuje się przed jednym z kameralnych sklepików, po czym oznajmia:

– Muszę kupić kilka rzeczy dla rodziców.

Zaglądam przez szybę. Na wystawie widzę wysokiej jakości urządzenia do gotowania, mieszankę przypraw i mnóstwo kuchennych bibelotów.

Prawdę mówiąc, nie wygląda mi to na miejsce, w którym można by upolować jakiś prezent dla Lisy. Powstrzymuję się jednak od komentarza, widząc po drugiej stronie ulicy Andrew, który właśnie wchodzi do innego sklepu. I to w dodatku bez Milesa, który najprawdopodobniej jest zajęty swoimi zakupami, jak zwykle dokonywanymi w ostatniej możliwej chwili. Serce zaczyna mi łopotać w klatce piersiowej.

– Ja pójdę... o, tam! – Wskazuję. – Też muszę kupić to i owo. To co? Widzimy się tutaj za dwadzieścia minut?

Nawet jeśli Theo zauważył, że kieruję się w to samo miejsce, w którym dopiero co zniknął jego brat, nie daje tego po sobie poznać. Lekkim uniesieniem podbródka pokazuje, że mogę spokojnie zmykać. Z trudem powstrzymuję się od pokonania reszty drogi do Andrew sprintem.



W witrynie sklepu zaprezentowano staromodne choinki ze sztucznych piórek i pudełka pełne dawnych świątecznych zabawek. Od wejścia uderza mnie ciepłe powietrze wnętrza, słyszę też dźwięki świątecznych przebojów. Pokonuję alejki pełne starych elektronicznych sprzętów, podniszczonych mebli, dawnych nagrań zebranych w stosy i używanych sprzętów kuchennych. Rozglądam się w poszukiwaniu Andrew.

W końcu znajduję go w najdalszym kącie sklepu. Właśnie odwraca jedną z płyt winylowych, by zapoznać się z wydrukowaną na drugiej stronie okładki listą utworów.

– Hej, hej – odzywam się.

Odwraca się w moją stronę, rozjaśnia się w uśmiechu i cały otaczający nas świat na krótką chwilę zamienia się w złoto.

– Hej – odpowiada, po czym rozejrzawszy się pośpiesznie dookoła, pochyla się, by skraść mi buziaka. – Jak tam z Theo?

– Okej – odpowiadam, wyjmując płytę z pudełka, które właśnie przegląda Andrew. – Jest trochę napięta atmosfera. Nie wiem w sumie dlaczego.

– Najprawdopodobniej dlatego, że sypiasz z jego rodzonym bratem, a on nie ma o tym bladego pojęcia.

Na wspomnienie tego, że ze sobą sypiamy, zapala mi się wewnętrzna żaróweczka. Jest super, a jednak odczuwam też ukłucie winy, dlatego odpowiadam szczerze:

– Czuję się, jakbym go okłamywała. Och, i Miles o nas wie – przypominam sobie nagle.

– Wie, że...? – pyta Andrew w popłochu, wykonując jakieś bliżej nieokreślone gesty imitujące stosunek seksualny.

Wybucham śmiechem i odpowiadam:

– Nie sądzę, by wiedział więcej niż to, że całowaliśmy się w składziku – tłumaczę, a widząc spojrzenie Andrew, dodaję: – No weź. On ma siedemnaście lat, a nie siedem. I zapytał mnie o to wprost.

– Biedny Miles – mówi Andrew, mrugając szybko powiekami.

– Obiecał, że nikomu nic nie powie, ale myślę, że to i tak kwestia czasu, kiedy wszyscy się domyślą.

– Szczególnie kiedy po tygodniu od wyjazdu stąd odwiedzę cię w Berkeley, nie mogąc bez ciebie żyć.

Gwałtownie podnoszę głowę.

– Że co?

– Może to dobra myśl? – odpowiada, triumfalnie szczerząc zęby. – Czy to zbyt dziwne?

Przygryzam wargę i potrząsając głową, odpowiadam:

– Czuję, że już za chwilę wszystko się zmieni...

– Tak?

– Miles wkrótce wyjeżdża na studia. A ja będę musiała znaleźć nową pracę – urywam na chwilę i posyłam mu uśmiech. – No i my...

– Moglibyśmy razem pomyśleć nad tym, jak ugryźć temat pracy. Coś ci chodzi po głowie?

Lekko wzruszam ramionami.

– Coś artystycznego. Mogłabym spróbować szukać zleceń graficznych jako wolny strzelec, póki nie wymyślę co dalej.

– A ja zorientuję się, czy moja firma czegoś nie potrzebuje. Może jakieś rzeczy związane ze stroną? – wysuwa propozycję Andrew. Ewidentnie nie ma zielonego pojęcia, jak to wszystko działa, ale i tak rozczuła mnie jego chęć pomocy. – Popytam! – dodaje.

– Byłoby wspaniale – odpowiadam z uśmiechem. – Wiem, że powinnam bardziej denerwować się tym, że nie mam pracy, ale...

Ciężko mi czymkolwiek się martwić, gdy on jest tuż obok. Za każdym razem, gdy zaczynam panikować – na temat podróży w czasie, swojej pracy, ujawnienia rodzicom czegokolwiek z tego, co właśnie się dzieje – wystarczy jedno spojrzenie w jego stronę i od razu się uspokajam. A to chyba musi coś znaczyć.

Spogląda mi głęboko w oczy, jakby wiedział, o czym właśnie myślę. Odchodzi na krok od pudełka z płytami, po czym odwraca się, rękami obejmując

muje moją twarz i składa mi na ustach pocałunek. Moje myśli błyskawicznie przechodzą od „Och, chyba coś się dzieje...” do „Och, potrzebuję czuć na skórze dłonie tego mężczyzny. Natychmiast”.

Andrew lekko przechyla głowę, jego język zaczyna drażnić się z moim, a on wydaje z siebie niski rozwibrowany jęk. Wszystko to – smaki, zapachy, uczucia – błyskawicznie przenosi mnie do wczorajszej nocy i chwili, gdy byliśmy tak blisko siebie. Znowu chcę być przyciśnięta do niego najmocniej, jak się da. Ignoruję cichy głos, który czai się gdzieś z tyłu głowy, podpowiadając, że jesteśmy w miejscu publicznym, a członkowie naszych rodzin mogą w każdej chwili wejść do tego sklepu.

Jego dłonie ześlizgują się w dół, na moje biodra. Andrew przyciąga mnie do siebie, po czym nagle chyba przypomina sobie, gdzie się znajdujemy, bo lekko się odsuwa. Ujmuje mój podbródek i składa na moich ustach ostatni pocałunek, po którym oddala się o krok i z uśmiechem stwierdza:

– Cholernie szybko zrobiło się gorąco.

Przełykam ślinę. Jestem jednocześnie bardzo rozgrzana i bardzo niepokojna.

– Owszem. Prawie mnie przeleciałeś w sklepie z pamiątkami.

Oczy Andrew zamieniają się w dwie wąskie szparki. Bierze głęboki wdech i odsuwa się jeszcze dalej.

– Błagam, nie kuś mnie – mówi, po czym wraca do przeglądania płyt. – Potrzebuję chwili, żeby się... no... – Powoli wypuszcza powietrze z płuc.

– Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że rozmowa o naszych braciach potrafi tak bardzo cię nakręcić, Andrew – droczę się.

– Zapewniam cię, kotku, że to raczej twoja obecność – prostuje z uśmiechem.

Całą sobą chłonę ogarniające mnie teraz uczucie, jest niemal narkotyczne.

– Tym razem wszystko jest o niebo lepsze – mówię bezwiednie.

Andrew zastyga.

– Że co?

O kurde. Zakrywam usta, ale jego uwaga nie dotyczyła tego, co powiedziałam. Właśnie zerka mi przez ramię.

– O mój Boże! Maisie, zobacz!

Z ulgą podążam za jego spojrzeniem. Dostrzegam turkusową aksamitną poduszkę z napisem: „Na sprzedaż”. Zdobi ją podobizna Christophera Walkena w czapce Świętego Mikołaja, opatrzona frazą *Walken in a Winter Wonderland*.

Wybucham śmiechem i mówię:

– No, no, co za zbieg okoliczności.

Andrew wygląda na zachwyconego.

– Musimy to kupić do chatki! Mam bardzo ciepłe wspomnienia związane z rozmowami o Christopherze Walkenie.

– Czyżby? – pytam. Przytulam się do niego od tyłu. – Rozwiń, proszę.

– Otóż wiedz, że ta rozmowa miała miejsce tuż przed stosunkiem seksualnym, który odbywałem w dniu wczorajszym z kobietą, którą znam od zarania dziejów, a która zwykła nosić majtki mojego brata, te z emblematem Batmana, jako czapkę pirata – szepcze przez ramię z teatralną konfidencjonalnością.

Lekko uderzam go w ramię, po czym wskazuję:

– Spójrz na tę wielką pakę miętowych całusków Hersheya. Oto spełnienie moich fantazji. Mogłabym się tym żywić przez miesiąc.

Jego wzrok pada na dwukilogramowy obiekt na wystawie. Andrew teatralnie wzdraga się z obrzydzenia.

– Żartujesz, prawda?

– Nie, na serio! Te moje ulubione! A sprzedają je tylko w okolicach świąt, więc zawsze wtrajam je, póki brzuch mnie nie rozboli.

Andrew odwraca się i nie wypuszczając mnie z uścisku, zerka w dół na mnie, po czym pyta:

– Czyżbyś należała do fanatyczek białej czekolady?

– W stu procentach! – odpowiadam ze śmiechem. – O Boże, czy my właśnie odbywamy pierwszą kłótnię?

– Umarłbym na stosie, by udowodnić tezę, że biała czekolada nie zasługuje na miano czekolady, więc chyba tak.

– Nawet jeśli nie jest to czekolada, to jest przepyszna.

– Nie masz racji, Maisie – zaprzecza dyszkantem Mandrew. – Smakuje jak podróbka mięty i dupa.

– Jak podróbka mięty i dupa? – pytam piskliwym głosikiem Maisie. – I pomyśleć, że mówi to ten, który co roku podkrada paskudne, smakujące plastikiem pseudoczekoladki z kalendarza adwentowego.

– Cóż, trudno mi się obronić przed tym zarzutem – wzdycha Andrew, po czym pochyla się, by zakończyć tę potyczkę całusem.

Zatrzymuje się jednak w pół drogi, w chwili, gdy oboje słyszymy głos Theo.

– Ło, ło, ło... Możecie mi wyjaśnić, na co właśnie patrzę?



Odwracam się. Cisza, która zapada po tej wypowiedzi, aż dzwoni w uszach. Theo gapi się na mnie, następnie przenosi wzrok na brata, wybucha suchym śmiechem, po czym wlepia wzrok w podłogę.

– No cóż, tego się nie spodziewałem.

– Hej, Theo – mówię, nie mając lepszego pomysłu na reakcję.

Andrew tymczasem zdążył się odwrócić, ale się nie odsuwa. Cały czas mnie przytula. Teraz oplata dłonie wokół mojej talii i mocniej przyciąga do siebie.

– Theo, hej.

– Hej – odpowiada jego brat i wskazuje na nas dłonią. – Czy między wami... coś jest?

– Owszem, jest – potwierdza Andrew, a po krótkiej pauzie dodaje: – Wszystko gra?

Theo przygląda się nam uważnie przez kilka niemożliwie długich sekund.

– Nie bardzo wiem, co powiedzieć – odzywa się w końcu, patrząc na miejsce, w którym dłoń Andrew styka się z moim brzuchem. – Poza tym, że chyba próbowaliście to utrzymać w tajemnicy przed wszystkimi.

– To bardzo świeże – mówię.

– Jak bardzo?

– Parę dni. A może lat – żartuje Andrew, posyłając mi porozumiewawczy uśmiech. – Trudno jednoznacznie stwierdzić.

Wiem, że powinnam być zachwycona tą odpowiedzią, ale zamiast tego mam poczucie, że te słowa padły zdecydowanie nie w porę.

Theo patrzy mi prosto w oczy.

– Mae, masz chwilę, żeby pogadać?

Praktycznie rzecz biorąc, miałam już okazję przeżywać ten dzień – czasu to akurat mam nieprzebrane ilości. Choć prawdę powiedziawszy, jest siedem milionów innych rzeczy, na których robienie wołałabym go spożytkować.

– Jasne – odpowiadam niepewnie.

Zerkam przez ramię na Andrew, który rozluźnia uścisk, delikatnie kiwając głową. Theo jest już w połowie drogi do drzwi. Nie mam wyboru, muszę go dogonić, zostawiając za sobą Andrew. Tamta noc z Theo wydaje się odległa o miliony lat świetlnych, mimo to zaczynam się martwić, czy wciąż nie wpływa na to, jak go postrzegam. Czy kiedykolwiek będę w stanie z nim o tym porozmawiać?

Wybiegam na ulicę, ale Theo się nie zatrzymuje. Mija knajpkę, kameralną galerię sztuki i parę sklepów, po czym wspólnie wychodzimy na Main Street, gdzie w końcu odwraca się w moją stronę. Opiera się o ścianę zamkniętego teraz sklepu o zdobionej drewnem fasadzie z piaskowca, odzruca głowę do tyłu i wlepia wzrok w niebo.

– Nie wiem nawet, od czego zacząć – mówi. – Ciągle próbuję ustalić, jak właściwie powinienem na to zareagować.

– Bardzo mi przykro, że dowiedziałeś się w ten sposób...

Odpowiada mi wybuchem śmiechu, po czym przejeżdża palcami po włosach i patrzy na ulicę, omijając mnie wzrokiem. Jest zimno, ale nie je-

stem pewna, czy to temperatura sprawia, że na jego policzkach pojawiły się wypieki. Zastanawiam się, czy to nie buzująca w nim wściekłość. Obok nas zatrzymuje się samochód, z którego wysiada uśmiechnięta para objuczona świątecznymi zakupami. Theo przesuwa się, by mogli przejść.

W końcu się odzywa:

– Czuję się jak idiota.

Gwałtownie zaczynam kręcić głową.

– Ale nie powinienes! Wierz mi, ja też byłam zaskoczona.

– Przecież byliśmy tak blisko, Mae – odpowiada. – Ty i ja. Zawsze byliśmy bardzo związani, bardziej niż ty i Andrew.

– Owszem, gdy byliśmy dziećmi – mówię ostrożnie.

Mija nas kolejny samochód, a potem następny. Słyszymy odgłos klaksonu, gdy kierowca trąbi na pieszych, którzy nieoczekiwanie zdecydowali się zejść z chodnika.

– Byliśmy zżyci, ale jako przyjaciele, Theo. Byliśmy tylko przyjaciółmi.

– Zawsze go w ten sposób... lubiłaś?

Kiwam głową.

– Od kiedy?

„Od zawsze” – mam ochotę powiedzieć.

– Od dłuższego czasu.

Nie jestem w stanie ocenić, na ile go ta informacja zaskoczyła. Purpurowy rumieniec powoli wypełza mu na szyję.

– Wiedział o tym?

– Przed minionym tygodniem? Nie.

– A dlaczego nie powiedziałaś o tym mnie?

– Nikomu nie powiedziałam – bronię się.

– Poza Bennym – zgaduje Theo.

– Benny wie o mnie wszystko.

Theo bierze kilka głębokich wdechów, zanim znów się odzywa.

– Ja po prostu... – zaczyna, po czym ponownie wybucha śmiechem. – Nie mam pojęcia, jak to ująć, więc spróbuję wprost. Moim zdaniem dawałaś mi sygnały.

Co jest, do cholery?! Moje serce ostatnio staje się mistrzem sprintu, ale takiego przyspieszenia jak teraz jeszcze nie przeżyło. A na pewno nie z powodu oburzenia i złości, których aktualnie doświadczam.

– Jak niby to robiłam? Przyjaźniąc się z tobą?

Moja wypowiedź zostaje gwałtownie przerwana nagłą kakofonią dźwięków, która wybucha zaledwie parę metrów od nas. Coś z piskiem i łoskotem przecina mroźne powietrze. Oboje mimowolnie podskakujemy. Widzimy samochód, który właśnie z pełną prędkością wjechał w znak stopu i wóz znajdujący się przed nim. Chrzęst metalu uderzającego o metal, brzęk tłuczonego szkła, pisk opon na asfalcie... Theo szybkim ruchem chwytam mnie i zasłania. Przyciąga do siebie dokładnie w momencie, gdy coś wystrzela w naszą stronę, rozbijając szybę na tej wysokości, na której jeszcze sekundę temu znajdowała się moja głowa.

Siadamy kompletnie oszołomieni. W uszach mi dzwoni. Gwałtownie nabieram powietrza. Czuję nagły wyrzut adrenaliny do krwiobiegu, całe moje ciało zaczynać się trząść.

– Wszystko okej? – pyta Theo. Jego głos brzmi, jakby został przepuszczony przez długą metalową tubę.

Kiwam głową otępiała.

– A u ciebie wszystko gra? – pytam.

– Tak.

Gapimy się na miejsce wypadku i dobywający się z obu samochodów dym. Moją uwagę przykuwa coś zielonego – sfatygowany wieniec i czerwona welurowa wstążka, przyczepione do przodu większego samochodu.

Ludzie wybiegają ze sklepów, pytając, co się stało i czy nikomu nic nie jest. To, co przed chwilą było radosnym zamieszaniem wypełnionym pogawędkami, żartami i pospiesznym przeczesywaniem witryn w poszukiwaniu trafionego prezentu, nagle zamienia się w tłum przerażonych ga-

piów, z niedowierzaniem zasłaniających usta dłońmi, obserwujących kierowców pojazdów wygrzebujących się z tego, co z nich zostało.

Theo pomaga mi stanąć na nogi. Podnoszę się z trudem, wciąż się trzęsąc, nie jestem w stanie wykonać nawet jednego kroku.

Ten odłamek miał trafić we mnie, jestem tego pewna. Zrobiłam coś nie tak, popełniłam jakiś błąd – chociaż nie mam pojęcia jaki.

Nie wiem, jak będzie wyglądało kolejne ostrzeżenie. Wiem jednak, że to było pierwsze z nich.

Mój czas w tej wersji rzeczywistości właśnie dobiega końca.



Rozdział 22

Odchodzę parę metrów od potłuczonego szkła i fragmentów metalu zasycielających chodnik obok nas. Theo idzie tuż za mną. Coraz liczniej gromadzący się obserwatorzy powoli przenoszą wzrok z pozostałości samochodów na to, co rozegrało się odrobinę dalej. Nagle my – dwie oszołomione postacie, które zupełnie nieoczekiwanie znalazły się w najbliższym sąsiedztwie tej katastrofy – znajdujemy się w centrum uwagi.

Cała nasza wycieczka w ułamku sekundy zapomina o podpunktach z listy i przedświątecznej zabawie. Teraz nasze rodziny nerwowo biegną ku nam, dostrzegłszy nas w samym środku tego chaosu. Przez kilka minut poprzedzających przyплыw ulgi, że nikomu z nas nic się nie stało, Theo i ja toniemy w przepelnionej adrenaliną atmosferze. Wszyscy jeden przez drugiego mówią o tym, co się rozegrało i jak blisko nas. Andrew przytula mnie, pyta, czy na pewno nic mi nie jest, przyciska kredowobiałe wargi do moich włosów. W tym czasie pozostali czekają w kolejce, by mnie zobaczyć i na własne oczy przekonać się, że żyję. Ja natomiast czuję w środku brzucha pęczniejącą kulę fatalnych przeczuć. Chcę znów wtulić się w Andrew, poczuć jego mocne ramiona, uspokoić się pod jego łagodnym spojrzeniem. On jednak teraz patrzy na brata, z którym przeprowadza pozbawiony słów dialog. W końcu odzywa się bardzo cicho:

– Nie rozumiem, czemu się złościysz.

– Nie kłam, Drew, przecież dobrze wiesz, o co chodzi – mówi Theo, wbijając ręce w kieszenie. Nerwowo toczy wzrokiem po reszcie grupy, która właśnie ucichła, słysząc wymianę zdań między braćmi.

Ricky podchodzi nieco bliżej, po czym kładzie ręce na ramionach synów.

– Hej, panowie. Co się tu dzieje?

Theo strząsa z siebie dłoń ojca.

– Nie wtrącaj się, tato.

Ricky marszczy brwi.

– Chyba o czymś nie wiem.

„Marzę o tym, żeby zniknąć” – mówię do siebie w duchu, po czym błyskawicznie podnoszę oczy ku niebu, dodając: „Żartowałam!”.

Theo wskazuje podbródkiem na brata.

– Bardzo proszę, ty mu powiedz.

– Co ma mi powiedzieć? – dziwi się Ricky.

Andrew patrzy na mnie, szukając w moim spojrzeniu zgody. Po całej naszej grupce rozchodzi się bezgłośny szmerek – wszyscy już się zorientowali, o co chodzi. Może zdradziło nas utkwione w ziemi spojrzenie Milesa, może Benny, który staje obok mnie, by okazać mi solidarność. To z pewnością wystarczy, by każdy dysponujący przynajmniej minimum inteligencji emocjonalnej zrozumiał, co nie zostało powiedziane.

Każdy z wyjątkiem Ricky’ego.

– Słuchajcie, ale co naprawdę się dzieje? – dopytuje zdezorientowany.

– Może moglibyśmy się tym zająć, gdy dotrzemy do domu – mówi cicho Benny.

Patrzę na niego z wdzięcznością. Ostatnią rzeczą, na którą mam ochotę, jest zrobienie sceny. Zdecydowanie wolałabym poinformować o tym mamę podczas rozmowy w cztery oczy. Niestety, nie mam takiej szansy, bo Theo bierze głęboki, ciężki wdech, po czym oznajmia:

– Mae i Andrew się zesзли.

Nie mam pojęcia, jakiej reakcji się spodziewałem. Na chwilę po tej wypowiedzi wszyscy zastygają w bezruchu, po czym jak jeden mąż zwracają się w stronę moją i Andrew.

– Co jest w obecnych czasach uważane za zejście się? – pyta Lisa cicho.

Mój żołądek gwałtownie zmienia położenie.

– Czekaście – nie odpuszcza Ricky. – Przepraszam, ale cały czas czuję, że czegoś nie zrozumiałem.

– Dobra, trudno – mówi Theo. Odwraca się w stronę chodnika i odmaszerowuje. – Nieważne.

– Theo! – krzyczę i zaczynam go gonić. Cały czas muszę biec, by zrównać się z jego długimi krokami. W końcu łapię go za rękaw, ale on strząsa moją dłoń. – Poczekaj – proszę. Przeskakuję nad zamarznąętą kałużą, po czym usiłuję wyhamować tuż przed witryną małej lodziarni zamkniętej poza sezonem. Czy on naprawdę zamierza uciec? – Theo! – krzyczę, ale to go nie zatrzymuje.

Robię kolejny krok i zastygam, słysząc pod raz drugi tego dnia odgłos zwiastującego wypadek metalu chrzęszczącego tuż za mną.

Odwracam się, serce łomocze mi w piersi. Widzę, że metalowa listwa z witryny lodziarni właśnie się odczepiła i z brzękiem spadła na chodnik, zaledwie kilkanaście centymetrów ode mnie. Bogu ducha winna lodowa kałuża, przez którą dopiero co przeskakiwałam, została zasypiana metalowymi szczątkami.

Wznoszę oczy do nieba.

– No co?! – krzyczę, wyrzucając w górę obie ręce. – Co niby mam teraz zrobić? Biec za Theo? Zostać przy Andrew? Powiedz mi, do jasnej cholery!

Benny podchodzi do mnie i delikatnie kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Mae, kochanie, uspokój się. To był wypadek.

– Tylko że wcale nie był – protestuję. Histeria przejmuje władzę nad moimi umysłem, krwią i pulsem. Przepląwa przeze mnie, niepowstrzymana i gorąca, zmiatająca każdy okruch racjonalności czy faktów. – Wypadek samochodowy? A teraz to? – Gwałtownym gestem wskazuję na poskręcane

metalowe elementy smętnie leżące nieopodal. – Oczywiście, że to była moja wina.

Tata robi krok w naszą stronę, cicho mamrocząc pod nosem moje imię. Tuż obok niego staje Andrew.

– Kochanie, co się stało? – pyta ojciec, a nie dostawszy odpowiedzi, przenosi wzrok na Benny’ego. – O czym ona mówi?

Andrew podchodzi do mnie i kładzie ręce na moich ramionach.

– Maisie, co jest grane?

Odwracam od niego wzrok i rzucam spojrzenie Benny’emu.

– Nie jestem już w stanie udawać, że to się nie dzieje. To potwornie wyczerpujące. Nie wiem, jak mogłabym dalej to ciągnąć.

Benny posyła mi bezradne, pełne współczucia spojrzenie.

Odwracam się znów w stronę Andrew, potem patrzę na tatę i brata, następnie przyglądam się po kolei wszystkim zgromadzonym wokół mnie.

– Utknęłam w jakiejś pętli czasu i nie mam pojęcia, jak się z niej uwolnić. To znaczy – mówię – kilka dni temu bardzo tego chciałam. A teraz przede wszystkim nie chcę zniszczyć tego, co...

Andrew przerywa mi, ujmując mnie za rękę.

– O czym ty mówisz?

– Nie wiem, jak to wyjaśnić – przyznaję.

Benny odchrząkuje i spieszy mi z pomocą.

– Wydaje nam się, że Mae może być ofiarą takiego scenariusza jak bohater *Dnia Świstaka*. W tym roku już parę razy przyjeżdżała do chatki, za każdym razem w wyniku jakiegoś wypadku doznaje urazu i znajduje się z powrotem w samolocie i jest dwudziesty grudnia.

Andrew wypuszcza z siebie krótki, pełen niedowierzania śmiech. Wszyscy patrzą po sobie, jakby chcieli powiedzieć: „Słyszeliście to co ja?”

– Usiłuję to wszystko ogarnąć – dodaję. – Wiem, że to brzmi jak totalne wariactwo, ale boję się, że wydarzy się coś okropnego, więc... Czy wszyscy mogą odsunąć się ode mnie o kilka kroków? – Nikt nie rusza się nawet

o centymetr. – Proszę – mówię żarliwie, wrywając dłoń z uścisku Andrew.
– Odsuńcie się.

Moja krucha równowaga jest niczym napięta struna powoli przesuwana nad ostrzem noża. Zwracam się do brata, który obserwuje mnie rozszerzonymi z przerażenia oczami.

– Miles, uderz mnie.

Wypuszcza z siebie pełen niedowierzania chichot.

– Co?

– Uderz mnie w twarz. Mocno.

Słyszę parę głosów ze współczuciem mamroczących moje imię. W tym momencie zupełnie mnie to nie obchodzi.

– Uderz mnie! Chcę wylądować z powrotem w samolocie.

– Mae, nie zamierzam...

– Uderz mnie!

Odsuwa się ode mnie, staje za Bennym i patrzy na naszego tatę, jakby oczekiwał pomocy z jego strony. W tym momencie zdaję sobie sprawę, że Ricky podniósł na ręce Kennedy, a Lisa trzyma Zachary'ego. Wszyscy – nawet Andrew – patrzą na mnie tak, jakby się mnie bali.

Odwracam się i zaczynam biec ulicą, sama nie wiedząc dokąd. Modłę się w duchu, by to wszystko się skończyło, bym znów obudziła się na miejscu 19B. „Wyrwij mnie z tego koszmaru” – zwracam się do wszechświata.

Słyszę za sobą głos Benny'ego, który łagodnie mówi:

– Zostaw ją, Dan. Potrzebuje побыć sama.



Dwie godziny później Benny wchodzi do małej knajpki, w której się zastałam. Przebiega wzrokiem po wnętrzu, namierza mnie, wypuszcza z siebie westchnienie ulgi i podchodzi do mojego stolika.

Właśnie sączę czwartą kawę. Moje niespokojne dłonie z prędkością światła drą leżącą przede mną serwetkę na coraz mniejsze i mniejsze kawałki. Już niedługo staną się ledwie widocznymi drobinami, kurzem,

który będzie można zdmuchnąć z blatu stolika. Jarząca się lampkami choinka stoi w rogu pomieszczenia, dookoła mnie wirują płatki papierowego sztucznego śniegu, nieopodal wesoło trzaska ogień. Nic z tego nie pomaga. Żadna z tych rzeczy nie sprawia, że zaczynam czuć cokolwiek sensownego.

– Cześć, Majonezie – zagaja cichutko Benny, całując mnie delikatnie w czoło.

Gdy nie odpowiadam żadnym żartobliwym zwrotem, przysuwa sobie stojące naprzeciwko mnie krzesło i zajmuje miejsce.

– Nie odbierałaś telefonu – stwierdza. Wygląda na poważnie zaniepokojonego, kąciki jego ust charakterystycznie opadają w dół.

– Wyłączyłam go – mówię, podnosząc głowę na parę nastolatków, których wejście anonsuje dzwoneczek. – Z Theo wszystko w porządku?

– Wszyscy mają się dobrze. Tylko bardzo się martwimy.

– Brzmiałaś jak wariatka – zaczynam. – Nie ma szans im tego wytłumaczyć. Siedzę tu od dwóch godzin, a Andrew nawet nie próbował mnie znaleźć. Jestem przerażona, że w każdej sekundzie może przydarzyć mi się jakaś tragedia, i wiem, że tak będzie do końca wyjazdu, kto wie, może nawet do końca mojego życia. A wszyscy wyobrażają sobie, że coś mi paść na mózg.

Benny posyła mi współczujące spojrzenie.

– Jeśli to jakoś poprawi twój stan, to powiem tylko, że wszyscy chcieli iść cię szukać. Wcale nie wystraszyłaś Andrew. Powiedziałem mu tylko, że potrzebujesz teraz pobyć sama.

Z głośników rozbrzmiewają początkowe dźwięki piosenki *All I Want for Christmas Is You*. Wznoszę oczy ku niebu i mówię:

– Czy wiesz, że tutaj grają ten numer równo co dwadzieścia dwie minuty?

Nie odpowiada, pozwala mi w spokoju zająć się swoimi myślami. Stękając, pochylam się i opieram czoło na spoczywających na blacie przedramionach.

– Benny, siedząc tu, zdałam sobie z czegoś sprawę.

– Z czego mianowicie?
– Poprosiłam wszechświat, żeby pokazał mi, co uczyni mnie szczęśliwą.
– Wydawało mi się, że tę informację mieliśmy już wcześniej – odpowiada skonsternowany.

– Nie – mówię, zmuszając się do podniesienia na niego wzroku. – Chodzi mi o to, że poprosiłam, by pokazał mi, co uczyni mnie szczęśliwą. Nie powiedziałam: „Daj mi to” albo „Spraw, bym na zawsze była szczęśliwa”. Poprosiłam o pokazanie i prośba została spełniona. Ewidentnie jednak nie wiedziałam, jak sobie poradzić z tym szczęściem. I nie mam pojęcia, jak mam dalej udawać, że wszystko jest w normie.

Benny potrząsa głową, ściągając brwi.

– Mae, to wcale nie musi być takie skomplikowane. Po prostu powiedz Andrew to, co powiedziałaś mnie. Wy tłumacz mu, co się z tobą dzieje. Przecież jest bardzo bystrym gościem. Z nas wszystkich to właśnie on jest zapewne najbardziej otwarty na kwestię tego, że rzeczywistość może czasem okazać się zupełnie inna, niż myślimy.

– No właśnie, w tym problem – mówię, czując się jak stuletnia staruszka. – Jak niby mam to wytłumaczyć? Jak mam mu to pokazać?

– W taki sam sposób, w jaki zrobiłaś to ze mną.

Kręcę głową.

– Przecież za pierwszym razem, gdy z tobą rozmawiałam, to był zaledwie początek ferii. Rzeczy wciąż działały się według kolejności, którą miałam szansę znać. Mogłam przewidzieć bieg wydarzeń z wyprzedzeniem, bo nic się w nich nie zmieniło – tłumaczę, kontynuując dzieło zniszczenia serwetki. – Ale teraz wszystko jest inaczej. Nie mam pojęcia, co się stanie za chwilę. I nie wiem, jak mam udowodnić, że sobie tego wszystkiego nie wymyśliłam.

– A może powiesz mu, że Ricky i Lisa zamierzają ogłosić ostatniego dnia plan sprzedaży chatki?

– On już o tym wie. Sama zaczęłam z nim na ten temat rozmawiać, dopytywać... Powiedzenie, że nam to obwieszczą, nie będzie żadnym odkryciem.

– No dalej, Kluseczko. Coś wymyślimy.

Przyciągam do siebie kubek z kawą, ściskając go tak, jakby był moim ostatnim przyjacielem w godzinie próby.

– I tak miałam zamiar wprowadzić w swoim życiu jakieś zmiany. Od dziś ten stolik jest moim nowym domem. Bardzo proszę o przekazywanie poczty na ten właśnie adres.

Benny śmieje się wesoło, potem sięga do tylnej kieszeni i wyławia z niej portfel.

– Poczujesz się lepiej po rozmowie z Andrew – mówi.

– Czy wszyscy czekają na mnie w vanie? – pytam.

Przecząco kręci głową, po czym wyciąga z portfela lśniący, nowiutki studolarowy banknot.

– Wrócili już jakiś czas temu – tłumaczy, wstając. – Weźmiemy taksówkę.

Gapię się na leżący na stoliku rachunek.

– O święty Benjaminie Franklinie, moja kawa kosztowała raptem cztery dolary.

– Nie mam drobnych.

– W takim razie pozwól mi zapłacić kartą – proszę, podnosząc się, ale Benny powstrzymuje mnie, kładąc dłoń na moim ramieniu.

– Mae, zostaw to mnie. Święta tuż-tuż, a ta miła knajpeczka uchroniła cię przed samochodami, witrynami i innymi niebezpiecznymi obiektami latającymi – wylicza, po czym wzrusza ramionami. – A tak przy okazji, słyszałaś o Spotify?

– Nooo... tak – potwierdzam zbita z tropu.

Szczerzy zęby w dumnym uśmiechu.

– No to miałem go wcześniej.

– Jak wcześniej?

– Bardzo, jako jeden z pierwszych – stwierdza, po czym podbródkiem wskazuje na drzwi. – Chodźmy!



Rozdział 23

W drodze do domu usiłuję zrekonstruować każdy film z motywem pętli czasu. Pluję sobie w brodę, że widziałam ich tak niewiele. Nic dziwnego, że wszystko chrzanię.

Taksówka podwozi nas na miejsce. Wsiadam, ale wcale nie kieruję się do chatki. Zamiast tego proszę Benny'ego, by poinformował wszystkich, że mam się dobrze, ale potrzebowałam побыć w samotności, po czym ruszam przez śnieg na tyły podwórza, szukając jedynej osoby, która może mi pomóc, przynajmniej taką mam nadzieję.

Słyszę dźwięki gitary Andrew. Wyciągam rękę i delikatnie pukam.

– To ja – mówię.

– Proszę – pada natychmiast odpowiedź.

Gdy wchodzę do środka, słońce właśnie chowa się za linią gór. Przystańtonie w niepokojącym półmroku.

– Hej, miałem nadzieję, że niebawem przyjdiesz.

Po moim ciele rozlewa się ulga.

– Hej.

Odkłada gitarę i wstaje. Ujmuje moją twarz w obie dłonie i całuje mnie z taką pasją, że świat wokół zaczyna wirować.

– Miałaś bardzo ciężkie popołudnie – stwierdza, odsuwając się.

– Tak, sędzę, że będę w stanie trochę to wytlu...

– W ciągu paru minut dwukrotnie cudem uniknęłaś śmierci – przerywami. – Každy z nas byłby absolutnie przerażony. Strasznie się martwiłem, Mae.

Całuję go w podzięce. Mimo że nie ma pojęcia, co się tak naprawdę dzieje – i pewnie nawet nie dowierza mojej opowieści – i tak nie zostawia mnie samotnej na pastwę rozszalałych emocji.

Wyciąga ręce, by zdjąć ze mnie kurtkę. Z tego gestu wyziera głód, ale też widać pełną gotowość. Dokładnie tego potrzebuję w tym momencie. Przechodzimy, szamocząc się, przez pokój, znacząc drogę pospiesznie zdzieranymi z siebie butami, skarpetkami, koszulkami, majtkami, staniem. Drżąc, wślizgujemy się razem do śpiworów.

Jest już twardy, gdy kładzie się na mnie. Z jękiem ulgi wtula twarz w moją szyję.

– Cieszę się, że wszystko z tobą w porządku. To był najdłuższy dzień w całym moim życiu. – Po tych słowach sięga ręką do zamka, by otworzyć go z jednej strony.

Jeden ze śpiworów rozwija się, jakby był kocykiem. W ciemnościach zauważam błyszczące oczy. Parę sekund zajmuje mi zorientowanie się, co się dzieje.

Andrew całuje mnie, posuwając się wzdłuż szyi, przez klatkę piersiową – przy której spędza dłuższą chwilę – aż do mojego brzucha i bioder, po czym zaczyna całować mnie tam... Czuję wibracje, które wydobywają się z jego ust razem z wydawanymi przez niego odgłosami. Zakrywam oczy dłońmi, chcąc zablokować wszystkie bodźce poza dotykiem jego ramion, ściskających mocno moje biodra, i palców muskających delikatnie moją skórę.

Nigdy nie byłam dobra w wyłączaniu umysłu, a ostatnie parę dni – szczególnie ten dzisiejszy – zrobiły ze mnie chodzący kłębek nerwów. Jestem kompletnie dezorientowana. Nawet teraz – chociaż to prawie niemożliwe, by myśleć o czymkolwiek innym niż to, jak jest cudownie czuć to, co czuję – mam wrażenie, że stoję nad przepaścią. Nie opuszcza mnie strach, że to wszystko zaraz zniknie i obudzę się z powrotem na pokładzie

samolotu, a o tych wszystkich głębokich i realnych emocjach tylko ja będę pamiętać.

Nie mogę powstrzymać się od płaczu. Szlochając, przyciągam go na górę do siebie. Pomagając sobie zębami, pospiesznie rozdziera opakowanie prezerwatywy. Trzęsącymi się niecierpliwie rękami zakłada kondom i już po paru sekundach poruszamy się razem we wspólnym rytmie. Czuję na szyi jego oddech, słyszę jego jęk. Zastanawiam się, czy skoro odkryłam sposób na odtwarzanie tych samych chwil, to może będę w stanie rozgryźć sposób na coś odwrotnego – jak zatrzymać czas. Tak bardzo chciałabym, żeby ten moment nigdy się nie skończył, żeby Andrew nigdy się mną nie nasycił. Ale on zaczyna poruszać się coraz szybciej, jego oddech robi się krótki i urywany. Czuję, jak mięśnie jego barków napinają się... Zdąza jeszcze powiedzieć moje imię, po czym głośno wypuszcza powietrze i zaczyna się trząść.

Chwilę zajmuje mu uspokojenie oddechu. Na razie czuję na szyi jego nierówne, głębokie westchnienia.

– Kochałem cię przez całe życie, ale ten nowy element naszej relacji – odzywa się, mocno wciągając powietrze – jest zarazem cudowny i przerażający.

Te słowa są dla mnie jak wypity na pusty żołądek mocny alkohol. Uderzają mi do głowy i przepływają przez całe ciało falą gorącą, która sprawia, że jestem jak pijana.

A potem w głowie rozlega się dzwonek alarmu. Nie, to niemożliwe, musiałam się przesłyszeć.

Zaczynam panikować.

Wciąż łapiąc oddech, Andrew lekko się podnosi i patrzy na mnie. Mimo otaczających nas ciemności czuję na sobie ciężar jego spojrzenia.

– Dobrze się czujesz? – pyta. Kiwam głową. Wypuszcza z siebie krótki śmieszek, po czym turla się na bok i kładzie obok mnie. – Cholera. Przepraszam. To było trochę za dużo. Zniszczyłem magię chwili.

– Nie, wcale nie.

Problemem nie jest to, co powiedział, przecież chciałam to usłyszeć. Dramat polega na tym, że nagle zdaję sobie sprawę z niemożliwości utrzymania go przy sobie, zachowania tego, co nas łączy. Mam świadomość, że to wszystko może zniknąć w kolejnej sekundzie lub za parę godzin albo nazajutrz rano. Nie mam absolutnie żadnej kontroli nad niczym. Podejrzewam, że tak czuje się człowiek, który wyskakuje z samolotu bez spadochronu.

– Wiem, że powiedziałem coś nie tak – mówi, podnosząc się na łokciu. – Widzę, że cię zasmuciłem.

– Nieprawda. Chciałam usłyszeć, jak to mówisz.

Znów śmieje się przez chwilę, tym razem bardziej szczerze.

– No tak, ewidentnie. I pewnie dlatego nagle zmieniłaś się w robotyczną Mae.

– Żartujesz sobie? – pytam, usiłując utrzymać normalny tembr głosu. – Pragnęłam cię przez całe życie. I naprawdę nie ma na świecie nic, co chciałabym usłyszeć bardziej niż to, że odwzajemniasz to uczucie. Przyśięgam – zapewniam, łapiąc nerwowo, urywany oddech. – Ale muszę też powiedzieć ci coś bardzo trudnego i zupełnie nie wiem, od czego zacząć.

Zastyga, a ja niemal namacalnie wyczuwam, co go trapi.

– Czy w Kalifornii czeka na ciebie twój chłopak?

– Że co? Nie, oczywiście, że nie.

Z ulgą wypuszcza powietrze z płuc. Jego usta pomimo otaczającego nas mroku bez trudu odnajdują moje. Przysysam się do jego warg z ogromną zachłannością. Przekręcam się i siadam na nim, ogarnięta nagłym, przełożnym pragnieniem, by zagłuszyć niepokój tym cudownym, niezwykłym uczuciem, jakim jest posiadanie Andrew tylko dla siebie.

– Hej, hej – mówi uspokajająco, kładąc mi dłonie na ramionach i lekko mnie odsuwając. W ciemnościach widzę go jako zbiór poruszających się płaszczyzn i kątów. – Czy chodzi o tę akcję jak z *Dnia Świstaka*, o której wspominał Benny?

– Czy pamiętasz, że kiedy tu przyjechałam – zaczynam – wpadłam do domu jak oparzona? I powiedziałam Kennedy, żeby uważała, by nie po-

tknąć się o Miso, i tacie, by nie jadł ciasteczek? A potem szybko przemknęłam przez kwestię fryzury Theo i dodałam, że twój tata zapomniał o ginie. Pamiętasz to wszystko?

Powoli kiwa głową.

– Tak. Pamiętam, że przyjechałaś taka trochę... dzika – mówi, po czym pospiesznie dodaje: – To było całkiem zabawne. Bardzo mi się podobało.

– Ale konkretnie – naciskam. – Czy pamiętasz, że mówiłam te wszystkie rzeczy? I to, jak pytałeś mnie o różne dziwne przeczucia, pamiętasz?

Andrew lekko zmienia położenie. Wciąż leżę na nim, ale w nieco innej pozycji.

– Tak... – potwierdza.

– Otóż miałam te wszystkie dziwne przeczucia, bo do tego momentu zdążyłam przejść przez tę sytuację już trzy razy.

Odpowiada mi przeciągłym wydechem.

– Przepraszam, ja chyba nie...

– Wiedziałam, że ciasteczka twojej mamy wyszły fatalnie – ciągnę – ponieważ mój tata łamał sobie na nich ząb za każdym razem, gdy przeżywałam tę chwilę.

Andrew wypuszcza z siebie pełen niedowierzania śmiech.

– Nie ma opcji...

– Wiedziałam, że Kennedy obtarła sobie kolano. Wiedziałam, że będziesz chciał spać w przystani, i wiedziałam, gdzie znaleźć śpiwory.

– No dobra, okej – mówi, ewidentnie próbując to wszystko uporządkować. – Ale dlaczego po raz kolejny byłaś odsyłana w czasie?

Ogarnia mnie nieopisana ulga, że zamiast wmawiać mi, że to niemożliwe, Andrew jest w stanie mnie wysłuchać.

– Chodzi o moje życzenie.

Znów się śmieje, ale ta cudowna, radosna kaskada dźwięków nagle zamiera, gdy Andrew się orientuje, że mówię zupełnie poważnie.

– Życzenie – powtarza po mnie.

Nie ma sposobu, by powiedzieć to inaczej niż wprost. Biorę więc głęboki wdech i zaczynam:

– Pierwszy raz tutaj... Okej. Więc tak. Sprawy miały się inaczej... jeśli chodzi o mnie i Theo.

– W jakim sensie inaczej? – pyta cicho Andrew.

– Za pierwszym razem, gdy miałam okazję przeżyć ten konkretny wyjazd – mówię – ostatniej nocy graliśmy w planszówki w piwnicy. Wiesz, po kolacji wigilijnej. No i wypiliśmy za dużo ajerkoniaku... Ty położyłeś się spać, a my poszliśmy na górę, to znaczy Theo i ja. No i skończyliśmy wieczór, obściskując się w graciarni.

Nawet w ciemnościach jestem w stanie zauważyć, że Andrew momentalnie blednie.

– Było okropnie – dodaję pospiesznie – i szybko czmychnęliśmy do swoich łóżek. Następnego ranka on wstał wyjątkowo wcześnie i nie był w stanie nawet na mnie spojrzeć – mówię, a po chwili uzupełniam: – A jak już mu się udało, to po to, by powiedzieć: „To nic nie znaczyło, Mae. Powinienem być się domyślić, że zrobisz z tego wielką sprawę”. Tak wyglądał nasz ostatni dzień tutaj. Był totalną katastrofą. – Andrew cały czas milczy, więc kontynuuję opowieść: – Było okropnie niezręcznie. A potem przyszedłeś ty i zacząłeś się z nami droczyć, bo nas widziałeś.

– Jesteś pewna, że ci się to nie przyśniło? – przerywa mi.

– Jestem pewna. Potem twoi rodzice powiedzieli nam, że zamierzają sprzedać chatkę, a moja rodzina wyruszyła na lotnisko. Zaczęłam strasznie panikować i pomyślałam życzenie, żeby wszechświat pokazał mi, co uczyni mnie szczęśliwą. – Z trudem przełykam ślinę. – A potem mieliśmy wypadek samochodowy, po którym obudziłam się w samolocie zmierzającym znowu tutaj. I ten scenariusz powtórzył się jeszcze dwa razy. Najpierw gdy spadłam ze schodów, a potem kiedy zleciała na mnie wielka gałąź.

Kręci głową, jakby nie był w stanie przyswoić tego, co właśnie usłyszał.

– Więc obściskiwałaś się z Theo trzy razy?

– Nie... Boże, tylko raz. Za każdym razem, gdy byłam odsyłana z powrotem tutaj, miałam poczucie, że powinnam wykminić, o co właściwie chodzi. Tak jakby to była układanka. Myślałam już, że rozgryzłam tę zagadkę, i podjęłam odpowiednie kroki, a tu nagle... BUM! I znów mnie nie ma. Byłam odsyłana z powrotem, bo ewidentnie robiłam coś nie tak. – Czekam na jego odpowiedź, ale on siedzi obok mnie zupełnie cicho i bez ruchu. – Dopiero w momencie, kiedy stwierdziłam: „Dobra, chrzanić to wszystko. Po prostu zacznę robić dokładnie to, na co mam ochotę”, nagle wszystkie klocki wskoczyły na miejsce.

Wciąż nic. Żadnej reakcji ze strony Andrew.

– To moje dzisiejsze załamanie nerwowe na ulicy – ciągnę – wynikało z tego, że to ty jesteś tym, czego pragnę. I mam to przemożne uczucie, że zaraz to zniknie, że nie będę w stanie utrzymać tego, co mam. A dziś nagle wszystko zaczęło iść nie tak, jak powinno.

– I dlatego poprosiłaś Milesa, żeby cię uderzył? – pyta skonfundowany.

– Tak! – Andrew długo milczy. Obawiam się, że to wszystko, co mówię, brzmi wariacko i kompletnie niewiarygodnie. Zaczynam pospiesznie wyliczać: – Wiedziałam, że zbudujemy ze śniegu małą. Wiedziałam, że Miso zniszczy twój sweter...

– Miso nie zniszczyła mojego swetra.

– No dobra – zatrzymuję się. – Jeszcze nie, ale...

– Mae – mówi Andrew, wypuszczając w ciemność długi, zmęczony oddech. Widzę, jak podnosi dłoń do twarzy. – Czy możesz po prostu... – Robi pauzę, po czym odsuwa się ode mnie.

Po nagich ramionach przechodzi mnie dreszcz, nagle czuję się tak strasznie naga. Wyciągam dłoń, by chwycić za ramię śpiwora i zarazem znaleźć się nieco bliżej Andrew, ale on powstrzymuje mnie gestem.

– Proszę. Nie... Ja po prostu muszę...

– Wiem, że to wszystko brzmi idiotycznie – mówię pełna obaw, że moja opowieść go przeraża. Kładę dłoń na jego ramieniu, które teraz zdaje się upiornie chłodne. – Wiem, że to źle brzmi, naprawdę. Ale przypuszczam, że miałam przechodzić przez to kolejny i kolejny raz, tak by w końcu na-

prostować sprawy. Zrobić tak, żeby było dobrze. Dla ciebie, dla chatki... i dla mojego życia.

– Myślałem, że nie lecisz na Theo.

Czuję, jak w moim żołądku tężeje gigantyczna bryła lodu.

– Nie lecę... Nigdy tak nie było. Nigdy.

– Ale właśnie mi powiedziałaś – mówi bardzo powoli – że w jakiejś alternatywnej wersji rzeczywistości się z nim migdałaś, prawda?

– Przez jakąś minutę.

Andrew przeciąga dłonią po twarzy.

– Nie mam nawet pewności, że to naprawdę miało miejsce, ale ty wydajesz się przekonana, że tak.

– Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie. Naprawdę wiem, że tak jest, ale to prawda. Wiem, że to miało miejsce. Czułam się okropnie smutna i zdesperowana. Wcale nie było fajnie, po wszystkim był dla mnie okropnie chłodny. Zaczęłam tego żałować w momencie, gdy tylko zaczęliśmy to robić. Wcale nie...

– Smutna i zdesperowana? Z jakiego powodu? – przerywa mi Andrew.

– Twojego. Między innymi. I z powodu całej mojej sytuacji życiowej.

– Więc wysłałaś do wszechświata życzenie, żeby pokazał ci, co da ci szczęście, a potem... – Potrząsa głową. – I ja jestem tym, co wyskoczyło z pudełeczka? Jestem nagrodą w tym konkursie?

– Chodzi o to, że... że... – jękam się – Tak, to znaczy, nie... Ale...

– Czemu po prostu nie powiedziałaś mi, co do mnie czujesz? Co byłoby jakimś, no nie wiem, milion razy prostszym rozwiązaniem?

– Bo byłam przerażona. Bo znałam cię przez całe życie i nie chciałam zniszczyć tej relacji. Bo założyłam, że ty nie jesteś mną zainteresowany. A to, że kolejny i kolejny raz lądowałam w tym samolocie, sprawiło, iż zdałam sobie sprawę, że nie obchodzi mnie, co się stanie. Po prostu muszę spróbować coś zmienić.

– A więc która Mae jest prawdziwa? Ta, która sięga po to, czego pragnie, czy ta, która obściskuje się z moim rodzonym bratem, bo jest zbyt prze-

straszona, by stawić czoło swoim prawdziwym uczuciom, i zamiast tego woli wypowiadać życzenia do wszechświata?

– Ta. Ta tutaj, która właśnie mówi ci, że chciała, by to wszystko zdarzyło się właśnie z tobą.

– Potrzebuję... – zaczyna, po czym znów zasłania twarz dłonią. Gdy podnosi na mnie wzrok, mimo słabutkiego oświetlenia widzę, że blask w jego oczach zniknął, zupełnie jakby ktoś jednym dmuchnięciem zgasił świeczkę. – Potrzebuję побыć sam.

Po tych słowach w wielkim, pustym pomieszczeniu zapada grobowa cisza. Mój żołądek kurczy się, do ust podchodzi mi kwaśny posmak.

– Andrew, ja nie...

– Mae – mówi bardzo spokojnie – nie rób tego. Nie próbuj sprawić, by to brzmiało jak jakiś mało ważny incydent. Obściskowałaś się z Theo, bo postanowiłaś, nie zawracając sobie głowy konsultowaniem tej sprawy ze mną, że między nami nic się nie wydarzy. Niezależnie od tego, czy pamiętasz tak żywo coś, co ci się przyśniło, czy może uderzyłaś się w głowę i to wszystko to wytwór twojej wyobraźni, czy może jakimś cudem naprawdę odbywasz podróżę w czasie, więc niezależnie od powodów nie próbuj zaprzeczać, że to jakiś totalny kosmos, że ty i Theo się... – urywa gwałtownie, niezdolny dokończyć zdania. – Cholera, zamiast spróbować poradzić sobie ze swoim życiem, ty wypowiadasz w myślach życzenie? – kończy, po czym z widoczną frustracją przeczesuje włosy palcami. – Boże drogi, nie jestem w stanie przyswoić tego wszystkiego, czymkolwiek to jest.

– Andrew – zaczynam, a w moim głosie pojawia się niekontrolowane drżenie. Przelykam ślinę i z trudem kontynuuję: – Przecież sam wiesz, że w tym, co wydarzyło się między nami, jest element przeznaczenia. Sam mówiłeś mi o kartach tarota...

– O rany, Mae, daj spokój. Oboje wiemy, że to stek bzdur.

Czuję, jak zaczyna tlić się we mnie ogień, i protestuję żarliwie:

– To, co mi się przydarzyło, wcale nie przypomina żadnego steku bzdur, niezależnie od tego, czy w to wierzysz, czy nie.

– Hm, no cóż. Nie sędzę, że w kartach przeznaczenia zapisane było pocałowanie najpierw jednego, a potem drugiego brata.

– Ile razy mam powtórzyć, że to był błąd?

Pochyla się, trąc palcami czoło i policzki.

– Myślę, że żywiesz w stosunku do Theo znacznie więcej uczuć, niż jesteś skłonna przyznać.

Nie mogę znieść tego, w jak bolesny sposób dotyka go ta kwestia.

– Andrew, wiem, że trudno ci w to uwierzyć, i zdaję sobie sprawę, że to, co ci wyznałam, nie pomogło mojej sprawie, ale mylisz się. Naprawdę tak nie jest. I myślę, że dostałam od losu kolejną szansę, żeby to naprostować. I może, dodatkowo, uratować chatkę.

Śmieje się, ale jest to śmiech, jakiego nie słyszałam u niego nigdy wcześniej. Ten jest raczej jego marną imitacją.

– Musisz chyba skończyć z wątkiem ocalania chatki, naprawdę.

Auć. Staram się złożyć do kupy jakąkolwiek sensowną odpowiedź, ale nie jestem w stanie. Poczucie zranienia wypełnia mój mózg jak gęsta, czarna substancja.

– To jest straszliwie dziwne – mówi do siebie, po czym odrzuca śpiwór i odchodzi ścieżką naznaczoną naszymi zrzuconymi wcześniej pospiesznie ubraniami. Podnosi je po drodze. Delikatnie odkłada moje na małą kupkę obok mnie, a sam zaczyna wkładać bokserki, spodnie, koszulę, sweter, skarpetki.

– Nie chcę o tym więcej mówić – rzuca cicho. – A ty prawdopodobnie powinnaś wracać już do domu.

I... to by było na tyle.

Ubieram się sparaliżowana panującą w pokoju ciszą. Chciałabym, żeby Andrew patrzył na to tak jak zeszłej nocy, gdy leżał, z ręką pod głową, obserwując mnie z rozspanym, pełnym rozbrajającej satysfakcji uśmiechem. Ale on odwraca się do mnie plecami i pochyla nad ekranem telefonu. Gdy bez słowa przemieszczam się w stronę drzwi, idzie za mną, by odprowadzić mnie do tylnego wejścia. Nie jestem zaskoczona, ale serce pęka mi na pół. Andrew wie, jak bardzo boję się ciemności. Nawet gdy jest na

mnie wściekły i – jak sądzę – ma zamiar zakończyć to, co jest między nami, wciąż jest najwspanialszym mężczyzną, jakiego dane mi było poznać w całym moim życiu.



Rozdział 24

Kolejna bezsenna noc.

Miotam się w łóżku, wlepiając oczy w górną część piętrowej konstrukcji, gdzie leży Theo. Czuję osobliwą mieszankę wściekłości i strachu. Intuicja zabraniała mi opowiadać Andrew, co wydarzyło się między mną a jego bratem, ale przecież zazwyczaj moja intuicja bywała kompletną kretynką. Poza tym to jedna z tych spraw, o której i tak musielibyśmy wcześniej czy później porozmawiać. Bo czy nie tak postępują ludzie, którym na sobie zależy? Czy nie dzielą się swoimi błędami i niedoskonałościami równie szczerze jak sukcesami?

Ale właściwie... Jakiej reakcji się spodziewałam? Czy sądziłam, że Andrew to wszystko obśmieje? A może miał uwierzyć ślepo w każde moje słowo i uznać, że to, co zaszło, to kosmiczny lapsus w wykonaniu wszechświata? Zamykam oczy i zdaję sobie sprawę, że taką właśnie miałam nadzieję. Chciałam, żeby w jego oczach cała ta sprawa jawiła się równie absurdalnie jak w moich. Gdzieś z tyłu głowy miałam też myśl, że w najgorszym razie, jeśli tego wszystkiego nie zrozumie, to przynajmniej będzie mi trochę współczuł. Teraz zastanawiam się, jaki tok myślenia doprowadził mnie do takich wniosków.

Theo wraca do piwnicy dopiero, gdy robi się naprawdę późno. Słyszę w ciemnościach, jak cicho schodzi po schodach, pozbywa się dzinsów

i wdrapuje na górną część łóżka. Przez pięć minut zbieram się na odwagę, by go zawołać, ale jest już za późno – zdążył zapaść w sen. Choć mam też podstawy, by podejrzewać, że udaje. Nie mogę mieć mu tego za złe, szczególnie z uwagi na fakt, że zeszłej nocy sama wśliznęłam się nad ranem do łóżka, modląc się, bym nie musiała zamienić z nikim ani słowa.

Powtarzam w głowie po stokroć różne możliwości i scenariusze. Mózg mi się gotuje od rozgorączkowanych myśli. Podejrzewam, że w przystani Andrew wcale nie miewa się lepiej.

Ogarniają mnie mdłości. Odrzucam kołdrę, chwytam za telefon i ruszam na górę. Zegar pokazuje pierwszą trzydzieści.

Kuchenna podłoga pod moimi bosymi stopami jest lodowato zimna. Tonący w ciemnościach korytarz wydaje się niemal złowrogi. Moje ucho wychwytyje cichutkie trzaski w okolicach kominka – to pozostałości z ognia, który jeszcze parę godzin temu ogrzewał salon. Żarzące się niedobitki robią, co mogą, błyskając spod sterty czarnego, spalonego na węgiel drewna. Nie mogę sobie pozwolić na rozpalenie ognia, mogłabym obudzić śpiącego zawsze zbyt lekkim snem Ricky'ego lub ściągnąć na dół Benny'ego, a w obecnym stanie nawet rozmowa z tym ostatnim by mi nie pomogła. Zabieram z kanapy i krzeseł porzucone koce i moszczę sobie na przeciwko paleniska prowizoryczne legowisko.

Jutro Wigilia. Nie miałam czasu o tym pomyśleć. Kilka osób jak zwykle wybierze się do kościoła, a potem będziemy jeść ogromny wspólny posiłek i otwierać prezenty. Zazwyczaj to mój ulubiony dzień w roku, ale tym razem obawiam się, że będzie pełen upiornych niezręczności. Andrew jest na mnie wściekły. Theo jest wściekły na mnie i na Andrew. Z całą pewnością wszyscy już domyślają się, co wydarzyło się między mną a starszym z braci. Zapewne nie uda się również ukryć faktu, że coś poszło bardzo nie tak.

„Wszechświecie!” – wołam w duchu. „Czy to wszystko naprawdę sprawiło, że stałam się lepszą osobą niż ta, która wyjeżdżała z tej chatki po pierwszych świętach?”

Kolejnym krokiem jest nalanie sobie szkockiej, choć nadal uważam, że smakuje jak ogniste pół dupy z za krzaka. Wznoszę toast, patrząc na dogo-

rywające iskierki w palenisku, po czym wypijam duszkiem zawartość szklanki.

Naprawdę potrzebuję snu. A jeszcze bardziej niż snu potrzebuję ucieczki od własnych myśli.



Budzę się z bolącymi plecami i ciężką głową. Pierwsze promienie słońca wyłaniają się właśnie zza szczytów gór. Owinięta prześcieradłem przemykam do kuchni, nastawiam dzbanek z kawą, po czym siadam, oczekując nieuniknionego: poranka z ojcem dwóch mężczyzn, których miałam okazję całować.

Po chwili w drzwiach pojawia się Ricky.

– Maelyn – odzywa się cicho – ja i ty gramy doprawdy... – urywa. Nalewa sobie kawy, po czym postępując, siada przy stole, zamyka oczy i bierze długi, głęboki wdech. – Wszystko okej, kotku?

– Nie za bardzo.

Kiwa głową, po czym upija łyk napoju.

– A jak tam z tobą i z Andrew?

– Nie za dobrze.

Znów kiwa głową, wpatrując się w blat.

– A jak tam z tobą i Theo? – pyta, po czym sam udziela odpowiedzi: – Niech zgadnę. Nie za dobrze.

Opieram czoło na ramionach i mówię płaczliwie:

– Wszystko zniszczyłam. A dzisiaj będzie naprawdę dziwnie.

– Wcale nie zniszczyłaś wszystkiego – zaprzecza, odstawiając kubek. – A nawet jeśli, to pamiętaj, że jesteś w towarzystwie ludzi, którzy stali się ekspertami w rozwalaniu różnych rzeczy, zanim ty sama zdążyłaś pojawić się w planach.

Podnoszę na niego wzrok.

– O czym ty mówisz? Przecież wy z Lisą jesteście razem od zawsze, a tata i mama przetrwali jako małżeństwo całe dwadzieścia cztery lata.

– Jasne, tyle że tak to wygląda z perspektywy dzieci – odpowiada, po czym poprawia się: – Chociaż w sumie chyba już nie powinno się nazywać was dziećmi, co?

To zdanie odrobinę mnie rozbraja. Z uśmiechem mówię:

– Nie.

Pociąga nosem, po czym drapie się po brodzie.

– No cóż, mimo że dobro ostatecznie zwyciężyło nad złem, to trzeba ci wiedzieć, że każdy popełnia błędy, szczególnie w wieku dwudziestu lat. Ba, niektórzy popełniają je nawet po trzydziestce! – Na chwilę milknie, po czym nasze oczy krzyżują się i Ricky dodaje: – A są i tacy, którzy robią to, mając czterdzieści i pięćdziesiąt lat...

– Będę szczera. Myśl, że ty mogłeś coś namieszać w sprawach uczuciowych, jest... no cóż... nie do wyobrażenia.

Ricky wybucha śmiechem.

– Wiesz, że twoja mama i Lisa były współlokatorkami. A twój tata, Benny, Aaron i ja na pierwszym roku mieszkaliśmy w akademiku na tym samym piętrze. Od razu się zbliżyliśmy, spędzaliśmy razem każdą wolną chwilę – mówi. Tę część historii znam, natomiast to, co mam usłyszeć teraz, jest dla mnie absolutnym zaskoczeniem: – Między Lisą a Bennym coś zaczęło się dziać parę tygodni wcześniej, nim zacząłem się z nią spotykać. Cholera, jeśli dobrze pamiętam, to gdy my zaczęliśmy randkować, sprawy między nimi nie zdążyły jeszcze na dobre się zakończyć.

Unoszę brwi.

– Że co...? Jak to?!

Kiwa potakująco głową.

– Właśnie tak. Myślisz, że to nie było... skomplikowane?

Ta nowina wymaga ode mnie kompletnego przestawienia mentalnego. Zupełnie nie wiem, od czego zacząć, wypalam więc:

– Benny miał dziewczynę? I była nią Lisa?

Ricky wybucha śmiechem.

– Właśnie tak.

– Ale... przecież wy wciąż się przyjaźnicie.

Patrzy na mnie z wyrazem łagodnego zdziwienia, po czym mówi:

– Oczywiście, że tak, kochanie To było ponad trzydzieści lat temu. A kiedy przyjaźń jest tego warta, to ludzie są w stanie przepracować różne sprawy, jak na przykład twoi rodzice. Ta znajomość przetrwała, ponieważ wiedzieliśmy, jak bardzo jest cenna.

– A co się właściwie wydarzyło? – pytam. – Wtedy. Na studiach.

Z namysłem siorbie kawę.

– Szczegóły są dla mnie już trochę odległe, ale jeśli dobrze pamiętam, to Benny najbardziej przejął się tym, że nie byliśmy z nim szczerzy. To było dla niego trudniejsze niż cała reszta. Przez jakiś miesiąc lub dwa nie spotykał się z nami, spędzał czas w innym gronie, ale w końcu do nas wrócił. Byliśmy przecież jak rodzina.

Ten moment jest po prostu idealny – albo najgorszy z możliwych – na to, co się właśnie ma wydarzyć. Słyszymy skrzypnięcie tylnych drzwi, potem tupanie w przedpokoju. Po chwili w drzwiach kuchni pojawia się Andrew.

– Dobry, Drew – wita go Ricky, podnosząc do ust kubek z kawą i puszczać do mnie oczko.

Odpowiadam mu uśmiechem, jednocześnie powstrzymując siłą woli grymas, który podstępnie wypełza mi na twarz.

Andrew nalewa sobie kawę. Sprawia przy tym wrażenie, jakby miał zamiar udać się z kubkiem z powrotem do przystani. Jego tata zatrzymuje go słowami:

– Chodź, usiądź z nami.

Zamykam oczy, jakby to miało sprawić, że stanę się niewidzialna.

Andrew zerka na ojca przez ramię, po czym rzuca mu ostrzegawcze:

– Tato.

– No dobrze, przynajmniej ładnie powiedz „dzień dobry”.

– Dzień dobry – spełnia prośbę Andrew.

W jego oczach widzę błysk, który jest mieszanką poczucia winy i gniewu. Znam to spojrzenie. Teraz rzuca je, po czym wychodzi z chatki.

Ricky wzdycha nad kubkiem kawy, po czym mówi:

– Wszystko się ułoży. Sprawy zawsze przedstawiają się najgorzej od środka.



Niezależnie od tego, jak bardzo chciałabym dawać wiarę zapewnieniom Ricky'ego, myśleć, że wcale nie zniszczyłam doszczętnie wszystkiego, i łudzić się, że sprawy jeszcze się ułożą, nie mam pojęcia, jak przejść do tego etapu z punktu, w którym aktualnie się znajdujemy. W trakcie śniadania Theo pogrąża się w grze wideo, w którą gra razem z Milesem. Odnoszę wrażenie, że próbuje w ten sposób uniknąć konieczności rozmowy ze mną. Mama usiłuje chwycić moje spojrzenie za każdym razem, gdy przekazuje mi talerz z jedzeniem, co oznacza, że co chwilę wciska mi nowe smakołyki. Niestety w moim brzuchu nie ma już wolnego miejsca, szczelnie wypełnia go stale pęczniejący żal. Zachodzę w głowę, co takiego tata i Benny nagadali mamie, ale musiało to być przekonujące, bo po chwili przestaje mnie naciskać – zarówno jeśli chodzi o jedzenie, jak i kontakt. Gdy w końcu dołącza do nas Andrew, wcale nie jest to dla mnie niezręczne, za to upiornie rozdzierające. Andrew przechodzi przez całą kuchnię, łapie Lisę w korytarzu, by cicho przekazać jej jakąś informację, po czym wychodzi z domu i znika w swojej toyocie 4Runner.

Przez kilka ciężkich sekund wszyscy zgromadzeni w kuchni – mama, Aaron, Kyle, Benny, tata i ja – trwają w pełnym napięcia milczeniu. W końcu słyszymy odgłos uruchamianego auta, które następnie z głośnym chrzęstem opuszcza podjazd. Gdy oddala się na dobre, wracamy do tego, czym zajmowaliśmy się wcześniej – ignorowania gigantycznego słonia, który siedzi z nami w pokoju. Mimo naszych starań i tak daje się wyczuć, że nastrój stał się absolutnie grobowy.

To kompletnie niespotykane, żeby przy takiej okazji panowała tak minorowa atmosfera. Zazwyczaj o tej porze wszyscy tłoczmy się w kuchni przy dźwiękach muzyki, która rozgrzewa nas do tańca, zajęci gotowa-

niem. Mieszymy, próbujemy, opowiadamy anegdoty, droczyliśmy się ze sobą. Tak jest co roku, ale nie dziś. Dziś nie ma tu ani iskierek życia. Nawet metalowe ozdoby podzwaniające na legginsach Aarona ani jego ogromny pasek firmy Gucci nie są na tyle absurdalne, by wywołać na naszych twarzach uśmiechy.

Jedyne, co podzwania nam w uszach, to odgłos mieszania przez mamę potrawy z makaronu i sera. Nie jestem w stanie odegnać skojarzenia z serialem *The Walking Dead*, a konkretnie ze sceną, w której zombie zatapiały zębiska w ciałach ofiar. Nawet nie bawi mnie groteska tej myśli, śmiech utknął mi gdzieś w klatce piersiowej wysuszony na wiór.

Nikt nie wskazuje bezpośrednio na mnie, ale wiem, że panująca przy stole cisza jest wycelowana we mnie. Mam wrażenie, że przyciska moje barki do ziemi.

Ricky wraca z podwórka, gdzie właśnie zajmował się odśnieżaniem podjazdu.

– Słyszałem odjeżdżające auto. Wiecie, gdzie wybrał się Drew?

Bezładnie mamroczone coś pod nosem, więc Ricky wychodzi do salonu, by zadać to samo pytanie swojej żonie. W kuchni znów zapada cisza, więc słyszymy odpowiedź Lisy.

– Nie wiem – sączy się przez ścianę jej głos. – Powiedział tylko, że potrzebuje wyrwać się na trochę z domu.

Świdrujące pytanie „Co się, do cholery, dzieje?” ciąży nad stołem z coraz większą, niemożliwą do wytrzymania mocą. Zaczynam zbierać brudne talerze tylko po to, by oddalić się choć na krok od tego napięcia.

– Hej, hej – zagają mnie Benny, gdy właśnie dochodzę do zlewu.

Odkręcam ciepłą wodę i mamroczę do niego:

– Jestem ludzkim odpowiednikiem puszczonego w małym pomieszczeniu bąka.

Niestety powiedziałam te słowa na tyle głośno, że dotarły do uszu wszystkich zgromadzonych. Benny niezbyt skutecznie usiłuje stłumić wybuch śmiechu, który nagle wyzwala reakcję łańcuchową. Biesiadnicy odychają z widoczną ulgą, po czym zbierają się przy mnie, przytulają, zaga-

dują, zapewniają wszyscy naraz, że wszystko na pewno się ułoży, że na pewno nie zrobiłam nic strasznego. Nie mam pojęcia, czy znają szczegóły toczącej się właśnie sprawy, ale widzę, że nie miałyby dla nich znaczenia. Ważne jest to, że kochają mnie i kochają Andrew. Wszystko inne jest tylko krótkim błyskiem, epizodem. Dokładnie tak, jak mówił Ricky.

Dla obecnych w kuchni to, co się dzieje, niebawem minie, a my wyjdziemy z tego silniejsi.

Czuję, że powinnam się zastanowić, jak to wygląda z mojej perspektywy, i pozbyć się uczuć, które pielęgnowałam w sobie przez ponad połowę życia.

Głos mamy wznosi się ponad wrzawę, obwieszczając koniec tej chwili wytchnienia. Godzę się z tym, oceniam, że zasługuję na wszystko, co zamierza mi powiedzieć.

– Mae – zaczyna mama, odwracając się do mnie. Ujmuje moją dłoń i odciąga z dala od reszty. – Chodź tu, kochanie. – Prowadzi mnie do kuchni, a potem dalej przez korytarz.

Gdy zostajemy same, wplata palce w moje włosy, patrząc mi głęboko w oczy. Wstyd przepływa przeze mnie wrzącą, palącą falą.

– Chcesz o tym porozmawiać? – pyta.

– Nie za bardzo – odpowiadam. Zamykam oczy i przetykam ślinę, aby pozbyć się podchodzących mi do gardła mdłości. – Przepraszam. Nawet nie wiem, co powiedzieć poza tym, że wszystko zniszczyłam.

– Za co, na Boga, przepraszasz? – pyta, ujmując mój podbródek, tak bym spojrzała jej w oczy. – Masz dwadzieścia sześć lat. To właśnie jest moment, w którym robimy szalone rzeczy. Masz prawo trochę namieszać.

Jestem zaskoczona jej nastawieniem, podejrzewałam, że będzie załamana. Mama, w przeciwieństwie do taty, nie boi się wielkich emocji – daje im ujście i dzieli się nimi. Ojciec jest typem flegmatycznego myśliciela, dusi w sobie wszystko do momentu, aż w końcu – zupełnie znienacka – uczucia wylewają się z niego niepowstrzymanym strumieniem. Raptem raz lub może dwa razy w życiu słyszałam, jak podniósł głos. Co innego mama, oczekiwałam, że nie zostawi na mnie suchej nitki.

– Tylko tyle? – pytam.

Wybuchła krótkim śmiechem.

– No wiesz, jeśli bardzo chcesz, to mogę się bardziej postarać, ale ostatecznie są święta i mogę ci trochę odpuścić. Uznajmy to za mój prezent dla ciebie!

– No dobra, w takim razie – odpowiadam, mrugając szybko – powinienam chyba jeszcze dorzucić informację, że zrezygnowałam z pracy. Teraz już naprawdę nie musisz się krępować.

Widzę ogień, który na chwilę zapala się w jej oczach, gdy potem bierze bardzo długi, kontrolowany oddech, wybucha pełnym zmęczenia śmiechem i przyciąga mnie do siebie.

– Chodź do mnie – mówi, całując mnie w czoło. – Wyglądasz, jakbyś miała ochotę wyleźć ze skóry i stanąć obok, biedactwo.

– Tak właśnie jest – odpowiadam. Rzeczywiście najchętniej opuściłabym swoją skórę i poszła na dwór wytarzać się w śniegu.

– Posłuchaj mnie – ciągnie mama – bo zamierzam powierzyć ci sekret, o którym nie wie jeszcze nikt. Wszystko się ułoży. Wierz mi. Wiem, że teraz wszystko wokół ciebie tak strasznie się skomplikowało i pewnie myślisz, że tak będzie zawsze, ale mówię ci prawdę. Wszystko się ułoży. Życie bywa zagmatwane, i to też jest okej, kochanie.

Oplatam ręce wokół jej talii i chowam głowę w zagłębieniu pod jej podbródkiem. W końcu czuję się uziemiona i zakorzeniona. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo wielu dni.



Andrew nie wraca do nas przez całe popołudnie. W końcu jesteśmy już bardziej niż gotowi, by zacząć rozdawać i otwierać prezenty, więc rzucaamy się w wir pieczenia. Przygotowujemy mnóstwo rzeczy. Pierniczki, rozpływające się w ustach miętuski, meksykańskie ciasta weselne, kruche herbatniki Świętego Mikołaja. Szykujemy wszystkie te słodkości, które robimy każdego roku, odkąd pamiętam. Kiedy patera ugina się od frykasów i niebo coraz bardziej granatowieje, zaczynamy szykować świąteczny stół.

Świeczniki, których używamy, należały kiedyś do mamy Aarona, stanowią przypomnienie o tym, jaki był początek całej tej historii. Ustawiam kwiaty na środku stołu, rozstawiam butelki z winem w mniej więcej równych odległościach na całej jego długości. Bliźnięta dekorują stół – a przy okazji siebie oraz Miso – kokardami znalezionymi gdzieś w salonie.

Andrew bezszelestnie wślizguje się do kuchni w momencie, gdy na stole ładuje ostatnie z dań. Wybiera miejsce w rogu (zwykle zajmowane przez Aarona) – zapewne dlatego, że to najdalej, jak się da, od mojego krzesła.

Z pewnością jedzenie jest przepyszne, to w końcu najbardziej wyczekiwany przeze mnie posiłek w roku. Wszystko pachnie po prostu cudownie, jednak z trudem jestem w stanie wziąć do ust cokolwiek z tych pyszności. Wolno i beznamiętnie odgryzam, przeżuвам i połykam, jednocześnie starając się sprawiać wrażenie, że nadążam za toczącą się przy stole konwersacją. W rzeczywistości czuję w żołądku lodowatą zimną bryłę. Andrew nawet na mnie nie patrzy, a ja jestem tak okropnie, tak przeraźliwie nieszczęśliwa, że nie wiem, jakim cudem wciąż siedzę tutaj, a nie z powrotem na miejscu 19B. Może to dlatego, że jeszcze nie dokończyłam dzieła zniszczenia każdej wartościowej rzeczy na swojej drodze i wszechświat daje mi szansę, bym w końcu to zrobiła. Podnoszę do ust lampkę z winem, jest napełniona prawie po brzegi. Dobrze, z pewnością w tej kwestii nie zawiodę.

– Pomyśleliśmy, że poczekamy z otwarciem prezentów, aż dotrzesz do domu – odzywa się Ricky do Andrew.

Tamten przeżuwa i pospiesznie przełyka jedzenie, na jego policzkach maluje się rumieniec poczucia winy.

– Dzięki. Przepraszam. Nie musieliście – wyrzuca z siebie.

– Oczywiście, że musieliśmy, kochanie – zapewnia żarliwie Lisa. – Chcieliśmy zacząć, gdy będziemy wszyscy razem.

Bliźnięta przez cały dzień wykazywały się wprost nadludzką cierpliwością. Teraz na wzmiankę o tym, że proces otwierania prezentów zacznie się już niedługo, nie są w stanie dłużej tłumić emocji – oboje eksplodują, wydając z siebie entuzjastyczne dźwięki. Pamiętam dobrze to uczucie, to rozgorączkowanie podczas posiłku, który chciałam skrócić jak najbar-

dziej, by w końcu rzucić się do prezentów. Potem dziękowałam niebiosom, że byliśmy cierpliwi i czekaliśmy, bo inaczej ten cudowny dzień skończyłby się zdecydowanie za szybko. Ale teraz odbieram to dokładnie odwrotnie – miałabym ochotę ekspresowo przejść przez wszystkie punkty programu i udać się prosto do piwnicy, tam wpełznąć do łóżka i wtopić się w ciemność. Może brzmi to dramatycznie, ale zastanawiam się, czy to naprawdę byłoby takie straszne – wymknąć się nocą, gdy wszyscy będą już w łóżkach, i po prostu polecieć do domu, do Berkeley, a potem spędzić pierwszy dzień świąt w samotności i ciszy. Może w drodze na lotnisko mój szalik wkręci się w drzwi od windy i znów wyląduję w samolocie, zaczynając wszystko od nowa... Czy to byłoby takie złe? Prawdę mówiąc, w tej chwili absolutnie każda opcja wydaje się znacznie lepsza niż to, co przeżywam teraz.

Uprzątnąwszy ze stołu, udajemy się powoli do salonu. Otaczający mnie ukochani ludzie radośnie omawiają swoje oczekiwania względem zabawy w Tajemniczego Mikołaja. Mama przynosi do pokoju gigantyczny talerz ciasteczek, a Ricky spieszy za nią z tacą zastawioną szklankami i dzbankiem z mlekiem. Zaczyna się rozlewanie koktajli, z głośników płynie muzyka, ogień wesoło trzaska w kominku. Są wszystkie elementy, za które kocham życie, mimo to nie jestem w stanie niczym się cieszyć. Cóż za cenna lekcja: uważaj, czego sobie życzysz. Chcąc posprzątać bałagan, którego narobiłam razem z Theo, weszłam na wyższy poziom zniszczenia. To, co wydarzyło się z Andrew, mogłoby stanowić materiał na doktorat z idiotyzmu.



Po drugiej stronie pokoju w fotelu siedzi Andrew i w milczeniu patrzy w ogień. Jest tak bardzo różny od tego Andrew, którego znam od lat – wesołego i rozmownego. Zastanawiam się, gdzie był cały dzień, co porabiał i jakim cudem jest tak bezbrzeżnie smutny po zakończeniu związku, który dla niego trwał zaledwie dwa dni. Ja właśnie opłakuję pogrzebanie nadziei, które żywiłam przez połowę swojego życia. Jak to wygląda z jego perspektywy?

Może właśnie się zastanawia, jak powiedzieć wszystkim zgromadzonym, że w przyszłym roku nie wybiera się do chatki? Oczywiście, jeśli wszyscy z wiadomych przyczyn nie przestaniemy tu jeździć. Na oba scenariusze zresztą zdecydowanie zasłużyłam.

Gdy odwracam głowę, widzę Kyle'a w czapce Mikołaja. Pora zatem wybrać pierwszy prezent, który ma zostać otwarty. Mimo że każdy osobiście wpisywał na swoim podarku imię adresata, to myśl, że dostaniemy po zaledwie jednym prezencie, wydaje się absurdalna – stos pod choinką ma rozmiary małego mamuta. Prezenty od rodziców dla dzieci, od dzieci dla rodziców, małe rzeczy, które kupujemy w ciągu roku, by wręczyć je właśnie dziś. Kyle zwykle dostaje różne różności z motywem *tacos*, Aaron uwielbia modne, szykowne skarpetki, a tata co roku otrzymuje rozmaite podarki dla żartownisiów, takie jak guma do żucia o nazwie „Soczysty Owoc” (w rzeczywistości smakowała marihuaną) czy pierdzące poduszki. Uwielbia wycinać tego typu kawały swoim znajomym z pracy, z biegiem lat zdążyliśmy to zaakceptować i wspieramy tę osobliwą pasję. Wielka hałda pod choinką jest najlepszym dowodem na to, że uwielbiamy się bez reszty, harujemy jak woły i zupełnie nie przestrzegamy zasady jednego prezentu.

Gdy Kyle przynosi mi małe pudełeczko, na karteczce pod napisem „od” zauważam imię Andrew. Przez moment czuję się, jakbym właśnie połknęła piłkę do koszykówki. Bo za pierwszym razem wcale tak nie było. Te święta różni od pierwszych mnóstwo innych detali, więc może nie powinnam akurat temu przypisywać nadmiernego znaczenia, w końcu to może być coś przypadkowego, drobiazg, który Andrew nabył podczas wizyty w sklepie sieci 7-Eleven. Na przykład pudełko pełne moich ulubionych batoników Snickers albo jakiś absurdalny podarek w rodzaju puszek pomidorów Clamato.

Ale cichy jęk, który dobywa się z jego ust – jakby właśnie zorientował się, że zapomniał wyjąć ten prezent spod drzewka – zdradza, że to bynajmniej nie jest nic żartobliwego. To coś osobistego.

Czując na sobie wzrok wszystkich zgromadzonych, pozbywam się jasnozielonej, pasiastej wstążeczki i zrywam gruby czerwony papier. Na pu-

delku widzę emblemat sklepu, w którym byliśmy we dwoje. Mój żołądek gwałtownie zmienia położenie. W środku jest koszulka ze zdjęciem Christophera Walkena z parafrazą cytatu: *I'm walken on sunshine*.

O rety. Musiał znaleźć to w tym sklepiku wczoraj, kiedy ja nagle ulotniłam się z miejsca wypadku.

Ten prezent jest tak cudowny, że z trudem powstrzymuję pełne bólu westchnienie. Podnoszę wzrok, zmuszając mięśnie twarzy do uśmiechu. Podejrzewam, że nigdy nie będę w stanie włożyć tej koszulki, emocjonalnie nie starczy mi na to sił. Za to istnieje duża szansa, że będę spać obok niej. Aż do momentu, gdy w wieku osiemdziesięciu lat zauważę, że ten ciuch zamienił się już w kupkę szmat, wymęczonych moim czułym, pełnym bólu rozstania głaskaniem. Wtedy pozostanie mi tylko przytulenie się do jednego z moich przyszłych siedmiuset kotów.

– Dzięki, Andrew.

– Nie ma sprawy.

– Jest wspaniała.

Wysuwa lekko dolną szczękę i potakuje, nie odrywając wzroku od ognia.

– Nom.

Benny wlepia wzrok w czubki swoich butów. Mama i tata wymieniają zmartwione spojrzenia, to samo robią Ricky i Lisa.

Przychodzi moja kolej na wyłowienie spod choinki jednego z prezentów. Wstaję i na chwiejnych nogach podchodzę do drzewka, po czym wyciągam pierwsze, co wpadnie mi pod rękę. Tym razem jest to podarek dla Kennedy. Czuję ogromną wdzięczność za jej radość, która na chwilę odrywa mnie od własnych myśli.

Wkrótce prezenty są otwarte, a uściski wymienione. Przestrzeń dookoła mnie wypełnia się ożywionymi głosami, kolorami, ekscytacją. Robię, co mogę, by być tutaj z nimi wszystkimi: uśmiechać się, gdy wydaje się to odpowiednie, odpowiadać składnie, gdy ktoś zada mi pytanie. W niektórych momentach wydaję z siebie pozornie pełne emocji ochy i achy. Oceniam, że idzie mi całkiem nieźle. Rodzice kupili mi nowy zegarek Apple, od Mile-

sa dostałam ogromnego batona Snickers. Formalnie moim Tajemniczym Mikołajem był Aaron, który podarował mi bilet na lutowy koncert The Lumineers. Przez błogie parę minut moje ożywienie staje się zupełnie szczerze.

Potem nagle mama wstaje po dolewkę herbaty. Słysząc odgłos kuchennych drzwi, po którym następuje drapanie psich łapek po linoleum i wreszcie nerwowy głos mamy:

– O nie. Niecee... Miso! Andrew! – woła.

Andrew momentalnie przenosi wzrok na mnie. Nie wiem nawet, czy robi to celowo, ale przypuszczam, że oboje wiemy, co zaraz się wydarzy. Mama wbiega do pokoju, niosąc szczątki po ohydny świąteczny swetrze, a ja przez sekundę wierzę, że jestem uratowana.

Teraz Andrew da wiarę mojej opowieści.

I w tym chyba tkwi problem. Po jego oczach poznaję, że właśnie uwierzył w każde wypowiedziane przeze mnie słowo i że to wcale nie poprawiło sytuacji.

Zrywa się na równe nogi, zabiera z rąk mojej mamy wełniane resztki, po czym wychodzi z pokoju.



Rozdział 25

Kościół katolicki pod wezwaniem Świętej Maryi Panny w Park City jest oszałamiającą, wzniesioną z kamienia i drewna budowlą, stojącą na środku ośnieżonego pola. W lecie świątynię otaczają soczystozielone korony drzew, ale o tej porze roku nagie gałązki dopełniają obrazka krystalicznego przepychu zimy.

Wybieramy się na wcześniejszą świąteczną mszę – mama, Miles, Lisa i ja. Jedziemy w podgrupach, żeby nie tracić zbyt wiele czasu na czekanie na pozostałych, a dodatkowo uniknąć chaosu związanego z szykowaniem najmłodszych do wyjścia.

Mimo że uwielbiam kościół w naszej parafii w Berkeley, to przychodzenie do Maryi Panny raz lub dwa razy do roku to bardzo szczególne, głęboko nostalgiczne doświadczenie. Wnętrze zachwyca prostotą: łagodne łuki sklepienia, belki z jasnego drewna, surowe kamienne ściany, proste drewniane ławki i wysokie okna, dzięki którym przestrzeń świątyni staje się jasna i przejrzysta.

W końcu mój wzrok musi niestety paść na ołtarz – tę jedną rzecz, która zdradza, że fatalna ze mnie katoliczka i po śmierci najprawdopodobniej udam się prosto do piekła, niezależnie od tego, co będę porabiać w każdą niedzielę swojego życia. Ołtarz otoczony symetrycznymi, kamiennymi łukami, zdobny na środku w wygięte pod takim samym kątem okienko, tak

bardzo przywodzi na myśl waginę, że oboje z Milesem nie jesteśmy w stanie spokojnie patrzeć na niego, nie wybuchając tłumionym w ostatniej chwili chichotem.

Dziś jednak wlepiam wzrok w przestrzeń przede mną i siedzę bez ruchu przez całe pięć minut, nim zdaję sobie sprawę, że moje oczy toną w czeluściach kanału rodnego. Co jest ze mną nie tak?

Mrugam i przenoszę wzrok na złożone na podołku dłonie. Jestem w ciepłym potrzasku: z lewej siedzi moja mama, z prawej Lisa. Ich barki ściskają moje ramiona – taka prosta forma kontaktu, a jednak dająca osobliwe poczucie zakorzenienia. Moje dwie matki – jedna, która mnie urodziła i wychowała, druga, którą ta pierwsza wybrała na swoją najbliższą przyjaciółkę. Można by pomyśleć, że z uwagi na trwającą przez ostatnie dni emocjonalną katastrofę między mną a synami Lisy będę się w jej towarzystwie czuła niezręcznie, a jednak wcale tak nie jest.

Zapewne dlatego, że zna mnie dłużej niż każdy inny człowiek w moim życiu, z wyjątkiem rodziców. Dziś rano w drodze do samochodu odciągnęła mnie na bok, by powiedzieć:

– Chcę, byś wiedziała, że niezależnie od tego, jak się to dalej potoczy, zawsze będę przy tobie, zawsze.

Nie była to dłuższa rozmowa, zaledwie jedno zdanie, po którym nastąpiły uścisk i przeciągłe, pełne współczucia spojrzenie, okraszone wyrozumiałym uśmiechem. Potrzebowałam właśnie tego, usłyszenie tych słów było jak otwarcie wentylu i spuszczenie powietrza gromadzącego się w rurze pod zbyt dużym ciśnieniem. Zawsze najbardziej obawiałam się sprawić zawód otaczającym mnie dorosłym.

Ze zgromadzonej tu czwórki najbardziej religijna jest mama, ale każdy z nas ma swoistą więź z Kościołem. Ja szukam przede wszystkim sentymentalnego ukojenia: kocham te pieśni, poczucie wspólnoty, zapierającą dech w piersiach architekturę (poza waginę, oczywiście), uwielbiam niewzruszoną stałość rytuałów. Mama nigdy nie wymagała od nas, by nasza wiara była taka sama jak jej – nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że jej męża, a naszego ojca, cechował całkowity brak zainteresowania tymi kwestiami. Nie próbowała też zmusić nas, byśmy żyli tak, jak każe Kościół.

Bardzo dobrze się składa, bo szybko odkryłam, że nie jestem w stanie zaakceptować poglądu, iż Biblia zalicza się do literatury faktu. Przez lata mama prosiła mnie tylko, bym przychodziła i słuchała z szacunkiem tego, co dzieje się podczas mszy. Powtarzała, że powinniśmy starać się być dobrzy i łagodni oraz wieść szczodre życie.

Ale teraz jest inaczej – po raz pierwszy znajduję się w kościele, doświadczony bezpośrednio działania bardzo realnej i niezaprzeczalnej siły wyższej, mocniejszej ode mnie i wpływającej w sposób odczuwalny na moje życie. Nie mam bladego pojęcia, czym jest ta siła, ale chyba powinnam przyjąć do wiadomości, że poza nami jest w tym świecie znacznie więcej, niż mogę pojąć umysłem. Najwyraźniej wszechświat od czasu do czasu bywa dla ludzi łaskawy i to do nas należy decyzja, co z tym zrobimy.

Teraz moim zadaniem jest wymyślenie, jak po przeżyciu tego tygodnia znaleźć szczęście – niezależnie od tego, czy u boku Andrew, czy na zupełnie innej ścieżce.

Gdy ksiądz spokojnym tonem wygłasza homilię dotyczącą Ewangelii według Świętego Łukasza, zamykam oczy i wyciszam w głowie wszystkie dźwięki i obrazy. Staram się być obecna tu i teraz, w tym cichym momencie, chłonąć ciepło dotykających mnie ramion, czuć solidny kształt oparcia dotykającego moich pleców. Staram się, jak mogę, nie pragnąć więcej – nie modlić się o przebaczenie Andrew czy o pracę, z której będę cieszyć się każdego dnia. Spędziłam długie lata, nie ufając swojej zdolności do podejmowania decyzji i pozwalając, by życie po prostu mi się przydarzało. Nie może być zbiegiem okoliczności to, że gdy w końcu przestałam być bierna i poszłam za głosem instynktu, wszystkie elementy układanki zaczęły nagle wskakiwać na swoje miejsce. Wiem już, co może uczynić mnie szczęśliwą – zaufanie samej sobie. To dopiero jest prawdziwy dar – odnaleźć szczęście.

A teraz muszę tylko wymyślić, czy jest jakiś sposób na to, by je odzyskać.

Mama nachyla się do mnie i szepcze mi do ucha:

– Wszystko okej?

Moja mama nigdy, przenigdy nie odzywa się w trakcie nabożeństwa – szczególnie podczas świątecznej mszy – o ile nie jest to syk będący próbą

uciszenia nas. Teraz po raz kolejny potwierdza się moje przekonanie, że wolałaby dać uciąć sobie rękę, niż pozwolić, by któreś z jej dzieci musiało mierzyć się z cierpieniem zupełnie samo.

– Tak sobie myślę – odpowiadam szeptem – że chciałabym, byś była ze mnie dumna. I ja chciałabym być dumna z siebie.

– Zawsze jestem z ciebie dumna – mówi mama, oplatając mnie ramionami – i ufam ci. Jediną osobą, której oczekiwaniami powinnaś się przejmować, jesteś ty sama – stwierdza, po czym ujmuje moją rękę i delikatnie ją całuje. – A ja chciałabym tylko, byś znalazła to, co daje ci szczęście.

Po tych słowach odsuwa się i siada wyprostowana, świadoma efektu, jaki zrobiło na mnie to zdanie. Weszło prosto do mojego serca, rozświetliło je jak żarzący się węgielek, uzmysławiając mi realność tego, czego właśnie doświadczam. Muszę popracować nad tyloma rzeczami – teraz to widzę. Jednocześnie mam wrażenie, że to moment przełomu, w którym do elementów rzeczywistości dołącza ten jeden, ostatni puzzel, dzięki któremu widzę wreszcie całość.

„Jediną osobą, której oczekiwaniami powinnaś się przejmować, jesteś ty sama”.

Na etapie, w którym myślałam, że nie ma to znaczenia, bo i tak nikt tego nie zapamięta, w końcu zaczęłam naprawdę żyć. Rzuciłam pracę. Szczerze opowiedziałam o swoich uczuciach. Bez lęku podążałam za tym, czego pragnę.

Moje stopy czują posadzkę, moje plecy – drewniane oparcie ławki.

Powietrze wewnątrz kościoła jest świeże, chłodne. Odbieram otaczające mnie zewsząd vibracje setek głosów nucących pieśni. W uszach rozbrzmiewają mi słowa mamy. Myślę o swoim życzeniu i wpadam na pomysł.



Miles trąca mnie ramieniem, gdy idziemy do chatki przez podjazd.

– U ciebie okej?

To pierwszy raz, kiedy rozmawiamy od czasu tamtej pamiętnej porannej rozmowy na ganku. Nie mam wątpliwości, że mój siedemnastoletni brat jest zdezorientowany, obserwując to, co dzieje się z życiem jego dotąd nudnej, wyważonej starszej siostry.

– W miarę – odpowiadam, wypuszczając z płuc długi, kontrolowany oddech. – Miałam dosyć dziwny tydzień.

– Tak się wydaje.

Zatrzymuję się parę metrów od schodków i podnoszę wzrok na chatkę. Mama porozumiewawczo kiwa do mnie głową, po czym idzie za Lisą do domu, mocno otupując buty ze śniegu. Znikają obie w ciepłym wnętrzu. Mimo że ułożyłam już plan i wiem, że powinnam wcielić go w życie, czuję nagle przejmujący chłód przerażenia. Dzisiejszy dzień jest ostatnim, który spędzimy w chatce.

Miles powłóczy swoimi błyszczącymi butami po pełnej rozmiękłego śniegu ścieżce prowadzącej do domu. Mama nie będzie zachwycona, widząc, ile śnieżnej brei i soli wsiąkło właśnie w nogawki jego odświętnych spodni, ale ja też nie jestem gotowa, by wejść do środka. Jeśli brat chce się poguzdrać razem ze mną, to bardzo proszę.

– Theo powiedział, że żałuje, iż tamtego dnia tak na ciebie najechał – odzywa się.

Och.

Przyglądam się uważnie bratu. Już teraz jest wyższy od taty. Choć łatwo mi przychodzi traktowanie go jak wiecznego dzieciaka, prawda jest taka, że już za parę miesięcy opuści rodzinny dom i wyjedzie na studia. Na pewno dobrze trafi i z pewnością znakomicie da sobie radę.

Słońce odbija się od śnieżnej połaci ogródka. Mrużę oczy i pytam:

– Theo tak powiedział? – Miles potakująco kiwa głową. – Zeszłej nocy. Tak w sumie ni stąd, ni zowąd. Co się między wami wydarzyło?

– To sprawa między mną a nim.

Miles mruga powiekami i lekko szura nogami.

– A co jeszcze cię dręczy, kochaniutki? – pytam.

– Czy to prawda, że Ricky i Lisa sprzedają chatkę?

Chwilę będę się z odpowiedzią, niepewna, ile powinnam zdradzić, zanim oni powiedzą nam o tym osobiście.

– Tak mi się wydaje. Tak przynajmniej głosi plotka. A ty od kogo ją usłyszałaś?

– Tata coś o tym mówił – odpowiada, przenosząc wzrok na chatkę i marszcząc brwi. – Kurde, chciałbym, żeby mama albo tata ją kupili.

Słyszę w swojej głowie delikatne skrzypienie zwiastujące powolne otwieranie skrzyni pełnej skarbów. Daję bratu buziaka, po czym pędem pokonuję schody, goniąc za drugim dobrym pomysłem, który przyszedł do mnie tego ranka.



– Benito Mussolini! – wołam, wchodząc do cudownie cichego pokoju. – Jak znakomicie spotkać cię tutaj.

Drzewko choinkowe lśni wielobarwną wystawą rozmaitych ozdób, ogień trzaska w kominku, a nad nami słyszę bliźniaki – chyba właśnie się gonią, zapewne ciągle jeszcze w piżamkach, tryskające energią spotęgowaną spożyciem znalezionych w skarpetach słodczy.

– No proszę – mówi Benny, podnosząc wzrok znad książki. Kciukiem zaznacza miejsce, w którym przerwał lekturę. – Tak radosnego powitania się nie spodziewałem.

– Istotnie, jestem w nieoczekiwanie radosnym nastroju. W końcu są święta, czyż nie? – odpowiadam, po czym dłonią wskazuję korytarz. – Możesz pójść ze mną pogadać?

Wstaje i idzie za mną po schodach, kierujemy się na poddasze. Nigdzie po drodze nie widzę Theo. Co do Andrew, to spodziewam się, że siedzi w domku na przystani, sam na sam z gitarą i żalem. Ale może tak jest najlepiej – nie byłabym w stanie odbyć tej rozmowy, wiedząc, że jest gdzieś w pobliżu.

W porównaniu z temperaturą panującą w nagrzanym ciepłym kominka salonie tutaj jest dość chłodno. Benny ściąga z łóżka koc i podaje mi go, bym mogła się owinąć. Sam w tym czasie wkłada na siebie zielony kaszmi-

rowy sweter. To jest właśnie typowy Benny – ma wystarczająco dużo pieniędzy, by wydać je na kaszmir, ale wybiera ubrania takie same jak te, które nosi od lat.

Siada na rozklekotanym krześle pod oknem, pokazując mi gestem drewniany stołek stanowiący nieco mniej ryzykowną opcję. Odgarnia włosy z twarzy i zagaja:

– Jak się masz, Kluseczko?

– Jeśli chodzi o wielki projekt zwany życiem, to właściwie fantastycznie. Jestem bezrobotna, ale zdrowa, mogę poszczycić się wspaniałą wspólnotą... zresztą... sam powiedz! – mówię, po czym na chwilę milknę, obserwując ptaka lądującego na gałęzi za okienkiem w dachu. – Ale jeśli idzie o życie uczuciowe, to... jak by to elegancko ująć... chujnia z grzybnią!

Mimo mrocznej prawdy tkwiącej w tym zdaniu Benny odpowiada mi chichotem.

– Póki jeszcze trwało... czy było dobre?

– Mówisz o mgnieniu oka, w którym miałam okazję spotykać się z Andrew Polleyem Hollisem? Tak, Benny, było niezmiernie.

Uśmiech Benny'ego nieco blednie i szybciej, niż udaje mi się zorientować, zamienia się w wyraz nietajonego zafrasowania. Przez całe lata słuchał, jak bez cienia nadziei opowiadałam o moich uczuciach do Andrew. Latem, gdy skończyłam ósmą klasę, nakrył mnie, jak wypisywałam nasze imiona na rachunku z Park City Mountain. Byłam tym tak okropnie zażenowana, że usiłowałam spalić dowód rzeczowy, używając do tego celu jednej ze świec zapachowych Lisy. Skończyło się podpaleniem poduszki. Benny siedział ze mną przez parę godzin po tym incydencie, pilnując, bym przerobiła internetowy kurs podstaw BHP, a właściwie tylko po to, bym nie była przez cały dzień sama.

Gdy miałam z kolei lat dziewiętnaście, Benny był pierwszym, który zauważył, jak paskudnie rozwaliałam sobie czoło, gdy zamiast opróżnić zmywarę, stałam zapatrzona w Andrew brzdąkającego na gitarze przy kuchennym stole. Nagle wyprostowałam się, cały czas zasłuchana, kompletnie nie zwracając uwagi na wiszącą nad moją głową kuchenną szafkę,

o której krawędź z impetem uderzyłam. Historii tego typu jest mnóstwo i w niemal każdej Benny odgrywał rolę naocznego świadka.

– Smucę się razem z tobą – mówi poważnie.

– Ja też się ze sobą smucę – odpowiadam, starając się przełknąć ogromną gulę żalu pęczniejącą w moim gardle – ale myślę, że można z tego wszystkiego wyciągnąć lekcję. Nie da się usunąć z historii swoich błędów. Można jednak nauczyć się je naprawiać.

– Czy tym właśnie się teraz zajmiemy?

– Właściwie – mruczę, wsuwając dłonie między złączone kolana – właściwie to tak. Ale nie mam zamiaru rozkminiać, jak rozwiązać problem Andrew.

Benny marszczy brwi i sięga do torby po sprzęt do palenia. Ten jest specjalny, na jednego buszka.

– W takim razie w czym rzecz?

– Benedykcie, kiedy odbierałeś mnie z knajpki, powiedziałeś coś o Spotify.

Kiwa głową, jednocześnie zapalając zapalniczkę. Iskra pozostawia rozżarzony obrazek na mojej siatkówce, widzę ją jeszcze przez parę sekund. Benny bierze głęboki wdech, po czym wydycha zawartość płuc, wykręcając głowę, tak by chmura dymu nie znalazła się między nami. Prostuje się i zagaja:

– Owszem, coś tam o tym mówiłem.

– Słuchaj, wiem, że to strasznie wścibskie, ale dość mocno się zdziwiłam, że jesteś w stanie zapłacić za kawę studolarówką, bo nie masz drobnych.

– Tia – potwierdza, kiwając głową. Wzrok ma utkwiony w czymś nad moim ramieniem. – Dla mnie to też była niespodzianka. Całkiem przyjemna.

– A kiedy to... – zaczynam niezgrabnie, po czym próbuję od nowa: – To znaczy, my... nie mieliśmy pojęcia...

– No cóż, wiesz, jak jest. To nawet nie to, żebym celowo utrzymywał to w sekrecie, ale jak wiesz, zazwyczaj nie bezczęścimy świątecznego wypo-

czynku rozmową o mamonie – mówi, patrząc na mnie z uśmiechem. – Zresztą dopiero niedawno zdecydowałem się sprzedać swój pakiet akcji. Znasz mnie. – Gestem wskazuje na swoje rozprute džinsy – Nie bardzo zależy mi na przedmiotach. Wolę ich używać, aż będą kompletnie do niczego. No więc nie bardzo miałem pomysł, co zrobić z taką sumą pieniędzy. Teraz doradza mi taki jeden facet. Naprawdę niezły. Kumaty, sprytny, godny zaufania... Tak mi się przynajmniej wydaje.

– A więc – zaczynam, a żołądek skręca mi się w węzełek – boję się, że zachowam się zgodnie ze stereotypem interesownej znajomej, ale zastanawiałam się, czy mogłabym porozmawiać z tobą o tym, żebyś tymi zasobami pomógł mi w zrealizowaniu pewnego planu.

Na twarzy Benny'ego pojawia się cień uśmiechu.

– Chyba wiem, dokąd to zmierza...

Mrugam dwa razy.

– Dokąd to zmierza? – pytam zdezorientowana.

Unosi zachęcająco podbródek i rzuca:

– Mów, mów.

Moje ramiona podnoszą się coraz wyżej i wyżej, a kark pochyła się, jakby już antycypował to, co wydarzy się za chwilę. Strząsam z siebie napięcie i zaczynam:

– Myślałam, że może mógłbyś podpisać się ze mną na pożyczce, którą zamierzam wziąć, żeby wykupić chatkę – mówię, a jego ekspresja momentalnie się zmienia. Ewidentnie bardzo go zaskoczyłam. Widząc to, pośpiesznie dodaję: – Myślę, że wystarczy mi na wkład własny, trochę oszczędziłam. A jak już znajdę nową pracę, będę w stanie spłacać kredyt. Żyję w domu, nie mam nadmiernych wydatków. Sądzę, że dosyć szybko uda mi się złapać nową robotę. Naprawdę przyrzekam, że to będzie tylko podpis, nic więcej. – Jego brwi wciąż są uniesione. Jestem przerażona, ale zmuszam się, by kontynuować: – Mógłbyś żyć tutaj, nie płacąc, i... po prostu... robić to wszystko, co robi Benny. Grać na gitarze. Przechadzać się po obejściu. Ja zajęłabym się spłacaniem kredytu i może z czasem, gdy zaoszczędzę, mogłabym zrobić tutaj coś konkretnego. Potraktowałabym to jak

inwestycję. Wiem, że dużo zależy od tego, jaka jest cena chatki. No dobrze, w sumie wiele zależy od bardzo wielu czynników. – Robię chwilową pauzę, by w końcu zaczerpnąć oddechu. – Po prostu bardzo nie chciałabym stracić tego miejsca.

– Ja też nie chciałbym go stracić – przyznaje Benny, po czym przez kilka sekund bacznie mi się przygląda. – Czy to dla ciebie ważne, żebyś ty była właścicielką?

Potrząsam głową.

– Wiem, że posiadanie domu, szczególnie starego, a już szczególnie położonego w innym stanie, nie jest łatwe. Ale jeśli ty mieszkałbyś tu, na miejscu, może to by wiele pomogło? Sama nie wiem. Zdaję sobie sprawę, że to może brzmieć kompletnie wariacko. Prawdę mówiąc, wszystko przyszło mi na myśl zaledwie pół godziny temu. Chodzi mi nie tyle o to, żebym była posiadaczką domu, ile raczej o to, byśmy wszyscy mieli to miejsce i mogli do niego przyjeżdżać. W sumie podejrzewam, że to jest właśnie ta sprawa, dla której zostałam na nowo przysłana w te same święta.

Kiwa głową, jakby wszystko rozumiał.

– Czaję.

– Pomyśl o tym – mówię i dodaję: – Albo nie myśl. O rany, nie mam pojęcia, czy może uraziłam cię tą propozycją, czy...

– W najmniejszym stopniu – wchodzi mi w słowo.

– Czy w ogóle ludzie robią takie rzeczy? – kończę, a na mojej twarzy pojawia się przepaszający grymas, bo nagle czuję się okropnie naiwna.

– Bardzo mi przykro – mówi z uśmiechem, nachylając się w moją stronę i ujmując mnie za rękę. – Wcale mnie nie uraziłaś i wcale nie uważam tego wszystkiego za naiwne, kochanie. Nie chciałem, żebyś się dalej tłumaczyła. Dałem ci mówić, bo chciałem zrozumieć twoje motywacje i ocenić, czy właśnie nieświadomie ci czegoś nie odbieram.

– Odbierasz? – pytam, kręcąc głową. – Nie rozumiem.

– Odbieram ci możliwość posiadania tego miejsca. Złożyłem już Rickey'emu i Lisie ofertę.

Otwieram usta, ale nie dobywa się z nich nic poza nieartykułowanym skrzekiem. W końcu wykrztuszam:

– Ofertę zakupu chatki?

Benny ściska moją dłoń.

– Gdy przeżywałaś ten tydzień za pierwszym razem, do ostatniego dnia nie wiedziałaś, że Lisa i Ricky zamierzają sprzedać chatkę. Cholera, kto wie, może trochę później wkroczyłbym i złożył tę ofertę, ale znam siebie. Wiem, że waham się przed dużymi zobowiązaniami. Może byłbym smutny tak jak pozostali i przez krótką chwilę rozważałbym zakup, ale do powrotu do Portland pewnie już wybiłbym sobie ten pomysł z głowy. Ale tym razem powiedziałaś mi już pierwszego dnia. Zatem – kontynuuje, znów się uśmiechając – spędziłem cały tydzień, myśląc o tym, jak bardzo kocham to miejsce, i próbując sobie wyobrazić, jak by to było już nigdy więcej nie być tu z wami wszystkimi. Dzięki temu, że wiedziałem wcześniej, byłem w stanie przywyknąć do myśli o tym, że podejmę w związku z tą sprawą zdecydowane kroki. Poza tym miałem niewątpliwą przyjemność podroczyć się trochę z Rickym – dodaje, szczerząc zęby. – Bardzo subtelnie, oczywiście. Pytanko tu, pytanko tam...

– Przepraszam – mówię, mocno ściskając rękę, jakbym bała się uwolnić ogarniającą mnie euforię. – Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że kupuję ten dom.

Wyskakuję ze swojego siedzenia jak z procy i zamykam go w uścisku. Jego krzesło stęka przeraźliwie i się rozpada. Łądujemy oboje w chmurze pyłu wprost na drewnianej podłodze.

– Rozumiem, że to dla ciebie okej? – słyszę za plecami śmiech Benny'ego.



Wiem, że kolejna rozmowa, którą zamierzam przeprowadzić, nie ma szans pójść tak gładko jak ta z Bennym, ale czuję ulgę, gdy Theo, widząc, jak schodzę do piwnicy, nie podrywa się z miejsca, by odmaszerować.

Przeciwnie, uśmiecha się.

Siedzi przy karcianym stolyczku, ubrany w świąteczny sweter z Kapitanem Ameryką. Sweter wygląda tak, jakby był na niego co najmniej o rozmiar za mały. Dłońmi obejmuje kubek z kawą.

– Szukałem cię wcześniej!

– Przynajmniej jedna osoba – mówię ze śmiechem, zajmując miejsce. – Większość ludzi w tym domu na mój widok zmienia kierunek marszu na odwrotny.

– Aj, to musi być przykre uczucie.

Potrząsam głową.

– Nie, tylko sobie żartuję. Tak naprawdę wszyscy byli niewiarygodnie cierpliwi w stosunku do moich wybryków. W sumie można się było po nich tego spodziewać.

– Wszyscy z wyjątkiem mnie.

Wybucham śmiechem znacznie głośniejszym, niż zamierzałam.

– Tak, z wyjątkiem ciebie.

– Słuchaj – zaczyna – wczoraj zachowałem się jak kompletny dupek. Przepraszam. Znasz mnie, czasem potrzebuję całego dnia, żeby trochę ochłonać.

Aż do tego momentu nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak strasznie źle się czułam z tym pęknięciem, które pojawiło się w naszej relacji. Poczulałam to dopiero teraz, gdy Theo wypowiedział na głos ostatnie zdanie. Nagle fala łez napłynęła mi do oczu. Oczywiście, wiedziałam to o nim. Wiem, że zawsze wolno się denerwował, a jeszcze wolniej uspokajał. Dlaczego więc nie dałam mu prawa do takiej reakcji za pierwszym razem? Właściwie, gdy o tym pomyślę, to potrzebował tylko samotnej chwili spokoju po naszym feralnym pocałunku, by mógł otrząsnąć się z szoku. A ja byłam na niego wściekła za to, że zachował się dokładnie tak jak osoba, którą znam od wielu lat.

Nie zdążam przelknąć łez, już płyną po mojej twarzy. Momentalnie podrywa się i obchodzi stół, by uklęknąć i mnie uścisnąć. Wiem, że musi być zaskoczony tak nagłą reakcją, w końcu nie ma prawa wiedzieć, jak bardzo czekałam na te przeprosiny – za czyn, którego popełnienia nie był

świadomy. To przecież tak, jakby złościć się na kogoś za to, jak zachował się w twoim śnie. Nie było winą Theo, że przez te dni potrzebowałam się od niego odsunąć.

Słyszę jego niski, rozwibrowany głos w okolicy swojego ramienia:

– Powiesz mi, co się dzieje?

Sam pomysł przechodzenia po raz wtóry przez tłumaczenie tego wszystkiego wydaje się równie kuszący jak wbieganie z rozpędu w betonową ścianę. Wiem też, że raczej nie pomoże sprawie. Jeśli Theo z trudem przyjął wieść o tym, co dzieje się między mną a Andrew, ostatnią rzeczą, której potrzebuje, jest poinformowanie go o tym, co się wydarzyło w alternatywnej wersji rzeczywistości. Powiedzenie mu tego nie sprawi, że ja poczuje się lepiej. Nie sprawi też, że on poczuje się lepiej. Z całą pewnością również nie poprawi sytuacji między mną a Andrew.

– Możemy umówić się, że pominę wprowadzanie cię w szczegóły tego, co było? – pytam. – Właśnie zdałam sobie sprawę, że w tej konkretnej sytuacji powinnam chyba raczej skupić się na tym, by iść dalej.

Lekko się odsuwa, unosząc podbródek. Przygląda mi się łagodnie i mówi:

– Dobrze, jasne. Gdybyś jednak zmieniła zdanie, to wiedz, że jestem na posterunku gotów do udzielania fatalnych rad!

Śmieję się.

– Dzięki!

Po długiej, ciężkiej od namysłu chwili ciszy Theo pyta w końcu:

– Naprawdę przez te wszystkie lata podkochiwałaś się w moim bracie?

Kiwam głową.

– Od momentu, gdy mieliśmy po trzynaście lat.

Wydaje z siebie przeciągły gwizd i zerka na mnie współczująco:

– To strasznie długo, Mae. O rety.

– Czy to brzmi dla ciebie bardzo dziwnie, że w sumie nie wiem, jak to jest nie być zakochaną w Andrew?

– To wcale nie jest dziwne – odpowiada. – To znaczy, super, że ze mną o tym rozmawiasz, wiesz?

– Tak.

– Czy to ja schrzałem coś między wami?

To podejrzenie powoduje u mnie wybuch śmiechu.

– O nie, nie bój się. Z tym poradziłam sobie na własną rękę.

– A myślisz, że możesz to jeszcze naprawić?

Przygryzam wargę.

– Na pewno spróbuję.

Theo podnosi się z kolan i siada na krześle obok mnie.

– Nie do końca wiem, co się między wami wydarzyło, ale Andrew niezwykle ceni sobie swoją prywatność. Sam fakt, że tak szybko powiedział o tym, co się dzieje, to było megadziwne! – Po tych słowach przejeżdża kciukiem po widocznym na stoliku żłobieniu. – Myślę, że dlatego tak wczoraj zareagowałem. Jego ton wskazywał na to, że to coś między wami trwa już długi czas.

Wypuszczam z siebie suchy śmieszek.

– Nie.

– Zachowywał się tak, jakby już do tego przywykł, wiesz? Nie wiem, na ile ta porada wyda ci się cenna, ale jeśli naprawdę masz dla niego tyle uczuć, to może warto o to walczyć trochę dłużej, zanim ostatecznie się poddasz.

Zerkam na wyświetlającą się na telefonie godzinę i zdaję sobie sprawę, że jeśli zamierzam zdobyć się na jakiś romantyczny gest, to powinnam czym prędzej zabierać się do roboty.

– Łatwiej byłoby mi dać sobie odrąbać ramię, niż zapomnieć o twoim bracie, więc rzeczywiście... poddawać się na razie nie zamierzam – mówię, wstając, po czym pochylam się, by lekko pocałować go w policzek. – Mam w zanadrzu pewien pomysł. Życz mi powodzenia!



Rozdział 26

W pierwotnej wersji tych świąt Andrew nie spędzał Bożego Narodzenia sam na przystani. O tej porze – tuż przed piątą po południu – był w kuchni z Zacharym i Kennedy, rozwieszając lśniące girlandy i ozdoby z kolorowego papieru, śpiewając przy tym głosem muppeta, czym doprowadzał bliźnięta do histerycznego śmiechu.

Tym razem w kuchni jest zupełnie cicho. Prezenty są już rozpakowane, z kosza na śmieci wystaje zmaltretowany ozdobny papier, nigdzie nie widać ani girland, ani małych nożyczek, ani papierowych drobinek rozspanych na podłodze. Za jakąś godzinę zajmiemy się dojadaniem resztek z kolacji, ale na razie wszyscy korzystają z chwili wytchnienia, by się zdrzemnąć, poczytać, odprężyć się z drinkiem przy kominku, ciesząc się ostatnim wspólnym wieczorem. Wyjątkiem jestem ja: ruszam na stryszek Benny'ego i zabieram się do rzeczy.

Następnie z sercem w gardle biorę paczkę, którą mama pomogła mi stworzyć, przedzieram się przez świeży śnieg do Fortecy Samotnika, w której spodziewam się zastać Andrew.

Nie odpowiada na moje pukanie. Przez jakieś dwie minuty bezradnie stoję na zewnątrz, prowadząc wewnętrzny spór, co właściwie powinnam zrobić. Panikuję, myśląc, że mnie ignoruje. Zaczynam wpadać w komplet-

ną histerię, gdy nagle... zdaję sobie sprawę, że może powinnam po prostu zapukać nieco mocniej, głośniej.

– Proszę! – woła od razu. – Otwarte.

Popycham drzwi i wchodzę do środka.

Podróżna torba Andrew jest zapakowana, śpiwory zwinięte i ułożone pod ścianą. Siedzi na gołym legowisku i z jedną nogą podwiniętą pod siebie brzdąka na gitarze.

Zamierzałam zacząć od wygłoszenia starannie przygotowanej mówki, ale widok jego bagaży kompletnie zbija mnie z tropu. Nie mam pojęcia, czy zamierzał się choćby pożegnać.

– Wracasz dziś wieczorem do Denver?

– Owszem – odpowiada, podnosząc na mnie wzrok i siląc się na uśmiech.

Nawet w tej trudnej sytuacji nie jest w stanie być dla mnie nieuprzejmy.

Nie mam pojęcia, co na to powiedzieć.

– Słyszałeś o Bennym i chatce? – wyrzucam z siebie i przypominam sobie, jak ostro skomentował moje ratownicze zapędy.

– Wczoraj tata coś o tym napomknął – odzywa się cichym, nieswoim głosem. – To dobra wiadomość.

– Tak – potwierdzam. Czuję, że zapadam się jak w ruchomych piaskach. Zupełnie nie wiem, co dalej robić. – Przyniosłam ci prezent.

Marszczy brwi i rzuca mi pełne zaskoczenia spojrzenie.

– Mae, naprawdę nie musiałaś mi nic dawać.

– To nie jest prezent świąteczny – tłumaczę, próbując przejść do ułożonej wcześniej mowy. – Słuchaj, Andrew, wiem, że jesteś na mnie zły...

– Nie jestem na ciebie zły – wchodzi mi łagodnie w słowo. – Jestem zły na samego siebie. – Po tych słowach potrząsa głową, w zamyśleniu bezwiednie poruszając palcami na gryfie. – Zwykle nie pakuję się w nic tak szybko i właśnie dostałem ostateczne potwierdzenie, dlaczego to dobra strategia.

Nie mogę powstrzymać się od pytania.

– A dlaczego?

Patrzy na mnie uważnie. Z jego oczu czytam, że wie, iż jego słowa mogą mnie zabołeć.

– Bo mogę poznawać jakąś osobę przez całe swoje życie i wciąż absolutnie się mylić na jej temat.

O rany. To zdanie niemal zwała mnie z nóg. Wiem jednak, że nie ma racji. Spędziliśmy całe życie, poznając się, a ja czuję, że przez ostatnie kilka dni byłam sobą bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Wcale się co do mnie nie myliłeś – mówię, wchodząc głębiej do pokoju. Zatrzymuję się jednak parę metrów od niego. – To znaczy... owszem... może uderzyliśmy w próg zwalniający zaraz po wyjechaniu z bramy, ale naprawdę się nie myliłeś. To było dobre, Andrew. Gdyby tak nie było, to nie cierpiałbyś teraz tak bardzo. – Wytrzymuje moje spojrzenie przez dobrych parę sekund, po czym znów opuszcza wzrok na instrument i zaczyna grać. – Parę lat temu – odzywam się – zapytałam mamę, jak to było, gdy poznała tatę. Powiedziała, że po prostu zobaczyli się w akademiku, zaczęli się spotykać i od tego momentu przyzwyczaili się do bycia razem.

Nic nie odpowiada, ale widzę, że słucha. Mimo że jest zajęty grą, to jest tu ze mną, czujny i obecny.

– Zapytałam ją: „Po prostu wiedziałaś?”. Zamiast wyjaśniać, że to było przeznaczenie czy inne romantyczne rzeczy, odpowiedziała: „Hm... coś w tym rodzaju. Był miły, no i on jako pierwszy zachęcał mnie do malowania”. Rozwiedli się i pewnie to wpływa na to, jak mama mówi o tym po latach, ale rozmawiała ze mną – owocem tego związku – i słowem nie zająknęła się o jakimś zakochaniu czy tym, że nie była w stanie wyobrazić sobie życia bez niego. To się po prostu przydarzyło.

Czekam na jego reakcję. Na darmo. Nagle z tego milczenia wyłaniają się słowa piosenki, którą Andrew bezwiednie zaczyna grać. Uderzają we mnie jak nagła fala gorąca.

Nie wiem wiele o historii...

A jeśli to mogłoby zdarzyć się z tobą...

Wydaje się tak nieobecny, że sama nie wiem, czy zarejestrował, jaka melodia wydobywa się spod jego palców.

– Oczywiście to była – wracam do poprzedniego wątku – mało satysfakcjonująca odpowiedź. – Przerывam na chwilę. – Podejrzewam, że chociaż nikt z nas nie ma specjalnej ochoty słuchać o tym, iż nasi rodzice szli ze sobą do łóżka, to chcemy jednak wierzyć, że na początku były między nimi jakiś ogień, namiętność, przeznaczenie.

– Tak – odchrząkuje, po czym zaczyna majstrować przy kluczach, dostrajając instrument.

– Wiem, że... że my... spaliliśmy się we własnym ogniu – kontynuuję – ale nawet jeśli, to nie mogę oprzeć się poczuciu, że był w tym załączek wspaniałej historii. Pragnęłam tego od tak dawna, ty nie miałeś o tym pojęcia, a kiedy się dowiedziałeś, to było tak, jakby... jakby coś w tobie przeskoczyło – urywam na chwilę, szukając właściwych słów. – To, co zdarzyło się między nami, było naprawdę bardzo romantyczne.

Otwiera usta, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale po paru sekundach znów dotyka palcami strun i wraca do gry.

– W dodatku to było romantyczne nie tylko w teorii, to było romantyczne w rzeczywistości. Każda sekunda z tobą była po prostu idealna – mówię, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą. – Wybieranie drzewka, płatki śniegu w twoich włosach, sanki, chowanie się w szafie, noc, którą spędziliśmy tutaj. Dostałam te momenty z powodu życzenia, które wypowiedziałam w myślach. Życzenia! Czy ktoś naprawdę wierzy, że życzenia się spełniają? Ten świat jest zupełnie innym miejscem, niż kiedyś sądziłam! To znaczy, naprawdę można doświadczyć w nim prawdziwej magii. A jednak nawet nie to zadziwia mnie najbardziej. Najbardziej niewiarogodne jest dla mnie to, że mogłam doświadczyć tego z tobą. Człowiekiem z moich snów.

Andrew odchyła głowę do tyłu, opiera ją o ścianę, po czym zamyka oczy i kładzie gitarę obok siebie, na legowisku. Wygląda na bardzo zmęczonego. Bierze długi, głęboki wdech. Widzę, że nie próbuje mnie w ten sposób uciszyć. Widzę też, że nie słucha mnie biernie, przeciwnie – przyjmuje

każde słowo, które pada z moich ust. Ta świadomość sprawia, że znajduję w sobie odwagę, by mówić dalej.

– Mimo że tak bardzo tego pragnęłam, to i tak musiałam na to zapracować. Przecież mogłam nie zająknąć się nawet słówkiem o tym, co mi się przydarzyło, czy o tym, jak nawaliłam w tamtej sytuacji z Theo. – Unoszę wyżej podbródek i kontynuuję: – Ale jestem dumna z tego, że ci to powiedziałam. Czy wolałabym umieć wyjaśnić to jakoś lepiej? Oczywiście. Ale powiedziałam ci całą prawdę, bo chciałam, żebyśmy zaczęli naszą historię, czymkolwiek miałaby się ona stać, od szczerości. W kwestii uczuć byłam szczerą. Byłam też szczerą względem swoich błędów. Byłam szczerą w najpiękniejszych i najgorszych momentach tego tygodnia. – Wciągając głęboko powietrze, próbując uspokoić rozdygotany oddech. – Jeśli jest choć jedna rzecz, którą zrobiliśmy tak jak trzeba, to były nią nasze rozmowy. Wprost, od samego początku. Od pierwszej minuty naprawdę rozmawialiśmy. Nie mogę pomyśleć o nikim innym na całym świecie, z kim czułabym się równie bezpiecznie.

To naprawdę do niego trafiło, widzę to. Jego szczęka napina się, jabłko Adama zdradza nagłe przełknięcie śliny.

– Jest coś tak intymnego w dzieleniu ze sobą rzeczy, którymi nie możesz podzielić się z nikim innym, w pozwoleniu komuś na to, by zobaczył cię takim, jakim jesteś, bez żadnych filtrów. Przepraszam, jeśli natężenie moich uczuć pchnęło cię do tego, byś działał szybciej niż zazwyczaj. Ale kochałam cię, odkąd tylko dowiedziałam się, czym jest miłość, i nie jestem w stanie tego cofnąć. I bardzo bym nie chciała, nawet gdybym miała taką możliwość. To, co czułam i co czuję do ciebie, stanowi dowód na to, że miłość może przetrwać dekady. Może nawet całe życie, kto wie. – Odchrząkuję, po czym wypalam: – Ale miejmy nadzieję, że mi przejdzie, bo inaczej może być okropnie... dla nas obojga i dla twojej przyszłej żony.

Okraszam tę wypowiedź niezręcznym śmiechem, ale wypełniająca pokój cisza i tak przeraźliwie dzwoni mi w uszach. Głośno przetykam ślinę. Marzę, żeby podłoga pode mną nagle się otworzyła, tak bym mogła zapaść się, zniknąć.

Ale teraz nie mogę już przestać. W przyływie odwagi pokonuję dzielącą nas przestrzeń i wręczam mu podarek, opakowany w gruby, błyszczący, zielony papier, przewiązany matową czerwoną wstążką. Gdy tylko skończyłam przygotowywać zawartość, mama zajęła się resztą, po czym ze łzami w oczach podała mi pakunek, a na koniec złożyła na mojej ręce delikatny pocałunek.

– Chciałam ci to dać. Nazwa to „Szczęście”.

Andrew w końcu się prostuje i otwiera oczy, ale nadal mnie unika. Ostrożnie przygląda się paczce spoczywającej w moich dłoniach.

– Co to jest?

– Po prostu otwórz. – Widząc malującą się w jego oczach konsternację, dodaję: – To oryginalna Maelyn Jones. Rama wyszła spod ręki Elise Jones. Zrobiłyśmy to dzisiaj.

Powoli i z szacunkiem bierze przedmiot w dłonie. Te same palce, które jeszcze niedawno badały każdy skrawek mojego ciała, delikatnie pociągają za wstążeczkę. Słysząc odgłos darcia grubego papieru. Prezent nie był ukryty w żadnym pudełku, więc po zdjęciu papieru ukazuje się w całej okazałości. To oprawny w ramkę rysunek naszkicowany węglem.

Przez chwilę zastanawiam się, gdzie mama znalazła tę prostą, drewnianą ramkę, którą z takim uczuciem ozdobiła wzorem imitującym korę topoli – czy to Lisa pozbywała się czegoś starego, żeby zrobić w domu więcej przestrzeni, czy może Benny pomógł mamie przekopać się przez zalegające na strychu złoża przedmiotów. Po krótkiej chwili nie zawracam już sobie głowy przypuszczeniami, bo Andrew głośno wciąga powietrze, po czym powoli je wypuszcza, a ja mam wrażenie, że uchodzi z niego jak z przebitej nadmuchiwanej poduszki. Widać, że prezent kompletnie zwałił go z nóg, jest w tym absolutnie rozczulający.

Osoba na moim szkicu ma co najmniej osiemdziesiąt lat, ale widać, że to z pewnością Andrew. Robiłam, co mogłam, by uchwycić ciepłą łagodność jego oczu, jego nieujarzmione włosy, figlarne łuki jego warg. Kobieta koło niego to z całą pewnością ja – usiłowałam dodać sobie lat, łagodząc linię kości policzkowych, wydobyłam charakterystyczne zaokrąglenie dolnej wargi i głębię uśmiechniętych na obrazie oczu.

Siedzimy na ganku chatki, na huśtawce, jedno obok drugiego, nasze palce są splecione. Moja lewa ręka spoczywa na kolanie, przyozdobiona prostą ślubną obrączką. Na obrazie widać, że Andrew właśnie powiedział coś, co bardzo mnie rozbawiło; moje usta są rozchylone, głowa odrzucona do tyłu w wyrazie zachwytu, a jego oczy skrzą się dumą i radością. Przed nikim nie pozujemy, wyglądamy, jakbyśmy zupełnie nie byli świadomi tego, że ktoś nas obserwuje, by uchwycić ten moment.

Nie wiadomo, co przydarzało nam się przez ostatnie sześćdziesiąt lat, ale z pewnością wciąż jesteśmy niezaprzeczalnie szczęśliwi.

– Mandrew i Maisie – odzywam się cichym, nabrzmiałym ze wzruszenia głosem. – Nie miałam czasu, by namalować cały obraz, ale w sumie podoba mi się tak, jak jest. Dzięki temu to tylko szkic, tylko możliwość. Nawet jeśli nigdy nie zamieni się w coś więcej, to ty jeden czyniłeś mnie aż tak szczęśliwą. Jestem ci za to bardzo wdzięczna. – Nachylam się, całuję go w czoło, po czym odwracam się, by wyjść, zanim wybuchnę płaczem.

Czekam z tym do momentu, gdy znajduję się na dworze, na śniegu, sama jak palec.



Nie mam ochoty wracać do chatki, perspektywa bycia w środku wydaje mi się teraz dziwnie klaustrofobiczna. W ciągu minionych paru dni przeżyłam tyle momentów olśnienia, że teraz czuję potrzebę przetrawienia tych wszystkich doznań. Muszę pozwolić na to, by stworzyły w końcu jakąś całość, dzięki której zrozumiem, w którym kierunku powinnam teraz ruszyć.

Droga prowadząca do chatki ma około pół kilometra. Widać, że ktoś niedawno po niej jechał. Buty chrzęszczą na ubitej warstwie śniegu, ale popołudnie jest zadziwiająco ciepłe i słyszę kapanie rozpuszczającego się i spadającego z drzew śniegu. W moich uszach rozbrzmiewa kakofonia rozbijających się kropelek. Z dala od głównej drogi nagle przeszywa mnie wiatr. Zapinam kurtkę i skręcam w lewo, przemierzając jeszcze dobre kilkaset metrów. W końcu docieram do ulicy, znanej mi niemal tak dobrze jak ta, która biegnie przy moim rodzinnym domu.

Andrew, Theo i ja zwykliśmy łązić po tej drodze, gdy naszych rodziców nie było w domu. Zbieraliśmy patyki i zamienialiśmy je na czas zabawy w miecze, wędrownie laski lub czarodziejskie różdżki. Rozprawialiśmy o tym, które domki kupimy, kiedy będziemy dorośli, i co będziemy robić dzień pod dniem, gdy już oficjalnie zostaniemy sąsiadami na stałe. Wdrapywaliśmy się na drzewa, bezskutecznie poszukując niedźwiedzi pazurów albo pułapek zastawionych przez kłusowników. Lata upływały, kolejne domy były sprzedawane, rozbudowywane lub wykańczane w stylach zupełnie odmiennych od poprzednich. Wciąż jednak nie sposób było na tej uliczce dopatrzeć się ostentacyjnego blichtru, dostrzegalnego w innych częściach Park City. Tutaj nawet wyremontowane chatki zachowywały klimat przytulnego drewnianego schronienia. Również w środku lata dawało się tu wyczuć nastrój świąt, tylko czekający na grudniowe dni i noce.

Dym wije się z kominów, przez ściany domów sączy się na drogę świąteczna muzyka. Zatrzymuję się przy moim ulubionym domu na tej ulicy. To opleciony bluszczem kamienny budynek, przywodzący na myśl ukrytą w lesie chatkę gнома. Zaglądam do środka przez szerokie okno, które oddziela wnętrze od ulicy. Dwie spowite cieniem sylwetki poruszają się w salonie nieopodal rozświetlonego choinkowego drzewka. W kuchni zauważam jeszcze jedną osobę zajętą krzątaniem. Nawet stąd jestem w stanie wyczuć woń pieczonego indyka i maślano-słony aromat groszku, pomieszany z ostrym zapachem sosnowego drzewa. Gdybym pomyślała, by zabrać ze sobą szkicownik, z pewnością nie omieszkałabym stanąć tutaj i narysować tego widoku.

Jeśli jestem tak szczęśliwa tutaj, w śniegu, to czemu nie mieszkam na stałe w miejscu, gdzie można go spotkać? Nagle zdaję sobie sprawę, że nie muszę zostawać w Kalifornii, nie muszę wciskać mojego przyszłego życia w stare ramy. Mogę się przecież poruszać. Mogę chodzić korytarzami swoich myśli i dawać się prowadzić ku wymarzonej pracy. Mogę w końcu się dowiedzieć, kim tak naprawdę jest Maelyn Jones. Miałam już okazję spróbować życia z Andrew, a teraz to, jak potoczy się ta sprawa, jest kompletnie poza moją kontrolą. Nie znaczy to jednak, że w innych aspektach powinnam dać zgasnąć nowo odkrytej gwiazdzie odwagi.



Ta nagła epifania momentalnie poprawia mi humor. Uśmiech znika jednak jak kamfora, gdy wchodzę do chatki i orientuję się, że wśród zgromadzonych w salonie nie ma Andrew.

– Cześć, ludzie – odzywam się.

Ożywione pogawędki cichną po moim wejściu jak nożem uciął. Miles wystrzela ze swojego miejsca.

– Cześć, Mae.

Wszyscy patrzą na mnie wyczekująco. Nie sądziłam, że mój powrót będzie odbywał się pod tak uważną obserwacją.

– Cześć...

Zachary rzuca się na dywan, twarzą w dół, niepowstrzymanie chichocząc.

– Co się dzieje? Mam na głowie ptasie gniazdo czy coś takiego?

Aaron przebiega palcami po czarnej dziurze na czubku swojej głowy.

– Nie, nie masz – odpowiada takim tonem, jakby moje pytanie bynajmniej nie było retoryczne.

W końcu Lisa pyta:

– Wchodziłaś przez przedpokój?

Przecząco kręcę głową.

– Nie, przez drzwi frontowe. A co?

Cały czas gapią się na mnie, jakby czekali, że zaraz coś jeszcze dodam.

– Dobra, hm... czy Andrew wciąż jest w domku na przystani?

– Jest... – zaczyna Kennedy, a Ricky zagłusza ją, mówiąc:

– Zimno było na dworze?

Mrugam skonsternowana, po czym z wahaniem udzielam mu odpowiedzi:

– Eee... tak.

Zerkam na swój nowy zegarek i zdaję sobie sprawę, że nie było mnie prawie dwie godziny. Nie zwróciłam uwagi, czy samochód Andrew stoi na

podjeździe. Zapytałabym, czy on wciąż tu jest, ale nie jestem pewna, czy chcę się dowiedzieć.

Niezgrabnie kręcę się w miejscu, niepewna, co mam zrobić.

– Dobra, strasznie dziwnie się zachowujecie, więc pozwólcie, że udam się na jakiś czas na dół, do piwnicy. Dajcie znać, jakbym mogła jakoś pomóc z kolacją.

– Powinnaś pójść na górę – wypala Zachary prosto w podłogę.

– Powinnam?

Wszystkie głowy w pokoju zaczynają kiwać się w zgodnym rytmie.

Patrzę na nich pytająco, po czym mówię:

– Dooobra... tak zrobię.

Mam przynajmniej wymówkę, by się stąd wyrwać. Idę korytarzem, kładę dłoń na balustradzie, szykując się do wspinaczki po schodach, gdy nagle moja stopa ląduje na czymś rozsypanym na podłodze, okruchy przyczepiają mi się do skarpetek. Podnoszę nogę i biorę drobinę do ręki, uważnie przyglądając się tajemniczemu elementom.

To sprasowany miętowy całusek. Kompletnie oszołomiona tracę na chwilę oddech, po czym znów ogniskuję wzrok na podłodze i dostrzegam kolejnego, parędziesiąt centymetrów dalej. Dalej leży jeszcze jeden, wydaje się wskazywać kierunek – prowadzi na górę. Ostatni, którego widzę, wiedzie do kuchni, gdzie zazwyczaj skierowałabym kroki z tego punktu.

Gejzer nadziei wybucha w mojej głowie, błysk rozświetla wszystkie moje myśli. Wbiegam po schodach śladem słodczy porozkładanych w korytarzu i tuż za rogiem. Znaki prowadzą wprost do sypialni Andrew, ostatnia wskazówka leży tuż przed szafą.

Gdy otwieram drzwi szafy, serce wali mi jak oszalałe. Widzę Andrew. Mruży oczy w świetle, które wpuszczam do wnętrza.

– To był naprawdę długi spacer, Maisie. Kitrałem się tu przez dobre pół godziny.

Jestem zbyt zszokowana, żeby się odezwać, ale starcza mi sił, by nagle się rozpłakać.

– Andrew? – mówię w końcu.

U podnóża schodów wybucha nagła wrzawa braw i wiwatów.

– Mówiłem, żebyś szła na górę! – wrzeszczy Zachary, nim ktoś z dorosłych zdąży zatkać mu usta ręką.

Andrew śmieje się chrapliwie i wciąga mnie do wnętrza szafy.

Nie jestem pewna, czy nie krzyknęłam. Bicie mojego serca jest tak przeźliwie głośne, że nie jestem w stanie usłyszeć nic innego.

– Co się dzieje? – pytam.

Jego głos jest łagodny, z dodatkiem wyraźnej sugestii:

– A na co ci to wygląda?

Cały pożera mnie wzrokiem. Wpatruje się w moje usta, jakby już zaraz zamierzał mnie pocałować. Jednak ze względu na mój aktualny stan emocjonalny nie powinnam dawać wiary swoim osądom.

– No cóż – mówię, przygryzając wargę i rozglądając się po malej, tonącej w półmroku przestrzeni. Chyba mogę zacząć od konstatacji oczywistych faktów, to wydaje mi się najbezpieczniejsze. – Wygląda na to, że ułożyłeś z moich ulubionych słodyczy szlak, dzięki któremu miałam znaleźć cię ukrytego w szafie.

Uśmiecha się. W półmroku widzę błysk jego zębów. Czuję jego rękę, która ostrożnie obejmuje moją talię, po czym ześlizguje się w dół, na biodro. Nacisk palców staje się odrobinę mocniejszy, gdy Andrew przyciska mnie do siebie.

– Masz jakiś pomysł, dlaczego to zrobiłem?

Jestem na skraju poproszenia go, by dla bezpieczeństwa po prostu sam to powiedział, ale słowa grzęzną w mojej krtani jak zlepek kurzu. Zamiast tego z moich ust pada zdanie, które kompletnie zaskakuje nawet mnie samą.

– Żebyś mógł znaleźć się ze mną sam na sam w miejscu, w którym pocałowaliśmy się po raz pierwszy, i byś mógł przyznać, że od początku miałam rację.

Andrew pochyla się i delikatnie przyciska swoje wargi do moich.

– Od początku miałaś rację, Maisie.

Wiem, że mówi o nas i o tym, co powiedziałam mu w przystani, ale wy-
czuwalny w jego oddechu aromat mięty prowokuje mnie, by rzucić:

– Wiem, że miałam. Miętowe całuski rzeczywiście są przepyszne.

Śmieje się, a ja czuję na szyi podmuch ciepłego powietrza.

– Czy wiesz, że tak naprawdę nazywają się „Pocałunki Hersheya: Słodkie Miętowe Cukierki” i charakteryzuje je „biała kremowość przełamana świeżością mięty”? – pyta, po czym całuje mnie w kark. – Co oznacza, że technicznie rzecz biorąc, wcale nie kwalifikują się jako biała czekolada. Więc nie muszę dłużej naigrawać się z twojej miłości do nich.

– Łał, wielkie dzięki.

Z jego ust schodzi uśmiech i odzywa się poważnie:

– Wystrzeliłaś z przystani tak błyskawicznie, że nie miałem okazji, by cokolwiek powiedzieć.

– Wydawało mi się, że potrzebujesz przestrzeni...

– Chciałbym, żeby właściwe słowa przychodziły do mnie trochę szybciej – przyznaje. – Ale cóż, nie należę do tego gatunku ludzi.

– Poza tym gdyby słowa przychodziły do ciebie szybciej, to nie miałbyś szansy wykonać wielkiego romantycznego gestu w swoim ulubionym miejscu, czyli we wnętrzu szafy.

– Z wykorzystaniem twojej ulubionej rzeczy na świecie, czyli paskudnych cukierków.

– Nie bądź taki skromny, Andrew Polley Hollis. Dobrze wiesz, że najbardziej na świecie lubię ciebie.

Jego frywolny uśmiech gaśnie zastąpiony wyrazem ulgi. W końcu przestajemy się droczyć. Andrew ujmuję moją twarz w obie dłonie i składa na moich wargach długi pocałunek, który staje się coraz głębszy. Przyciąga mnie jeszcze bliżej, wypuszczając z ust krótki jęk rozkoszy, gdy jego język spotyka się z moim.

– Czy mogę to już powiedzieć? – pyta, odsuwając się ode mnie na parę centymetrów.

– Co powiedzieć?

– Że cię kocham.

Czuję, jak te słowa pulsują mi w uszach, jakby ktoś właśnie z hukiem zamknął drzwi, odgradzając mnie od świszczącego na zewnątrz wiatru. Andrew nie spuszcza ze mnie oczu, a na mojej twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

– Ja też cię kocham.

Nawija na palce kosmyk moich włosów.

– I nie musisz wracać jutro do Kalifornii?

– Nie muszę. Obieram kurs na przygodę i jestem gotowa na wszystko.

– To bardzo dobra wiadomość.

– No żebyś wiedział... Poza tym ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, to podróż samolotem.

Wybuchają śmiechem.

– Na szczęście tak się składa, że dysponuję vanem, a droga do Denver zajmuje zaledwie osiem godzin. Może zrobimy sobie małą wycieczkę?

Wspinam się na palce, gdy on pochyla się, by mnie pocałować. Ulga rozlewa się po moim ciele z taką siłą, że czuję, jak krew zaczyna inaczej tętnić w moich żyłach. Pierwszy krok w moim dorosłym życiu: dziś śpię w domku na przystani razem z Andrew. Dziś i każdej innej nocy, jeśli będzie nam dane. Elektryczność? Bieżąca woda? Phi, przereklamowane.

Mruczy radośnie, odsuwając się ode mnie po serii pocałunków, które smakowały jak oprószona pudrem tęcza. Mija chwila, nim udaje mu się otworzyć oczy. Widzę, jak bardzo jest poruszony, i czuję, że zakochuję się w nim na nowo, jeszcze raz.

– Cieszę się, że pierwszą kłótnię mamy już za sobą.

Odskakuję zszokowana tymi słowami.

– To była nasza pierwsza kłótnia?

Wygląda na równie zaskoczonego jak ja.

– A co, myślałaś, że to był już koniec?

– Hm... tak...? Powiedziałeś przecież, że wcale mnie nie znasz. – Śmieję się z niedowierzaniem, obserwując, jak w jego oczach pojawia się iskierka

uśmiechu, który wkrótce staje się promienny. – No co? Czemu się ze mnie śmiejesz?

– No bo w sumie masz rację. Ale jak na trzynaście lat czekania, to dość szybko się poddałaś.

Dla żartu leciutko go popycham, ale i tak cały czas jest obok.

– A co niby miałam pomyśleć? – pytam.

– Że znasz mnie od dwudziestu sześciu lat! I że jeden dzień jest kroplą w morzu.

– A razem byliśmy przez zaledwie trzydzieści sześć godzin! Więc dzień stanowił mniej więcej dwie trzecie naszego romansu.

Śmieje się, wyraźnie zachwycony tym wyliczeniem, a ja czuję, że czas zatrzymuje się w miejscu, gdy Andrew przygląda mi się z czułością. Zaczynam lekko się denerwować, mięśnie karku napinają mi się w odruchu obronnym.

– Moi rodzice się nie kłócą – przypominam mu. – Zaczynają gderać, potem robią się pasywno-agresywni. Po ich pierwszej dużej kłótni tata się wyprowadził.

– No dobrze, w takim razie będziesz musiała nauczyć się, jak radzić sobie z konfliktami, bo tacy bystrzy ludzie jak my, będąc ze sobą w związku, wcale nie zgadzają się ze sobą w każdym aspekcie. Udowodnione naukowo!

– Czy to właśnie jest to? – pytam. – Związek?

Widać, jak cały mięknie, a na jego twarzy maluje się urocza kombinacja rozbawienia i lekkiej tremy.

– Taką mam nadzieję – wyjaśnia niepewnie.

– Mae od trzynastego do dwudziestego szóstego roku życia gra w tę grę, a jej wynik to... – droczę się, lekko stukając się palcami po czole.

Andrew wybuchą śmiechem, po czym poważnieje i stwierdza:

– A więc... jesteśmy związkiem?

– To zależy – odpowiadam, a kolejne słowa przechodzą mi przez gardło jak zimne szklane bryły. Wiem, że to chwila prawdy. – Czy mi wierzysz?

– W kwestii życzenia?

To było w skali mojego życia jedno z najmocniejszych i najbardziej dojmujących przeżyć i wiem, że jakkolwiek kocham go naprawdę mocno, nie jestem pewna, czy byłabym w stanie być z nim, gdyby sądził, że to wszystko tylko mi się przyśniło.

– Tak.

– Oczywiście, że ci wierzę.

Z moich ramion schodzi napięcie.

– I... nie przeszkadza ci to wszystko?

– Pozwól, proszę, że teraz ja zapytam – zaczyna Andrew nieco innym tonem. – Czy w tej wersji świąt twój tata złamał ząb na ciasteczku?

– Z całą pewnością nie.

– A czy Kennedy otarła sobie kolana?

Zaczynam rozumieć, dokąd zmierzają te pytania, więc szczerzę zęby i odpowiadam:

– Nie.

– Widzisz? A ty wiedziałaś o tym, że w składziku są śpiwory. I uspokoiłaś tatę w kwestii ginu. I w jakiś sposób przekonałaś Benny'ego do zakupu chatki. Dodatkowo gdybym cię posłuchał i uważał na Miso, to może mój ukochany, obrzydliwy świąteczny sweter wciąż byłby w jednym kawałku.

– To cię nauczy, by słuchać twojej podróżującej w czasie... – mówię, po czym urywam nagle, a uśmiech schodzi mi z twarzy. Reszta zdania wisi w powietrzu jak poruszana przez wiatr wstążka.

Oczy Andrew zwężają się, gdy na jego wargach pojawia się szelmowski uśmieszek.

– Mojej podróżującej w czasie... hm?

I właśnie teraz na krótką chwilę cała moja pewność pryska jak bańka mydlana. Spełniły się moje najśmielsze sny, nadzieja pozwoliła mi nawet uratować chatkę. Czy to nie byłby idealny moment, by wszechświat po raz ostatni spletał mi figła, na przykład zniecka wyciągając spode mnie krzeselko?

Nie. Tym razem nigdzie się nie wybieram.

– Twojej podróżującej w czasie dziewczyny.

Uśmiech Andrew opromienia całe wnętrze szafy.

– W końcu, Maisie. Już myślałem, że nigdy tego nie powiesz.



Epilog

– Oi! – woła z ganku Benny. – Byłem w stanie wyśledzić cię z kilometra!

Nie muszę nawet pytać, kto kryje się pod tym „cię”, bo z całą pewnością nie ma na myśli mnie, ubranej w matową, szarą podkoszulkę i przetarte dzinsy.

– Och, doprawdy? – pyta Andrew, gładząc dłonią swój upiorny sweter. – Czyli mówisz, że noszę go jak trzeba?

– Nie gotujesz się w tym? – odpowiada pytaniem Benny. Na dworze panuje taki upał, że jego głos z trudem przebija się przez gorące powietrze.

Andrew z zapalem kiwa głową.

– Jest w nim naprawdę bardzo wygodnie.

Zerkam na swojego chłopaka i zauważam sporą kroplę potu nad jego brwią. Uroczy z niego kłamczuszek w tym trzydziestostopniowym upale. Nie mam nawet chęci złapać go za rękę, gdy idziemy przez podjazd, nasze dłonie od razu by się skleiły. Wszyscy znamy go już na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest w stanie poświęcić swój komfort w celu udowodnienia, że ma rację, a tym razem stwierdził, że warte ofiary jest noszenie w chatce świątecznych swetrów na każdą okazję. Ten konkretny bije po oczach chabrowym błękitem, wiśniową czerwienią i śnieżną bielą, która to kombinacja kolorystyczna ma zapewne stanowić ukłon w stronę ojców założycieli.

Mogę się założyć, że wytrzyma w tej zbroi najwyżej do lunchu, a potem z ulgą zedrze ją z siebie.

– Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Niepodległości! – krzyczy.

– I wam też udanego Czwartego! Chodźcie, chodźcie – mówi Benny, machając do nas zapraszająco.

Żwir chrzęści pod moimi adidasami, gdy biegnę w stronę frontowych drzwi, by rzucić się w ramiona mojego ukochanego wujka. Samochód zaparkowaliśmy kawałek stąd, przy głównej ulicy – nie chcąc zawadzać pojazdom budowlanym, które co i rusz tłuką się przez podjazd do chatki – czy raczej „The Hollow”, jak zaczął nazywać ją Benny. Już widzę ogrom pracy, jaką włożył w to miejsce. Jego wysiłki naprawdę robią wrażenie. Ganek jest nowiutki, cała chatka została odmalowana na ten sam co wcześniej odcień brązu z lekką domieszką zieleni. Niesamowite, jaką różnicę robi porządne umycie ścian i nałożenie nowej warstwy farby! Wszystkie okna zostały wymienione, podobnie jak okapy. Nowy dach, nowe rozwiązania w ogrodzie, nowy wsunięty w bryłę domu boczny ganeczek, położony na zachodniej ścianie, wychodzący wprost na góry. Umieram z ciekawości, jak prezentuje się wewnątrz!

Benny zamyka mnie w uścisku, a ja sama jestem zaskoczona tym, jak momentalnie się rozklejam. Pachnie tak jak zawsze: ziołowym szampodem, ale tym razem wyczuwam dodatkowe nuty sosny i topoli, ziemi i lakieru do drewna. Jego niski, dźwięczny śmiech rozbrzmiewa w moich uszach. Mam wrażenie, że bycie z powrotem tutaj, razem z Andrew, po raz pierwszy od ferii świątecznych, to coś cudowniejszego niż wejście do wanny z bąbelkami z widokiem na ocean skąpany w promieniach zachodzącego słońca. To, co czuję teraz, to po prostu raj.

Benny odsuwa mnie na długość ramienia, po czym zaczyna bacznie mi się przyglądać.

– Wyglądasz nieźle, Kluseczko! – komentuje.

Wiem, że ma rację. Szczęście rzeczywiście przydaje mojej cerze blasku i sprawia, że krok mam bardziej sprężysty. Ale przyganiał kocioł garnkowi! Benny jest opalony, jego włosy są wypłowiałe od słońca i zakurzone, od – jak mniemam – niemal nieprzerwanej pracy przy własnym domu.

Uśmiech na jego twarz znaczy okolice oczu siateczką drobnych zmarszczek, a ja w mgnieniu oka pojmuję, że Benny nie jest po prostu zadowolony – jest tutaj nieprzytomnie wręcz szczęśliwy.

Andrew jest drugi w kolejce po uścisk. Przytulają się w męskim stylu, głośno poklepując się po plecach. Zdążam już nasycić oko widokiem nowego ganeczku i słysząc ich powitalne pogawędki, nie mogę wytrzymać z palącej ciekawości. Niecierpliwie przebieram nogami, aż w końcu Benny lituje się nade mną i prowadzi nas do środka.

Staję jak wryta. Jeśli chodzi o balustradę, to jest ta sama, którą pamiętam z dzieciństwa, ale odnowiona. Świeża farba w odcieniu miodowego brązu lśni, oświetlona wpadającymi przez frontowe drzwi promieniami popołudniowego słońca. Schody zostały wycyklinowane, podobnie jak wszystkie podłogi na parterze. Benny zachował większość dawnych mebli – wszystkie są jednak odświeżone, wyczyszczone, wypolerowane i zadbane, dzięki czemu wewnątrz ma charakter zarówno przytulny, jak i przestronny. To wszystko, połączone ze świeżą warstwą farby na ścianach, sprawia, że cały dom wydaje się o wiele jaśniejszy.

– Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś to wszystko w ciągu zaledwie pół roku – odzywa się Andrew, powoli obracając się wokół własnej osi. – To miejsce nie prezentowało się tak dobrze, od kiedy... no cóż, kiedy jeszcze nie było mnie na świecie.

– Czekajcie, czekajcie – mówi Benny, wiodąc nas do kuchni, gdzie odświeżone podłogi lśnią w popołudniowym słońcu.

W oczy rzucają mi się wykończenia ze stali nierdzewnej, które zastąpiły te dawne. Lodówka jest takim cudem technologii, że patrząc na liczbę przycisków na jej drzwiach, przypuszczam, iż mogłaby z powodzeniem odrobić za Milesa pracę domową z matematyki. Mama, Aaron i Kyle zapewne zapoczątkują w tym miejscu autorskie pokazy kulinarne, gdy tylko to wszystko zobaczą. Nowy stół z litego drewna został postawiony w centralnym miejscu tej szerokiej przestrzeni. Widzę, że jest przy nim miejsce dla szesnastu osób.

Benny zamienił nieużywaną jadalnię w salon wypoczynkowy z mnóstwem wbudowanych półek na książki, teraz wypełnionych różnymi

propozycjami czytelniczymi. Piwnica została wykończona. Świeżo postawione ścianki dzielą ją na cztery osobne pokoje, a u podnóża schodów powstał przestronny pokój dzienny. Benny zapowiada, że postawi tam stół do ping-ponga, bilard i maszynę do gry w pinball. Z salonu przechodzi się do trzech osobnych sypialni, za którymi znajduje się wspólna łazienka.

– Ani śladu łóżek piętrowych – mówi Andrew, cały promieniejąc.

– Oddałem je jednej rodzinie, która mieszka przy głównej ulicy. Taki kamienny dom przy Mountain Crest – mówi Benny, sięgając na półkę po śrubokręt. – Obie ich córki doczekały się bliźniąt. Wyobrażacie sobie?

Szeroko otwieram oczy ze zdumienia, a uradowany Andrew łapie moje spojrzenie. Doskonale wie – podobnie jak ja – o którym domu mówi Benny. Wie, że to właśnie koło niego kręciłam się podczas pamiętnego spaceru, gdy on wymknął się po miętowe słodycze, które później doprowadziły mnie do jego miłosnej zasadzki w szafie. Niesamowite! Wszechświat działa w naprawdę niepojęty sposób.

Benny obejmuje wzrokiem pomieszczenie i kiwając głową, mówi:

– Teraz mamy mnóstwo przestrzeni dla każdego. A będzie jej jeszcze więcej!

Sypialnie na górze nie zmieniły się, jeśli chodzi o rozmiar. Wyjątkiem jest stryżek, który Benny przerabia na swoją główną sypialnię. Na razie jest jeszcze nieukończona – właściwie to zagracona strefa robót budowlanych – ale nawet w tym rozgardiaszu jestem w stanie dostrzec wyłaniający się przyszły kształt pokoju. Okno z barwionymi szkiełkami jest wciąż na swoim miejscu, podobnie jak ostro nachylone skosy w suficie. Właściwie to ta przestrzeń wygląda podobnie jak wcześniej, tylko po prostu znacznie lepiej.

Z dołu ktoś woła Benny'ego. Zostajemy sami i możemy z Andrew swobodnie pokręcić się po wnętrzu. W jego dawnym pokoju wciąż stoją te same meble, eukaliptus zwiesza się z poręczy łóżka, ścian, wieszaków w szafie. Przebiegam palcami po krawędzi nocnej szafki, gdy nagle para ramion oplata się wokół mojej talii, a ich właściciel wciąga mnie – chichocząc – prosto do szafy. Drzwi zamykają się za nami, a Andrew zamienia się w pana Lepkie Dłonie, na przemian tuląc mnie i łaskocząc.

– Na serio zaczynam podejrzewać, że masz jakiś fetysz związany ze schowkami.

Mruczy coś nieskładnie prosto w moją szyję, po czym mówi:

– Pomyśleć, że zmarnowaliśmy tyle lat, nie robiąc tego.

Piszczę cichutko, figlarnie go odpychając, a on znów wysuwa ręce w moją stronę i przyciąga mnie ku sobie.

– Chodź tu – mówi głosem Mandrew, po czym wtula twarz w mój kark. Jęczy tym swoim jękiem, który rozpoznaję jako „Och, jak mi dobrze”, po czym pyta mnie: – Jak się czujesz, będąc tu z powrotem?

– Cudownie – odpowiadam, zarzucając mu ręce na szyję i wplatając palce w jego włosy. – Zarazem trochę dziwnie. Ale w dobrym sensie.

– Dziwnie w sensie Walkenowskim?

– Otóż to – odpowiadam, znów lekko się odsuwając. Całuję go w podbródek. – Gdzie chcesz spać w ten weekend?

– Raczej tutaj – mówi, wzruszając ramionami. – Na dole są pojedyncze łóżka, no a w przystani będzie za gorąco...

Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak to będzie znów tam wejść. Nostalgicznie, to z pewnością, ale mam poczucie, że ta wizyta miałaby też słodko-gorzki posmak. Z tego, co wiem, Benny ma odnośnie do tej części wielkie plany, ale roboty jeszcze nie ruszyły. Jeśli chodzi o mnie, zadowolilibym się spaniem tam w dowolnym warunkach – byłaby to atrakcja chociażby przez wzgląd na stare dobre czasy. Ale rzeczywiście, nie ma tam klimatyzacji. Andrew ma rację, w środku lata może być tam niezbyt komfortowo.

– Czy kiedykolwiek spałeś tu z dziewczyną?

– Raz – odpowiada Andrew, ujmując moją twarz w dłonie i składając na każdym policzku po całusie. – Z Liz.

Liz to jedna z najdłuższych relacji Andrew, zerwali ze sobą lata temu. Zdążyłam już poznać ją i jej męża, poszliśmy z nimi na drinka parę miesięcy temu. Liz jest niesamowicie zabawną osobą i spotkanie dostarczyło nam mnóstwo frajdy.

– Ale nic takiego nie robiliśmy – dodaje Andrew.

Wybucham śmiechem, uderzona absurdem tej wypowiedzi. Nie mogę wyobrazić sobie, jak to jest być w łóżku z Andrew Hollisem i nie zmusić go, by się rozebrał.

– Kłamczuszek – rzucam.

– Nie, mówię zupełnie serio – odpowiada. – Mama i tata byli jakieś parę metrów stąd. Byłem zbyt zestresowany, żeby przeprowadzić jakąkolwiek akcję.

– No cóż, tym razem twoich rodziców nie będzie w pobliżu – przypominam mu. – Rzeczy Benny’ego leżą w jednym z wykończonych pokoiów na dole, więc... piłka w grze.

Andrew wydaje z siebie jęk, po raz kolejny przyciskając twarz do mojej szyi.

W ten weekend będziemy tylko my i Benny, pozostali mieli już jakieś plany. Mama i tata pomagają Milesowi w przeprowadzce na Uniwersytet Kalifornijski, gdzie zaczął już treningi piłkarskie. Kyle ma próbę chóru do przedstawienia, które – jak wszyscy liczymy – będzie wielką sensacją Broadwayu. Theo jest w trakcie budowy swojego domu gdzieś w okolicach kanionu Ogden, półtorej godziny drogi stąd, a Ricky i Lisa zdecydowali się na letni rejs ze Seattle aż na Alaskę. Tylko Andrew i ja mogliśmy bez trudu zaplanować wycieczkę z Denver. Trafił się nam długi weekend i umieraliśmy z ciekawości, by zobaczyć, co Benny zdiagnozował z chatką.

Słyszymy delikatne pukanie. Patrzymy po sobie z Andrew, jakbyśmy chcieli zakrzyknąć: „Przyłapani!”, po czym drzwi szafy się otwierają, wpuszczając snop światła. Dostrzegam rozbawioną twarz Benny’ego.

– Coś tak czułem, że tu was znajdę. – Śmieje się.

– Ponieważ, Bentleyu – szepczę – ta szafa to nasze święte miejsce.

– Przysięgam, że jej nie wymienię – mówi, unosząc podbródek – a teraz chodźcie. Chcę wam coś pokazać.

Ruszamy za nim na dół, a ja próbuję się domyślić, czym nas chce zaskoczyć. Już teraz czuję się niemal przytłoczona idealną równowagą między dawnym a nowym, którą udało mu się osiągnąć. Czego jeszcze nie widzieliśmy? Może ogródka? Może jakichś udogodnień przy frontowym ganecz-

ku? Andrew wzrusza ramionami, gdy posyłam mu pytające spojrzenie. Pocięra otwartymi dłońmi o uda, widzę, że jest nieco zaczerwieniony. Przez chwilę się zastanawiam, czy jakaś część jego nie wzdraga się przed patrzeniem na to, jak bardzo zmienił się dom. Co prawda na dobre, ale jednak się zmienił.

Zawracamy u podnóża schodów i kierujemy się przez korytarz do kuchni, dalej przez składzik, a potem wychodzimy przez drzwi na dwór.

W ogródku nie widać zmian, ale i tak zwalniam. Andrew cały czas maszeruje, ale ja nie jestem w stanie dotrzymać mu kroku. Stopy odmawiają mi posłuszeństwa, ponieważ budynek, który widzę przed sobą, ledwo przypomina tę przystań, którą pamiętam z dzieciństwa. To, co wyrosło przez moimi oczami, to piękny budynek wypoczynkowy w stylu rustykalnym. Mała chatka z białym z gigantycznym, wychodzącym na góry oknem. Ma komin, schody, małe ganek z dwoma żółtymi krzeselkami typu Adirondack i niewielkim stolikiem.

Nie zdaję sobie sprawy z tego, że zaczynam płakać, póki Andrew nie odwraca się do mnie i nie łapie mnie za rękę. Śmieje się z czułością i ociera wolną dłonią moje mokre policzki.

– No weź – mówi.

Widzę, że cały drży.

– Wiedziałeś o tym? – pytam.

Nie odpowiada, ale lekko popycha mnie do przodu, zachęcając do wejścia. Przystań wciąż składa się z jednego pomieszczenia – nie licząc nowej łazienki – ale w rogu stoi teraz łóżko z baldachimem, a nieopodal postawiono szezlong i wygodny fotel, przysunięty do stoliczka kawowego stojącego na olśniewającym dywanie. Kominek ewidentnie nie jest na razie w użyciu, ale nowa klimatyzacja cicho pracuje, sprawiając, że powietrze w przystani jest odświeżające, a temperatura komfortowa.

Mój wzrok przykuwają liczne oprawione w ramki fotografie, którymi udekorowano ściany. Zdjęć jest co najmniej dwadzieścia, niektóre są małe, inne w rozmiarze osiemnaście na dwadzieścia cztery centymetry. Na wszystkich występuje nasza ekipa w przeróżnych konfiguracjach. Ja i tata na saneczkach. Andrew, Ricky, Theo i Lisa na ganku chatki. Benny

i mama z koktajlami w dłoniach, wznoszący toast w stronę obiektywu. Miles i bliźnięta, grający w warcaby na podłodze w salonie. Pięcioletnia ja w objęciach Kyle'a (trzyma mnie do góry nogami, tuż obok śnieżnego bałwana). Aaron i mama w szale gotowania, odziani w fartuchy. Benny i ja, Theo i Andrew (na oko wszyscy w wieku nastoletnim), pokonujący latem trasę Iron Canyon Trail.

– To jest po prostu niemożliwe – mówię, odwracając się w stronę Andrew. Chcę sprawdzić, jak on przyjmuje te wszystkie niesamowite dane.

Ale on już nie stoi przy moim prawym boku, ponieważ...

Ponieważ klęczy.

Czy mój umysł działa najwolniej na całym świecie? Być może. Potrzebuję dobrych pięciu sekund, żeby wykrztusić jakiegokolwiek słowo, a tym słowem jest w dodatku krótkie:

– Och.

– Maisie – odzywa się Andrew, po czym otwiera dłoń, na której ukazuje się złoty pierścionek z idealnym owalnym szafirem. W milczeniu patrzy na mnie przez kilka sekund, po czym zaczyna mówić: – Przez ostatnie sześć miesięcy przeżyliśmy mnóstwo przygód. Ty – ciągnie drżącym głosem – przeprowadziłaś się do Denver, zmieniłaś pracę, przyzwyczajałaś się do naszego nowego mieszkania. Niczego na świecie nie kocham bardziej niż wspólnego robienia kolacji, rozmawiania z tobą o tym, jak minął nam dzień, marzeń o tym, co będziemy robić niebawem. – Przełyka ślinę i patrzy prosto na mnie. – Odkąd ostatnio tu byliśmy, nie spędziłem bez ciebie ani jednej nocy. Nie mam pojęcia, jak tego dokonaliśmy. Może dzięki temu, że uczyniliśmy ten związek naszym priorytetem. Jesteś moim priorytetem, Maisie. Jestem w tobie zakochany po uszy. I wydaje się niemożliwe, bym kiedykolwiek należał do kogoś innego niż ty. Proszę – odzywa się, ścisząc nieco głos – wyjdiesz za mnie?



Tylko idiotka zareagowałaby inaczej, niż krzycząc na całe gardło:

– TAK!

Upewniwszy się, że Benny zostawił nas tu samych, rzucam się z impetem na tego cudownego mężczyznę.

Andrew spędza około dziesięciu sekund na niemrawej próbie przekonania mnie, że może powinniśmy najpierw pójść przekazać radosną nowinę Benny'emu, po czym poddaje się i pozwala mi pchnąć się na łóżko, gdzie w końcu zdzieram z jego ciała to upiorne swetrzysko.

Nigdy nie przestanie na mnie robić wrażenia gorąco jego torsu. Głód, z jakim wodzi dłońmi po moim ciele, jakby chciał dotknąć wszystkich miejsc naraz, sposób, w jaki zanurza palce w moich włosach, gdy schodzę w dół, nie przestając całować jego skóry. Pod moją dłońią mięśnie jego brzucha spinają się, biodra wyginają w łuk, a potem Andrew mocno łapie mnie tak, bym znalazła się pod nim. Czuję tuż przy uchu jego urywany oddech i słyszę niegrzeczne słówka, które zaczyna do mnie szeptać.

Doszliśmy w tym do naprawdę dużej wprawy – trzeba przyznać, że skrupulatnie ćwiczymy – ale i tak nie przestaje mnie zaskakiwać to, jak silną reakcję obserwuję u siebie za każdym razem, gdy on jest blisko, gdy widzę, jak zaczyna się cały napinać i staje się nieco dziki. Andrew często nabija się z tego, jak bacznie przyglądam mu się w takich momentach, ale podejrzewam, że tak naprawdę to uwielbia. A ja mogłabym przysiąc, że widok jego oczu w chwili, gdy kończy, jest najseksowniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek dane mi było zaobserwować.

Nie pozwalam mu wstać – o nie, jeszcze nie. Leżymy obok siebie, a ja wyciągam dłoń, podziwiając pierścionek na swoim palcu. Oboje zaśmiewamy się z tego, jak osobliwie słowa „mąż” i „żona” brzmią w naszych ustach.

Zastanawiam się, gdzie tego dokonamy, gdzie właściwie... Andrew patrzy na mnie, jakby brakowało mi piątej klepki. No przecież! Oczywiście, że tutaj.

Ustalamy, że skromne przyjęcie weselne odbędzie się w gronie naszej przybranej rodziny. Następnie decydujemy, że najlepszym miejscem na podróż poślubną będzie Tahiti. Oraz że najpierw pies, potem dzieci.

Niewinne pocałunki stają się coraz bardziej powolne, potem coraz głębsze, aż w końcu znajduję się nad nim. Widzę, jak z zachwytem obserwuje

mnie, bawiąc się końcówkami moich włosów, opuszkami palców pieszcząc moje krągłości, dłońmi naprowadzając moje biodra we właściwym kierunku, aż w końcu sam robi się rozgrzany do czerwoności i niecierpliwym...

Padam na łóżko tuż obok niego. Prześcieradła są z miękkiej, delikatnej bawełny, czuję na plecach miły chłód. Andrew wydaje z siebie zachrypnięty, pełen satysfakcji śmiech.

– Jak ja niby mam normalnie chodzić po czymś takim?

– Mam nadzieję, że Benny zaplanował, że spać będziemy właśnie tutaj – odpowiadam nie na temat, powoli uspokajając oddech.



Ale i tak będziemy potrzebować jedzenia i wody, szczególnie że do pory snu zostało jeszcze parę godzin.

Andrew patrzy mnie i zaczyna chichotać.

– Nie chciałabyś może skorzystać ze szczotki? – komentuje.

Jedno zerknięcie w lustro i już widzę, że na głowie mam dziką płataninę, a moje wargi są opuchnięte od namiętych pocałunków. Po moim uśmiechu widać, że jestem wprost pijana ze szczęścia. Postaram się zrobić, co w mojej mocy, by przed pokazaniem się światu za pomocą palców opanować chociażby fryzurę.

– Moje rzeczy są w samochodzie – mówię – a Benny i tak nie zwróci uwagi na to, co mam na głowie.

Dopiero gdy wchodzimy do kuchni i słyszę dobywający się z siedmiu gardeł naraz gromki okrzyk: „NIESPODZIANKA!”, zaczynam rozumieć, czemu Andrew tak bardzo nalegał, byśmy wrócili do chatki, skąd wzięły się sugestie dotyczące szczotki i... dlaczego teraz skręca się ze śmiechu. Ricky i Lisa wcale nie popłynęli w rejs. Theo wcale nie jest aktualnie zajęty budową domu w Ogden, a mimo że Kyle istotnie przebywa na Manhattanie, Aaron z bliźniakami są tutaj. Zupełnie nie wiem, kiedy oni wszyscy tu dotarli ani jak długo musieli czekać w środku, aż wrócimy, by móc zacząć składać nam gratulacje.

– Czy wy się właśnie biliście? – pyta z charakterystycznym sykiem Zachary, który właśnie pozbył się dwóch przednich mleczaków.

Aaron robi, co może, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Tak! – odpowiada dziarsko Andrew. – I spójrz, Mae wygrała w tej bitwie pierścionek!

W mgnieniu oka zostaję zamknięta w uścisku przez moich przyszłych teściów (!), Aarona i dzieciaki. Benny wykorzystuje ten moment, by podrzeć z gniazda, które mam na głowie, po czym również rzuca mi się na szyję i mocno przytula. Mimo że to najcudowniejsza z możliwych niespodzianek, to mam poczucie, że bez Milesa i moich rodziców jest jakoś dziwnie pusto.

Zgarniam telefon z blatu, na którym wcześniej go zostawiłam, po czym robię zdjęcie swojej lewej dłoni i wysyłam je mojej mamie z podpisem:

Założę się, że wiedziałaś, że to robi,
ale spójrz na to!

Gapię się na telefon, czekając na informację o tym, że odczytała wiadomość, ale widzę, że wysyła się powoli – wskaźnik drga u góry ekranu.

– Słyszałem, że jesteś zachwycona nową robotą – zagaja Aaron.

– To prawda! – odpowiadam, promieniejąc.

Aktualnie jestem główną projektantką graficzną w firmie Sled Dog Brewing, malutkim browarze stawiającym pierwsze kroki na rynku. Leży niecały kilometr od Red Rocks i najbardziej rozchwytywanego ogródka piwnego w całym miasteczku. Zarządzam dwuosobowym zespołem, który zajmuje się prowadzeniem strony i dba o media społecznościowe, ja czuwam nad projektami wszystkich gadżetów: koszulek, kufli, czapeczek, bluz i innych akcesoriów promocyjnych. Właściciel marki był pod takim wrażeniem mojej pracy, że poprosił mnie o ponowne zaprojektowanie wszystkich etykiet, co oznacza, że pewnego pięknego dnia moja twórczość może znaleźć się we wszystkich lodówkach na terenie całych Stanów Zjednoczo-

nych. Sled Dog daje mi zdecydowanie najwięcej frajdy i satysfakcji, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie miejsca, w których byłam zatrudniona.

– Mam butelczynę stoutu cesarskiego – odzywa się Aaron.

– Skąd udało ci się ją wytrzasnąć? – pytam zdumiona, bo to piwo właśnie wygrało międzynarodowy złoty medal. Znalezienie tego napoju nawet w lokalnym browarze graniczy z cudem, nie wspominając już o próbie nabycia butelki gdzieś w Nowym Jorku.

– Jeden z ojców ze szkoły jest dystrybutorem, poprosiłem.

– Kocham cię – mówię, po czym wspinam się na palce i składam na policzku Aarona buziaka. Mimo że dzieli nas szerokość całego kraju, bo on mieszka na Manhattanie, wciąż pozostaje w kontakcie z nami i tym, co dzieje się na zachodzie. Całuję go, a następnie wyciągam rękę, by zanurzyć dłoń w jego nowej fryzurze o naturalnym odcieniu pieprzu z solą. – I to też uwielbiam.

– O tak – odpowiada na tę uwagę z uśmiechem. – Najkrótszy kryzys wieku średniego w historii zakończony.

– Mam nadzieję, że Lisa porządnie udokumentowała tamtą farbę.

– Albo przynajmniej jej połowę – żartuje Aaron.

Lisa chichocząc, protestuje:

– Heeej!

Nawet nie zauważam, że Andrew wysliznął się na zewnątrz, do samochodu, i właśnie wraca z moją torbą. Podaje mi ją ze słowami:

– Nie chciałem zepsuć niespodzianki, ale myślę, że wolałabyś wiedzieć...

– Jakiej niespodzianki?

Posyła mi uśmiech.

– Lot twoich rodziców był opóźniony, ale już prawie są na miejscu.

– Naprawdę? – piszczę i błyskawicznie wyciągam z torby szczotkę, po czym ściągam włosy w kitkę na czubku głowy.

W samą porę, bo już słyszę śpiewny głos mojej mamy, która woła, nie dotarłszy nawet do ganku:

– Mae?! Gdzie jest moja dziewczynka?

Tuż za nią podąża tata, taszcząc walizki i uśmiechając się od ucha do ucha.

Andrew wynurza się zza moich pleców i podchodzi do mamy, gdy ta właśnie z werwą pokonuje schody. Wyrzuca w górę ramiona, po czym nas obejmuje.

– Wiedziałam! – krzyczy. – Wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam!

– A tak naprawdę to jak długo wiedziałaś, że on zamierza to zrobić? – pytam.

– Hm, pomyślmy. – Zerka na Andrew, ewidentnie dokonując w głowie szybkich obliczeń, gdy w tym czasie tata podchodzi, by się do nas przytulić. – Od jakichś dwóch miesięcy?

– Bilety kupiliśmy w kwietniu – przerywa ojciec – więc chyba jednak trochę dłużej.

– A o zgodę zapytałem was w lutym – mówi ze śmiechem Andrew. – W naszą drugą miesięcznicę.

Do rodziców podchodzi Lisa. Obie z moją mamą zaczynają z ożywieniem trajkotać jedna przez drugą, dzieląc się swoją radością. Ricky, tata i Aaron patrzą na siebie porozumiewawczo, jakby chcieli powiedzieć: „No tak, teraz to się zacznie”, po czym udają się do środka najprawdopodobniej po to, by znaleźć w nowiutkiej, przepastnej lodówce Benny’ego po butelce piwa. Sam gospodarz wita się z moimi rodzicami, po czym schodzi po schodach razem z Kennedy, która trzyma w rękach książkę dotyczącą liści. Theo mocuje się w salonie z Zacharym. Owszem, tęsknię zarówno za Kyle’em, jak i za bratem, ale przypuszczam, że i oni w tym momencie odczuwają jakiś impuls, by myśleć o nas wszystkich, mimo że są zajęci prowadzeniem intensywnego życia w zupełnie innym miejscu.

Nadstawiam ucha, wyławiając strzępek zdania wygłaszanego właśnie przez moją mamę:

– ...tutaj, ale przed świętami czy po nich?

Orientuję się, że oto właśnie nasze wesele planowane jest bez naszego udziału, a presja związana z oczekiwaniem na wnuka również czai się za rogiem. Ani się obejrzymy, jak przez resztę naszego życia będziemy mieli

pełne ręce roboty... Oczywiście, to wszystko zostanie przez nas gruntownie przedyskutowane, gdy tylko wypowiemy słowa przysięgi – niezależnie od tego, kiedy to nastąpi – ale przynajmniej nie będziemy musieli zastanawiać się, w jakim sposób zintegrować nasze rodziny. Tym jednym zajęły się one na długo przed tym, nim pojawiliśmy się w planach.

Gdy schodzimy ze słońca i znajdujemy się z powrotem w domu, mój wzrok pada na oprawione w ramkę zdjęcie eksponowane w nowym saloniku. Z daleko trudno stwierdzić, co przedstawia, ale gdy podchodzę bliżej, widzę, że to fotografia lotnicza. Andrew obejmuje mnie ramieniem i nachyla się, patrząc na zdjęcie. W końcu wyciąga rękę i wskazuje opuszką palca na środek fotografii.

– A tu jesteśmy my.

– Co?

Przesuwa palec lekko w bok, a ja zdaję sobie sprawę, na co patrzę. To chatka, położona w mrowiu innych budynków, wśród mnogości ulic, a te okalają łańcuchy górskie. Świat rozchodzi się we wszystkich kierunkach, a każdy punkt na Ziemi jest centrum czyjegoś wszechświata. Ale to zdjęcie doskonale ujmuje istotę tego, gdzie jest moje centrum.

A centrum mojego świata jest właśnie tu, gdzie stoję.



Podziękowania

„Wystarczy zaledwie odrobina magii” – mówiłyśmy. „Możemy to spokojnie zrobić” – mówiłyśmy. „Pójdzie jak z płatka!”

Może nie poszło jak z płatka, ale na pewno pisanie tej powieści było ogromną frajdą. Napisałyśmy ją, zanim nadszedł rok 2020 i rozpętało się to całe piekło. Wtedy jeszcze wizja znalezienia się w romantycznej pętli czasu wydawała się idealną ucieczką na jeden sezon.

Z obecnej perspektywy sytuacja bohaterki wydaje się jeszcze lepsza: Mae jest w chatce, bezpieczna i otoczona przez najbliższych. Jedynym zadaniem, jakie ma przed sobą, jest odkrycie właściwej ścieżki, którą powinna podążać. Gdyby każdy z nas mógł skoncentrować się na czymś tak prostym, życie byłoby o niebo łatwiejsze!

Wydaje się nam, że to właśnie ma dać lektura romantycznej powieści. Oczywiście w książce jest też nieco o aspiracjach i pragnieniu, by czuć się spełnionym. Jest też element humoru, a całość ma podnosić czytelnika na duchu – ale w tym roku to przede wszystkim tak bardzo potrzebna nam ucieczka. Romans gra tu taką rolę jak zwykle, ale teraz potrzebujemy go jeszcze bardziej niż kiedyś.

Dlatego chciałybyśmy zacząć od złożenia podziękowań na ręce najwspanialszych twórczyń romantycznych treści. To one w tym roku wyciągnęły nas z ponurej rzeczywistości i zaprowadziły prosto do świata praw-

dziwej radości. A zatem dziękujemy: Park Ji-eun (*Crash Landing on You*), Alexis Hall (*Materiał na chłopaka*), Scarlett Peckham (*The Rakes*), Rebekah Weatherspoon (*Xeni*), Marcie Waters (*To Have and to Hoax*), Kate Clayborn (*Między literami*), Lisie Kleypas (hej, bogini!) i Norze Ephron – za... no cóż, za wszystko. Dzięki wam zyskałyśmy inspirację. Czujemy ogromną wdzięczność, mogąc zwrócić się w tych przedziwnych, dzikich czasach do pokładów stworzonej przez waszą kreatywność rozrywki.

Nasz główny zespół jest najlepszy z możliwych: agentka Holly Root jak zawsze była głosem spokoju i mądrości, doprawionych w odpowiednich momentach nutką kąśliwości. Nasza redaktorka z Simon&Schuster/Gallery, Kate Dresser, zniosła dużo – a mówiąc „dużo”, mamy na myśli naprawdę DUŻO – nagłych zmian z naszej strony. Dziękujemy Ci, Kate, za entuzjazm, który okazywałaś na początku, za głos wsparcia, gdy utknęłyśmy, i za subtelną czerwoną flagę, którą pomachałaś na etapie wprowadzania poprawek. Kristen Dwyer, nasza specjalistka od PR i nasz Skarb. Nawet gdy czas się zatrzymał i zapomnieliśmy, jak wygląda świat za oknem, ona i tak świetnie dała sobie radę. Udało się, zrobione – i jakimś cudem czytelnicy znaleźli nasze książki. Jak zawsze robiłaś to fantastycznie, dziewczyno!

Podziękowania dla całej ekipy z S&S/Gallery za to, że jak zwykle zwijaliście się jak w ukropie. Jen Bergstrom (naprawdę Cię uwielbiamy!), Aimée Bell, Jen Long, Rachel Brenner, Molly Gregory, Abby Zidle, Anne Jaconette, Anabel Jimenez, Sally Marvin, Lisa Litwack, John Vairo i wszystkie siły sprzedażowe i prawne – przyjmijcie podziękowania. W środku pandemii utrata Carolyn Reidy naprawdę mocno uderzyła w nas wszystkich, będzie nam Jej ogromnie brakowało. Dlatego też jesteśmy podwójnie wdzięczne wszystkim z S&S za to, że od zawsze jesteście tacy fantastyczni – i od początku jesteście z nami.

Dziękujemy Marion Archer za lekturę, powtórną lekturę, potem kolejną... Twoje uwagi i sugestie są niezmiernie trafne i bardzo je doceniamy. Erin Service – naszym głównym celem było wywołać u Ciebie ekscytację! Wszystkim czytelnikom z CLo and Friends dziękujemy, że nas rozśmiesz-

szacie i dotrzymujecie nam towarzystwa (oraz oczywiście dziękujemy za to, że kochacie nasze książki). Uwielbiamy każdego i każdą z Was!

Do tych, którzy nas czytają, wszystkich naraz i każdego z osobna: mamy nadzieję, że ta książka zastanie Was bezpiecznych i szczęśliwych. Dziękujemy, że po nią sięgnęliście. Naszym największym marzeniem, kierowanym do wszechświata jest to, by historia Mae i Andrew zapewniła Wam ucieczkę, na którą się zdecydujecie, ale której (czego Wam życzymy) nie będziecie desperacko potrzebować. To był naprawdę ciężki rok i teraz wysyłamy Wam porcję miłości i – miejmy nadzieję – porządną dawkę doprawionej magią rozrywki.

Z wyrazami ogromnej czułości

Christina & Lauren



CHRISTINA LAUREN to pseudonim duetu autorskiego – długoletnich przyjaciółek Christiny Hobbs i Lauren Billings. Ich książki okupują listy bestsellerów „New York Timesa” i „USA Today”. Są autorkami romansów obyczajowych. W Polsce ukazały się dotychczas ich książki z cyklu *Beautiful Bastard* i *Wild Seasons*, a także niezwykle ciepło przyjęta powieść *Podróż nieślubna*.

Zapraszamy do śledzenia ich online:

christinalaurenbooks.com

Instagram: [@ChristinaLauren](https://www.instagram.com/ChristinaLauren)

Twitter: [@ChristinaLauren](https://twitter.com/ChristinaLauren)